



GUILLERMO DELTORO

KSZTAŁT
WODY

DANIEL KRAUS

GUILLERMO DEL TORO
DANIEL KRAUS

KSZTAŁT
WODY

Przełożył
Tomasz Bieroń

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Guillermo del Toro, Daniel Kraus
Kształt wody

Tytuł oryginału
The Shape of Water

ISBN 978-83-8116-338-5

Text copyright © 2018 by Necropolis, Inc.
Illustrations copyright © 2018 by James Jean

Published by arrangement with Feiwel & Friends, an imprint of Macmillan Publishing Group, LLC.
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2018

Redaktor
Zofia Domańska

Projekt typograficzny i łamanie
Grzegorz Kalisiak

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

PRIMORDIUM

NIEWYKSZTAŁCONE KOBIETY

TWÓRCZA TAKSYDERMIA

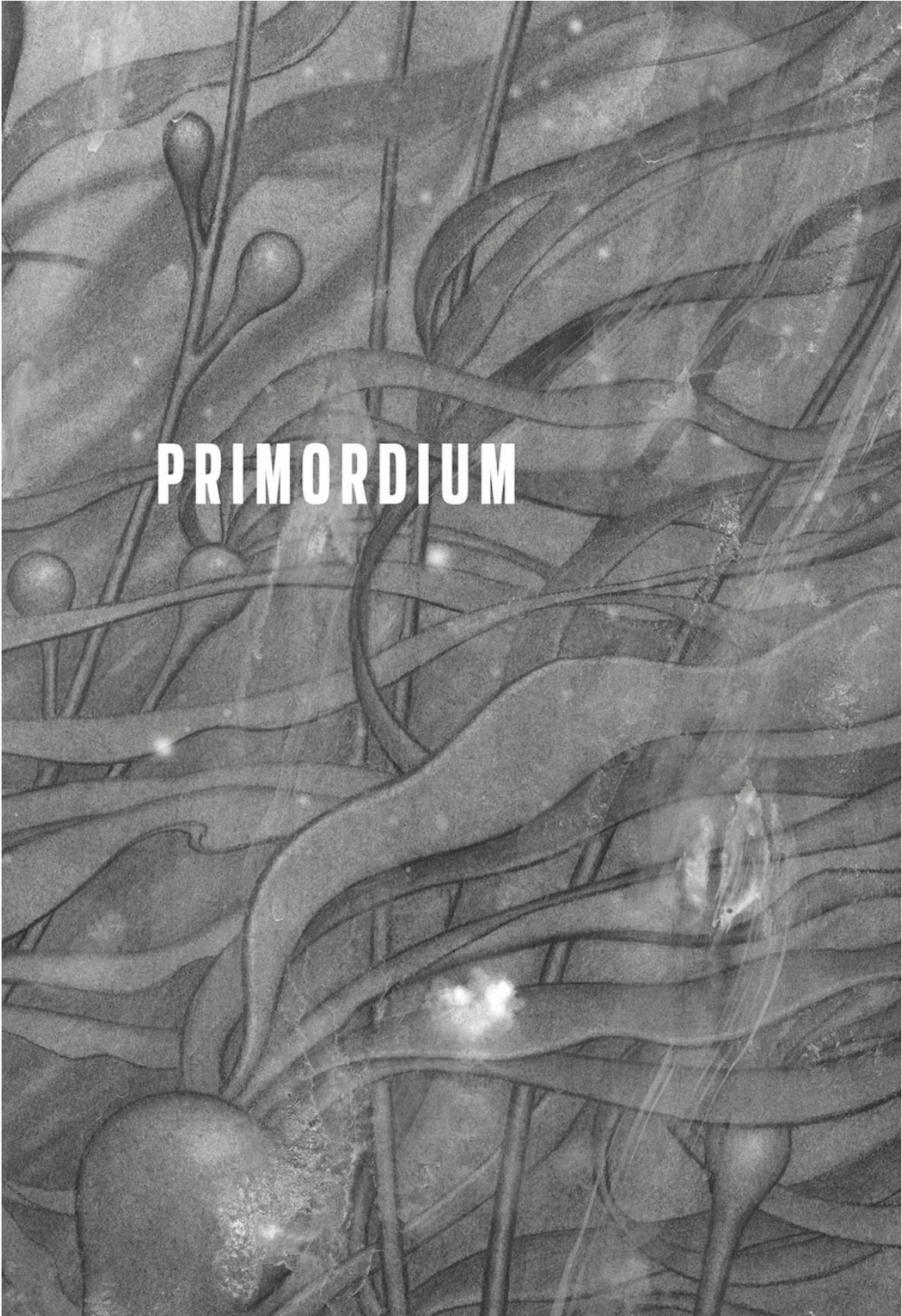
NIE TURBUJ SIĘ WIĘCEJ

Podziękowania

Dedykujemy tę książkę miłości w jej licznych formach i kształtach

*Krótką jak opad wody będzie śmierć,
krótka jak opad liści na groby,
krótka jak oddechu gruźlika ćwierć.
Nie dłuższy, moja miła, jest czas żałoby.*
Conrad Aiken

*Nie ma znaczenia, czy woda jest zimna, czy ciepła
jeśli i tak musisz przez nią przejść.*
Pierre Teilhard de Chardin



PRIMORDIUM

1

Richard Strickland czyta instrukcję od generała Hoyta. Znajduje się na wysokości 3300 metrów. Dwusilnikowiec jest poniewierany niczym pięść boksera. Ostatni etap trasy z Orlando przez Caracas i Bogotę do Pijuaial, kłykcie pięści Peru–Kolumbia–Brazylia. Instrukcja jest upstrzona zaczerwienieniami. Marszowym językiem wojskowej poezji opowiada legendę o bóstwie z dżungli. Brazylijczycy nazywają je Deus Brânquia. Hoyt chce od Stricklanda, żeby ochraniał wynajętych myśliwych, pomógł złapać tego stwora i przywłókł go do Ameryki.

Strickland rwie się do tego zadania. To będzie jego ostatnia misja dla generała Hoyta. Jest o tym przekonany. W Korei pod jego dowództwem zrobił parę rzeczy, które przykuły go do generała na dwanaście lat. Ich relacja jest formą szantażu i Strickland chce się od niej uwolnić. Wykona zlecenie, największe z dotychczasowych, i wyjedzie ze stolicy, nie będąc już na usługach Hoyta. Wróci do Orlando, do Lainie, do dzieci, Timmy’ego i Tammy. Nareszcie będzie mężem i ojcem, bo brudna robota dla Hoyta wcześniej mu to uniemożliwiła. Stanie się nowym człowiekiem. Będzie wolny.

Wraca do lektury instrukcji. Włącza bezduszne myślenie wojskowego. Te żalosne pojeby w Ameryce Południowej. Przyczyną ich nędzy nie jest bynajmniej słabo rozwinięta kultura rolna, co to to nie. Winę ponosi jakieś skrzelowe bóstwo niezadowolone z ich opieki nad dżunglą. Instrukcja jest pochlapana, ponieważ dwusilnikowiec przecieka. Strickland wyciera ją o spodnie. Armia amerykańska uważa, że Deus Brânquia może mieć istotne zastosowania militarne. Zadaniem Stricklanda będzie pilnowanie „amerykańskich interesów” i podtrzymywanie „motywacji” ekipy, jak to nazywa Hoyt. Teorię motywacji Hoyta Strickland zna z autopsji.

Pomyśl o Lainie. A jeszcze lepiej — w świetle tego, co może będziesz musiał zrobić — nie myśl o niej.

Portugalskie bluzgi pilota są uzasadnione. Lądowanie to jakiś horror. Pas startowy został wyrąbany w dziewiczej dżungli. Strickland chwiejnym krokiem wytacza się z samolotu i stwierdza, że upał przybrał postać widocznego gołym okiem, wiszącego w powietrzu siniaka. Kolumbijczyk w koszulce Brooklyn Dodgers i w hawajskich szortach macha do niego z pikapu. Na pace samochodu siedzi dziewczynka, która rzuca Stricklandowi bananem w głowę, ale choroba lokomocyjna nie pozwala mu zareagować. Kolumbijczyk wiezie go do miasta — trzy kwadratowe kwartały rozklekotanych wózków z owocami na drewnianych kółkach oraz dzieci z wydętymi z głodu brzuchami i bez butów. Strickland zwiedza sklepy i kupuje to, co mu podpowiada instynkt: zapalniczkę, płyn przeciw owadom, hermetyczne plastikowe worki, talk do stóp. Lady, po których przesuwają peso, ronią łzy wilgoci.

W samolocie przestudiował rozmówki. „Você viu Deus Brânquia?”

Kupcy rechoczą i kręcą dłońmi koło szyi. O co im, kurwa, chodzi? Ci ludzie wydzielają ostry stalowy zapach, jak świeżo zarżnięte bydło. Strickland oddala się asfaltową drogą, która roztapia się pod jego butami i widzi wychudzonego szczura, który miota się w czarnej mazi. Kona, ale powoli. Kości się zblanszują, zatopią w smole. Przez najbliższe półtora roku Strickland nie zobaczy tak dobrej drogi.

Budzik trzęsie szafką nocną. Nie otwierając oczu, Elisa wymacuje lodowaty guzik, który wyłącza dzwonięcie. Wyrwało ją z głębokiego, miękkiego, ciepłego snu i Elisa chce do niego wrócić choćby na minutkę. Ale sen nie daje się dogonić; zawsze jej ucieka. Była w nim woda, ciemna woda — tyle pamięta Elisa. Całe tony wody naciskały na nią, ale nie tonęła. Szczerze mówiąc, lepiej w niej oddychała niż tutaj, na jawie, w przeciągach, w tanim jedzeniu, w trzaskającej elektryczności.

Na dole głośno grają na tubach, a jakaś kobieta krzyczy. Elisa wzdycha w poduszkę. Jest piątek i w Arcade Cinema Marquee, czynnym dwadzieścia cztery godziny na dobę kinie bezpośrednio pod jej podłogą, wszedł nowy film, co oznacza nowe dialogi, nową muzykę i nowe efekty dźwiękowe, które będzie musiała włączyć w swoje codzienne rytuały, jeśli nie chce przeżywać przyprawiających o palpitację serca chwil strachu. Teraz grają trąby, po chwili tłum wznosi okrzyki. Elisa otwiera oczy, najpierw widzi na budziku godzinę 22.30, a potem dzidy światła projektora, które przebijają klepki podłogowe i nadają pyłkom kurzu rozmaite barwy w technicolorze.

Elisa siada i z zimna garbi ramiona. Dlaczego powietrze pachnie kakao? Dziwnemu zapachowi towarzyszy nieprzyjemny hałas: straż pożarna na północny wschód od Patterson Park. Elisa opuszcza stopy na zimną podłogę i patrzy, jak światło projektora skacze i miga. Nowy film przynajmniej jest jaśniejszy niż poprzedni, czarno-biała produkcja zatytułowana *Karnawał dusz*. Bogate kolory, które opływają jej stopy, pomagają ześlizgnąć się z powrotem w świat marzeń: Elisa ma mnóstwo pieniędzy i przypochlebni ekspedienci wsuwają jej na stopy całą gamę kolorowych butów. Wygląda pani powalająco. W takich butach podbije pani świat.

Tymczasem to świat podbił ją. Żadna liczba błyskotek kupionych za grosze na garażowych wyprzedażach i przypiętych do ścian nie ukryje nadjedzonego przez termyty drewna ani nie odciągnie uwagi od robaków, które rozpierzchają się z chwilą, kiedy ona zapali światło. Woli tego nie zauważać. Jej jedyną nadzieją jest przetrwać noc, kolejny dzień, dalsze życie. Przechodzi do aneksu kuchennego, nastawia minutnik, do garnka z wodą wkłada trzy jajka i człapie do łazienki.

Elisa lubi ekskluzywne kąpiele. Odkręca kran i zdejmuje flanelową piżamę. Klientki kafeterii zostawiają na stołach magazyny dla kobiet, dzięki czemu Elisa wie z niezliczonych artykułów z dokładnością do centymetra, na których miejscach ciała powinna się skupić. Ale biodra i piersi nie mogą się równać z wydatnymi różowymi keloidowymi bliznami po obu stronach jej szyi. Nachyla się tak głęboko, że uderza nagim ramieniem o szybę. Każda blizna ma około siedmiu centymetrów i ciągnie się od żyły szyjnej po krtań. W oddali przemieszcza się syrena; Elisa mieszka w Baltimore od urodzenia, po trzydziestu trzech latach wie, że straż pożarna jedzie Broadwayem. Blizny na szyi też są mapą drogową, prawda? Wyznaczają miejsca, o których lepiej nie pamiętać.

Zanurza głowę w wodzie, co wzmacnia dźwięki z kina. „Umrzeć za Kemosza — woła jakaś dziewczyna w filmie — to żyć wiecznie!” Elisa nie ma pojęcia, czy dobrze usłyszała. Przesuwa między dłońmi resztkę mydła, rozkoszuje się uczuciem, że jest bardziej mokra od wody, tak śliska, że mogłaby mknąć przez wodę jak ryba. Naciskają na nią obrazy z jej przyjemnego snu,

ciężkie jak ciało mężczyzny. Jest to niespodziewanie obezwładniająco erotyczne; Elisa zjeżdża namydlonymi palcami między uda. Bywała na randkach, uprawiała seks i tak dalej, ale to było lata temu. Jeśli mężczyźni spotykają niemą kobietę, to ją wykorzystują. Nigdy nie była na randce z mężczyzną, który naprawdę by próbował się z nią porozumieć. Po prostu sięgali i brali, jakby Elisa, pozbawiona głosu jak zwierzę, rzeczywiście była zwierzęciem. Tak jest lepiej. Mężczyzna ze snu, niewyraźny, jest lepszy. Niestety, zaczyna dzwonić minutnik, ten jazgotnik z piekła rodem. Elisa parska zawstydzona, chociaż nikt jej nie widzi, i wstaje, jej kończyny ociekają wodą. Narzuca na siebie szlafrok i człapie do kuchni, cała dygocząc. Wyłącza kuchenkę i rejestruje złą wiadomość: 23.07. Gdzie ona straciła tyle czasu? Zapina pierwszy z brzegu stanik, wkłada pierwszą z brzegu bluzkę, przygląda pierwszą z brzegu spódnicę. W swoim śnie czuła się przebojowo żywa, ale teraz jest bezwładna jak jajka, które studzą się na talerzu. W sypialni też jest lustro, ale Elisa woli nie patrzeć, bo mogłoby się okazać, że garb jest prawdziwy, a ona niewidzialna.

Widząc piętnastometrową łódź w wyznaczonym miejscu, za pomocą nowej zapalniczki Strickland pali instrukcję Hoyta (standardowa procedura operacyjna). Teraz cała instrukcja jest czarna, upstrzona poprawkami, myśli Strickland. Jak wszystko inne w tym kraju, łódź urąga jego standardom wojskowym. Odpadki przybite gwoździami do odpadków. Komin połatany wyklepaną blachą. Opony na nadburciu wyglądają na sflaczałe. Jedynym dawcą cienia jest kawałek płótna rozciągnięty między czterema słupkami. Będzie gorąco. To dobrze. Skwar wypali dręczące myśli o Lainie; o ich chłodnym, czystym domu; o szeptach palm na Florydzie. Wywołała w jego mózgu furie, której wymaga tego rodzaju misja.

Spomiędzy desek pomostu wytryskuje brudna, brązowa woda. Niektórzy członkowie załogi są biali, niektórzy jasnobrązowi, niektórzy czerwonorządowi. Niektórzy są pomalowani i ponakłuwani. Wszyscy ciągną mokre skrzynki po desce, która dramatycznie ugina się pod ich ciężarem. Strickland idzie za nimi i widzi namalowany od sztancy napis „Josefina” na kadłubie. Małe bulaje sugerują prowizoryczny dolny pokład, w którym mieści się tylko kapitan. Samo słowo „kapitan” go drażni. Jedynym kapitanem jest tutaj Hoyt, a Strickland go reprezentuje. Nie ma nastroju na idiotów za sterem, którym się wydaje, że tu rządzą.

Strickland zastaje kapitana, noszącego okulary Meksykanina z siwą brodą, w białej koszuli, białych spodniach i białym słomkowym kapeluszu, na zamaszystym podpisaniu manifestów. Krzyczy „pan Strickland!” i Strickland czuje się tak, jakby go przeniesiono do kreskówki jego syna: „Meester Streekland!”. Nazwiska kapitana nauczył się na pamięć gdzieś nad Haiti: Raúl Romo Zavala Henríquez. Pasuje do niego doskonale, nadmuchane do granic pompatyczności.

— Niech pan popatrzy! *Escoces i puros cubanos*, przyjacielu, wszystkie dla pana. — Henríquez wręcza mu cygaro, przypala swoje i nalewa whisky do dwóch szklanek. Stricklanda nauczono nie pić w pracy, ale pozwala Henríquezowi na jego toast. „*Za la aventura magnífica!*” Piją i Strickland przyznaje w duchu, że poczuł się lepiej. Dobrze jest wszystko, co pozwala choćby na chwilę zapomnieć o ciężącym na wszystkim cieniu generała Hoyta, o tym, jaka przyszłość może czekać Stricklanda, jeśli nie zdoła odpowiednio „zmotywować” Henríqueza. Na czas konsumpcji whisky temperatura jego wnętrza zrównuje się z temperaturą dżungli.

Henríquez to człowiek, który spędza za dużo czasu na wydmuchiowaniu kólek z dymu. Skądinąd idealnych.

— Palić, pić, cieszyć się! Przez długi czas nie zazna pan innych luksusów. To dobrze, że nie przybył pan później, panie Strickland. „Josefina” już się niecierpliwi. Jak Amazonia nie czeka na żadnego mężczyznę.

Stricklandowi nie podoba się wydźwięk tego stwierdzenia. Odstawia szklankę i wbija wzrok w Henríqueza. Kapitan się śmieje i klaszcze w dłonie.

— Absolutna racja. Tacy ludzie jak my, pionierzy Sertão, nie muszą wyrażać podniecenia. *Los brasileños* honorują nas słowem *sertanista*. Fajnie brzmi, *sí*? Pobudza krew?

Henríquez ze wszystkimi nudnym szczegółami relacjonuje swoją wyprawę do jednej z placówek Instituto de Biología Marítima. Twierdzi, że trzymał — we własnych *dos manos!* — wapienne skamieniałości podobno przypominające opisy Deus Brânquia. Naukowcy datują te skamieniałości na okres dewonu, który, wiedział pan o tym, Meester Streekland, jest częścią

epoki paleozoicznej? Właśnie to, peroruje Henriques, przyciąga ludzi takich jak my do Amazonii. Gdzie wciąż kwitnie pierwotne życie. Gdzie człowiek może przekartkować kalendarz do tyłu i dotknąć niedotykalnego.

Strickland czeka ze swoim pytaniem godzinę.

— Zdobył pan mapę?

Henriques wachluje się cygarem i marszczy brwi w stronę iluminatora. Zauważa tam coś, co wywołuje szeroki uśmiech na jego twarzy.

— Widzi pan tatuaże na twarzach? — pyta z władczym gestem. — Kołki w nosach? To nie są tacy Indianie jak wasi Tonto. To są *índios bravos*. Każdy kilometr Amazonii, od Negro-Branco po Xingu, mają we krwi. Pochodzą z czterech różnych plemion. A ja załatwiłem ich na przewodników! To niemożliwe, panie Strickland, żeby nasza ekspedycja się zgubiła.

— Zdobył pan mapę?

Henriques wachluje się kapeluszem.

— Pana Amerykanie przysłali mi pocztą różne odbitki z powielacza. Bardzo dobrze. Nasza *expedição científica* będzie podążała za ich wężykowatymi kreskami tak długo, jak to będzie możliwe. A potem, panie Strickland, pójdziemy piechotą! Zlokalizujemy *vestigios*, pozostałości pierwotnych plemion. Nie wyobraża pan sobie, jak dużo ci ludzie wycierpieli od przemysłu. Dżungla pochłania ich krzyki. My jednak przybywamy w pokoju. Mamy dla nich dary. Jeśli Deus Brânquia istnieje, oni nam powiedzą, gdzie go znaleźć.

Mówiąc językiem generała Hoyta, kapitan jest motywowany. Strickland musi to przyznać. Ale dostrzega również sygnały ostrzegawcze. Strickland trochę się zna na nieoswojonych terytoriach i wie, że plamą człowieka od środka i na zewnątrz. Jeśli ktoś ma o nich jakiegokolwiek pojęcie, to nie ubiera się na białą, do cholery!

Elisa do ostatniej chwili unika zachodniej ściany swojej sypialni, żeby jej widok mógł być dla niej inspirujący. Pokój nie jest duży, więc ściana też nie: dwa i pół metra na dwa i pół metra, każdy centymetr zasłonięty butami kupowanymi przez lata w sklepach z tanim albo używanym obuwem. Lekkie jak piórko damskie caponki w kolorze wiśniowo-ciemnoróżowym. Dwukolorowe customcrafty z czubkami jak ogrodowe szpadle. Satynowe buty w kolorze słomkowym na wysokich obcasach bez palców, jak sterta weselnego szyfonu, który spadł na podłogę. Siedmiocentymetrowe town & countrys, jasnoczerwone: stopy wyglądają w nich jak pokryte warstwami płatków róży. Wreszcie relegowane na obrzeża brudne klapki bez pasków, wsuwane sandały, plastikowe trzewiki i brzydkie buty z nubuku, które mają wartość jedynie nostalgiczną.

Każdy but wisi na maleńkim gwoździку, którego Elisa, jako zwykły najemca, nie miała prawa wbić. Czas działa przeciwko niej, mimo to Elisa poświęca go trochę i starannie wybiera baleriny Daisy z niebieskim skórzanym kwiatem na plastikowym podbiciu, jakby ten wybór był kwestią najwyższej wagi. Bo jest. Baleriny będą jedyną formą buntu, na jaką Elisa poważy się tej i każdej innej nocy. Stopy łączą człowieka z ziemią, ale jeśli ktoś jest biedny, to ani jeden kawałek ziemi nie należy do niego.

Elisa siada na łóżku, by włożyć baleriny. Jak rycerz wciskający dłonie w stalowe rękawice. Machając palcami dla sprawdzenia, czy buty nie są za ciasne, wędruje oczami po stercie starych longplayów. Większość z nich kupiła z drugiej ręki lata temu i prawie wszystkie noszą w sobie wspomnienie radości odcisnięte razem z muzyką w polimerowym plastiku.

The Voice of Frank Sinatra: dzień, w którym pomogła szkolnemu panu lizakowemu uwolnić trzy puchate brązowe pisklęta spod kraty kanalizacji. *One O'Clock Jump* Counta Basiego: dzień, w którym zobaczyła walniętą z całej siły piłkę bejsbolową, rzadką jak kobczyk zwyczajny, która wyskoczyła z Memorial Stadium i odbiła się rykoszetem od hydrantu. *Stardust* Binga Crosby'ego: popołudnie, kiedy ona i Giles obejrżeli Stanwyck i MacMurraya w *Remember the Night* w kinie na dole. Elisa spędziła resztę dnia w łóżku, opuściła igłę gramofonu na Binga i rozmyślała, czy ona też, jak poczciwa złodziejka grana przez Stanwyck, odbywa w tym ciężkim życiu wyrok i czy ktokolwiek, jak MacMurray, będzie na nią czekał w dniu jej wyjścia z więzienia.

Wystarczy: to nie ma sensu. Nikt na nią nie czeka i nigdy nie czekał, a już najmniej zegar do podbijania karty w pracy. Elisa wkłada płaszcz i zabiera z blatu w kuchni talerz z jajkami. Niewątpliwie czuć kakao, kiedy Elisa wychodzi na krótki korytarz zagracony pokrytymi grubą warstwą kurzu puszkami, w których drzemią Bóg wie jakie celuloidowe skarby. Po prawej drugie mieszkanie. Zastukała dwa razy, zanim do niego weszła.

Odpywają w ciągu godziny. Rozkosz, mówią przewodnicy, to pora sucha; nazywa się *verão*. Za to pora deszczowa to tragedia; nikt nie chce powiedzieć Stricklandowi, jak się nazywa. Pokłosem poprzedniej pory deszczowej są *furos*, zalane wodą skrót, które pozwalają szybciej pokonywać zakola rzeki; „Josefina” korzysta z nich przy każdej nadarżającej się okazji. Te cięciwy przekształcają Amazonkę w zwierzę, które skacze, chowa się, rzuca. Henríquez pokrzykuje z radości, mocniej otwiera przepustnicę i zieloną, torfiastą dżunglę wypełnia toksyczny czarny dym. Strickland chwytą za reling, wbija wzrok w wodę. Jest mlecznoczekoladowa z bezową pianką. Wysoka na pięć metrów trawa pampasowa jeży się na brzegach jak grzbiet gigantycznego, wybudzającego się niedźwiedzia.

Henríquez lubi przekazywać deskę rozdzielczą pierwszemu oficerowi, żeby sam mógł dokonać wpisu do dziennika pokładowego. Chwali się, że pisze dla publikacji i sławy. Wszyscy poznają nazwisko wielkiego odkrywcy, Raúla Romo Zavali Henríqueza. Głaszcząc skórę dziennika pokładowego, najprawdopodobniej marząc o nasyconej odpowiednią dawką bufonady fotografii autora. Strickland dusi w sobie nienawiść, niesmak i strach. Wszystkie te uczucia przeszkadzają. Jak również zdradzają nas. Hoyt nauczył go tego w Korei. Po prostu rób swoje. Najkorzystniej jest nie czuć nic.

Najbardziej podstępny zabójcą w dżungli może być jednak monotonia. Dzień po dniu „Josefina” podąża po bezkresnej wstędze wody w wirujących kłębach mgiełki. Pewnego dnia Strickland patrzy do góry i widzi dużego czarnego ptaka, który przypomina rozsmazaną plamę na błękitnie nieba. Sęp. Od tej pory Strickland widzi go codziennie, ptak zatacza leniwie koła, przewidując zgon Stricklanda. Strickland jest dobrze uzbrojony, karabin bojowy Stoner M63 pod pokładem i model 70 Beretta w kaburze. Korci go, żeby zestrzelić ptaka. Sęp to Hoyt, obserwuje go. Sęp to Lainie, żegna się z nim. Strickland nie może się zdecydować.

Pływanie nocą jest zdradliwe, więc łódź zarzuca kotwicę. Zazwyczaj Strickland stoi samotnie na dziobie. Niech załoga szepcze między sobą. Niech *índios bravos* gapią się na niego jak na jakiegoś amerykańskiego potwora. Tego konkretnego wieczoru księżyc jest wielką dziurą wykrojoną w ciele nocy dla ukazania jasnej, świecącej kości. Strickland nie zauważa, że Henríquez podkrađa się do niego.

— Widzi pan ten figlujący róż?

Strickland jest wściekły, nie na kapitana, lecz na siebie. Cóż to za żołnierz, który nie zabezpiecza tyłów? Poza tym dał się złapać na podziwianiu księżycy. Takie rzeczy robią kobiety, na przykład Lainie mogłaby tak patrzeć, poprosiwszy go, żeby potrzymał ją za rękę. Strickland wzrusza ramionami, licząc na to, że Henríquez sobie pójdzie. Tymczasem kapitan pokazuje na coś za pomocą dziennika pokładowego. Strickland patrzy w dal i widzi łukowaty ruch otulony srebrnym rozpryskiem.

— Boto — wyjaśnia Henríquez. — Rzeczny delfin. Jak pan myśli, dwa metry, dwa i pół? Tylko samce są takie różowe. Mamy szczęście, że go zobaczyliśmy. Samiec boto jest wielkim samotnikiem. Lubi własne towarzystwo.

Stricklandowi przychodzi do głowy, że Henríquez sobie z nim pogrywa, naśmiewa się z jego nieprzystępności. Kapitan zdejmuje słomkowy kapelusz i jego siwe włosy połyskują

w księżycowej poświacie.

— Zna pan legendę o boto? Pewnie nie. Więcej was uczą o karabinach i pociskach, co? Wielu tubylców wierzy, że różowy delfin rzeczny jest *encantado*, umie zmieniać kształt. W takie noce jak ta przekształca się w człowieka o urodzie, której nie sposób się oprzeć, i idzie do najbliższej wioski. Można go poznać po kapeluszu, który nosi po to, żeby ukryć nozdrza. W tym przebraniu uwodzi najpiękniejsze kobiety w wiosce i prowadzi je do swojego domu pod dnem rzeki. Zobacz pan, nie będzie wielu kobiet nad rzeką w nocy, tak bardzo się boją, że zostaną porwane przez *encantado*. Ale ja myślę, że ta historia jest pełna nadziei. Czy jakiś podwodny raj nie jest lepszy od życia w biedzie, kazirodztwie i przemocy?

— Zbliża się.

Strickland nie miał zamiaru powiedzieć tego na głos.

— Ach! W takim razie zdecydowanie powinniśmy wrócić do pozostałych. Oni mówią, że jeśli spojrzysz w oczy *encantado*, ześle na ciebie koszmary i w końcu zwariujesz.

Henríquez klepie Stricklanda po ramieniu jak przyjaciel, którym nie jest, i odchodzi, pogwizdując. Strickland klęka przy relingu. Delfin daje nura jak szydełko. Przypuszczalnie wie, co to są łodzie. Przypuszczalnie ma ochotę na resztki ryb. Strickland wyjmując z kabury beretę i celuje w miejsce, gdzie według jego przewidywań powinien pojawić się delfin. Pomyłone bajki nie zasługują na to, żeby żyć. Twarda rzeczywistość, tego szuka Hoyt i to Strickland musi znaleźć, jeżeli chce się stąd wydostać żywy. Kształt delfina majaczy pod wodą. Strickland czeka. Chce spojrzeć mu w oczy. To on będzie zsyłał na innych koszmary. To on doprowadzi dżunglę do oblędu.

W drugim mieszkaniu wita ją radosna horda: rozpromienione gospodynie domowe, uśmiechający się kpiąco mężowie, rozentuzjasmowane dzieci, butni nastolatkwie. Nie są jednak bardziej realni niż role odgrywane w kinie Arcade. To postacie z reklam i chociaż oryginalne obrazy namalowano z niezwykłą sprawnością warsztatową, żaden z nich nie wisi na ścianie. „Łatwo usuwalne wodoodporne rżęsy” zasłaniają szparę, przez którą w przeciwnym razie przedostawałoby się do środka zimne powietrze. „Puder soft-glo” blokuje drzwi w pozycji otwartej. „Pończosnicze udreki dziewięciu kobiet na dziesięć” przebranżowiono na stół, na którym stoją puszki z farbami do wykonywania bieżącego dzieła. Ten brak dumy przygnębia Elisę, ale żaden z pięciu kotów nie zgodziłby się z nią w tej kwestii. Napięte płótna grają rolę znakomitych trampolin, na których koty czyhają na myszy.

Jedna kotka ociera wąsy o peruczkę, obraca ją na ludzkiej czaszce, która z powodów, jakich Elisa nie potrafi sobie przypomnieć, nazywa się Andrzej. Artysta, Giles Gunderson, syczy i kotka odskakuje, miaucząc o zemście za pomocą kosza na śmieci. Giles opiera się o sztalugę i mruży oczy za ochlapanymi farbą okularami w szybkretowej oprawie. Drugie okulary spoczywają na jego przerośniętych brwiach, a trzecie królują na łysym czubku głowy.

Elisa staje na palcach, aby spojrzeć mu przez ramię na obraz: rodzina odciętych od ciała głów unosi się nad kopułą z czerwonej żelatyny, dwójka dzieci z rozdziawionymi paszczami jak u głodnych małpiątek, ojciec z dumą szczypie się w podbródek, matka patrzy zadowolona na swoją rapsodyczną trzódkę. Giles zмага się z ustami ojca; Elisa wie, że Giles ma obsesję na punkcie męskiej mimiki. Elisa wyciąga szyję i widzi, że Giles układa własne usta w uśmiech, który próbuje namalować. Jest to tak ujmujące, że Elisa nie potrafi się oprzeć: całuje staruszkę w policzek.

Giles podnosi wzrok zaskoczony i rechocze.

— Nie słyszałem, jak wchodziłaś! Która godzina? Syreny cię obudziły? Szykuj się, najdroższa, na nowe wyżyny patosu. W radiu mówią, że płonie fabryka czekolady. Czy może być coś straszniejszego? Założę się, że wszystkie dzieci wiercą się przez sen.

Giles uśmiecha się pod starannie przyszyronym cienkim wąsikiem i unosi dwa pędzle, jeden czerwony, drugi zielony.

— Tragedia i rozkosz — mówi — ręka w rękę.

Za jego plecami stojący na wózku kelnerskim czarno-biały telewizor wielkości pudełka po butach wytrząskuje z siebie nocny film. Bojangles stepuje do tyłu po schodach. Elisa wie, że to poprawi nastrój jej przyjacielowi. Szybko, zanim Bojangles będzie musiał zwolnić tempo ze względu na Shirley Temple, dwoma palcami wykonuje znak „popatrz”.

Giles patrzy i klaszcze w dłonie, mieszając czerwoną farbę z zieloną. Niesamowicie, co ten Bojangles wyprawia, toteż Elisa czuje się zawstydzona, że dochodzi do głosu jej ego: ona lepiej potrafiłaby dotrzymać mu kroku niż Shirley Temple, gdyby tylko świat, w którym się urodziła, był inaczej urządzone. Zawsze chciała tańczyć. Stąd te wszystkie buty: potencjalna energia, która czeka na wykorzystanie. Elisa mruży oczy w stronę telewizora i odlicza takty, nie zważając na konkurencyjną muzykę z kina, a następnie zaczyna stepować do rytmu z Bojanglesem. Idzie jej nieźle — za każdym razem, kiedy Bojangles kopie pionową ściankę stopnia, Elisa kopie

najbliższy obiekt, stół Gilesa, co budzi w nim śmiech.

— Wiesz, kto inny potrafił zestepować ze schodów? James Cagney! Oglądałaś *Yankee Doodle Dandy*? No to musimy obejrzeć. Zejście Cagneya ze schodów warte jest wszystkie pieniądze. Potem zaczyna wywijać nogami, jakby mu się dupa paliła. Kompletna improwizacja, no i jakie niebezpieczne! Ale taka jest prawdziwa sztuka, moja droga, niebezpieczna.

Elisa podsuwa mu talerz z jajkami i pisze w powietrzu: „Jedz, proszę”. Giles uśmiecha się smutno i bierze od niej talerz.

— Bez ciebie byłbym chyba głodującym artystą w najmniej przenośnym sensie tego słowa. Obudź mnie, kiedy wrócisz do domu, dobrze? Ja stawiam: śniadanie dla mnie, kolację dla ciebie.

Elisa kiwa głową, ale z surową miną pokazuje na chowane w ścianie łóżko ustawione w pozycji pionowej.

— Kiedy lepkie foremki po owocach wołają do Gilesa Gundersona, on odpowiada na ten zew! A potem, obiecuję: odpłynę do krainy snów.

Obstukuje skorupkę jajka o „Pończosznicze udreki dziewięciu kobiet na dziesięć” i przesuwa pierwszą parę okularów nad dwie pozostałe. Na jego twarz powraca uśmiech, który próbuje namalować, ale jest teraz trochę większy, co cieszy Elisę. Dopiero dudniące fanfary ostatniej sceny filmu na dole pobudzają ją do działania. Wie, co się za chwilę stanie: słowo „koniec” materializuje się na ekranie, przewija się lista aktorów, zapalają się światła i nie ma już możliwości dalej ukrywać tego, kim naprawdę jesteś.

Tubylcy to mutanci, skwar ich nie spowalnia. Dźwigają, wspinają się, wyrąbują. Strickland w życiu nie widział tyłu maczet. Oni je nazywają *falcóns*. Nazywajcie je sobie, jak chcecie, ja wolę mój M63. Wyprawa w głąb łądu zaczyna się w przesiece wyciętej w lesie deszczowym przez jakiegoś zapomnianego bohatera. Za 1100 godzin przesiekę zaduszą pnącza, rozpleniłone filodendrony. No dobra — nie będzie torował sobie drogi przez dżunglę za pomocą karabinu. Bierze do ręki maczetę.

Strickland uważa się za silnego człowieka, ale po południu jego mięśnie są jak z galarety. Dżungla, podobnie jak sęp, wyczuwa słabość. Pnącza zrywają kapelusze z głów. Najeżone szpikulcami bambusy dżgają wyciągnięte kończyny. Osy z żądlami długości palca kłębią się nad papierowatymi gniazdami, czekając na powód, by rzucić się na kogoś całą chmarą, i wszystkich, którzy przemykają obok na palcach, przechodzi dreszcz ulgi. Jeden z mężczyzn opiera się o drzewo. Kora chrzęści. Bo to nie jest kora. Drzewo szczelnie obsiadły termity i teraz włożą temu człowiekowi do rękawa, chcąc się tam zagnieździć. Przewodnicy nie mają map, lecz ciągle wskazują kierunek.

Mijają tygodnie. Może miesiące. Noce są gorsze od dni. Wieczorem wędrowcy zdejmują spodnie ciężkie jak kamień od zaschniętego błota, wylewają z butów całe litry potu i kładą się w hamakach pod moskitierami bezsilni jak niemowlęta, słuchając skrzeczenia żab i malarycznego bzyczenia komarów. Jak można czuć się klaustrofobicznie pośród tak ogromnej przestrzeni? Strickland widzi wszędzie twarz Hoyta, w owocnikach huby, we wzorach na skorupie żółwia słoniowego, w podniebnych formacjach modroar hiacyntowych. Nigdzie natomiast nie widzi Lainie. Ledwo ją wyczuwa, jak puls konającego. Bardzo go to niepokoi, ale rzeczy, które go niepokoją, jest od groma, w każdej sekundzie.

Po wielu dniach wędrowki docierają do wioski *vestigios*. Niewielka polana. Kryte strzechą *malocas*. Zwierzęce skóry rozpięte między drzewami. Henríquez uwija się jak w ukropie, mówi, żeby pochowali maczety. Strickland wykonuje polecenie, ale tylko po to, żeby móc lepiej chwycić za karabin. Być uzbrojonym: czy nie na tym polega jego zadanie? Po paru minutach z ciemności jednej z *malocas* wyłaniają się trzy twarze. Strickland dygocze, co w tym upale jest reakcją dość nietypową. W ślad za twarzami idą ciała i przemierzają polanę jak pająki.

Stricklandowi robi się niedobrze na ich widok. Jego karabin się szarpie. Skasować ich. Ta myśl go szokuje. To jest myśl Hoyta. Ale pociągająca, prawda? Wykonać misję, jak najszybciej. Wrócić do domu i sprawdzić, czy jest tym samym człowiekiem, który wyjechał z Orlando. Podczas gdy Henríquez ostrożnie rozpakowuje dary w postaci garnków, a jeden z przewodników próbuje ustalić, czy znają jakieś wspólne narzecze, kilkunastu kolejnych *vestigios* przenika z półmroku i gapi się na jego broń, jego maczetę, jego upiornie białą karnację. Strickland czuje się jak obdzierany ze skóry i nie znajduje przyjemności w późniejszym świętowaniu. Ugotowane na ognisku kwaśne jajka dzikiego ptactwa. Jakiś durny rytuał smarowania farbą szyi i twarzy załogi. Strickland przeczekuje to wszystko. Henríquez w końcu dojdzie do zapytania ich o Deus Brânquia. Lepiej byłoby, żeby się szybko do tego zabrał. Istnieje jakiś limit liczby ukąszeń owadów, zanim Strickland zacznie załatwiać sprawy po swojemu.

Kiedy Henríquez odchodzi od ogniska, żeby rozwiesić swój hamak, Strickland zastępuje mu

drogę.

— Poddaleś się.

— Są inni *vestigios*. Znajdziemy ich.

— Po tylu miesiącach zamierzasz po prostu odejść.

— Oni uważają, że mówienie o Deus Brânquia odbiera mu moc.

— To może być znak, że Deus Brânquia jest blisko i z tego powodu go chronią.

— O, uwierzył pan w niego?

— Nie ma znaczenia, czy w niego wierzę. Jestem tutaj po to, żeby go znaleźć i wrócić do domu.

— Ktoś chroni kogoś, to nie jest takie proste. Dżungla jest bardziej, jak to się mówi? Wzajemna? Współistniejąca? Ci ludzie wierzą, że wszystkie naturalne rzeczy są ze sobą powiązane. Wprowadzić do tego intruzów takich jak my, to wywołać pożar. Wszystko płonie. — Oczy Henríqueza ześlizgują się na M63. — Bardzo mocno ściska pan swój karabin, panie Strickland.

— Mam rodzinę. Chcesz tutaj spędzić cały rok? Dwa lata? Myślisz, że twoja załoga zdzierży tak długo?

Strickland uruchamia swoje spojrzenie. Henríquez nie jest już wystarczająco silny, żeby je wytrzymać. Pod pobrudzonym białym strojem został z niego szkielet. Wysypka ukąszeń kleszczy na jego szyi ropieje i krwawi od drapania. Strickland widział, jak Henríquez zszedł ze statku, żeby nie wymiotować na oczach swoich ludzi. Mocno ściska dziennik pokładowy, żeby powstrzymać drżenie rąk. Strickland ma ochotę walnąć tą bezwartościową stertą papieru o ziemię i nafaszerować ją ołowiem. Może podtrzymałoby to motywację kapitana.

— Młodzi tubylcy — wzdycha Henríquez. — Trzeba ich zgromadzić, kiedy starszyzna pójdzie spać. Mamy ostrza siekier i kamienie szlifierskie na wymianę. Może zechcą mówić.

No i mówią. Ogarnięci żądzą łupu nastolatkwowie opisują Deus Brânquia tak szczegółowo, że Strickland — jak stwierdza ze zdziwieniem — jest przekonany. W odróżnieniu od tej historii z różowym delfinem rzeczonym to nie jest legenda. Deus Brânquia to żywy organizm, jakiś człowiek-ryba, który pływa, je i oddycha. Chłopcy, oczarowani mapą Henríqueza, rozpoznają region dopływu Tapajós i stukają w niego. Sezonowe migracje Deus Brânquia sięgają wielu pokoleń wstecz, tłumaczy przewodnik. Strickland mówi, że to nie ma sensu. Jest więcej niż jeden Deus Brânquia? Przewodnik przekazuje to pytanie. Dawniej było ich więcej, teraz jest tylko jeden. Któryś z chłopców zaczyna płakać. Strickland interpretuje to następująco: martwią się, że ich wściekłość naraziła ich skrzelowego boga na niebezpieczeństwo. No bo naraziła.

Naprzeciwko przystanku autobusowego Elisy są dwa sklepy. Elisa patrzyła na nie tysiące razy; w porze otwarcia nie odwiedziła ich ani razu, czując, że byłoby to zniszczenie marzenia. Pierwszy nazywa się Kosciuszko Electronics. Dzisiejsza oferta to „Prostokątny kolorowy telewizor z wielkim ekranem i orzechowym wykończeniem”. Kilka modeli, z nogami jak anteny sputnika, nadaje ostatnie obrazy na tę noc. Amerykańska flaga ustępuje miejsca ekranowi „pieczęć dobrych praktyk”, po czym wszystkie telewizory gasną, co potwierdza, że Elisa jest spóźniona. Modli się o przyjazd autobusu. Do kogo modliła się ta dziewczyna w dzisiejszym filmie? Do Kemosza? Może Kemosz działa szybciej niż Bóg.

Elisa przenosi wzrok na drugi sklep, Julia's Fine Shoes. Nie wie, kto to jest Julia, ale dzisiaj tak bardzo jej zazdrościła, że oczy swędziały ją od łez — ta odważna, niezależna kobieta ma swoją firmę, na pewno jest piękna, ma sprężyste włosy i chodzi sprężystym krokiem, do tego stopnia wierzy w wartość swojego sklepu dla dzielnicy Fells Point, że zamiast gasić na noc wszystkie światła, zostawia jeden reflektor włączony i skierowany na parę butów ustawionych na kolumience z kości słoniowej.

Ten gambit działa. I to jak! W te noce, kiedy Elisa nie jest spóźniona, przechodzi na drugą stronę ulicy i opiera czoło o szybę, żeby lepiej się przyjrzeć. Te buty nie pasują do Baltimore — w odczuciu Elisy pasują tylko do paryskich wybiegów. Jej rozmiar, z kanciastymi czubkami i tak płaskie, że ześlizgiwałyby się ze stóp, gdyby nie nachylone ku środkowi podeszwy. Przypominają kopyta w najlepszym sensie tego skojarzenia: kopyta jednorożców, nimf, sylfów. Każdy centymetr lamy jest inkrustowany migoczącym srebrem, a wkładki błyszczą jak lustra — Elisa naprawdę może się w nich przejrzeć. Te buty pobudzają w niej uczucia, o których sądziła, że zostały jej dosłownie wybite z głowy w sierocińcu. Że mogłaby chodzić w eleganckie miejsca. Że mogłaby być kimś. Że wszystko jest możliwe.

Kemosz odpowiada na jej wezwanie: ze wzgórza z sykiem zjeżdża autobus. Kierowca jak zwykle jest za stary, za bardzo zmęczony, za bardzo apatyczny, żeby jechać bezpiecznie. Autobus ostro skręca w prawo w Eastern, potem znowu ostro w prawo w Broadway, obok pulsujących światel wozu strażackiego i krwotoku roztopiającej się fabryki czekolady. Ta płynna, pyszna destrukcja to przynajmniej jest jakieś życie i Elisa wykręca głowę do tyłu, aby popatrzeć i przez chwilę ma poczucie, że nie przedziera się przez zbliznowacenia cywilizacji, tylko zagłębia w jakąś diabelską, pulsującą życiem dżunglę.

Wszystko to kurczy się w oddali na siarkowo oświetlonym dojeździe do Ośrodka Badań Kosmicznych Occam. Elisa przyciska zimną twarz do jeszcze zimniejszego okna, aby odczytać godzinę z podświetlonego zegara na tablicy informacyjnej: 23.55. Podczas zeskoku z autobusu jej buty dotykają tylko jednego stopnia. Przejście z pracowitej zmiany popołudniowej na nocną odbywa się chaotycznie, co pozwala Elisie działać szybko: biegnie z autobusu w stronę wejścia dla obsługi. W bezlitosnym świetle zewnętrznych reflektorów — każde światło w Occam jest bezlitosne — jej buty wyglądają jak rozmazane niebieskie plamy.

Teraz już tylko jedno piętro windą na dół, ale niektóre laboratoria bardziej przypominają hangary, przez co podróż zajmuje Elisie pół minuty. Kabina otwiera się na wielki dwupoziomowy obszar, gdzie podpory kanalizują personel zwężającym się przejściem. Trzy

metry nad podłogą w kabinie obserwacyjnej z pleksiglasu stoi David Fleming. Urodził się z podkładką pod kartkę zamiast lewej ręki i teraz opuszcza ją, aby zlustrować wzrokiem swoich podwładnych. To Fleming kilkanaście lat temu przeprowadził z nią rozmowę kwalifikacyjną i nadal tutaj jest, dzięki swojej czujności hieny rok po roku wspina się coraz wyżej po drabinie hierarchii. Teraz zarządza całym budynkiem, ale wciąż nie potrafi się powstrzymać od komenderowania pracownikami najniższego szczebla. W tym samym okresie Elisa dotarła tam, gdzie docierają woźni, czyli nigdzie.

Elisa przeklina swoje baleriny. Wyróżniają się w tłumie, ale ten kij ma dwa końce. Inni nocni zmianowicze przyszli wcześniej: Antonio, Duane, Lucille, Yolanda i Zelda, pierwsza trójka znika już w głębi korytarza, Zelda sięga po swoją kartę do podbicia, jakby wybierała pozycję z jadłospisu. Karty każdego dnia trafiają do tych samych przegródek. Zelda zwleka, aby pomóc Elisie, a kiedy przyjdzie kolej na Yolandę, ona też nie będzie się spieszyła, co pozwoli Elisie zarobić jakże ważną minutę.

To nie powinno być aż takie brutalne. Zelda jest czarna i gruba. Yolanda jest z Meksyku i pospolita. Antonio jest zezowatym potomkiem emigrantów z Dominikany. Duane jest mieszanej rasy i nie ma zębów. Lucille jest albinoską. Elisa jest niema. Dla Fleminga wszyscy są tacy sami: nie nadają się do innej pracy i dlatego łatwo im zaufać. Elisa czuje się upokorzona myślą, że Fleming może mieć rację. Gdyby potrafiła mówić, może stanęłaby na ławce w szatni i podburzyła innych pracowników przemówieniem o tym, że powinni się nawzajem bronić. Ale Occam nie jest tak urządzony. Na tyle, na ile Elisa potrafi to ocenić, cała Ameryka nie jest tak urządzona.

Nie licząc Zeldy, która zawsze miała opiekuńczy stosunek do Elisy. Zelda szuka w torebce okularów, których, jak wszyscy wiedzą, nie nosi, i macha ręką na ponaglenia Yolandy. Elisa postanawia, że musi dorównać Zeldzie pod względem odwagi. Myśli o Bojanglesie i rzuca się do sprintu, przemyka między ziewającymi, płąsa między zapinającymi płaszcz. Fleming zauważy jej pędzące niebieskie buty i jej zachowanie zostanie odnotowane w papierach. W Occam każdy krok szybszy od zmęczonego człapania budzi podejrzliwość. Jednak na te kilka sekund, których potrzebuje Elisa, aby dotrzeć do Zeldy, jej taniec wyzwala ją od tego wszystkiego. Elisa wznosi się i szybuje, jakby do tej pory nie wyszła z tej cudownej gorącej kąpieli.

Na południowy zachód od Santarém kończy się żywność. Załoga jest słaba, wygłodzona, kręci im się w głowach. Zewsząd otaczają ich radosne, trajkoczące małpy, które z nich szydzą. Strickland zaczyna strzelać. Małpy spadają jak owoce agawy, a ludzie sapią ze zgrozą. Stricklanda to irytuje. Z uniesioną maczetą rusza w stronę postrzelonej małpy. Otulone miękkim futrem zwierzę zwija się w smętną kulkę i przyciska dłonie do szlochającej twarzy. Jest jak dziecko. Jak Timmy albo Tammy. Strickland czuje się tak, jakby masakrował dzieci. W jego głowie pojawiają się migawki z Korei. Dzieci, kobiety. Czy takim stał się człowiekiem? Małpy, które przeżyły, wrzeszczą z rozpaczą i dźwięk ten przeszywa mu czaszkę. Strickland odwraca się i atakuje maczetą drzewo, które zaczyna pluć białym drewnem.

Inni ludzie gromadzą się wokół zwłok zwierzęcia i wrzucają je do wrzącej wody. Nie słyszą wrzasku małp? Strickland zatyka sobie uszy mchem, ale to nie pomaga. Wrzask, wrzask. Na kolację są gumowate szkliste kulki małpiej chrząstki. Strickland nie zasługuje na to, żeby je zjeść, ale je. Wrzask, wrzask.

Wytropiła ich pora deszczowa czy jak ją ci kretyni nazywają. Oberwanie chmury jest gorące jak rozbryzgujące się flaki. Henríquez przestaje próbować ścierać parę z okularów. Chodzi ślepy. On jest ślepy, myśli Strickland. Ślepo wierzy, że może stać na czele tej ekspedycji. Henríquez, który nigdy nie walczył na wojnie. Henríquez, który nie słyszy wrzasków małp. Te wrzaski, uświadamia sobie Strickland, są dokładnie takie same jak wrzaski wieśniaków w Korei. Okropne, ale mówią Stricklandowi, co ma robić.

Nie ma potrzeby podburzać ludzi do zorganizowania zamachu stanu. Zmęczenie materiału samo do tego doprowadzi. Jad skorpeny, pobudzonej zacinającym deszczem, dostaje się do cewki moczowej sikającego do rzeki bosmana. Trzech ludzi zabiera go do najbliższego miasta i słuch po nim ginie. Następnego dnia peruwiański inżynier budzi się obsiany fioletoowymi wrzodami. Nietoperz wampir. Inżynier i jego przyjaciel są zabobonni. Znikają. Tydzień później jednego z *índios bravos*, który ma podartą moskitierę, gęsto oblażą mrówki *tracuá* i zagryzają na śmierć. I wreszcie meksykański bosman, najlepszy kumpel Henríqueza, zostaje ukąszony przez jasnozieloną żmiję *papagaio*. Po paru sekundach wszystkimi porami jego skóry tryska krew. Nie ma dla niego nadziei. Generał Hoyt nauczył Stricklanda, w którym miejscu należy przyłożyć berettę — u podstawy czaszki — żeby śmierć nastąpiła szybko.

Zostało ich tylko pięciu. Z przewodnikami siedmiu. Henríquez chowa się pod pokładem, wypełnia dziennik pokładowy transkrypcjami swoich dziennych koszmarów. Jego słomkowy kapelus, niegdyś taki sprężysty, zapadł się w sobie i pełni teraz rolę nocnika. Strickland odwiedza kapitana i śmieje się pod nosem, słuchając jego bełkotu.

— Jesteś zmotywowany? — pyta go Strickland. — Jesteś zmotywowany?

Nikt nie pyta Richarda Stricklanda o jego motywację. Do tej pory nie znał odpowiedzi na to pytanie. Na początku miał w dupie Deus Brânquia, to na pewno. Teraz pragnie go najbardziej ze wszystkiego w świecie. Deus Brânquia coś z nim zrobił, zmienił go, jak podejrzewa Strickland, w sposób nieodwracalny. Strickland go złapie wraz niedobitkami załogi „Josefina” — oni również są teraz *vestigios*. Potem dom, nareszcie dom, cokolwiek jest on na tym etapie wart. Strickland masturbuje się w ulewnym deszczu, nad gniazdem świeżo wyklutych węży,

wyobrażając sobie bezgłośny, wolny od wszelkiej pikanterii seks z Lainie. Dwa suche ciała przesuwają się jak kłody drewna na bezkresnej sawannie napiętej białej pościeli. Strickland tam wróci. Na pewno wróci. Zrobi to, co każą mu małpy, a potem będzie po wszystkim.

Dawniej Elisa zmieniała w szatni swoje eleganckie buty na adidasy. Robiła to jednak z poczuciem, że wykonuje egzekucję, że jej ręka jest katowskim toporem. Nie można sprzątać w butach na obcasach — tak brzmiała jedna z maksym Fleminga w dniu, kiedy ją zatrudnił. Nie możemy sobie pozwolić na poślizgnięcia i upadki. Zakazane są także czarne podeszwy, ponieważ w niektórych miejscach mamy na podłodze naukowe oznaczenia i nie wolno ich zacierać. Fleming sypie takimi frazesami jak z rękawa. Ostatnimi czasy przebywa jednak myślami gdzie indziej i dyskomfort związany z wysokimi obcasami stał się dla Elisy komfortem — dzięki nim jest odrobinę bardziej rozbudzona, otwarta na zewnętrzne bodźce.

Łazienka z od dawna zepsutymi prysznicami służy jako schowek dla woźnych. Zeldą bierze wózek ten co zawsze, a Elisa swój, po czym ściągają detergenty z półek, na których mają obowiązek utrzymywać trzymiesięczny zapas. Osiem wózków, plus drugie osiem na wiadra mopów, dudni długimi, białymi korytarzami Occam jak powolne pociągi donikąd.

Woźni muszą cały czas zachowywać się profesjonalnie. Część ludzi w białych fartuchach zostaje w laboratoriach do drugiej albo trzeciej w nocy. Naukowcy z Occam to dziwny podgatunek samca *homo sapiens*, tak pochłonięty swoją pracą, że potrafi zapomnieć o bożym świecie. Fleming uczy swoich woźnych, żeby natychmiast opuszczali laboratorium, w którym ktoś przebywa i takie sytuacje okazjonalnie się zdarzają. Kiedy dwóch naukowców w końcu wychodzi razem, z niedowierzaniem patrzą na zegarki, śmieją się, że żony urządzią im piekło, i wzdychają, że woleliby przenocować u kochanek.

Nie cenzurują swoich wypowiedzi, mijając Elisę i Zeldę. Woźni są tak szkoleni, żeby zauważać tylko brud i śmieci, natomiast naukowcy są tak szkoleni, żeby zauważać tylko skutki fachowości tych pierwszych. Dawno temu Elisa snuła fantazje o romansie w miejscu pracy, o spotkaniu tego mężczyzny, który tańczył w ciemnych rewirach jej snów. Rojenia głupiej dzierlatki. Taka jest już dola woźnej, pokojówki czy innej służącej: przemieszczasz się niewidoczna jak ryba pod wodą.

Sęp już nie krąży nad ich głowami. Strickland kazał jednemu z pozostałych *índios bravos* go złapać. Nie ma pojęcia, jak ten człowiek to zrobił. I w gruncie rzeczy go to nie obchodzi. Wbija kołek w pokład rufowy „Josefina”, przywiązuje do niego ptaka i na jego oczach je kolację złożoną z suszonych piranii. Piranie mają mnóstwo ości. Strickland je wypluwa, ale tak daleko od sępa, żeby nie mógł ich dosięgnąć. Fioletowa twarz, czerwony dziób, szyja jak fagot. Ptak pokazuje, jaką ma rozpiętość skrzydeł, ale może tylko trzepotać.

— Będę patrzył, jak zdychasz z głodu — mówi Strickland. — Zobaczmy, jak ci się to spodoba.

Powrót do dżungli. Henríquez zostaje pilnować łodzi. Teraz wszystko odbywa się na warunkach Stricklanda. Żadnych darów. Mnóstwo broni palnej. Strickland tak zawzięcie ściga tubylców, jakby rozkazy wydawał sam generał Hoyt. Uczy swoich ludzi wojskowych sygnałów dłonią. Szybko je sobie przyswajają. Teraz zacieśniają krąg wokół jakiejś wioski, piękna synchronizacja. Strickland zabija pierwszego napotkanego mieszkańca wioski strzałem z pistoletu, żeby wysłać czytelny komunikat. *Vestigios* wpadają w błoto i natychmiast puszczejają farbę. Kiedy ostatni raz widziano Deus Brânquia, jaka była jego dokładna marszruta.

Tłumacz mówi Stricklandowi, że mieszkańcy wioski uważają go za ucieleśnienie gringo — *corta cabeza*, obcinacza głów. Stricklandowi się to podoba. Nie jakiś zagraniczny Pizarro czy Soto, tylko coś zrodzonego przez samą dżunglę. Jego włosy tłuste jak u świnki brazylijskiej, zęby to kły trwoźnicy, a kończyny to anakondy. Jeśli Deus Brânquia jest bóstwem skrzeli, to Strickland jest bóstwem dżungli. Nawet nie słyszy wydawanego przez siebie ostatniego rozkazu, bo oprócz wrzasku małą właściwie gównem słyszy. Ale załoga nie ma takich problemów. Obcina każdą głowę w wiosce.

Strickland czuje zapach Deus Brânquia. Coś jak mleczny szlam na dnio rzeki. Owoc marakui. Skryzalizowana solanka. Gdyby tylko nie musiał spać. Dlaczego *índios bravos* nigdy się nie męczą? W świetle księżyca podkłada się do nich i jest świadkiem jakiegoś rytuału. Wiórki kory zmielone do postaci ziarnistej pasty na dużym liściu. Jeden z nich klęka i rozwiera sobie powieki. Drugi zwiija liść w rurkę i wyciska z niej jedną kroplę substancji do każdej gałki ocznej kolegi. Klęczący wali pięścią w ziemię. Stricklanda przyciąga to cierpienie. Podchodzi, klęka i rozszerza powieki. Mężczyzna z rurką waha się. Mówi, że to *buchité* i ruchem dłoni zaleca ostrożność. Strickland nie zmienia decyzji. W końcu mężczyzna wyciska z liścia tajemniczą substancję. Globulka białego *buchité* wypełnia świat.

Ból jest nie do opisania. Strickland rzuca się, wierzga, skowyczy. Ale nie umiera. Pieczenie mija. Strickland siada. Wyciera łzy. Mruży oczy i patrzy na nieruchome twarze przewodników. Widzi ich. A nawet więcej: potrafi zajrzeć w głąb nich. Do krętych kanalików zmarszczek. Daleko w las ich włosów. Wschodzi słońce i Strickland odkrywa Amazonkę o nieskończonej głębi i barwności. Jego ciało kipi żywotnością. Jego nogi są palmami *cashapona*, a ścięga korzeniami, które działają jak pięćdziesiąt dodatkowych stóp. Zdejmuje ubranie. Nie potrzebuje go. Deszcz odbija się od jego nagiej skóry jak od skały. Skrzelowe bóstwo wie, że nie powstrzyma bóstwa dżungli, które wyciska z „Josefina” tyle mocy, że kawałki kadłuba odpadają do rzeki. Deus Brânquia cofa się do bagnistej odnogi rzeki. Tam łódź się psuje. Pompa żezowa

jest zatkana i kabina kapitana wypełnia się wodą, ale Henríquez dalej nie chce się ruszyć. Boliwijczyk wyjmując narzędzia. Brazylijczyk bierze miotacz harpunów, akwalung i sieć. Ekwadorczyk wytacza beczkę rotenonu, pestycydu z bulw kłębianu, który według niego zmusi Deus Brânquia do wypłynięcia na powierzchnię. „Dobra”, mówi Strickland. Staje na dziobie z wyciągniętymi ramionami, naelektryzowany od deszczu, woła do Deus Brânquia. Nie wie, jak długo to trwa. Może kilka dni. Może kilka tygodni.

Deus Brânquia nareszcie wyłania się z płycizny, krwawe słońce rzeźbiące Serengeti, pradawne oko zaćmienia, ocean otwierający czaszkę nowego świata, nienasycony lodowiec, gejzer morskiej piany, ugryzienie bakterii, jednokomórkowa kipiela, płwocina gatunku, rzeki jako naczynia krwionośne płynące do serca, twarda erekcja góry, rozkołysane uda słonecznika, umartwienie z szarym futrem, ropiejąca różowa rana, pepowina wijąca się z powrotem do genezy. Deus Brânquia jest tym wszystkim i nie tylko.

Índios bravos padają na kolana, błagają o wybaczenie, podrzynają sobie gardła maczetami. Dzikie, niekontrolowane piękno tej istoty — Strickland też się rozpryskuje. Traci pęcherz moczowy, jelita, żołądek. Wersety biblijne cytowane przez pastora Lainie rozbrzmiewają monotonnie z zapomnianego, idealnie wysprzątanego czyścica. To, co było, jest tym, co będzie. Nie ma niczego nowego pod słońcem. To stulecie jest mrugnięciem oka. Wszyscy są martwi. Żyje tylko bóstwo skrzeli i bóstwo dżungli.

Zapaść Stricklanda jest krótka i zdarza się tylko raz. Strickland spróbuje o niej zapomnieć. Później, kiedy na pokładzie przechylonej pod kątem czterdziestu stopni i częściowo zatopionej „Josefina” dociera do miasta Belém, ma na sobie ubranie tłumacza. Ten człowiek wiedział zbyt dużo i trzeba było się go pozbyć. Henríquez stanął z powrotem na nogi i nie opuszcza swojego królewskiego posterunku. Mruga pośród wiosennych wyziewów, a grdyka mu podskakuje podczas próby przełknięcia fantazji, którymi karmi go Strickland. Henríquez był dobrym kapitanem. Henríquez złapał to stworzenie. Wszystko poszło zgodnie z oczekiwaniami. Henríquez zapisał wszystko w dzienniku pokładowym, ale nie może go znaleźć. Strickland nakarmił nim sępa, patrzył, jak się dławi, pada i zdycha.

Strickland potwierdza wszystko w rozmowie telefonicznej z generałem Hoytem. Potrafi przetrwać tę rozmowę tylko dzięki twardym zielonym cukierkom. Nazwa rodzajowa, smak syntetyczny, ale boleśnie stężony, prawie woltaiczny. Strickland ogołocił z nich każdy targ w Belém, zdobył prawie sto opakowań, zanim zadzwonił. Cukierki głośno chrupią. Mimo tysięcy kilometrów głos Hoyta jest jeszcze głośniejszy. Tak jakby generał cały czas był w dżungli, obserwował Stricklanda zza wielkich liści albo welonów komarów.

Nic bardziej nie martwi Stricklanda niż okłamywanie generała Hoyta, ale szczegóły pojmania Deus Brânquia, które usiłuje zrekonstruować z pamięci, nie mają sensu. Wydaje mu się, że w pewnym momencie wiano do rzeki rotenon. Przypomina sobie, że woda zaczęła bulgotać. Pamięta M63, kolba była jak blok lodu przyłożony do jego rozgorączkowanego ramienia. Wszystko inne jest snem. Baletowe mknięcie tego stworzenia przez głębinę. Jego ukryta jaskinia. Jak czekał tam na Stricklanda. Jak się nie bronił. Jak wrzaski małp odbijały się od skał. Jak zanim Strickland wycelował harpun, stworzenie wykonało w jego stronę pojednawczy gest. Bóstwo skrzeli, bóstwo dżungli. Mogli być tym samym. Mogli być wolni.



Zaciska powieki, zabija to wspomnienie. Hoyt albo kupuje jego wersję, albo nic go to nie obchodzi. W dłoniach Stricklanda drży nadzieja, trzęsąc słuchawką. Wyślij mnie do domu, modli się. Mimo że dom jest miejscem, którego nie umie już sobie zobrazować. Jednak generał Hoyt nie należy do ludzi, którzy reagują na modlitwy. Każe Stricklandowi doprowadzić misję do końca. Eskortować pozyskany obiekt do Ośrodka Badań Kosmicznych Occam. Zadbać o jego bezpieczeństwo i tajność, kiedy naukowcy będą wykonywali swoje zadanie. Strickland połyka okruchy cukierka, czuje smak krwi, słyszy samego siebie mówiącego „tak jest”. To ostatni etap podróży, nic więcej. Będzie się musiał relokować do Baltimore. Może nie będzie tak źle. Przeniesie rodzinę na północ, będzie siedział za uporządkowanym biurkiem w wysprzątanym, cichym biurze. Strickland wie, że to jest szansa na nowy początek, byle tylko odnalazł drogę powrotną.



**NIEWYKSZTAŁCONE
KOBIECY**

1

— Uduszę go. W zeszłym tygodniu dał słowo, że naprawi ubikację, żeby przestała bulgotać, bo nie mogę przez nią spać, a kiedy wracam do domu, to jest tak, jakby ktoś się załatwiał przez osiem godzin. On mówi, że jestem woźną, więc powinnam sama sobie naprawić. To nie tak, to nie tak. On myśli, że ja marzę o tym, żeby wrócić do domu, ledwo trzymając się na nogach, palce u stóp spuchnięte jak gumowe kulki, i dla zabawy wsadzić ręce do lodowatej wody w zbiorniku spłuczki? Prędeż głowę mu wsadzę do zbiornika.

Zelda nawijała o Brewsterze. Brewster to mąż Zeldy. Brewster to ladaco. Elisa straciła już rachubę, ile razy Brewstera widowiskowo wywalono z pracy, ile razy wpadł w depresję i przez wiele tygodni nie wstawał z fotela. Szczegóły nie mają znaczenia. Elisa cieszy się jednak, kiedy Zelda je relacjonuje, i co jakiś czas miga odpowiednie komentarze. Zelda zaczęła się uczyć języka migowego w dniu, w którym zatrudniono Elisę — Elisa nie wierzy, żeby potrafiła jej się odwdzięczyć za ten wysiłek.

— Jak ci mówiłam, zlew w kuchni też cieknie. Brewster twierdzi, że to przez nakrętkę złączkową. Niech ci będzie, Albert Einstein. Skoro już skończyłaś z teorią względności, to może byś się kopnęła do sklepu żelaznego? Wiesz, co on na to? Mówi, że powinnam zwędzić nakrętkę z pracy. Czy on nie wie, gdzie ja pracuję? Nie wie o wszystkich kamerach? Będę z tobą szczerą, słonko, co do moich planów na przyszłość. Uduszę tego człowieka, porąbię go na małe kawałeczki i spuszczę je w klozecie, więc jak ubikacja nie będzie dawała mi spać, to przynajmniej będę mogła sobie pomyśleć, że wszystkie te kawałki Brewstera śmigają do rynsztoka, gdzie jest ich miejsce.

Elisa śmieje się przez ziewnięcie i sygnalizuje, że jest to jeden z najlepszych scenariuszy morderstwa, które wymyśliła Zelda.

— No i dzisiaj wieczorem wstaję do pracy, bo ktoś w tej rodzinie musi zarobić na takie luksusy jak nakrętki złączkowe, i w kuchni zastaję zatokę Chesapeake. Maszeruję z powrotem do sypialni i ponieważ jeszcze nie kupiłam sznura do duszenia, budzę Brewstera i mówię, że mamy sytuację z gatunku „arka Noego”. A on mi na to, że to dobrze, bo w Baltimore nie padało już całe wieki. Facet myśli, że ja mówię o deszczu.

Elisa studiuje swoją kopię listy kontrolnej zarządzania jakością (lkzj). Fleming ich nie ostrzega, kiedy ją zmienia. W ten sposób pilnuje, żeby jego pracownicy zachowywali czujność. Trzykartkowy odbity przez kalkę formularz wylicza laboratoria, hole, łazienki, korytarze i schody przypisane każdemu woźnemu; z każdym miejscem powiązana jest numerowana lista zadań. Lampy, poidelka, listwy przypodłogowe. Elisa znowu ziewa. Półpiętra, ścianki działowe, poręcze. Oczy ciągle jej się ześlizgują.

— No to włokę go za sobą do kuchni, gdzie moczy sobie skarpetki i wiesz, co mi mówi? Zaczyna mówić o Australii. Słyszał w wiadomościach, że Australia przesuwą się o pięć centymetrów rocznie i może właśnie dlatego wszystkim obluzowują się rury. Mówi, że kiedyś wszystkie kontynenty były zepchnięte na kupę. I że jeśli cały świat się przesuwą, to któregoś dnia wszystkie rury trzaskną i nie ma sensu się tym denerwować.

Elisa słyszy wahanie w głosie Zeldy i wie, w którą stronę to zmierza.

— Teraz posłuchaj, słonko. Mogłam złapać faceta za głowę, utopić go w pięciu centymetrach

wody i zdążyć przyjechać tutaj na dwunastą. Ale znasz innego człowieka, który tak gada, jak się obudzi z głębokiego snu? Mam do niego słabość. Zdarzają się tygodnie, że nie mamy co do garnka włożyć. A potem ten mój chłop mówi „Australia” i ja się cała rozkrochalam? Brewster Fuller wpędzi mnie do grobu, ale uwierz mi, ten człowiek widzi różne rzeczy. Potem przez chwilę ja też je widzę. Na pewno patrzę dalej niż Occam. O wiele dalej niż Old West Baltimore. Zatoka Chesapeake w mojej kuchni? To też minie.

Huk w laboratorium po lewej. Zatrzymują wózki. Szczotki do czyszczenia toalet kołyszają się na swoich kołkach. Od wielu tygodni krążą pogłoski o pracach budowlanych za tymi drzwiami, ale to nic wyjątkowego. Jeśli jakiegos pokoju nie ma na twojej liście, to nie zwracasz na niego uwagi. Ale dziś wieczorem drzwi tego pomieszczenia, dawniej gołe, przyozdabia tabliczka: F-1. Elisa i Zelda nigdy wcześniej nie spotkały „F”. Przez pierwszą połowę każdej nocy zawsze sprzątają razem, toteż dzisiaj wspólnie marszczą brwi i zaglądną do swoich identycznych lczj. F-1 stoi tam jak wół.

Nastawiają uszu w stronę drzwi. Głosy, kroki, dudniący hałas. Zelda patrzy na Elisę ze zmartwioną miną. Elisie jest przykro, kiedy widzi, że bojowy nastrój przyjaciółki tak łatwo zgasł. Teraz moja kolej, mówi sobie Elisa, żeby być tą odważną. Finguje pewny siebie uśmiech i miga „idziemy”. Zelda wypuszcza powietrze, wyjmując z kieszeni kartę kodową i wsuwa ją do zamka. Bolce odskakują i Zelda otwiera drzwi, z których wypada podmuch chłodnego powietrza. Na Elisę nie wiadomo dlaczego spływa intuicja, że właśnie popełniła katastrofalny błąd.

Lainie Strickland uśmiecha się do swojego nowiutkiego żelazka Westinghouse Spray 'N Steam. Westinghouse zbudował silnik atomowy, który napędzał pierwszy okręt podwodny „Polaris”. To o czymś świadczy, prawda? To mówi coś nie tylko o produkcie, ale również o całej firmie. Kiedy siedziała w salonie fryzjerskim Freddiego z „gniazdem os” pod różową kopułą suszarki, w pewnym momencie przerwała lekturę interesującego i jej zdaniem ważnego artykułu na temat delty Mekongu czy jakoś tak, gdzie grupa o nazwie Wietkong czy jakoś tak zestrzeliła pięć amerykańskich helikopterów, zabijając trzydziestu Amerykanów, żołnierzy takich jak Richard, i przerzuciła uwagę na całostronicową reklamę przedstawiającą okręt podwodny, który rozpruwał biały ocean podczas schodzenia w dół. Wszyscy ci dzielni chłopcy. Niebezpieczeństwo organicznie związane z wodą. Czy oni również zginą? Ich życie zależy od Westinghouse.

Obraz ten dostatecznie głęboko wrył się jej w pamięć, że postanowiła zapytać Richarda, jaką marką okrętu podwodnego był „Polaris”. Jako wojskowy od dziewiętnastego roku życia Richard na każde pytanie dotyczące jego pracy reagował zamknięciem się w swojej skorupie, toteż Lainie zaczęła, aż będzie nakarmiony i wprawiony w dobry humor podobnym do strzelania popcornu ogniem maszynowym z serialu *The Rifleman*. Nie przestając podziwiać oburęcznych wyczynów strzeleckich Chucka Connorsa, Richard wzruszył ramionami.

— Polaris to nie jest marka. To nie płatki śniadaniowe.

Słowo „płatki” wyrwało Timmy’ego z telewizyjnego stuporu. Kiedy się odwrócił, żeby podjąć rozpoczętą dwa dni wcześniej rozmowę, między wełnistym dywanem a kolanami sztruksów przeskoczył prąd.

— Mamo, moglibyśmy kupić Sugar Pops?

— I Froot Loops! — dodała Tammy. — Proszę cię, mamusiu!

Richard zawsze był opryskliwy. Po prostu taki był. Ale przed Amazonią nie pozwalał jej tak wisieć nad przepaścią własnej ignorancji, patrząc, jak ona fika bezradnie nogami, i nie podając jej ręki. Lainie jeszcze nie wymyśliła właściwej reakcji i na razie zaśmiała się z samej siebie. Potem Chucka Connorsa zastąpił odkurzacz z regulowaną mocą ssania, obsługiwany przez aktorkę, która trochę przypominała Lainie. Richard zagryzł dolną wargę i spuścił wzrok na kolana, być może z powodu wyrzutów sumienia.

— Polaris to rakieta — powiedział. — Rakieta balistyczna z głowicą jądrową.

— O! — Chciała zrobić mu przyjemność. — To brzmi niebezpiecznie.

— Chyba ma lepszy zasięg. I podobno jest bardziej celna.

— Zobaczyłam to w jakimś czasopiśmie, pomyślałam „Założę się, że Richard wie wszystko na ten temat” i miałam rację.

— Nie bardzo. Tych drani z marynarki wojennej omijam jak najszerszym łukiem.

— To prawda, mówiłeś mi to wiele razy.

— Okręt podwodny to śmiertelna pułapka. W życiu nie dałbym się do niego zaciągnąć.

Spojrzał na nią i się uśmiechnął. Richard, ten biedny, silny człowiek, nie miał pojęcia, ile bólu wyrażał jego uśmiech. Lainie czuła, że Richard za dużo widział w Korei, w Amazonii. Pewnymi rzeczami nigdy się z nią nie podzieli. Jest to z jego strony rodzaj miłosierdzia, mówi sobie

Lainie, nawet jeżeli ona czuje się przez to kompletnie samotna i dryfująca jak balon napełniony helem.

Żaden człowiek, który spędził siedemnaście miesięcy w południowoamerykańskiej dżungli, nie potrafi się tak po prostu z powrotem odnaleźć w cywilnym życiu. Lainie o tym wie i próbuje być cierpliwa. Jest to jednak dla niej wyzwanie. Te siedemnaście miesięcy zmieniło również ją. Richard został z dnia na dzień wykradziony przez tego upiornego generała Hoyta i wrzucony w świat bez telefonów i skrzynek pocztowych. Wszystkie rodzinne decyzje spadły na nią jak grad śrutu. Dokąd zawieźć samochód, kiedy się zepsuje. Co zrobić z trupem skunksa w ogrodzie. Jak się postawić hydraulikom, bankierom i wszystkim innym mężczyznom, którzy uważają, że mają pełne prawo oskubać samotną kobietę. Do tego wszystkiego dochodziła nieustanna opieka nad dwójką dzieci, zdezorientowanych i zranionych nagłą dezercją ojca.

Radziła sobie całkiem nieźle. Owszem, przez większość pierwszych dwóch miesięcy wyobrażała sobie swoje życie z za przesłony łez: owdowiała matka dwóch potworów, które zaczną targać zasłony i smarować kredkami po ścianach, podczas gdy ona będzie żłopała sherry do gotowania. Jej wieczorne zapaści szybko jednak przerodziły się w usatysfakcjonowane wyczerpanie. Stopniowo, ostrożnie, w prywatnych zaułkach umysłu zaczęła formułować w głowie plan na czasy, kiedy Richard zostanie uznany za zaginionego w boju i armia przestanie przysyłać jej czeki. Pisała liczby na pudełkach zapalek, informacjach od nauczycieli Timmy'ego, na dłoni, obliczała szacunkowe zarobki na tle konkretnych wydatków. Wiedziała, że potrafiłaby utrzymać stałą pracę. Brzmiało to nawet ekscytująco. Poczuli się również najgorszą żoną na świecie, ponieważ perspektywa zniknięcia męża wzbudziła w niej pewną mikroskopijną dozę entuzjazmu. Przecież bez Richarda byłoby jakby spokojniej, prawda? Czy nie był zawsze trochę surowy? Trochę zimny?

To bezproduktywne rozgrzebywać teraz tę kwestię. Przecież Richard wrócił, prawda? Od tygodnia znowu są razem. Czy Richard zasługuje na tę samą żonę, którą zostawił? Lainie zmusza się do uśmiechu i w końcu dochodzi do przekonania, że tak. Skoro marynarze z okrętów podwodnych zaufali nuklearnym dinksom od Westinghouse, to ona powinna być dumna, że w swoim salonie używa Spray 'N Steam, pierwszej rzeczy, którą kupiła w Baltimore.

Richard musi wyglądać elegancko w swojej nowej pracy, w jakiejś firmie, która nazywa się Occam, toteż prasowanie jest priorytetem. Wiele pudeł jeszcze nie zostało rozpakowanych, w związku z czym ubrania dzieci też wymagają prasowania. Timmy wygląda jak dzikus w swoich podartych ciuchach, a ulubiona welwetowa bluza Tammy jest poprzedziana. Gospodyni domowa jak Lainie przekonuje samą siebie, że ma mnóstwo ciekawych i ważnych zadań do wykonania.

3

Tupeciki są zrobione z ludzkich włosów. Gilesa Gundersona denerwuje fakt, że jego peruczka nie bardzo pasuje do kępek wykwitających mu nad uszami. Jego prawdziwe włosy są brązowe, ale jeśli podejść bliżej, można zobaczyć blond i pomarańczowe pasemka. Z tym że od lat nikt nie podszedł bliżej. Gdyby Giles wiedział, że w wieku trzydziestu lat będzie świecił błyszczącą kopułą, to już wiele lat temu zacząłby magazynować włosy. Każdy młody człowiek powinien to robić; powinni tego uczyć na lekcjach z profilaktyki. Wyobraził sobie wypełnione włosami pękate worki na śmieci w szafach ze swojego dzieciństwa, wywożone z domu rodziców do jego pierwszego mieszkania i dalej. Śmieje się pod nosem. Nie, proszę pana, nie ma w tym niczego dziwnego. Chowa jedną parę okularów do kieszeni, drugą zsuwa na nos, zapina zamszowy płaszcz i wsiada do kremowej furgonetki marki Bedford, którą pan Arzounian, właściciel kina Arcade, pozwala mu parkować za budynkiem. Auto ma zardzewiałe suwane drzwi i poplamioną tapicerkę, a ze względu na wyłupiaste oczy reflektorów i płaski pysk Elisa mówi na nie „Mopsik”. W Baltimore od miesięcy nie spadła ani jedna kropla deszczu, ale wiatr smaga jak batem. Giles czuje, że wichura unosi peruczkę nad jego czaszkę. Przyciska obustronną taśmę klejącą do skóry i z wciśniętą w ramiona głową okrąża furgonetkę.

Jest to postawa osiłka, ale Giles czuje się wątpy i arogancki. Walczy z bocznymi drzwiami auta i wyjmuje z vana teczkę kreślarską z czerwonej skóry z mosiężnymi uchwytemi i zapięciami. Niosąc ją, czuje się ważny. Po trzydziestce przez cały rok odkładał grosz do grosza, żeby ją kupić. Teczka kreślarska do dzisiaj pozostaje jedynym elementem jego profesjonalnego wyposażenia, którego nie zamieniłby nawet na największe skarby wielkich szyci z Manhattanu. Idzie chodnikiem, a huraganowy wiatr żwawo popycha go do przodu. Pokonanie drzwi z teczką kreślarską pod pachą to skomplikowane zadanie. Zanim Giles znajdzie się po drugiej stronie, wszyscy w środku będą dyskutowali o wytwornym jegomościu z gigantyczną skórzaną teczką.

Gilesa ogarnia znajome uczucie zwątpienia. Jego potrzeba osłony własnego ego jest żalonna, zwłaszcza w tego typu lokalu. Rozejrzyj się: pies z kulawą nogą nie zauważył twojego przybycia. Unosi wyżej głowę w geście samoobrony. Czy skupionych na słodkościach klientów można winić za ich nieuwagę? Dixie Doug's Pies przypomina dom zabaw ze swoimi kolorowymi światełkami i refleksyjnymi powierzchniami, od podstawek, na których obracają się plastikowe ciastka po lady chłodnicze podświetlone neonowymi rurkami i wykończone chromem.

Giles lawiruje między stolikami w stronę kolejki. Jest wczesne popołudnie w dzień powszedni, nietypowa pora na torcik, toteż Giles ma przed sobą tylko jednego klienta. Lubię tu być, mówi sobie. Przytulnie, ciepło, zapach cynamonu i cukru. Nie patrzy na kasjera, jeszcze nie. Jest za stary, żeby czuć aż taką treść. Zamiast kasjera ogląda półorametrową szklaną wieżę z innym deserem na każdym poziomie. Piętrowe ciastka jak pudełka na kapelusze w domu handlowym. Rzeźbione torciki jak pudła rezonansowe wiolonczeli. Bezowe ciastka jak piersi kobiety. Jest miejsce na absolutnie wszystkie rodzaje.

F-1 jest sześć razy większe od mieszkania Elisy i skromne jak na laboratorium w Occam. Białe ściany lśnią nowością nad gładką betonową posadzką. Srebrne rzędy stołów czekają pod ścianami, a nierozpakowane z folii krzesła na kółkach kulą się jak bezdomni wokół ognia w kuble na śmieci. Z sufitu wiszą wiązki kabli, a szpitalne lampy na wysięgnikach oświetlają puste miejsca. Przy wschodniej ścianie stoi zestaw beżowej maszynery — Elisa słyszała, że coś takiego nazywa się „komputer”. Woźnym nie wolno dotykać tych imponujących skupisk przełączników i zegarów, mają natomiast obowiązek odkurzyć je sprężonym powietrzem w każdy ostatni piątek miesiąca.

Wyróżnikiem F-1, który skłania Elisę do tego, żeby precyzyjnie się do środka obok pełnej wahań Zeldy, jest basen. Źródłem blaszanego dźwięku, który słyszały z korytarza, była woda tryskająca z węża do czegoś, co przypomina wpuszczony w podłogę gigantyczny zlew ze stali nierdzewnej otoczony trzydziestocentymetrowym murkiem, na którym stoi trzech robotników. Po tych miejscowych ludziach widać, że czują się nieswojo, zmuszeni pracować w warunkach tajności. Patrzą, jak ich majster podaje pióro i podkładkę z kartką mężczyźnie z rzędnącymi brązowymi włosami i w okularach — naukowiec z Occam, lecz Elisa nigdy wcześniej go nie widziała. Wygląda na niecałe pięćdziesiąt lat, ale przysiadł na murku jak nadaktywny chłopiec, ignorując majstra, aby porównać notatki z odczytami wskaźników koło basenu.

— Za gorąca! — woła. — O wiele za gorąca! Chcecie, żeby się ugotował?

Mężczyzna mówi z obcym akcentem. Elisa nie rozpoznaje tego akcentu, co ją rozbudza: nie zna żadnego z tych ludzi. Sześciu robotników, pięciu naukowców; nigdy nie widziała w Occam tak wielu osób o tak późnej porze. Zelda łapie ją za łokieć i Elisa daje się wyprowadzić, zanim rozlega się głos, który obie doskonale znają.

— Proszę wszystkich o uwagę! Obiekt został wyładowany. Powtarzam: obiekt został wyładowany i za chwilę znajdzie się na naszym terenie. Uprzejmie proszę ekipę budowlaną o opuszczenie laboratorium przez drzwi po prawej...

Biała koszula i jasne spodnie Davida Fleminga zakamuflowały go na tle komputera. Elisa teraz go widzi — ramię wyciągnięte w stronę drzwi, przed którymi ona i Zeldą stoją teraz jak skarcone dzieci. Wszystkie głowy obracają się w ich stronę. Wszyscy mężczyźni gapią się na intruzów płci przeciwnej. Elisie płoną policzki i parzy ją każdy centymetr kwadratowy zabrudzonego kombinezonu roboczego.

— Przepraszam wszystkich, tych pań nie powinno tutaj być. — Zniża głos i mówi teraz jak mąż udzielający żonie reprimendy: — Zeldą, Elisa, ile razy trzeba wam powtarzać? Kiedy w środku pracują ludzie...

Zelda kuli się jak osoba nawykła do ciosów, toteż Elisa staje między nią a Flemingiem. Ku jej przerażeniu ten instynktowny odruch stawia ją bezpośrednio na drodze mężczyzny, który przebiega prosto na nią. Elisa bierze wdech i prostuje ramiona. W czasach jej młodości kary cielesne były na porządku dziennym i chociaż to się działo piętnaście lat temu, również w Occam czasem obrywała. Fleming własnoręcznie zdjął ją z niestabilnego krzesła, z którego zamiatała pajęczyny; pewien biolog trzepnął ją w dłoń, ponieważ sięgnęła po kubek, który wbrew jej przekonaniu nie zawierał starej kawy, tylko próbkę jakiejś ważnej substancji;

ochroniarz wymierzył jej solidnego klapsa, kiedy szła do windy.

— Nie wychodźcie — mówi mężczyzna z akcentem. Dół jego białego fartucha laboratoryjnego jest szary od wody z basenu, a zasnurowane tylko do połowy buty z dziurkowanymi czubkami kłapią jak język psa. Wyciąga ociekającą wodą dłoń w proszącym geście i zwraca się do Fleminga:

— Te dziewczyny mają dopuszczenie, tak?

— To służby sprząające. Mają dopuszczenie w obrębie czynności sprząających.

— Skoro mają dopuszczenie, to czy nie powinny wiedzieć?

— Z całym szacunkiem, panie doktorze, jest pan tu nowy. Occam ma swoje procedury.

— Tak, ale czy nie będą od czasu do czasu sprząły tego laboratorium?

— Będą, ale tylko na moje bezpośrednie polecenie.

Przerzuca wzrok z naukowca na Elisę, która widzi, że jej zwierzchnik poniewczasie coś sobie uświadomił: przedwcześnie dodał F-1 do lkzj. Elisa błyskawicznie spuszcza wzrok na swój wózek, na te wszystkie znajome, zaskorupiałe butelki i słoiki, ale jest już za późno, żeby anulować upokorzenie: godność Fleminga doznała szwanku, za co Elisa i Zelda zostaną ukarane dodatkową pracą. Naukowiec z akcentem nie dostrzega tego wszystkiego; dalej się uśmiecha przekonany, że zrobił dla nich coś dobrego. Podobnie jak większość kierujących się dobrymi intencjami przedstawicieli klasy uprzywilejowanej, których Elisa w życiu spotkała, nie ma pojęcia o priorytetach klasy zniewolonej, która chce tylko przetrwać zmianę bez żadnych kłopotów.

— Doskonale — mówi naukowiec. — Wszyscy powinni rozumieć znaczenie naszego obiektu, żeby nie było pomyłek.

Fleming zagryza wargi i czeka, aż ekipa budowlana opuści pomieszczenie. Elisa i Zelda kulą się w sobie, kiedy ci zwaliści mężczyźni taksują je wzrokiem. Niczego nieświadomy naukowiec podaje Elisie rękę do uściśnięcia. Elisa z przerażeniem patrzy na równo przycięte paznokcie, czystą dłoń i wykrochmalone mankiety koszuli. Jak Fleming potraktuje to naruszenie etykiety? Ale nieuściśnięcie dłoni naukowca byłoby jeszcze gorsze, więc trzeba to zrobić, minimalizując kontakt. Dłoń mężczyzny jest wilgotna, ale uścisk szczery.

— Doktor Bob Hoffstetler — przedstawia się z uśmiechem. — Jak się pani pracuje w tych butach?

Elisa cofa się o kilkanaście centymetrów, żeby wózek zasłonił buty przed Flemingiem. Nie można pozwolić, żeby Fleming po raz drugi zauważył je. Nie zniosłaby tego, gdyby ją pozbawiono tej formy buntu. Nie uchodzi to uwagi Hoffstetlera. Dostrzegł jej małą rejteradę i teraz z ciekawością przekrzywia głowę. Najwyraźniej czeka na odpowiedź, więc Elisa zmusza się do uśmiechu i stuka w swoją plakietkę z nazwiskiem. Brwi Hoffstetlera układają się w wyraz współczującego zrozumienia.

— Najinteligentniejsze stworzenia — mówi łagodnym tonem — często wydają z siebie najmniej dźwięków.

Znowu się uśmiecha i odstepuje o krok w prawo, aby przystąpić do podobnego powitania z Zeldą. Chociaż Elisa jest zdruzgotana całą uwagą, jaką na sobie skupiła, i wciska ramiona do wewnątrz, żeby zrobiła się mniejsza, uświadamia sobie z ponurym ukłuciem, że przez wszystkie lata spędzone w Occam nikt nie obdarzył jej tak ciepłym uśmiechem jak doktor Hoffstetler.

Co tu dużo gadać, żelazko jest świetne. Nie trzeba się bawić w demineralizację wody, można włączyć prosto z kranu, a poza tym przyjemnie jest mieć wszystkie ustawienia na jednym pokrętle. No i w zestawie dali podstawkę, którą można przykręcić do ściany. Przyda się, kiedy deska do prasowania znajdzie stałe miejsce. Na razie Lainie robi prasowanie w salonie przed telewizorem. Praktykę tę stosowały inne żony wojskowych w Orlando. Lainie zawsze się temu opierała. Podczas pobytu Richarda w Amazonii pewnego razu próbowała słuchać przy prasowaniu audycji *Young Doctor Malone* i *Perry Mason* w radiu, ale za bardzo ją to pochłaniało. Wyprasowała cały kosz ubrań i nawet tego nie zauważyła, co ją zaniepokoiło. To pokazuje, jakie niewymagające, jakie powtarzalne są twoje codzienne obowiązki, Lainie.

Jednak zeszłej nocy z bezsenności narodziła się oczywista, ale ożywcza myśl. Pokrętko zmiany kanałów: można je przestawić. Lainie nie musi jak inne żony oglądać *I Love Lucy*, *Guiding Light* i *Password*; może oglądać *Today*, *nbc News* i *abc Early Afternoon Report*. Ten genialny pomysł ją zainspirował. Na razie wszystko w Baltimore ją inspiruje.

Podczas ubierania się tego dnia rano, czuła się tak, jakby szła na przyjęcie dla intelektualistów! Przed rozłożeniem deski do prasowania upięła włosy w „gniazdo os” — po ucisku na skroniach poznaje, że fryzura się trzyma. Rozsypała się natomiast jej uwaga już po dziesięciu minutach od początku pierwszej audycji. Chruszczow odwiedza mur berliński. Na sam dźwięk słowa „Chruszczow” Lainie się czerwieni. Błędnie je wymówiła trzy lata temu na jakiejś uroczystości z udziałem wielki szych z Waszyngtonu i zawstydzonemu Richardowi zdrząła szczęką. No i mur berliński. Dlaczego Lainie zna imiona i nazwiska wszystkich postaci z serialu *Captain Kangaroo*, ale o murze berlińskim nie wie nic?

Lainie manipuluje przełącznikiem żelazka, nie mogąc się zdecydować, które ustawienie najlepiej usunie zagniecenia. Czy to możliwe, że Westinghouse dał jej i wszystkim innym kobietom w Ameryce tak duży wybór? Lainie ogląda stopę żelazka i dolicza się siedemnastu otworów — jednego na każdy miesiąc spędzony przez Richarda w Amazonii. Naciska guzik pary, zanurza w nią twarz i wyobraża sobie, że to żar dzungli.

Tak musiał wyglądać świat Richarda, kiedy zadzwonił do niej z Brazylii. To było jak słuchanie ducha. Lainie odkrawa skórę od kanapek z masłem orzechowym, sięga po słuchawkę i chwilę później upuszcza nóż, a z jej ust dobywa się pisk. Płakała, przekonując Richarda, że to cud. Ale musiała się rozplakać, prawda? Kto miałby do niej o to pretensje? Była w szoku. Richard odparł, że też za nią tęskni, ale wciąż mówił martwym głosem, powoli i półgębkiem, jakby oduczył się angielskiego. Był też chrupiący dźwięk, jakby Richard coś gryzł. Dlaczego on je, po raz pierwszy od siedemnastu miesięcy rozmawiając z żoną?

Łatwo to usprawiedliwić. Może w dżungli głodował. Powiedział jej, że przeprowadzą się do Baltimore i zanim zdążyła dopytać go o szczegóły, podał jej numer lotu do Orlando i rozłączył się, dalej chrupiąc. Lainie usiadła i rozejrzała się po domu, który przez półtora roku wydawał się taki komfortowy i funkcjonalny. Teraz wyglądał jak kawalerska katastrofa. Nic nie błyszczało od sprayu ani szczotki. Żelazko, które wyzionęło ducha osiem miesięcy wcześniej, nie znalazło następcy. Przez dwa dni sprzątała jak opętana, szorujące pięści rozpychały się w rękawiczkach kuchennych, zmywające podłogę dłonie szłochały od pęcherzy, czyszczące fugi kłykcie ronily

krw. Uratował ją — chociaż nie jej małżeństwo — telefon z Waszyngtonu: Richarda przekierowano drogą morską do Baltimore. Spotka się tam z nią za dwa tygodnie w domu wskazanym przez rząd.

Lainie prawie co godzinę odtwarza w głowie widok Richarda po raz pierwszy wchodzącego do domu w Baltimore. Wykrochmalona, zapięta pod szyję koszula do garnituru wisała na nim jak płaszcz druida. Stracił na wadze, zostały już tylko węzłowate mięśnie. Posturę miał zmęczoną i lisią. Wygolone policzki błyszcząły gumowato, były mlecznobiałe, ponieważ w dżungli chował je pod brodą, a reszta twarzy przypiekła się na brązowo. Przez długą chwilę patrzyli na siebie. Mrużył oczy, jakby jej nie poznawał. Koniuszki jego palców powędrowały do jej włosów, ust, paznokci. Czy widok Lainie był dla niego zbyt olśniewający po tym, jak miesiącami oglądał tylko nieokrzesanych, brudnych mężczyzn?

Potem Richard delikatnie postawił torbę na podłodze i przez jego barki przetoczyło się drganie. Po jego gładkich policzkach pociekły dwie niewielkie łzy, jedna z każdego oka. Lainie nigdy nie widziała swojego męża płaczącego, podejrzewała nawet, że Richard nie potrafi płakać. Ku jej zaskoczeniu przstraszyło ją to. Wiedziała jednak, czego dowodzą te łzy: że ona coś dla niego znaczy, że ich małżeństwo coś dla niego znaczy. Podbiegła do Richarda, opasała go ramionami i przycisnęła własne splakane oczy do sztywnej koszuli. Kilka sekund później poczuła jego dłonie na plecach, ostrożne, jakby w dżungli weszło mu w krew strząsanie z siebie stworzeń, które się do niego przyczepiły.

— Przepraszam... — powiedział.

Lainie do dzisiaj się zastanawia, za co ją przeprosił. Za rozłąkę? Za płacz? Za niezdolność do objęcia jej jak normalny mężczyzna?

— Nie przepraszaj. Jesteś już. Jesteś już. Wszystko będzie dobrze.

— Wyglądasz tak... Jesteś taka...

To też ją zastanawia. Czy wyglądała dla niego równie dziwnie jak południowoamerykańska fauna siedemnaście miesięcy wcześniej? Czy jej miękkość odczuwał tak samo jak miękkość wsysającego błota, zwłok zwierząt czy innych rodzajów leśnej zgnilizny, których nawet nie potrafiła sobie wyobrazić? Uciszyła go, kazała mu milczeć, tylko ją przytulać. Żałuje tego. Studnia emocji, której istnienie sugerowały dwie łzy, następnego dnia była już zamknięta na głucho, nie reagowała na jej delikatne gesty czułości. Być może zatrzasnął ją instynkt, który kazał Richardowi bronić się przed dezorientującymi zakusami miasta.

Dopiero kiedy Timmy i Tammy w podskokach zbiegli ze schodów, żeby przywitać się z ojcem, Lainie oderwała się od Richarda, odwróciła i pomyślała o pustym, nieumeblowanym domu. Serce jej zadygotało na skutek strasznego podejrzenia: może łzy Richarda nie miały nic wspólnego z nią? Może wzruszyły go idealnie czyste, prawie zupełnie ciche pokoje za jej plecami?

Lainie naciąga tę samą koszulę, którą miał na sobie Richard w chwili przyjazdu, na węższy koniec deski do prasowania. Warto byłoby odpędzić od siebie takie myśli. Skoncentrować się na tym, co Lainie może zrobić, żeby być lepszą żoną. Może praca Richarda w Occam nie zasługuje na to, żeby trąbili o niej w wiadomościach, ale na pewno jest ważna. Co by było, gdyby wypaliła dziurę w jego koszuli! Wszyscy by pomyśleli, że Richard ma jakieś problemy w domu. A przecież żadnych problemów nie ma. Jej zadaniem jest pomagać Richardowi w usuwaniu z siebie nieczystości wojny, szorować brud, smar, olej, proch strzelniczy, szminkę, jeśli do tego przyjdzie, a potem wszystko gładko zaprasować — dla męża i rodziny, ale także dla ojczyzny.

Na jego plakietce widnieje imię Brad, ale Giles pamięta, że temu człowiekowi zdarzało się nosić Johna, a raz nawet Loretę. Giles zakłada, że to drugie imię było pomyłką, a trzecie żartem, jednak to onomastyczne zamieszanie wprowadziło tyle niepewności, że Giles boi się posługiwać którymkolwiek z imion. Mężczyzna zdecydowanie wygląda na Brada: metr osiemdziesiąt pięć, metr osiemdziesiąt osiem, gdyby przestał się garbić, twarz szlachetnie symetryczna, proste zęby prawie jak u konia i blond włosy podobne do kleksa bitej śmietany na deserze. Oczy, w kolorze roztopionej czekolady ze spalonej fabryki, rozbłyskują na widok Gilesa. Giles mógłby przysiąc, że mu się to nie przywidziało.

— Cześć, kolego! Gdzie się podziewałeś?

Brad mówi z przeciągłym, ogólnie południowym akcentem i Giles zanurza się w tym syropie. Opadają go zmartwienia związane z owłosieniem: gradient peruczki, poziom nastroszenia wąsów, rozwichrzenie brwi i krzewinek w uszach. Giles nadyma pierś i dziarsko kiwa głową.

— A, witam. — Za bardzo profesorskie, więc Giles odkręca sprawę. — Tobie też cześć, kolego. — Nie przypominam sobie, żebyśmy chodzili razem do szkoły, myśli Giles. — Bardzo miło cię widzieć.

Dwa nadliczbowe pozdrowienia. Po prostu idealnie.

Brad kładzie łokieć na blacie i podpira twarz dłonią.

— Czym się dzisiaj raczymy?

— Tak trudno się zdecydować — zachwycą się Giles. — Co ty byś polecił, jeśli mogę spytać?

Brad bębni palcami o ladę. Ma poobcieraną skórę na kłykciach. Giles wyobraża go sobie rąbiącego drewno na opał w ogrodzie na skraju lasu, drzazgi lądują na niewielkich wilgotnych otarciach jak złote motyle.

— Co byś powiedział na limetę kwaśną? Mamy taką limetkę, że klękajcie narody. To ta na najwyższej półce wieży.

— O rany, jaka żywa zieleń!

— Prawda? Co powiesz na to, żebym ci ukroił solidny kawałek?

— Jak mógłbym odtrącić tak nęcący¹ odcień?

Brad wypisuje zamówienie i śmieje się pod nosem.

— Rany, ale ty znasz słowa!

Giles czuje, że rumieniec podchodzi mu do góry od szyi. Zwalcza go pierwszą rzeczą, która wpada mu do głowy.

— Słowo *tantalising* pochodzi z greckiego. Tantal był jednym z synów Zeusa. Niesforny chłopiec. Sprawa jest dosyć znana, ponieważ Tantal złożył swojego syna w ofierze i dał do zjedzenia innym bogom. Trochę to przypomina krojenie ciasta. Ale pamiętamy go ze względu na poniesioną przez niego karę. Musiał stać w sadzawce, nad jego głową wisiał owoc, który mu uciekał, jak tylko po niego sięgnął, a pod stopami miał wodę, która znikwała, jak tylko uklęknął, przez co nie mógł nasycić głodu ani ugasić pragnienia.

— Porąbał własne dziecko, mówisz?

— Tak, ale morał tej historii jest chyba taki, że Tantal nie miał możliwości ucieczki w śmierć. Cierpiał ze świadomością, że wszystko, czego chce, jest w zasięgu ręki, ale on nie może tego

dostać.

Brad rozmyśla o tej historii, a Giles czuje, że jego rumieniec wznowił podróż na północ. Giles często rozwodził się nad kwestią, że jeden obraz może tak wiele powiedzieć tak wielu ludziom, a przecież im więcej słów się użyje, tym większe jest prawdopodobieństwo, że zwrócą się przeciwko mówiącemu i go zdemaskują. Z ulgą zauważa, że Brad postanowił porzucić analizę filologiczną i nabija zamówienie na szpilę.

— Widzę, że masz swoją torbę malarską — mówi. — Pracujesz nad czymś fajnym?

Giles zdaje sobie sprawę, że tylko stetryczały pierdoła uwierzy w szczere zainteresowanie autora tego typu pytania. On ma sześćdziesiąt cztery lata, a Brad nie więcej niż trzydzieści pięć. I co z tego? Czy to znaczy, że Giles nie może z nim sobie przyjemnie pogadać? Że nie może poczuć satysfakcji z tego, co robi, co mu się tak rzadko zdarza? Podnosi teczkę, jakby o niej zapomniał.

— A, to! Nic wielkiego. Najważniejsza jest premiera nowego produktu żywnościowego. Zlecono mi pokierowanie kampanią reklamową. Tak się składa, że jestem w drodze na spotkanie w agencji.

— Ja cię kręcę! Jaki produkt żywnościowy?

Giles otwiera usta, ale słowo „żelatyna” nie zabrzmiało zbyt porywająco.

— Chyba nie wolno mi tego powiedzieć. No wiesz, klauzula poufności.

— Serio? Jezus, brzmi ekscytująco. Sztuki plastyczne, tajne projekty. Dużo bardziej ekscytujące niż serwowanie ciasta, powiem ci.

— Kiedy żywność leży u korzeni sztuki! Już dawno chciałem zapytać, czy to ty jesteś Dixie Doug.

Brad prychnął tak wybuchowym śmiechem, że mierzwiłoki tupecika Gilesa.

— Bardzo bym chciał. Siedziałbym na górze pieniędzy. Zdradzę ci, jak to działa. Ten tutaj nie jest jedynym Dixie Dougiem. Jest ich dwunastu. To się nazywa „franczyza”. Przysyłają tę broszurę, popatrz. Wszystko tu jest podyktowane. Kolory ścian, dekoracje. Dixie Dog, nasza maskotka. Nawet całe menu. Robią badania, naukowo sprawdzają, co ludziom smakuje. Rozwożą to po całym kraju, a my tylko obsługujemy.

— Intrygujące.

Brad rozgląda się wokół siebie, a potem nachyla do Gilesa.

— Chcesz poznać tajemnicę? — Giles niczego bardziej nie pragnie. Nosi w sobie tak wiele tajemnic, że ma świadomość, iż poznanie cudzego sekretu w magiczny sposób zmniejszy obciążenie obu stron. — Mój głos nie jest prawdziwy. Pochodzę z Ottawy. Nigdy nie słyszałem południowego akcentu, nie licząc filmów.

Emocje Gilesa się uspokajają, tężeją do postaci szkła. Wprawdzie nie udało mu się potwierdzić imienia Brada, ale wyjdzie stąd dzisiaj z jeszcze cenniejszą nagrodą. Któregoś dnia Brad na pewno podzieli się z nim swoim prawdziwym głosem, jakimś egzotycznym kanadyjskim zaciąganiem, a potem... No bo chyba to będzie coś znaczyło, prawda? Dumnie niosąc teczkę kreślarską i czekając na jasnozielony torcik, Giles najsilniej od wielu lat czuje się częścią tego świata.

— Większości zgromadzonych nie muszę powtarzać, ile wysiłku wymagała realizacja tego przedsięwzięcia przez naszych najlepszych ludzi, z których nie wszyscy wrócili z misji i nie mogą się cieszyć z owoców swojego sukcesu — mówi Fleming. — Czuję się zobowiązany podkreślić, a szczerze mówiąc, cieszę się, że moje dziewczyny z sekcji sprzątajacej mogą to usłyszeć, że jest to ponad wszelką wątpliwość najbardziej wrażliwy obiekt przywieziony do Occam w całym okresie działalności naszej firmy i musi być stosownie do tego traktowany. Wiem, że wszyscy podpisaliście formularze, ale pozwolę sobie powtórzyć. Ścisłe tajne dane nie są przeznaczone dla waszych żon. Ani dzieci. Ani nawet dla najlepszego kumpla, którego znacie od dzieciństwa. Od tego zależy bezpieczeństwo narodowe. Od tego zależy los wolnego świata. Wasze nazwiska zna sam prezydent i mam szczerą nadzieję, że to wystarczy, abyście...

Napięte ciało Elisy tężeje na dźwięk klucza kodowego w zamku, mimo że nie jest to nawet zamek za jej plecami. Otwierają się trzymetrowej wysokości podwójne drzwi na drugim końcu F-1 wychodzące na korytarz, który prowadzi do rampy załadunkowej. Każde skrzydło drzwi zabezpiecza umundurowany żołnierz w kasku. Są uzbrojeni, podobnie jak wszyscy ochroniarze w Occam, ale nie w enigmatyczne pistolety w dyskretnych kaburach. Na plecach wiszą im długie czarne karabiny z bagnetami.

Trzeci i czwarty żołnierz wtaczają do laboratorium paletę na gumowych kółkach długości samochodu. Wiozą na nim coś, co Elisa w pierwszej chwili uznaje za żelazne płuca. Niewątpliwym postrachem jej sierocińca było polio; każde dziecko zmuszone do wysłuchiwanie rozwlekłych kazań i drętowych wykładów potrafiło sobie wyobrazić horror bycia na zawsze uwięzionym od szyi w dół w trumnie. Ten okaz jest podobnie kapsułowaty, ale o kilka rzędów wielkości większy, ze stalowymi nitami, wysokociśnieniowymi uszczelkami, gumowymi złączkami i miernikami ciśnienia. Ktokolwiek jest w środku, myśli Elisa, musi być ciężko chory, skoro nawet jego głowę trzymają wewnątrz zbiornika. Fleming się uwija, pokazuje, gdzie żołnierze mają postawić paletę. Wzdłuż basenu. Elisa uświadamia sobie, jaka była naiwna. Chorzy mali chłopcy nie wymagają eskorty złożonej z czterech uzbrojonych ludzi.

Ostatni mężczyzna, który wchodzi przez podwójne drzwi, ma włosy ostrzyżone maszynką, ramiona goryla i ciężki chód osoby, która czuje się nieswojo pod dachem. Włożył kurtkę dżinsową i grubo tkane szare spodnie, ale wygląda na to, że nawet ten strój krępuje mu ruchy. Mężczyzna okrąża kapsułę, półgłosem wydaje rozkazy i pokazuje, żeby zablokować kółka i poprzekręcać różne gałki. Nie celuje w nie palcem. Jego nadgarstek otacza pasek z niegarbowanej skóry połączony z pokancerowaną pomarańczową pałką zakończoną dwoma metalowymi szpikulcami. Elisa nie ma pewności, ale wydaje się jej, że jest to elektryczny pastuch.

Fleming i doktor Bob Hoffstetler podchodzą do mężczyzny z wyciągniętymi rękami, ale on spod zmarszczonych brwi celuje wzrokiem na drugi koniec laboratorium, prosto w Elisę i Zeldę. Zgrubienia żył na jego czole wyglądają jak podskórne nogi.

— Co one tu robią?

W odpowiedzi na to pytanie kapsuła trzęsie się gwałtownie na palcu, a ze środka bucha wysokiej częstotliwości ryk, rozchlapując wodę i przestraszając żołnierzy, którzy rzucają

przekleństwami i chwytają za karabiny. Coś, co wygląda jak dłoń, ale nie może nią być, bo jest o wiele za duże, uderza o jeden z bulajów kapsuły. Elisa nie może uwierzyć, że szkło nie pękło. Kapsuła się chwieje, żołnierze ustawiają się w szyku, Fleming biegnie z krzykiem w stronę woźnych, Hoffstetler krzywi się zawiedziony, że nie zdołał ich osłonić, Zelda trzyma Elisę oburącz za uniform i wlecze ją na korytarz razem z wózkami, a mężczyzna z paralizatorem jeszcze przez sekundę miota wściekłym spojrzeniem, po czym chowa głowę w ramionach i odwraca się do wrzeszczącego uwięzionego stworzenia.

Pudła z Florydy to kłopot. Lainie o tym wie i obiecuje sobie rozpakować je przy pierwszej możliwej okazji — to jest rozkaz! Wspomina bezcenną chwilę z Richardem sprzed wielu lat, gdy ośmielona jego orgazmem odważyła się na seksualny żart, aluzję do „stania na baczność”. Richard się zaśmiał i wymienił najważniejsze elementy postawy zasadniczej. Pięty złączone. Brzuch wciągnięty. Ręce wzdłuż szwów. Zero uśmiechu. Tego rodzaju sprawność i dyscyplinę ona musi teraz naśladować. Ma nożyk do otwierania pudeł. Ma myjki, płyn z chlorowym wybielaczem, płyn woskujący do podłóg, płyn do prania i proszek do czyszczenia z wybielaczem, wszystkie zabezpieczone, naładowane i w gotowości bojowej. Mogłaby rozpakować pudła w dwa dni, gdyby się sprężyła. Ale nie potrafi. Za każdym razem, kiedy rozcina taśmę klejącą, czuje się tak, jakby rozkrawała brzuch sarence. W tych pudłach tkwi siedemnaście miesięcy innego życia. Życia, które zepchnęło ją z drogi przemierzanej od czasów, kiedy była małą dziewczynką: randki, małżeństwo, dzieci, prowadzenie domu. Wyjmowanie rzeczy z tych pudeł jest jak wyrywanie narządów z tej innej wersji Lainie, kobiety ambitnej i energicznej. Lainie wie, że to wszystko jest głupie. W końcu zabierze się do rozpakowywania. Na pewno.

Tylko jak to zrobić, kiedy tuż obok, zaraz za oknem, czeka Baltimore? Po odwiezieniu dzieci do szkoły Lainie nie potrafi się oprzeć. Zawsze jest tak samo. Wkłada buty na obcasach dla Richarda, który się irytuje, kiedy ona chodzi boso — również w tej kwestii Lainie upatruje winowajcy w Amazonii, może jakieś chodzące bez butów plemię wzbudziło w nim niesmak. Kiedy Richard wychodzi do pracy w Occam, buty zlatują ze stóp, żeby Lainie mogła wcisnąć gołe palce głęboko w dywan. Nie czuje pod nimi zbyt dużej ilości kurzu. Tylko trochę okruszków, to wszystko. Na razie da się przeżyć. Ubiera się, wychodzi, wsiada do autobusu.

Z początku udawała, że szuka kościoła. Nie było to do końca kłamstwo. Każda rodzina powinna mieć swoje miejsce kultu. Jej kościół w Orlando był dla niej prawdziwym darem niebios w tych miesiącach bez Richarda, zanim odzyskała grunt pod stopami. Teraz znowu musi go znaleźć. Problem w tym, że w Baltimore co krok są kościoły. Czy Lainie jest baptystką? W Wirginii chodzili do kościoła baptystycznego. Może episkopalanką? Lainie nie ma pewności, co to słowo znaczy. Luteranka, metodystka, prezbiterianka: wszystko to brzmi bezpiecznie, nieteatralnie. Lainie zajmuje miejsce w autobusie, w grzecznej pozie (ręce złożone na torebce), i wypuszcza z uszmiokowanych ust nazwy mijanych kościołów. Wszystkich Świętych, Trójcy Świętej, Nowego Życia. Śmieje się. Okna autobusu zaparowały od tych słów, na chwilę przesłaniając jej widok na miasto. Jak mogłaby wybrać coś innego niż Nowe Życie?

Kobiety pracujące nie mają możliwości czmychnąć do domu i zanurzyć twarz w poduszce, kiedy ktoś na nie nakrzyczy. Uspokajasz drżące dłonie, zaciskając je na narzędziach, i wracasz do pracy. Elisa chciała porozmawiać o tym, co widziała i słyszała — o gigantycznej dłoni walącej w okno kapsuły, o animalistycznym ryku. Jednak z odpowiedzi na miganie Elisy wynikało, że Zelda nie widziała tej dłoni, a ryk wzięła za kolejny makabryczny eksperyment na zwierzętach, którego nie chciała głębiej analizować, bo zrobiłoby się jej niedobrze. Elisa zachowuje więc swoje myśli dla siebie i zastanawia się, czy to możliwe, że Zelda ma rację, a ona błędnie wszystko odczytała.

Najlepiej będzie wyczyścić te obrazy z głowy, a w czyszczeniu Elisa jest dobra. Wchodzi do kolejnych kabin w północno-wschodniej męskiej ubikacji i jeździ szmatką po załomach muszli. Zelda po umyciu podłogi moczy pumeks nad zlewem i marszczy brwi na widok oblepionej zaschniętym moczem sekcji pisuarów, z którą zmagają się od lat. Szuka nowego powodu do narzekań, żeby poprawić sobie humor. Elisa wierzy w Zeldę jak w mało kogo: wierzy, że jej koleżanka na pewno znajdzie ten powód, który będzie śmieszny i pozwoli im na chwilę wypełznąć spod lepkiej błony poniżenia, którą zostawili wszyscy ci osądzający ich mężczyźni.

— Ciągłe nam mówią, że tu, w Occam, zebrały się najlepsze umysły w kraju, a potem patrzysz i widzisz, że naszczali na sufit. Brewster prochu by nie wymyślił, ale nawet on w siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków trafia w cel. Nie wiem, czy powinnam być tym zdołowana, czy może ściągnąć facetów od rekordów Guinnessa. Może dostanę od nich znaleźne.

Elisa kiwa głową i miga „zadzwoń”, wybierając staroświecki, dwuelementowy model w celu wywołania obrazu stada nowojorskich korespondentów z plakietkami PRASA przypiętymi do filcowych kapeluszy. Zelda łapie to odniesienie i szczyrzy zęby — co za ulga, myśli Elisa i ciągnie ten żart dalej, wykonując palcami znak „telefaks”, a potem sugerując na migi wysłanie listu za pośrednictwem gołębia. Zelda się śmieje i pokazuje na sufit.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, pod jakim kątem oni... Wiesz, o co mi chodzi? Nie chcę świntuszyć, ale fizyka ma swoje prawa i w ogóle. Siła wyrzutu jak w wężu ogrodowym albo w spryskiwaczu. — Elisa chichocze bezgłośnie, zgorszona, a tym samym bardzo wdzięczna. — Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że urządzają sobie konkurs. Coś jak olimpiada. Punkty za wysokość i odległość. Punkty za styl, kto ładniej chluśnie. Pomyśleć, że przez te wszystkie lata myślałyśmy, że te naukowe typy nie mają żadnych umiejętności praktycznych.

Elisa bezgłośnie ryczy ze śmiechu, opiera się plecami o kabinę, wydarzenia tej nocy błędą na tle barwnego scenariusza Zeldy.

— Hej, przecież tu są dwa pisuary — rechocze Zelda. — Mogliby zrobić zawody w sikaniu równoległym...

Wchodzi jakiś mężczyzna. Elisa odwraca się od muszli klozetowej, Zelda od pisuaru. Przed chwilą go tu nie było, a teraz jest. To takie niewiarygodne, że kobiety zapominają zareagować. Plastikowy znak **WSTĘP WZBRONIONY: SPRZĄTANIE** to jedyna ochrona woźnych płci żeńskiej przed groźbą męskiego wtargnięcia, który do tej pory zawsze wystarczał. Zelda zaczyna pokazywać na ten znak, ale jej ramię zastyga w pół drogi. Nie jest rolą woźnego podkreślać istnienie obiektów

fizycznych wobec mężczyzny wyższego stanu, a poza tym jej kpiny z męskich praktyk ubikacyjnych nagle rozbrzmiewają z każdej rury, przeciwnakrętki i tarczki umywalki. Elisa czuje wstyd, a potem się wstydzi, że czuje wstyd. Tysiąc razy sprzątały z Zeldą to pomieszczenie, a mimo to wystarczył jeden mężczyzna, żeby to one poczuły się jak oblechy.

Mężczyzna spokojnie przechodzi na środek pomieszczenia.

W prawej dłoni trzyma pomarańczowy paralizator.

Obrotowe drzwi Klein & Saunders zaczynają swoje podstępne knowania. Od strony ulicy, wśród ludzi z aktówkami, którzy zdążają na następne spotkanie, Giles jest zagubiony, przestarzały, bezużyteczny. W wirującej kabinie dochodzi do metamorfozy, szklana roгатka sygnalizuje nieskończoną liczbę potencjalnych lepszych „ja”. Kiedy drzwi wypływają Gilesa na marmurową szachownicę posadzki recepcji, jest odmienionym człowiekiem. Mając w dłoni sztukę, a w głowie miejsce, w które ją zanieś, jest kimś ważnym.

Tak było, odkąd sięga pamięcią: wytwarzanie sztuki to tylko przygrywka do rozkoszy jej posiadania, posiadania konkretnego przedmiotu, który on powołał do istnienia swoją wolą. Oprócz sztuki ma tylko swoje zapyziałe mieszkanie — koniec końców wynajmowane. Pierwszym *objet d'art* w jego życiu była ludzka czaszka wygrana przez jego ojca w pokera, nazwana „Andrzej” od Polaka, który ją przegrał. To było pierwsze studium Gilesa; rysował ją setki razy, na kopertach, na gazetowych twarzach, na dłoni.

Nie pamięta dokładnie, w jaki sposób przeszedł od szkicowania czaszek do pracy w Klein & Saunders. Pierwsze zatrudnienie dostał w przędzalni bawełny Hampden-Woodberry, w której pracował jego ojciec. Giles musiał nawyknąć do łaskotania włókien bawełny w nosie, do nagniotków na dłoniach od dźwigania bel bawełny, do miękkiej drugiej skóry z czerwonej gliny za każdym razem, kiedy przywoził bawełnę z Missisipi. W nocy, czasem do rana, malował na wyrzuconym papierze podprowadzonym z pracy. Ta opętająca twórczość portretowa dawała mu więcej energii niż jedzenie, a trzeba powiedzieć, że był nieźle głodny. Wykorzystywał glinę z Missisipi do tego, żeby jego pomarańcze wybuchały. Po kilkudziesięciu latach nadal było to jego tajemnicą.

Dwa lata później porzucił zarówno przędzalnię, jak i zdeorientowanego ojca, aby podjąć pracę w dziale artystycznym domu handlowego Hutzler's. Kilka lat później przeszedł do Klein & Saunders i spędził tam większość swojego życia zawodowego. Był dumny, ale nie usatysfakcjonowany. Gnębiący go niedosyt miał coś wspólnego ze sztuką. Prawdziwą sztuką. Kiedyś określał się za pomocą tego słowa, prawda? Wszystkie abstrakcyjne wizerunki Andrzeja, wszystkie męskie akty wydestylowane z nagniotków od noszenia bel bawełny i z czerwonych pomarańczy oblepionych gliną z Missisipi. Giles stopniowo doszedł do przekonania, że każdy fałszywy uśmiech radości, który on maluje dla Klein & Saunders, jak wampir wysysa prawdziwą radość z tych, którzy mierzą własne szczęście według nieosiągalnych standardów reklamy. Znał to uczucie. Doznawał go każdego dnia.

Klein & Saunders współpracuje z prestiżowymi klientami. Stąd poczekalnia z fotelami w kolorze kardynalskiej purpury zaprojektowanymi według najnowszej niemieckiej mody oraz wózkiem na napoje obsługiwanym przez Hazel, nieustraszoną recepcjonistkę, która przyszła na świat jeszcze przed Gilesem. Dzisiaj jednak Hazel jest nieobecna i na pożarcie kilkunastu dyrektorskim szychom rzucono sekretarkę jakiegoś copywritera, która ma nogi jak sarenka i przynitowany do wystraszonej twarzy uśmiech. Giles patrzy, jak sekretarka podczas krzątania się wokół tacy z niedokończonymi drinkami niechcący rozłącza rozmowę telefoniczną. Giles ocenia atmosferę w pomieszczeniu po dystrybucji dymu papierosowego: nie snuje się jak Adam Michała Anioła, lecz jest rozparcelowany jak buchnięcia z komina lokomotywy.

Giles wybacza jej, że zauważyła go dopiero po minucie.

— Pan Giles Gunderson, artysta — anonsuje. — Czternasta piętnaście z panem Bernardem Clayem.

Sekretarka naciska guzik i nie do końca precyzyjnie mówi do słuchawki jego imię i nazwisko. Giles nie jest przekonany, czy wiadomość została przekazana, ale nie ma serca prosić tej biedaczki o powtórzenie operacji. Po chwili odwraca się twarzą do dyrektorskiej zgrai. To niesamowite, myśli, że po dwudziestu latach gdzieś w środku nadal ma ochotę biegać z tą przyczajoną, warczącą watahą. Zastanawia się nad sekretarką, nad wózkiem z napojami. Wzdycha, wchodzi za wózek i klaszcze w dłonie w celu skupienia na sobie uwagi.

— Szanowni panowie! — woła. — Co byście powiedzieli na to, żebyśmy tego popołudnia sami zmiksowali sobie drinki?

Prychają na tę ingerencję w ich słuszne oburzenie. Każdy unosi jedną brew do połowy czoła. Giles zna to uczucie — rozdrażnienie osuwa się w podejrzliwość. Po tylu latach nadal nie wie, jakim sposobem ludzie tak szybko wyczuwają, że on jest inny. Ma wrażenie, że taśma mocująca tupecik zaczęła się odklejać. Ale jeśli będąca na ostrzu noża sytuacja gibnie w niewłaściwą stronę, peruka będzie najmniejszym z jego zmartwień.

— Korzyść jest taka — ciągnie — że sami możemy ustalić poziom wytrawności. Kto głosuje za martini?

Manewr okazuje się skuteczny. Popołudniowi biznesmeni w głębi serca są niemowlakami — odwodnionymi i rozkapryszonymi. Ktoś mówi: „Słusznie prawi”, inny dodaje: „Na wieki wieków amen” i po chwili Giles wskakuje w rolę barmana, żongluje butelkami i kroi plasterki cytryny do wtóru chóralnych okrzyków jak z akademika. Kiedy entuzjazm sięga zenitu, Giles pokazuje wszystkim, żeby się rozsunęli, aby mógł podejść do sekretarki i wręczyć jej Brandy Alexander niczym nagrodę Akademii Filmowej. Wszyscy biją brawo, dziewczyna się czerwieni, światło słońca ślizga się po spienionym czubku koktajlu jak hawajski horyzont i Giles przez moment ma poczucie, że ten świat znowu kipi wewnętrznym potencjałem.

Zelda wie, co robić. Jest to wariant tego, co robiła już tysiące razy, przede wszystkim w pracy, ale również w innych sytuacjach męskiej presji: jak najszybciej zniknąć im z oczu. Przywołuje na twarz zdystansowany uśmiech służącej, chwyta za wózek i zaczyna go toczyć. Ale podłoga jest namydlona i wózek jedzie niezbyt posłuszenie, potrąca kosz na śmieci i wywraca go z hałasem, który niesie się po całym pomieszczeniu. Dzięki Bogu właśnie został opróżniony, ale Zelda czym prędzej przywraca go do pionu. Uklęknięcie podkreśla jej wzrost, prowokuje do żartów. Zelda chce to zrobić za szybko. Podczas klęknięcia słyszy jakiś szelest. Podnosi wzrok. Mężczyzna trzyma w ręku ostatnią rzecz, której Zelda by się spodziewała, słownikowe przeciwieństwo paralizatora: plastikową torebkę z jasnozielonymi landrynkami.

— Nie, nie, nie wychodźcie. Wygląda na to, że panie przyjemnie sobie gawędzą. Dziewczęce rozmowy. Nie ma w tym absolutnie nic złego. Nie przeszkadzajcie sobie, zaraz znikam.

Akcent nie jest południowy, ale pobrzmiwa w nim świst krokodylego ogona. Mężczyzna idzie dalej i przez mgnienie oka Zelda ma wrażenie, że zmierza on w stronę kabiny Elisy. Czy Elisa widziała w F-1 coś, co Zelda przegapiła? Elisa zawsze jest wrażliwa, gdy ludzie na nią krzyczą, ale od momentu ucieczki z F-1 zachowuje się inaczej, jest oszołomiona. Czy ten mężczyzna przyszedł, żeby wywlec stąd Elisę? Zelda dźwiga się na nogi — kolejny niezdarny ruch — i sięga ręką po jakąś broń z wózka — szcztokę, zmywak do szyb. Na walczeniu też się zna. Brewster ma więcej blizn bitewnych od niej, ale ona wiele od niego nie odstaje pod tym względem. Ten mężczyzna chce skrzywdzić Elisę, więc ona robi to, co trzeba zrobić. Zniszczy sobie w ten sposób życie, ale nie ma innego wyboru.

Tymczasem mężczyzna skręca, kładzie paralizator i torebkę z cukierkami na umywalce, podchodzi do pisuaru i sięga do rozporoka.

Teraz to Zelda szuka pomocy u Elisy. Jeśli przerażone oczy Zeldy przegapiły coś w F-1, to może w ogóle nie powinna im ufać? Mężczyzna wyjmuje przy nich interes? Ale Elisa kolebie głową z lewa na prawo i z góry na dół w pogoni za odpowiednią reakcją. Jedno jest pewne: Zelda nie może patrzeć na mężczyznę. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że patrzenie na niego, jak się załatwia, byłoby naruszeniem regulaminu skutkującym zwolnieniem z pracy. Wystarczy, żeby mężczyzna doniósł na nieprzyzwoite woźne Flemingowi, a trafią na śmietnik historii. Zelda tak mocno wbija wzrok w podłogę, że nie zdziwiłaby się, gdyby pękł kafelek.

Mocz spływa do czystego pisuaru.

— Nazywam się Strickland — mówi mężczyzna tubalnym głosem. — Jestem szefem ochrony. Zelda przełyka ślinę.

— U-hum.

Tylko tyle potrafi z siebie wydusić. Mówi swoim oczom, żeby się nie ruszały, ale błędzą i widzą chłapnięcie moczu na umytą podłogę. Strickland rechocze.

— Ojej. Całe szczęście, że macie mopy.

Richard oceniłby jej potajemne zwiedzanie jako marnowanie czasu i miałby rację. Jej własne oburzenie odwraca uwagę od poczucia winy. Wysokościowce w tle, strzeliste billboardy, dystrybutory benzyny w kształcie robotów, tramwaje w kolorze cheddara! Lainie czuje, że węzeł w jej wnętrzu się strzępi, jakby pociągnięto po nim nożykiem do otwierania pudeł. Autobus pędzi koło neonów, które pozostają zaświecone pośród dziennej szarzyzny: **INSTALUJEMY TŁUMIKI; WSZYSTKO ZA DOLARA; ARTYKUŁY SPORTOWE; ZACIĄGNIJ SIĘ DO LOTNICTWA.** Lainie naciska guzik przystanku na żądanie i wysiada w dzielnicy handlowej przy West 36th, którą miejscowi nazywają „Aleją”, i pozwala sklepom przepychać się łokciami do jej dolarów.

Próbuje mówić „Dzień dobry” wszystkim mijanym osobom, zwłaszcza kobietom. Czy nie byłoby pięknie zwiedzić miasto z przyjaciółką, która znałaby jego tajemnice? Która rzuciłaby sarkastyczne uwagi na temat skandalicznie wysokich marży, narzekałaby na to, co wiejący od zatoki wiatr robi z fryzurą i tak dalej? Która absorbowałaby — i doceniała — sekretną witalność, którą Lainie czuła podczas tych siedemnastu miesięcy bez męża? Ale mieszkanki Baltimore są zaskoczone jej pozdrowieniami i nie wszystkie zdobywają się choćby na uśmiech. Mijają godziny, a Lainie czuje się samotna, skazana na status obcego. Wsiada w autobus powrotny. Jakiś mężczyzna idzie przejściem między siedzeniami, mylnie bierze ją za turystkę i próbuje sprzedać jej przewodnik. W jej piersiach ponownie zasupłuje się węzeł. Czy to przez fryzurę? Na Florydzie fryzury „gniazdo os” były modne, ale nie tutaj. Nagle Lainie czuje się głęboko nieszczęśliwa. Chyba przyda się jej przewodnik turystyczny. Lainie kupuje go.

Baltimore, jak karcąco informuje ją przewodnik, zaspokaja potrzeby każdej amerykańskiej rodziny. W takim razie na czym polega jej problem? Tammy będzie zachwycona muzeum sztuki. Timmy pokocha oddział historyczny. Na zachód od miasta jest Zaczarowany Las, jakaś baśniowa atrakcja. Na zdjęciach widać zamki i lasy, księżniczki i czarownice. Dzieci mogłyby tam urządzić latem przyjęcia urodzinowe. Idealna sprawa, nie licząc tak zwanej Dżungli na terenie parku. Samo słowo „dżungla” powoduje, że Richard odkłada gazetę albo zmienia kanał. Po prostu będą musieli uważać, dokąd idą, i tyle.

Podczas jednej z przechadzek dotarła do doków w dzielnicy Fells Point. Próbowwała zapomnieć o tym, ale każdego ranka Spray 'N Steam wypaca z niej prawdę; Lainie się zastanawia, czy Amazonia nie wygotowała Richarda do samego korzenia. To było betonowe popołudnie, w takt stukania statków o nabrzeże. Lainie podążała wzdłuż brzegu rzeki Patapsco, postawiwszy kołnierz aż po szczękę. Żeby tam dotrzeć, wysiadła na przystanku autobusowym zawłaszczonym przez obdartego menela i szła między potłuczonymi butelkami przez najbrzydszą dzielnicę, jaką w życiu widziała. Po drodze napotkała kino i o mało nie kupiła biletu, żeby nie musieć znosić spojrzeń miejscowych, ale na markizie brakowało zbyt wielu żarówek, żeby czuła się komfortowo, a tytuł nie brzmiał zbyt przyjemnie — cyrk dusz czy coś takiego.

Potem znalazła się w odludnym miejscu. Nikt jej tu nie słyszy, więc zaczęła rzucać kłamstwami do zimnej, pluskającej o brzeg wody, aż w końcu nie zostało już nic do powiedzenia: jest szczęśliwa, że jej mąż wrócił. Jest spełniona. Z optymizmem patrzy w przyszłość. Wierzy we wszystkie dane statystyczne zawarte w opublikowanej przez urząd miejski ulotce, którą dał jej Richard. Tylko dwadzieścia procent gospodarstw domowych

w Baltimore posiada samochód, chwalili się, a Richard dał jej słowo, że oni niedługo będą mieli dwa. Powiedział, że ma już dosyć ciągle psującego się thunderbirda i że nie może znieść myśli o tym, iż jego żona musi korzystać z komunikacji publicznej, kiedy on ratuje świat.

W drodze powrotnej na przystanek autobusowy, w dzielnicy, która jej się nie spodobała, Lainie obeszła pracownika miejskiego, który polewał chodnik wodą z węża. Jakie to miłe, pomyślała, że władze miejskie dbają o czystość. Udawała, że nie zauważa, iż mycie chodnika rozsiewa zapachy psiego moczu, zepsutych ryb, gnijących liści, krzepnących ścieków, solonośnych kałuż, spalonego oleju, wydzielin ludzkiego ciała. Ostatnie kłamstwo przed jazdą do domu, jeszcze jedno zagniecenie do wyprasowania.

Bernie prowadzi Gilesa do sali spotkań — w każdym razie Giles na to liczył, ale okazuje się, że jest to tylko wolny pokój, do którego z trudem wciśnięto stół i dwa krzesła. Bernie nie siada, więc Giles też nie. Atmosfera mało towarzyska po uśmiechach i uściskach dłoni w poczekalni, ale z drugiej strony, jak przypomina sobie Giles, jeśli ma tu jakiegoś przyjaciela, to jest nim Bernie Clay, a nie ci bogaci mężczyźni w recepcji, którzy żłopali zmieszane przez niego drinki. Owszem, Bernie uczestniczył przed dwudziestu laty w głosowaniu, w wyniku którego Gilesa wylano z firmy, ale sercem był po jego stronie, a Giles jest świadom, że nie miał prawa oczekiwać od niego poświęcenia — rodzina Berniego też musi coś jeść, prawda?

Wspomnienie wydarzenia, które do tego doprowadziło, przygnębia Gilesa, przede wszystkim ze względu na jego przyziemną przewidywalność; stereotypy są bluźnierstwem dla każdego artysty. Pewien bar w Mount Vernon, policja wpada do środka z pałkami w garści. Podczas nocy spędzonej w areszcie Giles myślał o jednym: ulubioną rubryką gazetową jego ojca zawsze była kronika policyjna. Giles liczył na to, że jego staremu na tyle pogorszył się wzrok, że nie potrafi przeczytać wydrukowanej małą czcionką kroniki, ale ponieważ ojciec już nigdy się z nim później nie kontaktował, Giles wiedział, że jego nadzieja zawiodła. W ciągu tygodnia od zwolnienia go z pracy Giles adoptował swojego pierwszego kota.

Pokątne spotkania z Bernieem stały się istotną częścią pracy Gilesa. Ale jak mógłby się na to skarżyć? Nikomu innemu w firmie, łącznie z panem Kleinem i panem Saundersem, nie podoba się, że Giles współpracuje z nią jako wolny strzelec. Giles przywołuje na twarz duży czerwony uśmiech, jak ojciec rodziny z jego najnowszego obrazu. Znowu coś reklamuję, myśli, tym razem samego siebie.

— Co się, na Boga, stało z Hazel? Nie słyszałem, żeby opuściła choć jeden dzień pracy.

Bernie poluzowuje krawat.

— Nigdy byś nie uwierzył, Gilesy. Ta stara baba robiła maślane oczy do pracownika zakładów butelkowania napojów i wziut, zmykają do Los Angeles. Razem z kontem bankowym.

— Niemożliwe! Ale podejrzewam, że jest szczęśliwa.

— Za to my mniej. Dlatego wszystko się sypie, więc przepraszam za ten pokój, mamy zaległości. Jeśli znasz jakąś dobrą dziewczynę, to daj mi znać, dobra?

Tak się składa, że Giles zna dobrą dziewczynę, której kariera w pewnej totalitarnej placówce badawczej od lat zmierza donikąd. Niestety, odbieranie telefonów nie należy do najmocniejszych stron Elisy. Po tych kilku sekundach, które Giles poświęcił na prywatne rozmyślenia, Bernie zaczyna się niecierpliwić i resztki dobrego nastroju Gilesa wyparowują. Bernie jest sam w pokoju z certyfikowanym czubkiem. Chociaż Giles chętnie pogawędziłby o tym, że w dawnych czasach przemysł reklamowy to była zupełnie inna bajka, nie może sobie pozwolić, aby być dla tego człowieka przyczyną stresu.

— Dobra, pokażę ci, co przygotowałem...

— Naprawdę mam tylko kilka...

Obaj się cieszą, że dźwięk zamka teczki i skrzywienie otwieranej skóry uniemożliwiają Bernieemu dokończenie wypowiedzi. Giles rozkłada płótno na stole i z dumą przeciąga

ramieniem. Ogarnia go jednak panika. Czy światło pod sufitem coś kombinuje? Struktura kostna namalowanej przez niego rodziny jest zbyt wydatna, jakby wypolerowano skórę do Andrzejawej gładkości.

I czy naprawdę narysował cztery głowy bez reszty ciała? Nie zauważył, jakie to upiorne? Nawet kolory nie wyglądają przekonująco, nie licząc żelatyny, która dzięki całonocnemu mieszanemu farby jest magnetyczną apoteozą czerwieni.

— Ta czerwień... — wzdycha Bernie.

— Za bardzo czerwona. Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości.

— Nie o to chodzi. Chociaż usta ojca wyglądają trochę... krwiście. Chodzi ogólnie o kolor. Czerwień wypada. Żadnych hitów nie robimy już na czerwono. Nie mówiłem ci tego? Może nie mówiłem. To przez całe to zamieszanie. Czerwony idzie pod nóż we wszystkich sektorach. Teraz na tapecie jest... Trzymasz się mocno? Teraz na tapecie jest zielony.

— Zielony?

— Rowery. Gitary elektryczne. Płatki śniadaniowe. Cienie do powiek. Nagle zielony to przyszłość. Nawet nowe smaki, zielone od ściany do ściany. Jabłko, arbus, zielone winogrono, pesto, orzechy pistacjowe, mięta.

Giles próbuje nie zwracać uwagi na kwartet szyderczych czaszek i analizuje żelatynę ich pragnień. Czuje się taki durny, taki ślepy. Nie ma znaczenia, czy Bernie wspomniał mu wcześniej o kolorystycznej rewolucji. Gdyby Giles miał choć trochę rozeznania, toby się tak nie wygłupił. W kim może pobudzić apetyt żelatyna tak czerwona, jakby została wykrojona z bijącego serca? Chyba tylko w jakimś ogrze.

— Nie chodzi o mnie, Gilesy — mówi Bernie. — Chodzi o fotografie. Każdy klient, który wchodzi dzisiaj tymi drzwiami, chce sesji fotograficznych, ładnych dziewczyn trzymających hamburgery, zestawy encyklopedyczne czy co tam. Jestem ostatnim człowiekiem w tej firmie, który próbuje sprzedać szefostwu prawdziwą sztukę. Wielka sztuka to wielka sztuka, tak im mówię. A ty, Gilesy, jesteś wielkim artystą. Znajdujesz jeszcze czas na robienie swoich rzeczy?

Obraz jest jak resztki torcika limonkowego z Dixie Doug po odjęciu jaskrawych światek: nienęcący. Giles chowa go do teczki kreślarskiej. W drodze powrotnej ciężar tej teczki nie będzie na niego działał tak pogrzejająco jak podczas jazdy w tę stronę. Swoje rzeczy? Nie, Bernie. Od lat nie maluję nic dla siebie. Przecież jestem zajęty malowaniem i przemalowywaniem żelatyny, której nikt nie chce, niezależnie od tego, jaki jest kolor przyszłości.

Strickland czuje gorący napływ wstydu. Mocz pełzający po pochyłej podłodze to już przesada. Strickland celowo postraszył woźne. Planuje postraszyć wszystkich, którzy mieli dziś w nocy przed oczyma obiekt. Nauczył się tej metody od generała Hoyta, kiedy stacjonowali w Tokio. Przy pierwszym spotkaniu z podwładnym pokaż mu, jak niewiele dla ciebie znaczy. Kiedy tylko zobaczył czarnoskórą woźną, zgięte plecy białej woźnej i pisuar, pomysł zrodził się samoczynnie. Ale to jest odrażające. Szczanie na ziemię — tak robił w Amazonii. Całym swoim jestestwem pragnie teraz czystości, a tutaj patrzcie — dosłownie na nią sika.

Sprawdza przez ramię i dokładnie przygląda się tej małej. Ma szczerą twarz. Bez tej całej tapety, którą nakłada sobie Lainie. Strickland czuje się przez to jeszcze gorzej. Pogania swój pęcherz, żeby się opróżnić. Rozgląda się za czymś, co mógłby jeszcze zrobić. Znajduje elektrycznego pastucha. Obie kobiety na pewno zauważyły paralizator. Strickland po długich targach kupił go przed wyjazdem do Brazylii od farmera, a raczej chłopca, który ledwo mówił po angielsku, ale znał slangową nazwę elektrycznego pastucha: „Pozdrowienia z Alabamy”. Ten instrument naprawdę mu pomógł w nakłanianiu obiektu do wejścia albo wyjścia z basenu, kiedy ten nie chciał tego zrobić po dobroci. Do jednego z mosiężnych szpikulców przywarła pękata, ciemnoczerwona kropla krwi. Teraz rozprzestrzenia się po białej porcelanie. Umywałkę Strickland też upaprał.

Żeby nie myśleć o odrazie do siebie samego, zaczyna mówić sympatyczniejszym tonem.

— To tutaj to jest przemysłowy model Farm-Master 30 z 1954 roku. Nie ten nowoczesny szajs z włókna szklanego. Stalowy trzon, dębowy uchwyt. Zmienne napięcie w zakresie od 500 do 10 tysięcy woltów. Możecie obejrzeć, moje panie, ale nie dotykajcie.

Twarz mu płonie. Jego prezentacja brzmi tak, jakby mówił o swoim fiucie. Obrzydliwe, obrzydliwe. A gdyby Timmy go usłyszał? A gdyby Tammy go usłyszała? Strickland kocha swoje dzieci, chociaż boi się je dotykać, boi się je skrzywdzić. Mogą go oceniać tylko po tym, co wychodzi z jego ust. Zakwita w nim gniew na te kobiety za to, że są świadkami jego brzydoty. To oczywiście nie ich wina, że przebywają w tym pomieszczeniu, ale jest ich winą, że wykonują tę pracę, prawda? Że postawiły się w tym położeniu? Spada ostatnia kropla moczu. Strickland myśli o brzemiennej cebulce krwi wiszącej na „Pozdrowieniach z Alabamy”.

Strickland cofa biodra, chowa koszulę w spodniach i zapina je z bulwersującym zgrzytem. Kobiety odwracają wzrok. Czy te plamki na jego spodniach to mocz? Strickland upomina siebie samego, że nie jest w dżungli. Teraz musi cały czas myśleć o takich rzeczach. Chce uciec z tego nazbyt jasnego pomieszczenia, które zapaskudził. Dokończ sprawę, nakazuje sobie.

— Obie słyszałyście, co ten człowiek powiedział w laboratorium. Mam nadzieję, że nie muszę tego powtarzać.

— Mamy dopuszczenie — mówi Murzynka.

— Wiem, że macie dopuszczenie. Sprawdziłem to.

— Tak, proszę pana.

— Sprawdzenie tego to mój obowiązek.

— Przepraszam, proszę pana.

Dlaczego ta kobieta utrudnia mu sprawę? Dlaczego druga kobieta, o wiele ładniejsza

i łagodniejsza, w ogóle się nie odzywa? W ubikacji czuć bagnem. Jego wyobrażenia najwyraźniej płata mu figle. Serce mu wali. Strickland sięga po maczetę, której tu nie ma. Ale pastuch może ją godnie zastąpić. Strickland pragnie owinąć wokół niego palce. Przez zaciśnięte zęby przepycha prychnięcie śmiechu.

— Proszę posłuchać, nie jestem jakimś rasistą z Południa. Szczerze uważam, że Murzyni mają swoje miejsce. W pracy, w szkołach, te same prawa co biali. Ale musicie popracować nad słownictwem. Czy pani siebie słyszy? Ciągłe pani powtarza te same słowa. Walczyłem ramię w ramię z Murzynem, który stanął przed sądem wojennym za coś, czego nie zrobił, bo kiedy sędzia chciał usłyszeć jego historię, on nie potrafił wydusić z siebie niczego poza „Tak, proszę pana” i „Nie, proszę pana”. To dlatego tak wielu takich jak pani siedzi w więzieniu. Niech pani nie bierze tego do siebie. Słyszałem, że w przyszłym miesiącu zamykają Alcatraz i teraz nie ma tam prawie żadnych Murzynów, a trzymają tam najgorszych przestępców w tym kraju. To jest powód do chluby dla pani rasy. Powinna pani być dumna.

Co on pieprzy? Alcatraz? Woźne na pewno uważają go za debila. Jak tylko wyjdzie, ubikacja eksploduje ich śmiechem. Pot leje mu się po twarzy. Ściany pomieszczenia go osaczają, temperatura wynosi chyba ze 150 stopni. Strickland kiwa głową, zauważa torebkę z landrynkami, bierze ją i wkłada rękę do środka. Nie umył wcześniej rąk. Kto jak kto, ale woźne to zauważą. Obrzydliwe, obrzydliwe. Bierze do ust zieloną kulkę. Rzuca wgapionym w niego kobietom ostatnie spojrzenie.

— Któraś z pań ma ochotę na cukierka?

Ale zielona kulka jest jak końska uzda. On sam nie rozumie ani słowa ze swojego pytania. Na bank będą się z niego śmiały. Do cholery z woźnymi. Do cholery ze wszystkimi. Z naukowcami będzie musiał być ostrzejszy, żeby nie było takiej wtopy jak tutaj. Occam nie różni się od „Josefiny”. Wszyscy muszą wiedzieć, kto tu rządzi: Strickland, nie David Fleming, lokaj Pentagonu, ani doktor Bob Hoffstetler, poczciwy biolog. Strickland obraca się na pięcie. Jest ślisko. Strickland ma nadzieję, że to woda z mydlinami, a nie mocz. Chrupie landrynkę, żeby nie słyszeć własnych mokrych kroków i zabiera ze zlewu elektrycznego pastucha. Cebulka krwi prawdopodobnie spadnie. Woźne ją zetrą, ale zapamiętają to sobie. Zapamiętają jego. Obrzydliwe, obrzydliwe.

Cukierkowa oferta Stricklanda tylko przydaje tej odrażającej scenie chorej słodyczy. Elisa straciła apetyt na cukierki w wieku, w którym większość dzieci gotowa byłaby dla nich zabić. Nawet potwornie słodkie torciki, które Giles w nią wmusza w Dixie Doug, drapią ją w gardło. Elisa przypomina sobie genezę tej awersji z perspektywy bobasa wpatzonego w dorosłe gorgony równie nieprzeniknione jak Strickland. W oczach tych wczesnych opiekunów Elisa nie była niepełnosprawna, tylko głupia i uparta jak osioł. Sierociniec nosił rozczulającą nazwę **DOM DLA KOCHANYCH PĘDRAKÓW W BALTIMORE**, ale mieszkańcy placówki skrócili ją do słowa „Dom”, co było dosyć paradoksalne, jeśli zważyć, jakie atrybuty standardowo przypisuje się domowi w książeczkach dla dzieci. Fizyczne i psychiczne bezpieczeństwo. Komfort. Radość. Huśtawki. Piaskownice. Przytulanie.

Starsze dzieci pokazywały młodszym budynki gospodarcze, w których można było znaleźć sprzęty z pierwotną nazwą domu: **SZKOŁA FENZLERA DLA SŁABYCH NA UMYŚLE I UPOŚLEDZONYCH**. Kiedy pojawiła się Elisa, dzieci, które niegdyś stygmatyzowano jako „mongoloidów”, „obłąkańców” albo „ułamnych”, teraz funkcjonowały pod nazwą „opóźnionych w rozwoju”, „nierozgarniętych” albo „wykolejonych”. W odróżnieniu od dwóch innych sierocińców w tej samej dzielnicy, żydowskiego i katolickiego, misją Domu było zachowanie podopiecznych przy życiu, ale tylko ledwo ledwo, aby po wyjściu w wieku osiemnastu lat na ulicę mogli znaleźć podłą pracę i służyć lepszym od siebie.

Dzieci z Domu mogły się zjednoczyć, tak jak mogliby się zjednoczyć woźni z Occam. Jednak niedobór jedzenia i uczuć sprawiał, że okrucieństwo krążyło jak wirus przeziębienia i każde dziecko znało słabe punkty swoich rywali. Skazali cię na Dom, bo twoi starzy wylądowali w przytułku dla ubogich? Jesteś Betty bez Chleba. Twoi rodzice nie żyją? Jesteś Gilbert Cmentarny. Imigrant? Jesteś Czerwona Róża, Harold Hun. Prawdziwe imiona i nazwiska niektórych dzieci Elisa poznała dopiero w dniu, kiedy wyrzucono je za drzwi.

Przydomek Elisy brzmiał „Mama”, chociaż opiekunki lepiej zapamiętywały ją jako „22”. Numery porządkowały nieuporządkowany świat niechcianych dzieci, toteż przypisywano je wszystkim sierotom. Numerowane były również wszystkie ich rzeczy, dzięki czemu łatwo było określić winowajcę, jeśli coś twojego pojawiło się tam, gdzie nie powinno się pojawić. Ostracyzowane dzieci takie jak Mama mogły mówić o wyjątkowym pechu. Wystarczyło, żeby jej przeciwnicy złożyli jej koc w kostkę, wynieśli pod płaszczem na zewnątrz i wrzucili do błota, a potem patrzyli, jak władze identyfikują numer 22 i podejmują czynności dyscyplinarne.

Karę mogła wymierzyć dowolna opiekunka, ale dyrektorka chętnie brała ten obowiązek na siebie. Nie była właścicielką Domu, ale poza nim nic w życiu nie miała. Już w wieku trzech lat Elisa intuicyjnie wyczuła, że dyrektorka traktuje niesforną trzódkę jako odbicie swojego niestabilnego umysłu, toteż jeśli nie chce zwariować, musi wprowadzić ostry reżim. Ta metoda się nie sprawdzała. Dyrektorka śmiała się tak głośno, że doprowadzała najmniejsze dzieci do płaczu, a potem gwałtownie szlochała, co jeszcze bardziej je przerażało. Nosila przy sobie witkę do bicia po nogach i rękach, linijkę do dawania po łapach i butelkę rycyny, którą na siłę wlewała w swoich podopiecznych.

Dyrektorka zdradliwie nosiła przy sobie również cukierki. Ponieważ była ciężko uzależniona

od błagalnych i płaczących reakcji, milczącą Mamę gnębiła jeszcze bardziej od innych. Nazywała ją niepoprawnym małym potworem. Skryta zaraza, coś knuje. Jeszcze gorsze były dni, kiedy dyrektorka zachowywała się odwrotnie — swoje siwe włosy zawiązywała kokardkami w dwa wysoce niestosowne kucyki, przypierała Elisę do muru i pytała, czy chciałaby pobawić się lalkami. Przerazona Elisa udawała, że angażuje się w zabawę, a dyrektorka ją pytała, czy jakieś niegrzeczne dziewczynki moczą się w nocy. To wtedy pojawiały się cukierki. Nie ma niczego złego w zdradzaniu tajemnic, mówiła dyrektorka. Tylko mi pokaż, które to dzieci, żebym mogła się z nimi rozprawić. Elisa czuła się jak w pułapce. Bo to była pułapka. Tak samo jak pan Strickland szeleszczący celofanową torebką. W ten czy inny sposób wszystkie oferowane słodycze to trucizna.

Elisa dorastała. Dwanaście, trzynaście, czternaście lat. Siedziała sama przy saturatorze, osobno od innych dziewczyn, i słuchała, jak rozmawiają o picciu alkoholu; woda w jej szklance miała smak mydła. Elisa słuchała, jak dziewczyny rozmawiają o lekcjach tańca; musiała mocno zacisnąć dłonie na miseczce z lodami, żeby nie zacząć walić pięścią w stół. Słuchała, jak rozmawiają o całowaniu. Jedna z dziewczyn powiedziała: „Dzięki niemu czuję się kimś” i Elisa rozmyślała o tym miesiącami. Jak to jest czuć się kimś? Istnieć nie tylko we własnym świecie, ale również w czyimś innym?

Za innymi dziewczynami poszła na przykład do Arcade Cinema Marquee. Nigdy wcześniej nie była w kinie. Kupiła bilet i czekała, aż ją wyproszą. Na wybieraniu miejsca spędziła pięć minut, jakby to miało określić całą jej drogę życiową. I może określiło: wyświetlali *Rocznika* i chociaż Elisa z Gilesem naśmiewali się z kiczowatego sentymentalizmu tego filmu, to kiedy oglądali go po latach w telewizji, dla niej było to doświadczenie religijne, jakiego nigdy nie przeżyła w ławce kościelnej. Kino było miejscem, w którym fantazja wypierała prawdziwe życie, w którym było za ciemno, żeby zobaczyć blizny, a milczenie było nie tylko akceptowane, ale również egzekwowane przez uzbrojonych w latarki bileterów. Przez dwie godziny i osiem minut Elisa czuła się dobrze.

Drugi film, który obejrzała, nosił tytuł *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*. Na tę fizjologiczną, rozgorączkowaną magmę seksu i przemocy, na ten nihilizm nie przygotowało ją nic z biblioteki Domu, żadne słowo usłyszane od dorosłych czy od innych dziewczyn. Całkiem niedawno skończyła się druga wojna światowa, w związku z czym ulice Baltimore kłębiły się od schludnie ostrzyżonych żołnierzy, na których Elisa w drodze powrotnej z kina patrzyła inaczej i wydawało się jej, że oni patrzą inaczej na nią. Jej interakcje były jednak porażką. Młodzi mężczyźni nie mieli cierpliwości do flirtowania palcami.

Według jej własnych szacunkowych obliczeń w ciągu ostatnich trzech lat spędzonych w sierocińcu dyskretnie poszła do Arcade mniej więcej sto pięćdziesiąt razy. To było, zanim kino zaczęło podupadać; zanim tynk zaczął odłupywać się od sufitu; zanim zdesperowany pan Arzounian zaczął wyświetlać filmy dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. To była jej edukacja — jej prawdziwa edukacja. Cary Grant i Ingrid Bergman z trudem łapią powietrze spleceni ze sobą w *Oslawionej*. Olivia de Havilland wyrzywa się obłąkanym kobietom w *Siedlisku węży*. Montgomery Clift przedziera się przez zasłony pyłu w *Rzecz Czerwonej*. Elisa została w końcu przygwożdżona przez biletera, kiedy próbowała się dostać na *Przepraszam, pomyłka*, ale na tym etapie nie miało to już znaczenia. Dzielili ją już tylko dwa tygodnie od dnia, który Dom uznał za jej osiemnaste urodziny. Miała zostać wykopana i zmuszona znaleźć dla siebie jakieś miejsce — i sposób — do życia. Przerazające, ale również niesamowite: mogła sama kupować sobie bilety, szukać ludzi, z którymi mogłaby wspólnie dyszeć, albo im się

wyrywać, albo po prostu przedzierać się przez tłum.

Rozmawiając z Elisą przed jej wyjściem, dyrektorka paliła papierosa i chodziła tam i z powrotem po swoim biurze. Była wściekła, że Elisa przeżyła. Miejscowa organizacja kobieca zapewniała opuszczającym Dom pieniądze na jednomiesięczny czynsz i walizkę z tanimi ubraniami. Elisa miała na sobie swoją ulubioną butelkowiezieloną wełnianą sukienkę z kieszeniami. Potrzebowała tylko chustki, żeby ukryć blizny. Dopisała to do swojej zatłoczonej mentalnej listy: „Kupić chustkę”.

— Zanim przyjdą święta, będziesz kurwą — zapewniała dyrektorka.

Elisa zadygotała zachwycona, że ta groźba jej nie wystraszyła. Dlaczego miałyby ją wystraszyć? Widziała dostatecznie dużo hollywoodzkich filmów, aby wiedzieć, że wszystkie dziwki mają serca ze złota i prędzej czy później jakiś Clark Gable, Clive Brook czy Leslie Howard zauważy ten blask. Być może właśnie te rozważania sprawiły, że po ostatecznym wyjściu z sierocińca nie poszła do schroniska dla kobiet, lecz do swojego ulubionego miejsca na świecie, czyli Arcade Cinema Marquee. Nie było jej stać na obejrzenie *Joanny d'Arc* z Ingrid Bergman, ale niczego bardziej nie pragnęła niż zatopić się w obiecanej na plakacie „tysięcznej obsadzie” — od tłumy mieszkańców Baltimore, do którego należała teraz Elisa, różniące się tylko tym, że bezpiecznie istniała tylko na ekranie.

Wysupłując z portmonetki czterdzieści centów, poczuła się tak nieodpowiedzialnie, że spuściła głowę, dzięki czemu zauważyła niezbyt fortunnie umieszczone ogłoszenie: **POKÓJ DO WYNAJĘCIA — PYTAĆ W ŚRODKU**. Nie wahała się ani chwili. Wiele tygodni później, kiedy od przymusowej wyprowadzki dzielił ją jeden więcej niezapłacony czynsz, zobaczyła ogłoszenie o pracy dla woźnego w Ośrodku Badań Kosmicznych Occam. Napisała podanie, wyznaczono jej termin rozmowy kwalifikacyjnej i kiedy nadszedł ten dzień, przez całe przedpołudnie prasowała butelkowiezieloną sukienkę i studiowała rozkład jazdy autobusów. Godzinę przed planowanym wyjazdem katastrofa: wielkie srebrne kosy deszczu, a Elisa nie miała parasola. Spanikowała, usiłowała się nie rozplakać i nagle dotarły do jej świadomości hałasy dochodzące z drugiego mieszkania w Arcade. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który tam mieszkał, chociaż zawsze był w domu — najwyraźniej jakiś odludek. Nie mogła już sobie pozwolić na luksus ostrożności. Zapukała do jęgo drzwi.

Spodziewała się człowieka przysadzystego, włochoatego, nieogolonego i szyderczego, ale jegomość, który jej otworzył, wyglądał jak arystokrata, wsunięty niczym list do koperty złożonej z marynarki, swetra, kamizelki i koszuli, na oko pięćdziesięcioletek, ale z roziskrzonymi oczami za okularami. Zamrugał i roztargnionym gestem dotknął swojej łysej głowy, jakby zapomniał włożyć kapelusz. Potem zauważył jej zestresowaną minę i uśmiechnął się życzliwie.

— Ojej, dzień dobry, witam. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Elisa dotknęła szyi w ramach przeprosin, a potem zrobiła znak „parasol”, intuicyjny. Zaskoczenie mężczyzny jej niemością trwało tylko kilka sekund.

— Parasol! Oczywiście! Proszę wejść, moja droga, wyczaruję go z tej całej hałdy śmieci jak Eskalibura z kamienia.

Dał nura w głąb mieszkania. Elisa się zawahała. Nigdy nie była wewnątrz domu, który nie byłby Domem; pochyliła się do przodu i zobaczyła wybudzące, niewyraźne kształty rozfalowane przez czmychające koty.

— Pani jest oczywiście tą nową lokatorką. Jakie to niegościnne z mojej strony, że do tej pory nie odwiedziłem pani z tradycyjnym talerzem ciasteczek. Obawiam się, że moim jedynym wytłumaczeniem jest termin, który przygwoździł mnie do biurka.

Rzeczony biurko nie wyglądało jak biurko. Był to blat stołu przymocowany do ściany na zawiasach, dzięki czemu można było regulować kąt nachylenia. Ten człowiek musi być artystą. Elisa poczuła przywiane z wiatrem świerzbienie. Na środku stołu leżał niedokończony wizerunek kobiety od ramienia w górę, skoncentrowany przede wszystkim na puklach jej włosów. Opis poniżej brzmiał: **KONIEC Z MATOWYMI SZARYMI WŁOSAMI**.

— Niech pani nie bierze sobie do serca mojego karygodnego zaniedbania i da mi znać, gdyby pani czegoś potrzebowała, aczkolwiek rekomenduję załatwienie sobie własnego parasola. Jak widzę, ma pani rozkład jazdy autobusów, a odległość do przystanku trudno uznać za optymalną. Jak pani z pewnością zauważyła, Arcade Apartments mają wiele cech, które trudno uznać za optymalne. Ale *carpe diem* i wszystkie inne piękne maksymy. Ufam, że dobrze sobie pani radzi?

Przerwał dziabanie pędzlem płótna i spojrzał na Elisę, żeby sprawdzić jej odpowiedź. Spodziewała się tego. Jak ludzie rozpędzą się z mówieniem, to często zapominają o niepełnosprawności, nad którą postanowili się wcześniej z troską pochylić. Ale ten człowiek się uśmiechnął, rozciągając cienkie brązowe wąsy niczym ramiona, które otwierają się na powitanie.

— Zawsze chciałem się nauczyć języka migowego. Pani mi podsuwa wspaniały pretekst.

Łzy smutku, które Elisa od wielu tygodni tamowała, powinny trysnąć teraz wdzięcznym gejzerem, ale powstrzymała je w sobie. Nie miała czasu na poprawianie makijażu. Tłumienie płaczu stało się jeszcze trudniejsze, kiedy sąsiad — Giles Gunderson, jak się pompatycznie przedstawił — zlokalizował parasol, postanowił, że ją zawiezie i machnął ręką na jej migane protesty. Po drodze zabawił ją opowieścią o tym, że słowo „woźny”² pochodzi od Janusa, boga wejść i wyjść, i przerwał swój wykład dopiero w chwili, kiedy ochroniarz z Occam ustalił, że nazwiska Gilesa nie ma na liście. Pokazał jej, żeby wysiadła z furgonetki na zacinający deszcz.

— „Dokądkolwiek się ruszysz, losu pomyślność / Ciśnie za tobą swój stary but” — zawołał za nią Giles. — Alfred Lord Tennyson!

„Buty” — powtórzyła w myślach, nie odrywając oczu od swoich brzydkich, odziedziczonych trepów, które kłapały po mokrym od deszczu chodniku. — „Jeśli dostanę tę pracę, kupię sobie ładną parę butów”.

Tajemnicze nadejście Stricklanda wyparło opowieści o Brewsterze jako preferowany temat rozmowy. Elisa nie potrafi przestać myśleć o tym, co zobaczyła w kapsule, ale nie przekazuje tego Zeldzie — wspomnienie to z każdym dniem wydaje się jej coraz bardziej niedorzeczne. Zelda rozładowała jednak napięcie, nabijając się ze wszystkiego innego, za co Elisa jest jej wdzięczna. Zelda powiedziała na przykład, że Fleming nazywa uzbrojonych ochroniarzy Stricklanda żandarmami, chociaż lepsze byłoby Pustaki³, ponieważ milczący, srodzy żołnierze nie wykazują żadnych inklinacji do samodzielnych działań. Pustaki mają tę zaletę, że Elisie i Zeldzie łatwo jest ich omijać, ponieważ przemieszczają się skrzypiącym marszowym krokiem, który jest poza zasięgiem możliwości wymoczkowatych naukowców. Nawet w tej chwili słyszą ten charakterystyczny dźwięk i natychmiast skręcają w korytarz, który normalnie zostawiają sobie na później.

— Nawet kiedy Pustaki nie są na wojennej ścieżce, dokładnie wiemy, gdzie się znajdują — mówi Zelda. — Oddychają razem, zauważyłaś? To jest jak wydmuch powietrza z wentylatorów, idzie ze wszystkich naraz. Szysz. Coś ci powiem: dlaczego z wszystkimi tymi dodatkowymi ludźmi jest tak samo cicho jak przedtem? To nie jest normalne.

Zanim Elisa zaczyna odpowiadać, rzeczona cisza, przez dekadę niezakłócona, z hukiem rozpada się na pół. W okolicy, w której mieszka Elisa, taki dźwięk kazałby jej rozejrzeć się za samochodem, który mógł strzelić z gaźnika, a gdyby go nie zobaczyła, poszukać jakiegoś schronienia z obawy przed zorganizowaną przestępczością, o której krążyło mnóstwo opowieści. Huk w Occam jest tak zaskakujący, jakby jego źródłem była katastrofa statku kosmicznego. Zelda chowa się za swoim wózkiem, jak gdyby tani plastik i żrące płyny mogły ją ochronić.

Kolejne huknięcie, potem następne. To nie są chaotyczne odgłosy upuszczania jakichś przedmiotów. Mają mechaniczne korzenie i uruchamia je mechanizm spustowy — inaczej mówiąc, Elisa nie ma innego wyboru, jak tylko skonstatować, że słyszy wystrzały. Potem rozlegają się krzyki, a także królicze tętno biegnących stóp. Oba te hałasy tłumią drzwi najbliższego pomieszczenia, czyli oczywiście F-1.

— Na ziemię! — woła Zelda.

Zelda wydaje ten rozkaz również migowo i Elisa dławi się przyplływem miłości do tej kobiety. Zdaje sobie sprawę, że rzeczywiście nadal stoi. Drzwi się otwierają, uderzają o ścianę z dźwiękiem dorównującym głośnością czwartemu wystrzałowi. Zelda się kuli, jakby została trafiona, przewraca się na biodro i krzyżuje ręce nad twarzą. Elisa czuje jedno szarpnięcie ciała, a potem zastyga na widok liczebności, szybkości i siły tłumy, który wylewa się na korytarz. Na przodzie biegnie Fleming. Jego grymas znają wszyscy, którzy go widzieli przesadnie reagującego na zatkaną ubikację albo kałużę na korytarzu, z tą różnicą, że teraz ma krwawe odciski dłoni na rękawach. Trzeci wybiega Bob Hoffstetler, najbardziej roztrzęsiony ze wszystkich, okulary ma przekrzywione, a przerzedzona siateczka włosów sterczy jak ściernisko. Hoffstetler trzyma w ręku jakąś czerwoną, nasiąkniętą szmatę, która może być wszystkim — ręcznikiem, smokingiem, podkoszulkiem. Jego oczy, zazwyczaj życzliwe, miotają w Elisę pociskami.

— Niech pani wezwie pogotowie!

Akcent, zazwyczaj delikatny, w warunkach bojowych robi się chrapliwy.

Pomiędzy tymi regularnych rozmiarów osobnikami znajduje się Strickland, głębokie doliny jego oczu płoną, a usta są mocno zaciśnięte na nadgarstku lewego ramienia, które wbrew oczekiwaniom nie kończy się dłonią, lecz bukietem palców sterzących pod dziwnymi kątami, obrzyganych krwią i najeżonych strzępkami skóry. Krew kapie na podłogę głośno jak kulki łożyska. Elisa wpatruje się w te rubinowe paciorki; ich wytarcie należy do niej.

Pustaki pędzą przed siebie, kopiąc paciorki krwi. Ochroniarze Stricklanda odrywają się od niego z obu stron i podchodzą do Elisy i Zeldy z karabinami wyciągniętymi do przodu jak laski tancerzy. To jest kontrola tłumu. To jest oczyszczanie terenu. Elisa chwytając za swój wózek, obraca go w drugą stronę i poznaje po spychającym wózek z optymalnego toru jazdy uślizgu, że tylne kółka zostały całkowicie pozbawione bieżnika.

Pierwszy dociera do kafeterii Antonio, aby zapytać, czy wszystko jest w porządku. Jego zezowate oczy zadają to pytanie jednocześnie Elisie i Zeldzie, ale Zelda doskonale wie, że to ona musi odpowiedzieć. Upłynęło już tyle czasu, a załoga nie zdołała się nauczyć choćby alfabetu języka migowego. Zelda ma już tego dosyć. Nie chce tutaj rządzić, ani w domu, ani gdziekolwiek. To zbyt ciężkie. Popatrzcie na jej dłonie — trzęsą się. Zelda ukrywa to, stając twarzą w stronę automatu, ogląda geometryczne kanapki i nadgniłe owoce, jakby czekała ją kolejna rutynowa kolacja o trzeciej w nocy.

Następnie przychodzi Duane, bezzębny jak traszka i tak samo piskliwy. Ich przerażoną milkliwość rekompensuje Yolanda, która wpada jak burza i grzmi, że to brzmiało jak strzelanina w barze, ona nie może pracować w takich warunkach, zaczyna się zastanawiać nad bla bla bla... Zelda pozwala, żeby wzrok jej się rozmazał. Po chwili widzi już tylko kontury sterowanych monetami przegródek automatu, każda z maciupenkimi drzwiczkami w stylu Alicji w Krainie Czarów. Gdyby Zelda mogła się skurczyć, to przeczołgałaby się przez jedno z tych drzwiczek i spieprzyła stąd. A tak musi w kółko przerabiać w głowie krwawą erupcję w F-1. Próbuje wzbudzić w sobie współczucie dla pana Stricklanda, który być może nie będzie w stanie rozpiąć rozporka, kiedy następnym razem odwiedzi męską ubikację. Ta próba rozniecienia w sobie współczucia przypomina rąbanie bloku lodu dłonią. Ten człowiek nie ma najmniejszych szans wyobrazić sobie, jak się czuje czarnoskóra kobieta przyparta do muru przez białego mężczyznę z elektrycznym pastuchem w dłoni. Zelda podnosi wzrok i zauważa Lucille, która ze względu na swój albinizm trochę zlewa się ze ścianami kafeterii.

— Patrzcie, nawet Lucille jest roztrzęsiona! — woła Yolanda. — *Qué pasa?*

Zelda się odwraca. Unikała tego tematu. Nie chce w tej chwili patrzeć na Elisę. Bardzo kocha tę chudzinę, ale nie potrafi pozbyć się przekonania, że to jej wina. To ona nalegała, aby wykonały zawarte w lckz polecenie wejścia do F-1, przez które mają przechlapane u Stricklanda. Zelda nie potrafi oprzeć się myśli, że Elisa celowo zatrzymała się na dłużej koło F-1, toteż znajdowały się w najgorszym możliwym miejscu, kiedy zaczęła się strzelanina.

Elisa więdnie na krześle, jakby Zelda waliła ją pięściami w piersi. Zelda czuje się okropnie, a potem nakazuje sobie przestać czuć się okropnie. Elisa to dobra kobieta, ale nigdy tego nie zrozumie. Jak miałyby zrozumieć? Jeśli w Occam coś pójdzie nie tak, nie zrzucą winy na białą kobietę. Kurde, Elisa chowa do kieszeni znajdowane w laboratoriach drobniaki, jakby nic jej za to nie groziło. A co, jeśli to jest pułapka? Elisie nie przychodzi to nawet do głowy. A co, jeśli jakiś naukowiec zostawił monetę po to, żeby sprawdzić nocnych woźnych? Jeśli moneta zniknie i naukowiec poinformuje o tym Fleminga, to chyba łatwo się domyślić, czyja głowa poleci.

Elisa żyje we własnym świecie. Łatwo to poznać po jej butach. Zelda podejrzewa, że świat widziany przez Elisę wygląda jak muzealna diorama, idealna rzeczywistość, która łatwo się niszczy, ale jeśli ktoś ostrożnie chodzi, to nic jej się nie stanie. To nie jest świat Zeldy. Kiedy ona włącza telewizor, widzi czarnych, którzy maszerują i dźgają rękami kipiące od gniewu powietrze. Kiedy Brewster widzi taki materiał, zmienia kanał, a Zelda jest mu w głębi serca wdzięczna, nawet jeżeli to świadczy o braku kręgosłupa. Kiedy gdzieś w Ameryce dojdzie do zamieszek na tle rasowym, następnego dnia rano przy zegarze do podbijania kart na Zeldę

spadają zabójcze spojrzenia. W całym kraju tacy mężczyźni jak David Fleming szukają powodów do zwolnienia takich kobiet jak Zelda Fuller.

Co innego mogłaby robić? Mieszka w Old West Baltimore od urodzenia, szeregowa zabudowa w gruncie rzeczy się od tego czasu nie zmieniła. Poza tym, że dzielnica jest dzisiaj bardziej zatłoczona i panuje w niej większa segregacja rasowa. Zelda rozumie trzymanie się czarnych razem i ucieczki białych, ale ma to gdzieś. Marzy o przedmieściach. Czuje sosnowo-marmoladowy zapach powietrza, który usuwa z jej ciała toksyny Occam. Mieszkając tam, nie będzie pracowała w Occam — za daleko. Będzie prowadziła własną firmę sprzątającą. Mówiła o tym Elisie ze sto razy, zabierze Elisę ze sobą, zatrudni inne bystre kobiety i będzie im uczciwie płaciła, jak nie płaci żaden mężczyzna. Wciąż czeka na to, żeby Elisa potraktowała te plany poważnie. Ale trudno mieć jej za złe, że nie traktuje. Jak Zelda miałaby zarobić tyle forsy, skoro Brewster pracuje tylko wtedy, kiedy mu się zachce? Który bank udzieliłby czarnej kobiecie pożyczki na założenie firmy?

Zelda podejrzewa, że za dnia kafeteria jest rajem białego mężczyzny, pełnym wygłupów i jowialności, ale w nocy jest tu pusto i głucho jak w jaskini. Z korytarza słychać odgłos zbliżających się kroków. To Fleming, w jego zdecydowanym kroku pobrzmiwa ostatni awans. Zelda patrzy na Elisę, swoją najlepszą przyjaciółkę, swoją potencjalną destruktorkę, i czuje, że marzenia o wydostaniu się z Old West Baltimore i Occam zaczynają skapywać na podłogę jak krew z bolców elektrycznego pastucha Stricklanda.

— Nieźle się wpakowaliśmy, dziewczyny. Po same uszy.

Scena zbrodni nadal wibruje przeżyta męką. Chociaż nikt jej o to nie poprosił, Elisa zanurza mop w pianistej wodzie, wyciska go i przeciąga nim po klinie krwi. Pan Fleming wydaje w tym czasie rozkazy Zeldzie. Zawsze wybiera właśnie ją. Zelda przynajmniej potrafi werbalnie zasygnalizować, że zrozumiała polecenie.

— Natychmiast potrzebuję was obu w F-1 — kontynuuje Fleming. — Sytuacja awaryjna. Żadnych pytań, proszę. Po prostu zróbcie, co każę. Zróbcie to dobrze, ale szybko. Mamy mało czasu.

— Co mamy zrobić? — pyta Zelda.

— Pójdzie nam szybciej, jeśli będziesz po prostu słuchała, Zelda. Na podłodze jest... materia organiczna. Może też na stołach. Sprawdźcie. Nie muszę wam tego tłumaczyć. Wiecie, jak się wykonuje tę pracę. Po prostu wszystko to usuńcie.

Elisa zerka w stronę drzwi. Na gałce jest krew.

— Tak, ale... czy będziemy...

— Co ci mówiłem, Zelda? Nie wysyłałbym was tam, gdybyście nie były całkowicie bezpieczne. Tylko trzymajcie się z daleka od kapsuły. Chodzi mi o ten duży metalowy obiekt, który sprowadził pan Strickland. Nie podchodźcie do kapsuły. Nie ma powodu, żeby którakolwiek z was zbliżała się do kapsuły. Zrozumiano? Zelda? Elisa?

— Tak, proszę pana — mówi Zelda, a Elisa kiwa głową.

Fleming zamierza kontynuować, ale potem sprawdza na zegarku godzinę. Rzucone na odchodnym zdawkowe słowa zdradzają niepokojącą utratę oratorskiej weny.

— Piętnaście minut. Na błysk. Całkowita dyskrecja.

Laboratorium nie jest już uporządkowane i oszczędnie urządzone. Z betonowej podłogi wyrósł zagajnik metalowych masztów i palisad zbudowanych z żelaznych kółek, do których można przywiązać jakiś obiekt albo żywą istotę. Wózki z czymś, co wygląda na sprzęt medyczny, ciągną się od beżowego komputera jak technologiczne tumory. Na środku pomieszczenia stoi stół z kółkami ustawionymi w czterech różnych kierunkach. Narzędzia chirurgiczne są porozrzucane po podłodze jak wybite zęby. Szuflady są otwarte, zlewy pełne, papierosy sączą dym. Jeden tli się na podłodze. Ciężka praca jak zawsze koncentruje się przede wszystkim na podłodze.

Krew jest wszędzie. Wodząc po niej wzrokiem, Elisa myśli o zrobionych z samolotu zdjęciach zalanych nizin. Sadržawka krwi wielkości kołpaka krzepnie pod rozjarzonymi światłami. Mniejsze stawy, jeziora i laguny znaczą trasę przejścia pana Stricklanda do drzwi. Zelda pcha swój wózek przez jedno z jezior i krzywi się na widok krwi, którą zostawiają za sobą plastikowe kółka. Elisa powiela ten ruch, ponieważ jest za bardzo zdziwiona, żeby wymyślić sprytniejszy plan.

Piętnaście minut. Elisa rozlewa wodę na podłogę. Woda się ślizga, uderza w rozbryzgi krwi, daje życie różowym wiatraczkom. Tak Elisę nauczono w Domu: tak należy postępować w każdym obszarze życia. Rozrzedzić tajemnicę życia, fascynację, żądzę, zgrozę, aż w końcu przestaniesz to wszystko kwestionować. Sięga mopem na środek tej mazi i rozsmarowuje ją na wszystkie strony, sznurki mopa pęcznią i ciemnieją. To normalne. Również dźwięk jest

normalny — mokry plask, wilgotne siorbnięcie — i Elisa skupia się na nim. To zwęglenie betonu może pochodzić od wystrzału Pustaków. Zetrzyj je mopem. A to jest ślad elektrycznego pastucha, pół tony zagrożenia, nie do udźwignięcia. Objedź to mopem wkoło.

Elisa mówi sobie, że nie wolno jej patrzeć na kapsułę. Nie patrz na kapsułę, Elisa. Elisa patrzy na kapsułę. Nawet z odległości dziesięciu metrów, obok dużego basenu, wydaje się za duża na to laboratorium, jak przyczajony do skoku dinozaur. Przykręcono ją do czterech filarów, a drewniane schody umożliwiają dostęp do wjazdu na górze. Fleming w jednej sprawie miał rację: w pobliżu kapsuły nie ma krwi, a tym samym powodów, żeby się do niej zbliżyć. Elisa każe sobie nie patrzeć. Nie patrz, Elisa. Elisa nie potrafi nie patrzeć.

Sprzątające kobiety spotykają się u szczytu zakrwawionego obszaru. Zelda sprawdza godzinę, ściera z nosa pot i podnosi z podłogi wiadro, żeby ostatni raz rozlać wodę, sygnalizując Elisie ruchem głowy, żeby pozbierała z podłogi narzędzia medyczne, bo woda by je porwała. Elisa klęka i podnosi instrumenty. Szczypce. Skalpel ze złamanym ostrzem. Strzykawka ze zgiętą igłą. Są to z pewnością narzędzia doktora Hoffstetlera, chociaż Elisa nie potrafi uwierzyć, że ten człowiek skrzywdziłby kogokolwiek albo cokolwiek. Wybiegając z laboratorium, wyglądał na zdruzgotanego. Elisa wstaje i układa podniesione z podłogi przedmioty na stole równoległe do siebie, jak pokojówka hotelowa. Słyszy chluśnięcie wody z wiadra Zeldy i kątem oka widzi wydłużające się mokre macki. Zelda cmoka.

— Widziałaś to? Woźni muszą się wykradać na rampę załadunkową, żeby zapalić, a oni tu sobie palą cygara, jakby to było jakieś...

Zelda nie należy do osób, które często wydają z siebie zszokowane dźwięki. Elisa obraca się na pięcie i widzi, że mop Zeldy leży na podłodze, a Zelda trzyma przed sobą złączone nie dłonie, na których spoczywają niewielkie przedmioty wypłukane przez wodę z wiadra spod stołu, lecz przedmioty, które wzięła za cygara. Dłonie trzęsą jej się i rozchylają, skutkiem czego przedmioty spadają na podłogę. Jeden bezgłośnie, a drugi z brzękiem, bo spada z niego srebrna obrączka ślubna.

Zelda poszła po pomoc. Elisa słyszy płaskie buty pielęgniarki stukające na korytarzu. Sama wpatruje się w palce Stricklanda. Palec serdeczny. Nierówne paznokcie, sterczące kępki włosów na kłykciach. Skóra palca serdecznego jest biała na jednym końcu, ponieważ obrączka ślubna przez lata osłaniała to miejsce przed słońcem. Myśli Elisy powracają do widoku Stricklanda wypadającego przez drzwi laboratorium. Trzymał się za lewą dłoń. Te dwa palce grzebały wcześniej w szeleszczącej celofanowej torebce z zielonymi landrynkami.

Elisa nie może po prostu ich tam zostawić. Palce można z powrotem przymocować. Czytała o tym. Być może doktor Hoffstetler potrafi sam to zrobić. Elisa krzywi się i rozgląda wokół siebie. F-1 to laboratorium. Muszą tu być pojemniki, zlewki. Jednak laboratoria Occam kpią sobie z takich ludzi jak ona; nie sposób je rozszyfrować, nie sposób rozpoznać przeznaczenie okultystycznych instrumentów okiem laika. Elisa spuszcza wzrok zdesperowana i obok kosza na śmieci widzi coś bardziej zadomowionego w jej obszarze życia zawodowego: złożoną na pół brązową papierową torbę. Podnosi ją z podłogi, rozkłada, otwiera i wsuwa dłoń do środka, żeby posłużyć się zatłuszczoną w środku torebką jak kukiełką. Te pałeczki na podłodze to nie ludzkie palce, tylko śmieci, które trzeba podnieść.

Elisa klęka i próbuje to zrobić. Są jak dwa kęsy kurczaka, zbyt miękkie i zbyt małe, żeby je uchwycić. Upadają raz, drugi, przyskajac krwią — upuszczone pędzle Gilesa przyskają farbą. Elisa wstrzymuje oddech, zaciska szczękę i podnosi palce gołą dłonią. Są trochę ciepłe, jak wąż uściśnięcie dłoni. Elisa wkłada je do torebki, którą skręca u góry. Wycierając dłonie w fartuch, zauważa obrączkę. Jej też nie może zostawić, ale nie ma mowy, żeby otworzyła ponownie torebkę. Podnosi obrączkę i wrzuca do kieszeni fartucha. Wstaje i próbuje uspokoić oddech. Torebka wydaje się pusta, jakby dwa palce wpełzły z niej niczym robaki.

Elisa jest sama, pośród ciszy. Ale czy rzeczywiście jest cicho? Uświadamia sobie lekki szum, odgłos powietrza wydmuchiwanego z kratki wentylacyjnej. Elisa kolejny raz patrzy na kapsułę. Zadaje sobie drugie, bardziej niepokojące pytanie, czy rzeczywiście jest sama. Fleming ostrzegął ją i Zeldę, żeby nie zbliżyły się do kapsuły. Rozsądna rada. Nie zbliżaj się do kapsuły, dyscyplinuje się Elisa. Spuszcza wzrok. Jej jasne buty poruszają się po umytej podłodze. Elisa zbliża się do kapsuły.

Chociaż otacza ją zaawansowana technologia, Elisa czuje się jak jaskiniowiec z kreskówki, który podchodzi do gęstwiny, nie zważając na warkoty, którymi wibruje las. Co było lekkomyślne dwa miliony lat temu, jest lekkomyślne również teraz. A przecież puls jej nie przyspiesza tak jak od nieszkodliwych palców Stricklanda. Może dlatego, że Fleming dał słowo, iż nic jej nie grozi. Może dlatego, że każdej nocy śni o ciemnej wodzie, a w iluminatorach cylindrycznego zbiornika widać właśnie ciemność i wodę.

W F-1 jest za jasno, żeby dostosowała wzrok do czerni we wnętrzu kapsuły, więc odkłada papierową torebkę, przysuwa twarz do iluminatora i po bokach osłania oczy dłońmi. Odbite światło sprawia, że Elisa ma poczucie, jakby wirowała, a potem uświadamia sobie, że okienko znajduje się pod wodą. Elisa przyciska nos do szkła, żeby spojrzeć w górę. Nareszcie jej puls zaczyna galopować, w tempie z koszmarami o żelaznych płucach.

Ciemna woda faluje w nikłym świetle. Elisa wstrzymuje oddech: to wygląda jak robaczki

świętojańskie w oddali. Elisa przyciska płasko dłoń do okienka, chce znaleźć się bliżej, odczuwa taką fizyczną potrzebę. Substancja w środku obraca się, wiję, tańczy jak arabeskowy welon. Między punktami światła krystalizuje się jakiś kształt. Odpadki na powierzchni wody, próbuje sobie wmówić Elisa, a potem snop światła trafia w parę fotorecepcyjnych oczu. Błyskają przez czarną wodę jasno jak złoto.

Szkło eksploduje. Tak to w każdym razie brzmi. Źródłem huków jest otwieranie się drzwi laboratorium, źródłem odgłosu rzekomego rozprysku jest tupot wielu stóp, a źródłem szelestu papierowa torebka chwycona przez jej własne dłonie. Elisa rzeczywiście zachowuje się jak jaskiniowiec, ucieka od zwierzęcego zagrożenia i wraca na łono cywilizacji — Fleming, Pustaki, doktor Hoffstetler — unosząc torebkę z palcami jak trofeum przyznane za to, że spojrzała w oczy obezwładniającej anihilacji i przeżyła, dzięki czemu może o tym opowiedzieć innym ludziom. Ocalenie sprawia, że Elisie kręci się w głowie, nie może oddychać, prawie płacze, prawie się śmieje.

Stricklandowi zaproponowano kilka różnych pokoi. Biura na pierwszym piętrze z panoramicznymi widokami na rozległe trawniki. Przyjemnie było odtrącić hojność Fleminga i uprzeć się przy pozbawionym okien pomieszczeniu z monitoringiem. Kazał Flemingowi wstawić tam biurko, szafkę, kosz na śmieci i dwa telefony. Jeden biały, jeden czerwony. Pokój jest mały, schludny, cichy, idealny. Strickland wędruje wzrokiem po szachownicy — cztery na cztery pola — czarno-białych monitorów. Można obserwować wszystkie korytarze. Czasem pojawia się nocny pracownik. Co za ulga widzieć wszystko naraz po fragmentarycznych widokach z lasu deszczowego!

Strickland śledzi obraz na monitorach. Dwie woźne, które teraz siedzą tuż za nim, poprzedni raz widział w męskiej ubikacji, on palił się ze wstydu z powodu zbłąkanej strużki moczu, one wstrzymywały śmiech do czasu, kiedy on wyjdzie. Teraz zupełnie inny układ sił, prawda? Szansa na przywrócenie właściwych relacji. Strickland zwiesza lewą dłoń. Daje woźnym szansę na zobaczenie bandaży, kształtu przymocowanych na powrót palców. Na wyobrażenie sobie, jak wyglądają pod spodem. Mógłby im to powiedzieć. Paskudnie jak cholera, oto jak wyglądają. Palce nie pasują do jego dłoni. Są w kolorze gipsu, sztywne jak plastik, przyszyte czarną nicią grubości nóg tarantuli.

Stricklanda martwi tylko to, czy woźne wystarczająco wyraźnie widzą jego palce w słabym świetle. Kiedy wprowadził się do tego pokoju, wykręcił żarówki z lamp pod sufitem, ponieważ wolał, żeby szesnaście monitorów wypełniło biuro upiorną szarością. Po sprośnym blasku dżungli jasne światła działają na niego tak samo źle jak głośnie hałasy. W F-1 jest nie do wytrzymania. Hoffstetler zaczął tam przygaszać w nocy światła ze względu na to stworzenie, ale tak jest jeszcze gorzej. Myśl, że Stricklanda i Deus Brânquia łączy wrażliwość na światło, doprowadza go do wściekłości. Nie jest zwierzęciem. Swoje zwierzęce „ja” zostawił w Amazonii. Musiał, jeśli chciał zachować choć cień szansy na bycie dobrym mężem, dobrym ojcem.

Dla uzyskania pewności zgina przyszyte palce. Krew wrzeszczy, obraz na monitorach się rozmywa. Strickland mruga, usiłuje nie zemdleć. Ból jest nieziemski. Lekarze dali mu na to pigułki. Buteleczka stoi w biurku. Czy lekarze nie wiedzą, że cierpienie ma swój cel? Szlifuje cię, żebyś był twardszy, ostrzejszy. Nie, dziękuję, doktorze, wystarczą mi landrynki.

Dzięki myśleniu o ostrym, piekącym, przykuwającym uwagę smaku Strickland nareszcie może się odwrócić. Ponieważ Lainie odmawia rozpakowania pudeł, Strickland sam musiał wydobyć brazylijskie cukierki. Było warto. Torebka szmerze jak czysty wiejski potok, kiedy on ją podnosi. Szkliste zielone kule bilardowe między jego zębami. Tak jest lepiej. Dużo lepiej. Strickland wypuszcza powietrze nad językiem figlarnie drażnionym przez cukier i opada na krzesło. Oczekuje się od niego, żeby podziękował tym dwóm kobietom. Za znalezienie jego palców. Poprosił go o to Fleming. Powiedziała by Flemingowi, żeby się wypchał, ale nudzi mu się. Cały dzień siedzi za biurkiem. Jak ludzie to wytrzymują? Potrzeba pięćdziesięciu podpisów, żeby mógł wyczyścić nos, nie łamiąc prawa. I stu podpisów, żeby mógł podetrzeć sobie dupę. Szkoda, że podczas ataku żaden z tych idiotów żandarmów nie wpakował kuli w środek obiektu. Strickland ma ochotę zabrać pastucha, wmaszerować do F-1 i tak załatwić sprawę, żeby

skrzelowe bóstwo miało w sobie mniej życia do zbadania. Po odejściu Deus Brânquia on uwolni się od generała Hoyta, wróci do życia swojej żony i dzieci. Chce tego, prawda? Wydaje mu się, że tak.

Poza tym nie może spać. Przez ten ból. No dobra, pryśnie tym głupim woźnym w oczy odrobiną wdzięczności. Ale robi to po swojemu, żeby nie uznały go za przerośnięte dziecko, które nie potrafi nie zaszczuć całej podłogi w ubikacji. Zresztą nie spieszy mu się do domu. Strickland ledwo wytrzymuje to, jak Lainie na niego patrzy. Jakby palce były niczym w porównaniu ze wszystkim, co wyrwała z niego dżungla i co on pospiesznie próbuje z powrotem pozszywać. Stara się. Czy Lainie nie widzi, jak on się stara?

Podnosi z biurka pierwszą z dwóch teczek.

— Zelda D. Fuller.

— Tak, proszę pana — odpowiada Zelda.

— Piszą, że mężatka, ale jak to możliwe, że pani mąż inaczej się nazywa? Jeśli jest pani rozwiedziona albo w separacji, to powinno być tutaj zaznaczone.

— Brewster to jego imię, proszę pana.

— Mnie to brzmi jak nazwisko.

— Tak, proszę pana. Ale nie, proszę pana.

— Tak, ale nie. Tak, ale nie. — Wkręca kciuk w czoło podszyte bólem, który podpełza z lewego ramienia. — Z takimi odpowiedziami do rana stąd nie wyjdziemy. Jest wpół do pierwszej w nocy. Mogłem was tu wezwać w środku dnia, ułatwić sobie życie, ale tego nie zrobiłem. Byłoby najlepiej, gdybyście odwzajemniły mi się tak, żebym mógł się stąd wydostać, pójść spać, zjeść śniadanie z moimi dziećmi. To się pani wydaje w porządku, pani Brewster? Jestem pewien, że ma pani dzieci.

— Nie mam, proszę pana.

— Nie? A to dlaczego?

— Nie wiem, proszę pana. Po prostu jakoś nigdy... nie wyszło.

— Przykro mi to słyszeć, pani Brewster.

— Pani Fuller, proszę pana. Brewster to mój mąż.

— Brewster. To jest nazwisko albo ja jestem wujem małpy. Na pewno ma pani rodzeństwo. Spodziewam się, że pani wie, jak to jest z dziećmi.

— Nie mam rodzeństwa, proszę pana, przykro mi.

— Mocno mnie to zaskakuje. Czy to nie jest nietypowe? Dla pani rasy?

— Moja matka zmarła przy porodzie.

— Aha. — Strickland przewraca kartkę. — A, tak, tutaj napisali, na stronie drugiej. Wielka szkoda. Chociaż jeśli zmarła przy porodzie, to chyba nie może pani za nią tęsknić.

— Nie wiem, proszę pana.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, tylko tyle chciałem powiedzieć.

— Może, proszę pana.

„Może”. Strickland czuje, jakby w jego skroniach nadymały się dwa balony z kwasem. „Może” eksplodują. „Może” jego skóra spełźnie z twarzy i te dziewczyny zobaczą jego wrzeszczącą czaszkę. Strickland przyciska palec do kartki i wbija w niego rozbiegane oczy. Nieżyjąca matka. Sugerowane poronienia. Jakieś świrięte małżeństwo. To gówny znaczy. Słowa są do niczego. Weźmy instrukcję generała Hoyta na temat Deus Brânquia. Owszem, wytłumaczyła mi się, ale czy przekazała cokolwiek na temat tego, jak dżungla w ciebie włązi? Jak pnącza przenikają przez twoją moskitierę podczas snu, czołgają się koło twoich ust,

wwiercają w przełyk i zaduszają serce?

Jest też gdzieś rządowa instrukcja na temat stworzenia w F-1, takie same brednie. Tego, co znajduje się w kapsule, nie można ująć w słowa. Potrzeba wszystkich zmysłów. W Amazonii jego zmysły były naelektryzowane, nakręcane wściekłością i *buchité*. Powrót do Ameryki stępił go. Baltimore go uspiło. Może urwanie dwóch palców z powrotem go obudzi. No bo co to ma być? Siedzi tutaj w środku nocy i słucha, jak nisko opłacane nocne robotki, zatrudnione właśnie dlatego, że są niezbyt rozgarnięte i niewykształcone, mówią mu w twarz „może”.

— Co znaczy D.? — pyta Strickland.

Wysoko postawieni mężczyźni grozili Zeldzie przez całe życie. Pewien hutnik poszedł za nią na plac zabaw, żeby jej powiedzieć, że jej tata ukradł przysługującą białemu mężczyźnie pracę w Bethlehem i zawisnie za to. Nauczyciele z liceum Douglassa uważali, że edukowanie czarnych dziewczyn nie ma sensu, bo rozbudzi w nich tylko pragnienia, których nigdy nie zaspokoją. Przewodnik w Forcie McHenry zsumował liczbę żołnierzy Unii poległych podczas wojny domowej, a następnie zapytał Zeldę, czy nie chciałaby podziękować swoim białym kolegom i koleżankom z klasy. W Occam groźby nadchodziły jednak tylko od Fleminga i Zeldy nauczyła się radzić sobie z nimi. Musi znać lęk na wylot. Musi umieć wyglądać na znękaną. Musi umieć pochlebiać.

Pan Strickland jest inny. Zeldy go nie zna, ale czuje, że nie robiłoby różnicy, gdyby znała. Strickland ma oczy lwa, widziała kiedyś takie w zoo, nie ma szans odczytać z nich poziomu agresji. Nie ma szans wyczuć, dlaczego ona i Elisa zostały wezwane pod tę ścianę monitorów, wiadomo tylko, że to nie wróży niczego dobrego.

— D., proszę pana? — upewnia się Zeldy.

— Zeldy D. Fuller.

Nareszcie pytanie, na które jest odpowiedź. Zeldy pędzi do niej na łeb na szyję.

— Dalila. Wie pan, z Biblii.

— Dalila? Nieżyjąca matka je pani nadała?

Zeldy umie zamortyzować cios.

— Tak powiedział mój ojciec, proszę pana. Zaplanowała je dla dziewczynki.

Strickland rozgryza landrynkę. To też robi jak lew, szeroko rozwierając szczękę. Zeldy umie rozpoznać tanie cukierki, praktycznie się na nich wychowała, ale to jest taniość do potęgi. Landrynki rozłupują się na tak małe kawałki, że Zeldy widzi drzazgi powbijane w policzki i dziąsła Stricklanda. Widzi krew rozcieńczoną przez ślinę, prawie czuje jej smak, zimny i mdły, tak różny od smaku landrynek jak kolor czerwony od zielonego.

— Interesująca kobieta, ta pani nieżyjąca matka — mówi Strickland. — Wie pani, co zrobiła Dalila?

Na dyscyplinujące sesje u Fleminga Zeldy chodzi przygotowana na odpieranie zarzutów, że woźne ukradły coś, co roztargnieni naukowcy tylko zawieruszyli. Nigdy wcześniej nie musiała toczyć polemiki na temat postaci biblijnych.

— Ja... w kościele mówią...

— Moja żona chodzi do kościoła, więc jestem na bieżąco z większością tych historii. Jeśli dobrze sobie przypominam, Bóg dał Samsonowi wielką siłę. Samson zaciukał całą armię wroga szczęką osła, tego typu sprawy. Dalila była kusicielką. Wydobyła z Samsona jego tajemnicę, a potem każe służącej obciąć Samsonowi włosy i wzywa swoich przyjaciół, Filistynów, którzy wydłubują Samsonowi oczy i tak go masakrują, że właściwie nie jest już człowiekiem, tylko rzeczą, którą oni torturują. Oto Dalila. Prawdziwa chluba kobiet. Dziwne imię, tylko tyle chciałem powiedzieć.

Ta rozmowa nie powinna tak przebiegać, to nie fair. Zeldy zna te same historie biblijne, ale jej

ciało ją zdradza, zamienia ją w sługusa, którego spodziewa się Strickland — Zelda czuje, że jej oczy otwierają się szerzej, a usta drżą. Strickland przegląda teczkę i Zelda słyszy jego ciche „ts, ts”. Zelda ze wstydem czuje ulgę, kiedy Strickland przenosi wzrok na Elisę. Nadal słyszy jednak jego myśli. Lenistwo to nie jest problem wyłącznie murzyński, nie, proszę pana. Klasa niższa jest klasą niższą, ponieważ nie potrafi znaleźć własnych sznurówek. Weźmy tę białą kobietę. Twarz w porządku, figura całkiem, całkiem. Gdyby miała choć gram sprytu, to paradowałaby po ładnie wysprzątanym domu i opiekowała się dziećmi, a nie pracowała na cmentarnej zmianie jak jakieś nocne zwierzę.

Strickland chrupie landrynki i bierze do ręki drugą teczkę.

— Elisa Esposito — mówi Strickland. — Es-po-si-to. Ma pani ojca albo matkę Meksykankę czy coś?

Zelda zerka na Elisę. Twarz przyjaciółki jest napięta od tego specyficznego lęku, który ogarnia ją w sytuacjach, kiedy ktoś jeszcze nie wie, że jest niema. Zelda przełyka ślinę i produkuje się w jej imieniu.

— To włoskie nazwisko, proszę pana. Nadaje się je sierotom. Znalaziono ją nad brzegiem rzeki, jako niemowlę, i nadali jej to nazwisko.

Strickland marszczy brwi w stronę Zeldy, która zna to spojrzenie. Strickland ma powyżej uszu słuchania, jak ona mówi. Na pewno myśli, że wymyślanie nobilitujących samego siebie mitów to kolejna wada pospółstwa. Tę dziewczynkę znalaziono nad rzeką. Ten chłopiec urodził się w czepku. Żałosne historie o pochodzeniu deklamowane jako dowód na boską naturę.

— Od jak dawna wy dwie się znacie? — rzuca opryskliwie.

— Odkąd Elisa tu jest, proszę pana. Chyba od czternastu lat.

— To dobrze. To znaczy, że wiecie, jak to wszystko wygląda. I jakie musi pozostać. Podobno to wy dwie znalazłyście moje palce? — Drapie się po głowie. Poci się. Najwyraźniej cierpi katusze. — To było pytanie. Może pani odpowiedzieć.

— Tak, proszę pana.

— Przejdę do następnego kroku i podziękuję wam za to. Myśleliśmy, że trafiły... Zresztą wszystko jedno, co myśleliśmy. Nie jestem zachwycony papierową torebką. Wydaje się, że powinno być coś lepszego niż torebka. Lekarz mówi, że mokra szmata byłaby równie dobra jak lód. Powiedział, że stracili mnóstwo czasu na sterylizację palców, zanim mogli zacząć znakować nerwy i tak dalej. Nie mam do was pretensji, ale jednak. W tej chwili nie wiemy, co się stanie. Tak jak Dalila powiedziała o rodzeniu dzieci. Palce się przyjmą albo nie. To by było na tyle. Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat.

— Przykro mi, proszę pana — mówi Zelda. — Zrobiliśmy, co mogliśmy.

Szczere przeprosiny wygłoszone szybko, żeby nie zdążyły cię ogarnąć wątpliwości — taką Zelda ma metodę. Strickland kiwa głową, ale potem przychodzą kłopoty. Strickland patrzy na Elisę, spodziewając się tego samego, i jego zmęczona, zboląła twarz ciemnieje ze zniecierpliwienia. Strickland odbiera milczenie Elisy jako obelżywość. Nie da się tego obejść. Zelda wysyła do góry modlitwę i kolejny raz wchodzi do klatki lwa.

— Elisa nie mówi, proszę pana.

Praca w wojsku wpaja w człowieka pewne dogmaty. Osoba, która nie mówi, jest podejrzana. Przyjmuje wrogą postawę. Coś ukrywa. Te dwie kobiety wydają się za mało bystre na taki wybieg, ale nigdy nic nie wiadomo. W końcu z niższych klas wywodzą się komuniści, związkowcy, ludzie, którzy nie mają nic do stracenia.

— Nie może czy nie chce? — pyta Strickland.

— Nie może — odpowiada Zelda.

Pulsowanie w ramieniu schodzi na dalszy plan. Interesujące. Tłumaczy, dlaczego Elisa Esposito nie porzuciła tej gównianej pracy. Nie z powodu uporu, tylko ograniczeń. Prawdopodobnie wszystko jest wyjaśnione na stronie drugiej. Strickland zamyka jednak teczkę i długo przygląda się Elisie. Ta kobieta nie ma problemów ze słuchem, to na pewno. Ma w sobie za to jakieś zaskakujące skupienie. Jej oczy są przykute do jego ust w taki sposób, który większość kobiet uznałaby za niestosowny. Strickland przygląda się jej uważniej, żałując, że nie może wspomóc wzroku za pomocą *buchité*, i w cieniu kołnierza jej sukienki zauważa wypukłe blizny.

— Jakaś operacja?

— Nie wiadomo — odpowiada Zelda. — Zrobili jej to albo rodzice, albo ktoś w sierocińcu.

— Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego niemowlęciu?

— Niemowlęta płaczą — wyjaśnia Zelda. — Może to wystarczyło.

Strickland wraca myślami do niemowlęstwa Timmy'ego i Tammy. Za każdym razem, kiedy wracał z Waszyngtonu na Florydę, stan, w którym zastawał Lainie, wprawiał go w osłupienie. Wykończona, ledwo utrzymująca się na nogach, palce pomarszczone od kąpania i przewijania dzieci. Teraz przypuśćmy, że pracujesz w sierocińcu. Przypuśćmy, że dzieci nie jest dwójka, tylko kilkadziesiąt. Czytał opracowania wojskowe na temat skutków braku snu. Znał z autopsji różne niebezpieczne pomysły, które w pewnym momencie zaczynają się wydawać normalne.

Chce kazać Elisie wyciągnąć szyję, żeby mógł zobaczyć, jak szare światło monitorów ślizga się po jedwabistych naroślach blizn. Przez drapieżność swoich oczu Elisa wydaje się dzika; blizny wskazują, że jest oswojona. Atrakcyjne połączenie. Elisa zaczyna się niecierpliwic pod wpływem spojrzenia Stricklanda i zakłada nogę na nogę. A widzisz, mimo wszystko zwyczajna dziewczyna. Nie licząc pewnej rzeczy, której się nie spodziewał: w odróżnieniu od wszystkich innych woźnych, których widział Strickland, Elisa nie nosi charakterystycznych butów na gumowych podeszwach. Jej buty są różowe jak koralowiec. Widywał takie buty w Japonii. Namalowane na bokach bombowców sił powietrznych. Noszone przez modelki z rozkładówek. Ale w prawdziwym życiu bardzo rzadko.

Elisa Esposito wpatruje się w swoje złączone dłonie, tak jak robią wszyscy, a potem najwyraźniej coś sobie przypomina. Sięga do kieszeni fartucha, wyjmuje błyszczący mały przedmiot i wyciąga przed siebie. Ma posępną minę, przez co małpi ruch drugiej ręki wygląda dziwnie. Elisa kręci nad cyckami dłonią z wyciągniętym do góry kciukiem. Patentowany czubas, myśli sobie Strickland, ale Murzynka mu przypomina o języku migowym.

— To znaczy, że jest jej przykro — mówi Zelda.

Elisa ma na dłoni jego obrączkę ślubną. Myślał, że ją również pochłonęła czeluść gardła Deus

Brânquia. Lainie się ucieszy. W nim jednak obrączka nie budzi żadnych emocji. Lustruje twarz Elisy, ale nie znajduje niczego nieuczciwego w jej ofercie. Nie ukradła obrączki, nic z tych rzeczy. Jej wyraz twarzy jest szczery. Obrotowy ruch dłoni nad piersią wydaje się teraz mniej małpi, a bardziej zmysłowy. Strickland nagle uświadamia sobie coś dziwnego. Jego nowo nabyta awersja do światła i hałasu — kobieta, która przed nim siedzi, jest zmontowana jakby według jego specyfikacji. Kobieta, która pracuje w ciemnościach nocy. Kobieta, która nie potrafi nawet pisnąć.

Strickland zwija lewą dłoń w miseczkę i pozwala Elisie włożyć do niej obrączkę. Manewr ten ma ceremonialny charakter — ślub *à rebours*.

— Na razie nie mogę jej założyć — mówi — ale dziękuję.

Dziewczyna wzrusza ramionami i kiwa głową. Nie odrywa od niego oczu. Cholera, prawie go to peszy. Nie może wytrzymać tego spojrzenia, a jednocześnie ono mu się podoba. Strickland spuszcza wzrok — to dla niego nietypowe — na jej różowy but fikający w powietrzu. Ból bez żadnego powodu strzela w górę jego ramienia. Strickland zaciska zęby i sięga po torebkę z cukierkami, ale potem zmienia zdanie i wysuwa szufladę biurka. Buteleczka ze środkami przeciwbólowymi lśni biało między długopisami Eagle Black Warrior. Z porów na czole Stricklanda wycieka pot, ale Strickland nie próbuje go zetrzeć. Ścieranie potu nie jest gestem dominacji.

— To jest pierwsza rzecz — mówi. — Druga rzecz to F-1. — Murzynka otwiera usta, ale Strickland ucisza ją smagnięciem dłoni. — Wiem, podpisałyście papiery. Wiem o tych wszystkich bzdurach. Nic mnie to nie obchodzi. Moim zadaniem jest dopilnować, żebyście zrozumiały wagę tego podpisu. Jesteście tutaj od czternastu lat? To miło. Może w przyszłym roku poczęstują was tortem. Wiecie, co sobie myślę, kiedy słyszę o czternastu latach? Czternaście lat to mnóstwo czasu, żeby się rozleniwic. Pan Fleming wam powiedział, że nie wolno wam sprzątać F-1, jeśli on wam nie każe. Teraz powiem wam coś, czego nie wiecie. Macie go nie słuchać. Nie podlegacie panu Flemingowi, tylko mnie. A ja reprezentuję kogo? Władze amerykańskie. Gdyby coś się stało, nie mielibyśmy problemu lokalnego, tylko federalny. Zrozumiano?

Górna noga Elisy ześlizguje się z dolnej. Pozytywny, poddańczy objaw, aczkolwiek Strickland żałuje, że stracił z oczu różowy but. W tym momencie jeden z telefonów zaczyna dzwonić. Balon kwasu pod jedną ze skroni pęka od tego hałasu i kwas płynie w dół lewego ramienia, gromadząc się pod obrączką, która wciąż leży na jego dłoni. Telefon o tej porze? Strickland zgina ranną rękę, mając nadzieję, że zwalczy w ten sposób ból.

— Pozwolę sobie dokończyć. Zapewne coś widzieliście. Niech będzie.

On też coś widział, smugi czerwieni, skażona krew pryskała mu prosto w gałki oczne. Czerwień — dzwoni czerwony telefon. Waszyngton. Może generał Hoyt. Strickland musi wyrzucić te dziewczyny ze swojego biura. Jego nieposkromiona rywalizacja z Deus Brânquia wzbija się z bagna, z ruchomych piasków, z czarnej głębi niedoli. Czerwony telefon, czerwona krew, czerwony księżyc Amazonii.

— Ostatnie słowa, nic nie mówcie, tylko słuchajcie. Nie trzeba geniusza, aby wiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z żywym osobnikiem. To nie ma znaczenia. To nie ma żadnego znaczenia. Wszystko, co musicie wiedzieć, to że stworzenie w F-1 chodzi wprawdzie na dwóch nogach, ale to my zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Dobrze mówię, Dalila?

Ta bezwartościowa kobieta potrafi się zdobyć tylko na szept.

— Nie wiem, jak wygląda Bóg, proszę pana.

Ból sięga szczytu. Strickland czuje poszczególne końcówki nerwów, jest tak, jakby wewnątrz jego ciała włączono światła. Zażyje środki przeciwbólowe, niech będzie. Sięga już po buteleczkę. Podniesie słuchawkę czerwonego telefonu z częściowo rozpuszczonymi tabletkami w ustach. W końcu cywilizowani ludzie zażywają prochy w wersji farmaceutycznej. A on jest cywilizowanym człowiekiem. Czy raczej będzie. Bardzo niedługo. Zresztą ten telefon może dać mu do tego solidniejsze podstawy. Podejmowane są decyzje dotyczące Deus Brânquia. A żeby on mógł doradzać w tej kwestii swoim zwierzchnikom, potrzebuje kontroli. Zdejmuje plastikowe wieczko buteleczki.

— Bóg wygląda jak człowiek, Dalila. Wygląda jak ja. Jak pani. — Ruchem głowy pokazuje w stronę drzwi. — Chociaż bądźmy szczerzy. Wygląda trochę bardziej jak ja.

Sny Elisy stają się coraz mniej mętne. Elisa leży na dnie rzeki. Wszystko jest szmaragdowe. Elisa odbija się palcami stóp od omszałych kamieni, ślizga przez pieszczące trawy, odpycha od aksamitnych gałęzi zatopionych drzew. Stopniowo pojawiają się znajome przedmioty. Minutnik wykonuje powolne salto. Jajka, małe księżycy, obracają się wokół własnej osi. Buty przemykają obok niej jak ławica niezdarnych ryb, a okładki albumów opadają na dno niczym płaszczki.

W pole widzenia Elisy wpływają dwa ludzkie palce i Elisa się budzi.

Richard Strickland generalnie działa na Elisę stresująco, ale jego palce wręcz ją prześladują. Potrzeba kilku takich snów, żeby Elisa zerwała się w końcu pewnej nocy z przebłyskiem olśnienia. Do kontaktu ze światem Elisa używa palców. Nie ma niczego niedorzecznego w tym, myśli sobie, żeby bać się perspektywy utraty palców przez innego człowieka. Wyobraża sobie równowagę tej tragedii u osoby mówiącej i jest to coś makabrycznego: zęby Stricklanda spadają na podłogę, ocierając się o poszarpane wargi, i ten człowiek nie potrafi już — albo nie ma ochoty — z wyprzedzeniem dyskutować o swoich planach.

Ona też nie chce dyskutować o pewnych rzeczach. Chodzi o drugą połowę nocy, kiedy ona i Zelda pracują osobno. Elisa przyciska ucho do otwartych drzwi F-1. Wstrzymuje oddech i słucha. Głosy z reguły niosą się przez ściany laboratorium, ale tej nocy głucha cisza. Elisa zerka na swój wózek, który zostawiła przed innym laboratorium w połowie korytarza, dla zmylenia Zeldy, gdyby dołączyła do Elisy wcześniej niż zwykle. Elisa czuje się obnażona, niosąc tak niewiele — tylko brązową papierową torebkę z drugim śniadaniem i kartę kodową. Wsuwa kartę w szczelinę i żałuje, że zamek nie działa trochę ciszej.

W Occam bez przerwy panuje bezkompromisowa jasność. Światła nigdy nie gasną. Elisa do tej pory nie zauważyła ani jednego wyłącznika. W tej sytuacji półmrok w F-1 jest bulwersujący jak pożar. Po wejściu do środka Elisa przyciska plecy do zamkniętych drzwi i panikuje. Stało się coś złego? Widać jednak, że specjalnie tak to zaaranżowano: wokół sufitu zainstalowano kawalkadę świateł, które promieniują miodowym blaskiem.

Aż zaudało światła, żeby dobrze zobaczyć, ale są też hałasy, które nie pozwalają Elisie oderwać się od drzwi. Rik-rik, czuk-a-kuk, zu-zu-zu, donk, hi-hi-hi-hi, chr-chr, kuru-kuru, ziii-iii-iii, hik-rik, hik-rik, sz-sz-sz, fiiiuuu. Elisa spędziła wszystkie dni swojego życia w Baltimore, a mimo to rozpoznaje te dźwięki jako naturalne, żaden z nich nie pasuje do tego betonowego bunkra. Zawładają inercją, która panuje w F-1 po godzinach pracy, drapieżną groźbą nasączają każdy stół, krzesło i szafkę. Po laboratorium grasują potwory.

Rozum Elisy zмага się ze strachem i po chwili odzyskuje kontrolę nad sytuacją. Ptasie arie i żabie pieśni żałobne pochodzą z jednego źródła, po prawej stronie. Są nagrane, to wszystko nie różni się wiele od filmów w Arcade — przygaszone światła, ścieżka dźwiękowa z głośnika. Jakiś naukowiec z Occam zaprojektował coś, co Giles mógłby nazwać inscenizacją, atmosferą, wewnątrz której rozwija się aktualnie wyświetlana fantazja. Intuicja podpowiada Elisie, że był to Bob Hoffstetler. Jeśli ktoś w tej placówce ma niezbędną do tego artystycznego przedsięwzięcia empatię, to tylko on.

Elisa podchodzi do miejsca, w którym podniosła z podłogi palce Stricklanda. Jej kroki dudnią i przeklina się za zapominalstwo. Planowała włożyć adidas na gumowej podeszwie. A może jej

podświadomość kazała jej nie zdejmować fioletowych butów na obcasach? Z prawej strony dochodzi do niej syczenie. Anakonda przyciągnięta przez inkantacje dżungli? Nie, to taśma magnetofonu. Powierzchnia ze stali nierdzewnej roziskrzona jak rzeka w świetle księżyca. Elisa podchodzi bliżej i widzi skaczące wskaźniki głośności. Dookoła leżą pojemniki na taśmy. **NAGRANIE TERENOWE MARAÑON #5. NAGRANIE TERENOWE TOCANTINS #3. NAGRANIE TERENOWE XINGU/NIEZNANE #1.** Zgromadzono tu również mnóstwo innego sprzętu audio, którego Elisa nie potrafi rozpoznać, nie licząc standardowego gramofonu.

Elisa oddała się od magnetofonu i okrążyła kapsułę. Kolejny złowróżbny znak: właz na górze jest otwarty. Wbrew oczekiwaniom Elisy włosy na jej szyi i ramionach nie stają dęba ze strachu. Elisa dalej idzie w stronę basenu. W końcu to właśnie ten basen zawładnął jej umysłem. Każdą kąpiel bierze właśnie w tym basenie, a przynajmniej tak udaje. Zabawa na niby rozciąga się na wszystko. Jajka chlupiące do wody, skrzypienie minutnika, emanujące nadzieją buty, rozczarowujące longplaye, Giles zatrzymujący w powietrzu szczoteczkę do zębów, żeby powiedzieć dobranoc, nie mając pojęcia o dziwnych myślach w jej głowie.

Trzydzieści centymetrów od basenu namalowana jest czerwona linia. Przekroczenie jej wiąże się z jakimś niebezpieczeństwem. Dlaczego zatem Elisa bierze to pod uwagę? Ponieważ nie potrafi przestać myśleć o tym stworze, którego pan Strickland tutaj przywłócił, którego Pustaki strzegą z bronią w ręku, którego doktor Hoffstetler usiłuje zbadać. Elisa wie, że ona też jest stworem w wodzie. Ona też jest niemą istotą, którą biorą mężczyźni, nigdy nie pytając, czego ona chce. Potrafi być życzliwsza. Potrafi zrównoważyć wagę życia. Potrafi zrobić coś, czego żaden mężczyzna nie próbuje zrobić z nią: komunikować się.



Idzie dalej, aż w pewnym momencie czuje kant na udzie sześćdziesięciocentymetrowego murka. Powierzchnia wody jest nieruchoma, ale nie idealnie. Trzeba się bardzo uważnie przyjrzeć, aby zobaczyć, że woda oddycha. Elisa wciąga i wypuszcza powietrze, po czym odkłada papierową torebkę na murek. Szelest papieru jest tak głośny jak dźwięk wbijania łopaty w ziemię. Elisa wypatruje na powierzchni wody jakiejś reakcji. Nic się nie dzieje. Sięga do torebki i krzywi się na kolejny szelest. Znowu nic. Znajduje to, czego szuka, i wyjmuje z torebki — gotowane jajko jarzy się w delikatnym świetle.

Przez wiele dni zbierała się na odwagę, żeby dołożyć to jajko do trzech gotowanych każdego wieczoru dla Gilesa. Teraz je obiera. Palce jej się trzęsą. Jest to najbrzydsze obieranie jajka w jej życiu. Białe kawałki skorupki spadają na murek. W końcu objawia się jajko, a czy istnieje coś bardziej spójnego i organicznego niż jajko? Elisa trzyma je w dłoni jak jakiś magiczny przedmiot — bo to jest magiczny przedmiot.

Woda reaguje.

Ciemne podwodne drgnienie jak szarpnięcie nogi śpiącego psa, a potem kilkadziesiąt centymetrów od środka basenu wyskakuje słupek wody. Po wylądowaniu woda kreśli delikatne koncentryczne kręgi, a potem ciche gaworzenie laboratorium zagłusza zgrzyt rozciąganego metalu. W wodzie wydarty zostaje kształt litery X — cztery sześciometrowe łańcuchy, każdy przykręcony do jednego rogu basenu, naprężają się i wynurzają jak płetwy rekinów, smażąc pianę i pryskając wodą, na drugim końcu wszystkie są przymocowane do jednego unoszącego się kształtu.

Rozcinana woda, tęczowe refrakcje, cienie jak skrzydła nietoperza: Elisa nie rozumie tego, co widzi. A potem para złotych monet, odbicia oczu, które po raz pierwszy widziała w kapsule, słońce i księżyc. Kąt się zmienia, osłony oczu się rozwierają. Elisa widzi prawdziwe oczy tego stworzenia. Są niebieskie. Nie — zielone, brązowe. Nie — szare, czerwone, żółte, tak wiele nieprawdopodobnych odcieni. Stwór się zbliża. Woda jest mu posłuszna, prawie się nie marszczy. Nos jest niewielki, gadzi. Dolna szczeka jest wielostawowa, ale tworzy szlachetną linię prostą. Stwór się przybliża. Pionowo, jakby nie płynął, tylko szedł. Obraz i podobieństwo Boga, jak mówił Strickland: porusza się jak człowiek. Dlaczego zatem Elisa ma poczucie, że stwór ucieleśnia wszystkie zwierzęta, które kiedykolwiek istniały? Nadal się przybliża. Skrzela po obu stronach szyi trzepoczą jak motyle. Metalowa obroża, która łączy ze sobą cztery łańcuchy, zadaje gwałt szyi. Stwór dalej się przybliża. Ma sylwetkę pływaka z ramionami jak zaciśnięte pięści, ale tors baleriny. Pokrywają go maleńkie łuski iskrzące się niczym diamenty, jedwabiste. Całe jego ciało żłobią bruzdy tworzące rozbudowane, arabeskowe, symetryczne wzory. Stwór już się nie rusza. Jest półtora metra od Elisy. Nawet woda spływająca z jego ciała jest bezgłośna.

Przerzuca wzrok z jajka na Elisę. Oczy mu błyskają.

Elisa zeskakuje z murka, z dudniącym sercem. Kładzie obrane jajko na murku, chwytą torebkę i odskakuje za czerwoną linię. Przybiera postawę obronną, na co stwór reaguje zanurzeniem się w wodzie, aż w końcu widać tylko gładką koronę jego głowy. Jego oczy wwiercają się w Elisę przez rozstrajającą chwilę, zanim spocznią z powrotem na jajku; pod tym kątem oczy są niebieskie. Stwór przesuwa się w lewo, jakby oczekiwał, że jajko powieli jego ruch.

„On nie ma do niczego zaufania”, myśli Elisa, a potem uświadamia sobie z zaskoczeniem, że określiła płęć stwora jako męską. Z jakiegoś powodu jest tego pewna. Dostrzega męskość w stanowczości jego postawy, bezpośredniości jego spojrzenia. Elisę nachodzi nieprzyjemna myśl: skoro ona wie, że on jest samcem, to on musi wiedzieć, że ona jest samicą. Nakazuje sobie spokój. Być może to stworzenie jest pierwszą bardziej bezsilną od niej męską istotą, którą w życiu spotkała. Kiwa głową, żeby się nie krepował i wziął jajko.

Stwór podchodzi tak blisko, jak pozwalają mu na to łańcuchy, pół metra od murka. Elisa konstatuje, że czerwoną linię namalowano w zbyt zachowawczej odległości, a tu nagle dolna szczeka stworzenia opada i druga żuchwa wyskakuje jak koścista pięść. Ułamek sekundy później jajko znika, gardłowa szczeka się cofa, a woda jest tak nieruchoma, jakby to wszystko się nie wydarzyło. Elisa nie ma czasu nawet sapnąć ze zgrozy. Wyobraża sobie spadające na podłogę palce Stricklanda.

Powierzchnia wody dygocze miliardem punkcików, które Elisa interpretuje jako przyjemność. Stwór patrzy na nią oczami tak jasnymi, że aż białymi. Przez wątle usta Elisa bierze stabilizujący oddech i nakazuje sobie kontynuować rozpoczętą akcję. Trzęsącą się dłonią znowu sięga do torebki. Ogniuwa łańcucha dzwonią, bo stwór unosi ramię, aby się osłonić, jakby Occam go nauczył, że w torebce może być broń.

Tymczasem Elisa sięga po kolejne jajko, ostatnie. Przez chwilę trzyma je na dłoni, żeby stwór mógł je zobaczyć, a potem stuka nim o drugą dłoń i odrywa kawałek skorupki. Ostrożnie, ostrożnie — wyciąga przed siebie ramię z trzymanym pionowo jajkiem, w tej postawie darczyńcy przypomina mityczną boginię. Stwór jest nieufny. Wyrzuca tułów z wody jak delfin i syczy. Skrzela się burzą, błyskając czerwonym jak krew ostrzeżeniem. Elisa opuszcza głowę w geście łagodności, ale nie robi tego tylko na pokaz. Czeka. Stwór zgrzyta szczęką, ale skrzela się uspokajają. Elisa zaciska usta i dalej stoi z wyciągniętym ramieniem. Chwyta jajko samymi koniuszkami palców, jajko stoi teraz jak piłeczka golfowa na podstawce.

Elisa znajduje się poza zasięgiem jego szczęki, a także, ma nadzieję, ramienia. Podnosi drugą dłoń i nadaje jej kształt jajka. Nie może mignąć „jajko” jedną ręką, więc zamiast tego posługuje się literami: j-a-j-k-o. Stwór nie reaguje. Elisa znowu pisze w powietrzu i zastanawia się, z czym mogły mu się skojarzyć litery. Z wilkiem? Strzałą? Elektrycznym pastuchem? Podsuwa mu jajko jeszcze bliżej, a potem miga. Rozpaczliwie jej zależy, żeby zrozumiał. Bez tego stworzenie, które najwyraźniej zmaterializowało się z jej snów, nie może w pełni zaistnieć w jej rzeczywistości. Jajko, miganie. Jajko, miganie, jajko, miganie.

Ręka zaczyna jej drętwieć, kiedy stworzenie nareszcie reaguje. Postanawia przejść do działania i nie okazuje już wahań, przysuwa się do murka tak blisko, jak pozwalają mu na to łańcuchy i bez żadnego chlapnięcia ani odgłosu unosi ramię nad wodę. Kolce wyrastają z ramienia jak płetwy grzbietowe, a zakończone zakrzywionymi szponami palce łączy ze sobą półprzezroczysta błona. Dłonie sprawiają przez to wrażenie olbrzymich, a kiedy palce się zginają, trudno sobie wyobrazić, że mogłyby mieć do tego inny powód niż zginięcie ofiary.

Palce zginają się w drugim stawie. Kciuk tworzy pałąk nad jasnymi łuskami dłoni. Błona składa się w harmonijkę jak cieniutka skórka. Stwór rysuje w powietrzu. J — jest niezdarne, ale Elisa sądzi, że stwór jest przyzwyczajony do znacznie większych gestów: salt w spienionym morzu, błyskawicznych ataków, rozprostowywania się na całą długość w tropikalnym słońcu. Elisa ma wrażenie, jakby to ona była pod wodą. Stwór zanurza skrzela w basenie, jak gdyby chciał jej przypomnieć o konieczności oddychania.

Dłoń stwora ostatecznie autoryzuje J i palce otwierają się w niepewny wachlarz. Elisa kiwa głową na potwierdzenie i miga A, pokazując w lewo. Bardzo czytelne, ale stwór jest nowicjuszem. Jego trzy najmniejsze palce zginają się i dotykają nasady dłoni, a palec wskazujący mierzy prosto w Elisę. W oczach jej wiruje, a w piersiach pulsuje radośnie, prawie boleśnie. On ją widzi. Nie patrzy wskroś niej jak mężczyźni z Occam ani obok niej jak kobiety z Baltimore. Ta piękna istota, chociaż może skrzywdziła tych, którzy najpierw skrzywdzili ją, pokazuje na Elisę, i tylko na nią.

Elisa opuszcza migającą dłoń i podchodzi bliżej, jej fioletowe obcasy bez cienia strachu ignorują rozkazy czerwonej linii. Stwór czeka, jego oczy, teraz niebieskie, tak uważnie obserwują jej ciało, że czuje się naga. Podaje mu jajko nad murkiem, w strefie zagrożenia, nie bojąc się już tego, co spotkało Stricklanda. Stwór wstaje, wszelkie oznaki ostrożności zniknęły, skrzela się marszczą, tors rozdyma, z bijących blaskiem klejnotów łusek spływa woda. Stwór jest tym, co nagranie terenowe ze szpuli tylko sygnalizowało: istotą czystą.

Elisa boleje nad ciężką stalą zamkniętą wokół jego szyi i piersi, zanim zauważa drugie wynaturzenie na jego lewym boku. Cztery metalowe szwy spinają pęknięcie, które ciągnie się ukośnie przez dolne żebra. Krew spada korkociągiem do wody jak goździki, które ktoś chce utopić. Kiedy Elisa marszczy brwi na widok tej paskudnej rany, stwór uderza z prędkością żmii. Porywa jajko — Elisa czuje tylko podmuch przepchniętego przez błonę między palcami powietrza i chłód łusek — a potem zanurza się i płynie głową w dół z powrotem na środek basenu. Elisa zaciska pustą dłoń, która się trzęsie. Stwór znowu wypływa, sto samotnych kilometrów dalej, i przeciąga nosem po skorupce jajka. Dziabie skorupkę szponem, jakby się zastanawiał, w jaki sposób człowiek zdołał ją obrać.

W końcu dobiera się do jajka szponami i zębami. Kawałki skorupki łapią nikłe światło jak okruchy rozbitego lustra. Elisa nie potrafi się powstrzymać: z jej płuc wyskakuje bezgłośny śmiech. Jeśli jest jakieś przeżuwanie, to bardzo krótkie, a potem stwór odwraca się w jej stronę, oczy jak monety wirują przesycone świadomością, że Elisa potrafi czynić cuda. Nigdy wcześniej nie obdarzono jej takim spojrzeniem. Kręci się jej od tego w głowie, mimo że fioletowe buty są jak przybite gwoździami do podłogi.

Coś uśmierca odgłosy dżungli. Ogłuszający trzask trzęsie laboratorium jak przekroczenie bariery dźwięku i stwór nurkuje, znika bez jednej zmarszczki na wodzie. Elisa zastyga, sądząc, że została nakryta, ale cichy, trzepoczący dźwięk świadczy, że taśma się skończyła i szpula wiruje w szybszym tempie. Dla magnetofonu to nie może być dobre; ktoś przyjdzie go wyłączyć i puścić od nowa; Elisa musi się ewakuować z F-1 i zadowolić tym, co już osiągnęła. Nie sprawia jej to trudności. Jej uszczęśliwione serce bije tak mocno, że następnego dnia chyba będzie miała obolałe żebra.

Z jajkami jest spory kłopot, ale z omletem jeszcze większy. Omlety wymagają widelca i noża. Lainie powinna była o tym pomyśleć. Co z niej za żona, że o tym nie pomyślała? Strickland bierze widelec do prawej ręki. Z nożem nie jest jednak tak prosto, nie z tymi palcami. Strickland podnosi wzrok na Lainie. Ona nie troszczy się o niego. Nie można tego inaczej ująć. Co ona robiła, kiedy on przez półtora roku walczył w Amazonii? Wycierała rozlany sok? Żona powinna przewidywać potrzeby męża. Utrzymywać wszystko na wysoki połysk, we wszystkich dziedzinach życia.

Weźmy ten dom. Od ich przybycia do Baltimore upłynęły tygodnie, a dom dalej wygląda jak na jakimś zadupiu, w regionie Tapajós. Mokre biustonosze i pończochy zwisają z rurki zasłony prysznicowej jak pnącza rattanu. Temperatura podkrecona do poziomu *verão*. Telewizor buczy jak chmary owadów, a Timmy i Tammy szarżują niczym uzbrojone w kły pekari. Do tego jeszcze te zasrane pudła, ciągle nierozpakowane. Nawet jeśli Stricklandowi uda się odprężyć, te pudła wypiętrzają się jak Andy i on znowu stoi po kostki we wsysającym błocie (puchaty dywan), pozbawiony tchu w febrycznej mgiełce (odświeżacz powietrza), sparaliżowany naprzeciw przyczajonego jaguara (odkurzacz).

Mężczyzna nie lubi czuć się we własnym domu jak zwierzyna łowna. Strickland coraz częściej zostaje w Occam po godzinach, mimo że nie ma tam nic do roboty. Jak domowy telewizor może się równać z szesnastoma ekranami monitoringu? „Nigdy cię nie ma”, narzeka Lainie. Jego zasoby współczucia się kurczą. Zamieszanie związane z przeprowadzką dodaje Lainie wigoru, a on zaczął ją za to nienawidzić. Bo nie potrafi się w to włączyć, dopóki sprawa Deus Brânquia się nie skończy, a on będzie należał do Hoyta. Może gdyby Lainie wysprzątała dom, jego serce przestałoby łomotać i mógłby tutaj wytrzymać.

Rodzinne śniadanie, jedyny powód, dla którego Strickland wstał z łóżka po zaledwie czterech godzinach snu. Dlaczego przy stole siedzi tylko on? Lainie woła dzieci, ale nie słuchają. Lainie się śmieje, jakby ich zachowanie było dopuszczalne. Biega za nimi. Znowu jest boso. Jakaś moda zapożyczona od cyganerii? Boso chodzą ludzie biedni. Oni nie są biedni. Strickland wyobraża sobie koraloworóżowe buty Elisy Esposito, jej odsłonięte palce, jeszcze bardziej różowe. Tak powinny wyglądać wszystkie kobiety. De facto Elisa jawi mu się jako efekt naturalnej ewolucji samicy *homo sapiens*: czysta, barwna, niema. Strickland z odrazą odwraca wzrok od stóp swojej żony i znowu patrzy na talerz, na niejadalny omlet.

Podczas poprzedniej zmiany bandaży wsunął obrączkę ślubną z powrotem na opuchnięty, przebarwiony palec serdeczny. Sądził, że Lainie to doceni. Ale to był błąd. Teraz Strickland nie potrafi zdjąć obrączki. Próbuje nakłonić palec do chwycenia noża. Ból jest jak przeciąganie nici chirurgicznej przez arterię. Z twarzy Stricklanda leje się pot. W tym domu jest tak cholernie gorąco. Strickland rozgląda się za czymś zimnym. Widzi butelkę mleka. Bierze ją do ręki, wypija długi łyk i sapie. Potem zauważa, że Lainie patrzy na niego z kuchni ze zmarszczonym czołem. Dlatego, że wypił z butelki? W zeszłym roku jadł surową pumę zaszlachtowaną na roślinnym podłożu dżungli. Wciąż odzywa się w nim poczucie winy. Strickland odstawia butelkę i czuje się zagubiony, obcy. Jest martwiejącym palcem, a Baltimore ciałem, które odrzuca przyszyty narząd.

Strickland bierze do ręki widelec i udaje mu się ścisnąć w lewej dłoni nóż.

Nóż natrafia na ser, trzonek brzeka o obrączkę. Rozbłyскуje ból. Strickland mruczy pod nosem przekleństwa, po czym zauważa wgapioną w niego Tammy po drugiej stronie stołu. Dziewczynka przyzwyczajają się do widoku ojca, który ma problemy. Strickland czuje się przez to słaby, a na to nie może sobie pozwolić, zwłaszcza że generał Hoyt codziennie dostaje sprawozdania z Occam. Strickland nie może okazywać słabości, jeśli chce przekonać Hoyta, że w odniesieniu do obiektu właściwa jest jego szybka, brutalna droga, a nie pobłażliwa, kręta ścieżka Hoffstetlera. Zanim Hoyt zadzwonił w środku nocy na czerwony telefon w jego biurze, Strickland po raz ostatni usłyszał głos generała w Belém, głos, który mocno go wtedy rozstroił. Strickland wolał udawać przed samym sobą, że Hoyt został z tyłu razem z zepsutą „Josefiną”.

Płatki Tammy są nietknięte i pęcznieją.

— Jedz — mówi Strickland i Tammy zaczyna jeść.

Głos Hoyta podziałał na Stricklanda tak jak zawsze. Jakby Strickland był jednym z dawnych metalowych żołnierzyków, którego Hoyt nakręca. Strickland strzelił piętami. Podwoił wysiłki na rzecz narzucenia Occam doktryny armii amerykańskiej. Na obrzeżach świadomości czuje przypływ melancholii. W domu postępy są bardzo powolne, ale są. Krok po kroku udaje mu się dotrzeć trochę bliżej dzieci. Zmusił się do wzbudzenia w sobie zainteresowania snutymi przez Lainie kronikami zakupów i opieki nad dziećmi. Przychodzi mu do głowy, że Hoyt nie jest aż tak bardzo różny od skrzelowego bóstwa: obaj nieprzeniknieni, w jakimś sensie więksi od swojej fizycznej postaci. Strickland jest tylko dodatkową szczęką, która sterczy z czaszki Hoyta, i jeszcze przez kilka tygodni będzie musiał kasać.

Nóż zahacza o coś twardszego i upada na talerz, wysuwa się z zabandażowanych palców. Strickland ma wrażenie, jakby palce zostały wkręcone do swoich gniazd pod nieodpowiednimi kątami. Wali prawą pięścią w stół. Sztucce podskakują. Tammy upuszcza łyżkę do miski. Strickland czuje, że lzy — niedopuszczalny objaw bezsilności — nabiegają mu do oczu. Nie, nie przy córce. Wygrzebuje z kieszeni buteleczkę ze środkami przeciwbólowymi. Ściąga wieczko zębami, za mocno stuka w denko. Białe pigułki tańczą po blacie stołu, dopóki nie wpadną w coś lepkiego. Dlaczego stół jest lepki? Co to za dom? Strickland podnosi ze stołu dwie, trzy — do diabła z tym — cztery pigułki i wpycha sobie do ust. Chwyta za butelkę z mlekiem i ciągnie z gwinta — pieprzyć zarazki. Pigułki i mleko tworzą pastę. Strickland przełyka. Gorzkie, gorzkie. Ten dom, ta dzielnica, to miasto, to życie.

Lainie wie, za jakiego mężczyznę wyszła. Kiedyś rozciął sobie dłoń podczas składania łóżecka Tammy, zawiązał ranę taśmą hydrauliczną i montował dalej. Innym razem wrócił z poligonu w Wirginii z rozcięciem na czole zaklejonym superglue. Urwane palce to inna skala obrażeń, Lainie to rozumie, ale i tak czuje ścisnięcie zgrozy w żołądku za każdym razem, kiedy widzi, jako on łyka te tabletki.

Jeszcze przed Amazonią trochę się bała Richarda. Sądziła, że nie jest to rzadkie zjawisko. Od czasu do czasu widywała sińce u przyjaciółek z Orlando. Teraz to jest inny strach. Najbardziej przeraża Lainie nieprzewidywalność. Nie ma powodu do paniki. Chodzi o to, że leki zmniejszają zaangażowanie Richarda w normalną, codzienną rzeczywistość, a to ją martwi. Po kilku pigułkach Richard zaczyna wyglądać jak myśliwy z kamiennym sercem gotów zniszczyć wszystko. Lalka Tammy, która udaje spragnione niemowlę: jej skamlenie jest podejrzone. Próbkę materiałów do wykończenia ścian, które przyniosła do domu ze sklepu budowlanego: zieleni Stratford za bardzo przypomina dżunglę, a bordo Cameo za bardzo przypomina krew.

Lainie idzie na górę po schodach. Nie po to, żeby uciec od przytępionego, nieprzyjaznego spojrzenia Richarda, ale żeby znaleźć Timmy'ego, jedyną osobę, która nie okazuje odpowiedniego strachu — szacunku, poprawia się Lainie — wobec głowy rodziny. To niepokojące, choć nie aż tak bardzo niepokojące jak fakt, że Richard to toleruje. Czasami można odnieść wrażenie, że Richard zachęca swojego syna do oczerniania swojej siostry i stawiania się matce, jakby ośmioletni Timmy już teraz stał wyżej w rodzinnej hierarchii od kobiet w domu.

— Timmy — intonuje Lainie — pora na śniadanie, młody człowieku.

Dobra żona nie dopuszcza do siebie takich myśli o synu i mężu. Lainie rozumie ideę stosowania farmaceutyków. Sześć tygodni po tym, jak Richard przepadł w Amazonii, była w fatalnym stanie, twarz opuchnięta z braku snu, gardło zdarte od płakania. Nakłoniona przez sekretarkę z Waszyngtonu, która musiała wysłuchiwać przez telefon jej szlochów, poszła do lekarza rodzinnego i ze wzrokiem spuszczonego na własne kolana spytała, czy to prawda, że istnieje lek, który potrafi sprawić, aby samotne żony przestały płakać. Doktor, podenerwowany jej pociąganiem nosem, odłożył dopiero co zapalonego papierosa, aby czym prędzej przepisać jej Milton — „małego pomocnika matki” czy też psychiczną penicylinę, jak to nazwał. Poglaskał ją po dłoni i uspokoił. Wszystkie kobiety mają kruchą psychikę.

Milton podziałało. I to jak! Ogromniejszą jak kula śnieżna panika, która toczyła się w Lainie każdego smętnego dnia, została zredukowana do sennego dyskomfortu, który po paru popołudniowych koktajlach grawitował w stronę uspokojenia. Lainie podejrzewała, że przegina, ale kiedy przy skrzynkach na listy albo w sklepie spożywczym spotykała inne żony wojskowych, one też mówiły niewyraźnie i miały palce jak z waty. Potem jednak Lainie wzięła się w garść i wyrzuciła środki uspokajające do ubikacji. Po drodze do pokoju Timmy widzi karnawałowe odbicia samej siebie w klamkach, flakonach, ramach obrazów. Czy niezależna Lainie z Orlando całkiem zniknęła?

Lainie czuje ulgę, zastając Timmy'ego plecami do drzwi za biurkiem, hołubioną repliką — jak Lainie lubi sobie wyobrazić — biurka w miejscu pracy jego ojca. Lainie stoi chwilę w drzwiach, karcąc się za to, że ma jakiegokolwiek zastrzeżenia do tego cherubinka. Timmy to syn swojego

ojca, ale także dzidzius swojej matki, bystre dziecko z wielkim apetytem na życie. Jakie to szczęście, że Lainie go ma!

— Puk, puk.

Timmy nie słyszy i Lainie nie może się powstrzymać od uśmiechu. Timmy jest tak samo skupiony jak jego ojciec. Lainie podchodzi, jej bosa stopy cicho stąpają po dywanie, czuje się jak anioł, który przyleciał sprawdzić, co słychać u jednego ze świętych tego świata. W końcu staje nad nim i widzi jaszczurkę ze wszystkimi czterema nogami przybitymi do blatu stołu, zwierzę nadal podryguje, a Timmy dłubie nożem w rozciętych brzuchu.

Rozcięcie na boku stworą się goi. Z każdą kolejną nadranną wizytą Elisa widzi coraz mniejszy bełt krwi znaczący jego wędrówkę przez basen. Widoczne są tylko oczy, światła latarni morskiej wskazujące drogę przez czarne morze. Stwór płynie tuż przed Elisą i to jest postęp: koniec z ukrywaniem się pod wodą. Jej tętno galopuje. Potrzebowała tego. Potrzebowała, żeby stwór ją pamiętał, żeby jej ufał. Elisa przekłada ciężki worek na śmieci do drugiej ręki. Normalna rzecz w ręku woźnej, ale w tym worku jest wszystko, tylko nie śmieci.

„Umrzeć za Kemosza to żyć wiecznie!” Przytłumione okrzyki z tego filmu stały się drugim budzikiem, którego Elisa nie potrzebuje. Leży obudzona dużo wcześniej, niż potrzeba, myśli o nim, o jego wspaniałości, której nie może umniejszyć nawet najgrubszy łańcuch. Srebrne buty Julii to jedyna rzecz, która może odciągnąć jej uwagę od stworą. Ostatnimi czasy Elisa nigdy nie spóźnia się na autobus, dzięki czemu zawsze zdąży przejść na drugą stronę ulicy i przyłożyć dłonie do szyby. Kiedyś czuła szkło ze wszystkich stron, niewidzialne ściany labiryntu, w którym była uwięziona. Z tym już koniec: Elisa sądzi, że znalazła drogę do wyjścia z tego labiryntu, która prowadzi przez F-1.

Tej nocy nie słyhać nagrań terenowych z dżungli, a ona dostatecznie długo rozpisywała działalność laboratorium na minuty — małymi znaczkami u dołu lkzj — aby wiedzieć, co to oznacza: wszyscy naukowcy już poszli i nie ma komu nawinać taśmę na szpulę. W Occam jest pusto. Zelda sprząta w innej części placówki. Elisa przekracza czerwoną linię i wyciąga przed siebie pierwsze jajko na tę noc.

Stwór mocniej napina łuk ciała, aby podpłynąć bliżej. Elisa musi powstrzymać się od uśmiechu — gdyby się uśmiechnęła, dałaby stworowi to, czego on chce, zanim sobie na to zasłużył. Elisa stoi w stanowczej pozie, jajko trzyma pionowo. Stwór unosi się na powierzchni jak pod wpływem czarów. Jeśli macha kończynami, ona tego nie widzi. Wielka dłoń powoli wynurza się z basenu, woda ścieka między kolcami na przedramieniu i pośród wygrawerowanych na piersi wzorów. Szybkie zgięcia pięciu palców są jak pięć ramion oplatających ją mocnym uściskiem: j-a-j-k-o.

Za swoim uśmiechem Elisa nie oddycha. Kładzie jajko na murku i patrzy, jak stwór je bierze, nie gwałtownym chwytem jak w poprzednim tygodniu, lecz z wybrednością smakosza. Elisa chciałaby popatrzeć, jak stwór obiera jajko, sprawdzić, czy się w tym wprawil, ale worek na śmieci jest za ciężki, żeby z nim długo stać. Cały czas utrzymując kontakt wzrokowy, Elisa oddala się tyłem od basenu, aż w końcu trąca biodrem o stół ze sprzętem audio. Odsuwa magnetofon do tyłu, a radio na bok, i podnosi pokrywę gramofonu.

Elisa podejrzewa, że obecność gramofonu jest przypadkowa. Sprzęt ten prawdopodobnie zalegał w szafie któregoś z naukowców i jest cały poowijany splątanymi kablami. Elisa wyjmując z worka zakurzone relikty zapomnianego młodego życia, które od wielu dni przechowywała w szatni: albumy płytowe, które przestała puszczać w tym samym czasie, kiedy przestała wierzyć, że ma jakiegokolwiek powody ich słuhać. Przyniosła ich za dużo, kilkanaście, ale nie mogła z góry wiedzieć, jakiej muzyki będzie wymagała ta chwila.

Songs in a Mellow Mood Elli Fitzgerald — czy charczenie nie byłoby dla niego stresujące? *Chet Baker Sings* — czy rytm nie za bardzo kojarzy się z rekinem? *The Chordettes Sing Your*

Requests — czy stwór nie pomyśli, że do laboratorium przyszły inne kobiety? Elisa nagle uznaje, że piosenki z tekstem to zły pomysł. Wybiera pierwszy instrumentalny album, na który natrafia, *Lover's Serenade* Glenna Millera. Wysuwa z koperty i kładzie na talerz gramofonu. Odwraca się i miga w powietrzu „płyta”. Potem opuszcza igłę i dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że gramofon nie jest włączony do kontaktu. Znajduje wtyczkę i gniazdko, łączy je ze sobą...

...i synkopowany rytm instrumentów dętych zwała ją z nóg. Fortepian, perkusja, smyczki i rogi nurkują i szybują, koordynują tempo, a potem ktoś wypuszcza nad tym wszystkim trąbkę jak gołębicę. Elisa patrzy w stronę basenu przekonana, iż stworzenie uzna, że to pułapka, że zostało zdradzone. Tymczasem stwór jest nieruchomy, jakby woda zamarzała. Skorupki obranego do połowy jajka rozpływają się odśrodkowo — fizyczny objaw zauroczenia stwora.

Elisa podnosi igłę z wirującego krążka. Trąbka oddziela się z młaśnięciem. Elisa zmusza się do uśmiechu, aby przekonać stworzenie, że wszystko jest w porządku. Zresztą wszystko jest w porządku, a nawet lepiej: bruzdy łuskowatej skóry świecą. Elisa przypomina sobie fragment artykułu z gazety na temat bioluminescencji, chemicznego światła emitowanego przez niektóre ryby. Po lekturze wyobrażała sobie, że wygląda to jak robaczki świętojańskie, punkciki w mrokach nocy, a nie to melodyjne rozmigotanie, które zdaje się wrzeć we wnętrzu stworzenia i rozjaśniać czarną jak atrament wodę do koloru błękitnego letniego nieba. Stwór słyszy muzykę, ale także ją czuje i odbija — i ta odbita muzyka nie przypomina żadnej innej, którą Elisa w życiu słyszała i czuła. Kompozycje Glenna Millera mają kolory, kształty, faktury... Jak to możliwe, że do tej pory tego nie zauważyła? Jednak światła stwora przygasają, a ona nie potrafi wyobrazić sobie bez nich wody. Ponownie opuszcza igłę gramofonu i nad rytmicznymi dmuchnięciami orkiestry wije się solo saksofonowe. Tym razem Elisa nie odrywa oczu od stworzenia. Tym razem jego światło nie tylko rozjaśnia wodę, ale ją elektryzuje, nasycy turkusowym blaskiem, który obmywa ściany laboratorium jak płynny ogień. Fizyczne otoczenie — stół, płyty itd. — wyślizguje się ze świadomości Elisy, którą coś ciągnie w stronę basenu, jej skóra i krew są niebieskie i ona zdaje sobie z tego sprawę. Tam, skąd pochodzi stwór, nigdy nie słyszał takiej muzyki, mnogości odrębnych utworów splecionych w radosne unisono. Woda wokół niego zaczyna się zmieniać — robi się żółta, różowa, zielona, fioletowa. Stwór zagląda w głąb powietrza, nawykły, że dźwięki mają określone źródło, sięga dłonią, jakby chciał uchwycić jeden z niewidzialnych instrumentów i przyjrzeć się mu, sprawdzić, czy pachnie magią i smakuje cudami, a potem rzucić z powrotem ku niebu.

Chłopiec schodzi do jadalni. Nie jest taki jak jego siostra. Nie podkrada się do człowieka niepostrzeżenie. Ciężko siada na krzesło, kaszle bez zasłaniania ust, brzdęka sztućcami. Patrzy ci prosto w oczy jak mężczyzna. Między pulsami bólu Strickland czuje dumę. Wychowywanie dzieci jest zadaniem matki, ale bycie wzorem do naśladowania to coś, co może robić on. Uśmiecha się do Timmy'ego. Ruch warg jest bardzo nieznaczny, ale napina jego szyję, która napina jego ramię, które napina jego dłoń, która napina jego palce. Uśmiech gaśnie.

— Boli, tato? — pyta Timmy.

Chłopiec niedokładnie spłukał mydło z dłoni. Nie umyłby rąk, gdyby Lainie go do tego nie zmusiła. Czyli zbroił coś, co jego matka uznała za naganne. To dobrze. Badanie granic jest ważne. Strickland zarzucił już próby wyjaśnienia tego Lainie. Ona nigdy nie zrozumie, że zarazki są tak samo potrzebne jak obrażenia: nie powstanie bez nich tkanka bliznowata.

— Trochę.

Pigułki zaczynają stępiać ostrze bólu.

Do rodziny dołącza Lainie. Zamiast coś zjeść, zapala papierosa. Strickland przygląda się jej pobieżnie. Zawsze mu się podobały jej włosy. Ona nazywa tę fryzurę „gniazdo os” — sprzeczna z zasadami fizyki newtonowskiej bryła przeplotów i kosmyków, której pielęgnacja musi wymagać pewnych kompetencji. Ostatnio jednak, kiedy Strickland wraca późno do domu zmęczony albo przytłumiony lekami i widzi na poduszce fryzurę Lainie, wygląda mu to jak coś przynależnego do dżungli. Na przykład pajęczą torebkę jajową, pęczniejącą, by za chwilę wypluć z siebie skłębioną furię pajęczków. W Amazonii mieli na to rozwiązanie. Benzyna i zapałka, chyba że ktoś miał ochotę, żeby go oblażyły. Okropne skojarzenie. Strickland kocha swoją żonę. Na razie przechodzi trudny okres, ale te wizje przeminą.

Strickland znowu bierze do ręki nóż i widelec, lecz nie odrywa oczu od Lainie, która duma o swoim zbuntowanym synu. Czy okaże strach przed tym, czym staje się jej syn, czy raczej będzie próbowała go poskromić? Strickland uważa te zmagania za interesujące tak samo, jak interesuje go kwestia, czy obiekt przeżyje w warunkach laboratoryjnych. Innymi słowy, oba te projekty są skazane na porażkę. W sytuacji chłopiec kontra matka chłopiec prędzej czy później wygra. Chłopcy zawsze wygrywają.

Lainie kątem ust wydmuchuje dym i wybiera taktykę, którą Strickland zna z procedury przesłuchania jako „odstępowanie na bok”.

— Może powiesz ojcu to, co powiedziałeś mnie?

— A, tak — mówi Timmy. — Wiesz co? Robimy kapsułę czasu! Pani Waters mówi, że mamy tam włożyć nasze przewidywania na przyszłość.

— Kapsułę czasu — powtarza Strickland. — To jest takie pudełko, które się zakopuje, a potem ktoś je odkopuje, zgadza się?

— Timmy — zachęca Lainie — spytaj ojca o to, o co spytałeś mnie.

— Mama powiedziała, że robisz w pracy rzeczy związane z przyszłością, więc powinienem cię zapytać, co mam tam włożyć. pj mówi, że będziemy mieli plecaki raketowe. Ja mu powiedziałem, że będziemy mieli łodzie-ośmiornice. Ale ja nie chcę, żeby pj miał rację, a ja nie. Jak myślisz, tato? Myślisz, że będziemy mieli plecaki raketowe czy łodzie-ośmiornice?

Strickland czuje na sobie całą szóstkę oczu. Uczucie to zna każdy wojskowy godny swoich epoletów. Strickland zawiesza operację Omlet, wzdycha przez nozdrza i przerzuca spojrzenie z jednej twarzy na drugą i trzecią. Nerwowe wyczekiwanie Timmy'ego, cieleca apatia Tammy, niespokojne zagryzanie warg Lainie. Strickland myśli o tym, żeby spleść ramiona na piersiach, uświadamia sobie jednak, jak bardzo by to bolało, i zamiast tego kładzie dłoń płasko na stole.

— Raczej plecaki raketowe. To znaczy na pewno. To tylko kwestia inżynieryjna. Zmaksymalizować ciąg, zminimalizować wydzielanie ciepła. Dziesięć lat, góra piętnaście. Jak będziesz w moim wieku, załapiesz się na taki plecak. Lepszy od tego, który dostanie pj, dopilnuję tego. Co się tyczy łodzi-ośmiornicy, to nie jestem pewien, co to jest. Jeśli masz na myśli jednostkę podwodną, która pozwoli nam badać dno oceanu, to też mówię tak. Robimy wielkie postępy z odpornością na ciśnienie i hydromobilnością. W tej chwili wykonujemy w pracy eksperymenty z przetrwaniem ziemno-wodnym.

— Serio, tato? Muszę powiedzieć pj.

To mogą być leki: jego mięśnie oplatają ciepłe macki, chrupiący ból tak jak węże chrupią myszy polne. Miło jest widzieć uwielbienie na twarzy chłopca, ślepy podziw na twarzy jego dziewczynki. Nawet Lainie nagle wygląda w porządku. Dalej ma zgrabną figurę, teraz ciasno opiętą fartuchem gładko wyprasowanym drogim żelazkiem od Westinghouse. Strickland wyobraża sobie paski fartucha zawiązane w twardą, ciasną kulkę na krzyżu Lainie. Lainie rozszyfrowuje jego spojrzenie i Strickland się martwi, że jej usta skrzywią się z tej samej odrazy, którą wzbudził w niej wcześniej Timmy. Ale nie krzywią się. Lainie przymyka oczy, tak jak dawniej robiła, kiedy miała ochotę na amory. Strickland bierze głęboki, zadowolony wdech i tym razem ból nie odpowiada ogniem.

— Jasne, synu. Nie mieszkasz w jakiejś komunistycznej szczurzej norze. Mieszkasz w Ameryce, a tak właśnie robią Amerykanie. Robimy, co trzeba, żeby nasz kraj był wielki. Tym właśnie zajmuje się twój tatuś. Ty też kiedyś będziesz się tym zajmował. Uwierz w przyszłość, synu, a ona przyjdzie. Zobaczysz.

Lainie nie chce liczyć, ile razy wracała do portu w Fells Point. Jedzie tam za każdym razem, kiedy życie staje się za ciężkie, żeby je uciągnąć, myśli o tym, żeby rzucić się razem z nim do wody, której poziom jest jednak za niski z powodu braku deszczu i przypuszczalnie przetrąciłaby sobie tylko kark. Gdzie by wtedy była? Na wózku inwalidzkim, na dobre utknęłaby przed telewizorem, bez przerwy przesuwalaby Spray 'N Steam tam i z powrotem, aż w końcu nie mogłaby tego wytrzymać i roztopiłaby koszulę Richarda, deskę do prasowania i samą siebie do postaci jednej wielkiej pastelowej kałuży, do której usunięcia Richard musiałby wezwać fachowca.

Lainie sądzi, że jaszczurka, którą torturował Timmy, nazywa się scynk. Gdyby zobaczyła tego ohydneho pęczacza na ganku, wymiotłaby go w krzaki. Gdyby zobaczyła go w domu, to powiedzmy sobie szczerze, rozdeptałaby go na śmierć. Lainie próbuje przekonać samą siebie, że Timmy w gruncie rzeczy zrobił to samo. Jednak to nieprawda. Większość dzieci interesuje się śmiercią, ale większość dzieci odruchowo czuje wstyd, kiedy dorośli przyłapią je na ćwiartowaniu trupów. Tymczasem Timmy spojrzał na nią zirytowany, tak jak robi to Richard, kiedy ona go dociska w związku z jego pracą. Szybko zmobilizowała w sobie odwagę i kazała Timmy'emu spuścić zwierzę do toalety, porządnie umyć ręce i zejść na śniadanie.

Kiedy wyszedł z łazienki, sprawdziła, czy scynk nie próbuje wydostać się z muszli. Następnie przez minutę analizowała swoje odbicie w lustrze. Przyklepała sprężyste włosy. Doróżowiła usta. Poprawiła naszyjnik, żeby największe perły znalazły się w zagłębieniu szyi. Ostatnimi czasy Richard nie patrzył na nią uważnie, ale czy zauważyłby jej tajemnicę, gdyby spojrzał? Nawet Timmy był tego bliski, pomyślała.

Po jednym ze swoich portowych transów Lainie poczłapała wzdłuż nabrzeża, skierowała się na północ, minęła Patterson Park i znalazła się na Baltimore Street. Wysokie budynki ją przytłaczały, lawirowała między nimi, jakby płynęła kanadyjką. Zatrzymała się pod jednym z największych budynków w polu widzenia, czarno-białą cytadelą stylizowaną na lata dwudzieste. Drzwi obrotowe bez przerwy się kręciły, wydmuchując powietrze, które pachniało skórą i atramentem.

Lainie traktuje poranny rytuał oglądania wiadomości jak intelektualny aerobik i z tego samego powodu pokonała wirujące drzwi. Wypluły ją na szachownicową podłogę recepcji, która wyglądała na wykutą z litego obsydianu. Fragmentaryczne widoki wyższych pięter dawały częściowy wgląd w coś, co przypominało autonomiczne miasto. Pracownicy mieli własną pocztę, jadłodajnię, wózki z kawą, sklepy na rogu, kioski z gazetami, warsztaty zegarmistrzowskie, dział ochrony. Nowoczesne kobiety w eleganckich strojach i mężczyźni z aktówkami przecinali recepcję, wysztywnieni własną ważnością.

W tym samowystarczalnym świecie nie było Richarda Stricklanda. Ani Timmy'ego czy Tammy Strickland. Ani Lainie Strickland. Ta ostatnia została bowiem w Orlando. Lainie chciała się ponapawać tym wrażeniem, więc pojechała windą do małej piekarni i oglądała wyłożone za szkłem produkty. Postanowiła dla odmiany wybrać coś, co jej samej będzie smakowało. Kiedy ekspedient na nią spojrzał, powiedziała: „Poproszę babeczkę cytrynowo-maślaną”. Potem ekspedient nie patrzył już na nią. Jakiś mężczyzna, prawdopodobnie stały bywalec budynku, bo

przyszedł w samej koszuli, jednocześnie z nią powiedział: „Daj mi babeczkę cytrynowo-maślaną, Jerry”. Lainie przeprosiła, mężczyzna prychnął śmiechem i powiedział: „Pani pierwsza”, ona zaprotestowała, że nie powinna sama zjadać całej babeczki maślanej, ale on przekonywał, że powinna, bo Jerry robi najlepsze babeczki w mieście.

Mężczyzna z nią flirtował, ale nie robił tego natrętnie, a ponadto w tym śródziemiu Lainie była zdolna do wszystkiego, więc kiedy mężczyzna skomplementował jej głos, udawała uodpornioną na takie umizgi i wyśmiała je.

— Mówię poważnie — nalegał. — Ma pani mocny, kojący głos. Ocieka pani cierpliwością.

Pod płaszczykiem spokoju serce jej biło jak szalone.

— Ociekam... Każda kobieta pragnie usłyszeć to słowo.

Mężczyzna prychnął autoironicznym śmiechem.

— Dla kogo pani pracuje w tej budzie?

— Dla nikogo.

— A, czyli pani mąż. Gdzie konkretnie?

— Mąż też nie.

Mężczyzna strzelił z palców.

— Mary Kay. Dziewczyny na górze mają bzika na punkcie tych kosmetyków.

— Przepraszam, po prostu weszłam, żeby... Po prostu weszłam.

— Naprawdę? Może wydam się pani zbyt śmiały, ale nie szuka pani przypadkiem pracy? Pracuję dla małej firmy reklamowej na górze i polujemy na nową recepcjonistkę. Jestem Bernie. Bernie Clay.

Bernie wyciągnął do niej dłoń. Zanim Lainie zdążyła przełożyć babeczkę cytrynowo-maślaną do drugiej ręki, zrozumiała, że wszystko się zmieniło. W ciągu następnej godziny przedstawiła się jako Elaine, a nie Lainie, pojechała z Bernieem łsnącą windą, przeszła razem z nim przez poczekalnię z modnymi czerwonymi fotelami i usiadła w jego biurze, koło którego wędrowały dziesiątki energicznych mężczyzn i sekretarek rzucających jej spojrzenia. Nie wrogie, ale również nie przyjazne, tak jakby się zastanawiali, czy kobieta pod „gniazdem os” ma w sobie to, czego potrzeba.

Lainie wie, że to wszystko zrobiła, ale przypomina sobie tylko urywki. W całości pamięta natomiast szybkie obliczenia w głowie dotyczące rozkładów dnia jej dzieci i męża, które trzeba było uwzględnić przed zareagowaniem na ofertę Berniego — stanowczym tonem w stylu „Jeśli panu to nie odpowiada, to trudno”, który niepomniernie ją zaskoczył — kontrpropozycją pracy na część etatu — więcej nie da rady, wyjaśniła.

Teraz Lainie słyszy pod stołem odgłos kopnięcia krzesła przez Timmy’ego i niepewny brzęk łyżki Tammy o miseczkę. Obraca głowę i widzi swoje odbicie w szybce kredensu, zastanawia się, jakim cudem „gniazda os” weszły w modę. Wszystkie sekretarki w Klein & Saunders mają gładkie fryzury i chociaż Lainie pracuje z nimi dopiero od paru dni, zaczęła sobie wyobrażać, jak ona by się czuła z tak ułożonymi włosami.

Elisa podejrzewa, że już nigdy nie zazna tak pełnych radości i zachwyty nocy. Spotkania w F-1 są zbyt niezwykle, aby potrafiła je całościowo uchwycić. Przeżywa je najlepiej, jak umie, zdyszczanymi fragmentami, jak sceny filmowe, których miejsce jest na piętnastometrowym ekranie Arcade, a nie w małym telewizorze Gilesa. Cały basen płonie elektrycznym błękitem z chwilą, kiedy ona wchodzi do laboratorium. Rozwidlający się nurt stworu sunie pod wodą na jej spotkanie. Jajka tak gładkie i ciepłe jak skóra niemowlęcia. Głowa stworu unosi się z wody, jego oczy rzadko są teraz złote, przybierają bardziej miękkie, ludzkie kolory i migoczą, a nie błyskają. Przytulne, pomarańczowe jarzenie się świateł bezpieczeństwa, jak poranek w stajence. Masywna, najeżona ostrzami broń dłoni stworzenia, pisząca w powietrzu „jajko” tak delikatnymi ruchami, że można by nimi pogłaskać gąsiątka. Wyrazy twarzy, których Elisa już tak dawno nie używała, że o nich zapomniała: zagryzanie warg z podniecenia odbite w metalowych stołach chirurgicznych, wielkookie oczekiwanie odbite w wodzie z basenu, beztrioskie uśmiechy odbite w jaśniejących oczach stworzenia. Nawet nużące czynności wstępne, które poprzedzają te wizyty, są otulone promiennością stworu. Poranne jajka nie pluskają, tylko hycają do garnka. Elisa nie powłóczy już nogami z pokoju do pokoju, kiedy się obudzi: w kuchni jest Bojanglesem, a w sypialni Cagneyem. Dobór obuwia z każdym dniem staje się coraz bardziej szpanerski, Elisa sypie iskrami, schodząc po schodach pożarowych Arcade, jakby poręcz była poprzeplatana złotkiem i sreberkiem. Elisa tańczy po świeżo umytych podłogach Occam i patrzy, jak kolor jej butów ślizga się po posadzce niby wschodzące słońce po jeziorze. Zelda chichocze na widok jej dziarskiego nastroju i komentuje, że Elisa zachowuje się tak jak ona w okresie, kiedy poznała Brewstera. Elisa zbywa tę uwagę, ale zastanawia się w swoim obłąkanym stanie, czy jest coś na rzeczy. Powgniatane, oblezione kocią sierścią okładki longplayów — dwunastocalowy kwadrat dokładnie oddaje wymiary radości. Stwór miga słowo „płyta”, chociaż Elisa nie doszła jeszcze do połowy drogi między drzwiami a basenem. Stwór stoi blisko murka, ukazując tors. Łuski na piersiach iskrzą jak szuflada z biżuterią. Zdejmowanie kurzu z igły gramofonu jest jak wycieranie łzy z oka. Miles albo Frank, albo Hank, albo Billie, albo Patsy, albo Nina, albo Nat, albo Fats, albo Elvis, albo Roy, albo Ray, albo Buddy, albo Jerry Lee przeobrażeni w anielskie chóry, każde śpiewane przez nich słowo brzemienne historią, którą stwór pragnie zrozumieć. Jego światła, jego sensacyjne światła to symfoniczna odpowiedź na rozmigotany fioletowy blask wokalistów, błękitny puls rock and rolla, pylisty żółcień country, błyskający oranż jazzu. Dotknięcie dłoni stworu, rzadkie, ale ekscytujące, w chwili zabierania jajek z dłoni Elisy. Tego jednego razu, kiedy Elisa ma odwagę wystawić przed siebie pustą dłoń, stwór mimo to sięga ku niej, delikatnie przeciąga szponami po jej przegubie, zaciska swoją dłoń we wnętrzu jej dłoni, jakby podobała mu się zabawa w udawane jajko, i pozwala Elisie zamknąć palce wokół swoich — przez tę jedną chwilę nie są przeszłością i teraźniejszością, człowiekiem i zwierzęciem, tylko kobietą i mężczyzną.

Sygnaly seksualne w lesie deszczowym były krzyżące. Gibkie zawodzenia, trzepoczące zmarszczenia, nabrzmiałe genitalia, jaśniejące kolory. Sygnaly Lainie są równie oczywiste. Spuszczenie wzroku, wydęcie wargi, wypchnięcie piersi. Aż dziw bierze, że dzieci nie krzywią nosów od feromonów, kiedy Lainie zakłada płaszcz na fartuch i odprowadza je do autobusu. Potem wraca i upuszcza płaszcz na podłogę jak gwiazda filmowa. Następnie dotyka balustrady schodów jednym zgiętym palcem i pyta: „Masz czas?”. On ma głowę zamuloną środkiem przeciwbólowym, huczy w niej jak tornado słyszane z piwnicy i słowa są niedostępne. Lainie obraca się wokół opartego o balustradę palca i wchodzi na górę, biodra kołyszą się jak pióra ogona zalotnej ary.

Strickland zanosí talerz do zlewu i strząsa omlet. Pstryka przełącznik rozdrabniacza odpadów. Nigdy wcześniej nie mieli tego. Ostrza bucą jak uczujące piranie. Drobiny jajka obryzgują stal nierdzewną. Richard wyłącza rozdrabniacz i słyszy, jak nad jego głową skrzypią klepki podłogi, a potem sprężyny łóżka. Nakarmiono go, proponuje mu się seks, grzeje go ciepłe poranne słońce — czego jeszcze chcieć? A przecież nie aprobeje wyzywającej postawy żony. Nie aprobeje też samego siebie, z powodu napierającej na zlew erekcji. Uwodzicielskie gry przynależą do Amazonii, a nie do tej starannie rozplanowanej amerykańskiej dzielnicy. Dlaczego Strickland nie potrafi zapanować nad sobą? Dlaczego nad niczym nie potrafi zapanować?

Strickland jest na górze. Nie umie powiedzieć, jak się tutaj znalazł. Lainie przysiadła na skraju łóżka. Strickland z przykrością widzi, że zgrzebny pragmatyzm fartucha zastąpiła zwiewność nocnej koszuli. Lainie siedzi z ramionami wysuniętymi do przodu, złączonymi kolanami i jedną stopą odsuniętą na bok. Tej pozy również nauczyła się z filmów. Ale czy którakolwiek gwiazdka filmowa ma taką brudną podeszwę stopy? Strickland wciąż się do niej przybliża, strofując się przy każdym kroku. Dać się przywabić kobiecie to jak połknąć przynętę podsunętą przez wroga. Spryt Lainie: żona Stricklanda czeka, zwinny ruch ramienia przekonuje ramiączko nocnej koszuli, żeby się osunęło. Strickland stoi przed nią słaby i bezwartościowy.

— Podoba mi się tutaj — mówi Lainie.

Porozrzucane ubrania zalegają podłogę jak robactwo. Butelecзки perfum obsiadły wszystko jak owady. Rolety są krzywe jak po trzęsieniu ziemi. Stricklandowi się tutaj nie podoba, nie ma zaufania do Baltimore. Wszystko w tym mieście jest rozbudowanym ruchem w stronę cywilizacji, zwiększającym poczucie bezpieczeństwa blefem, który mówi o wyższości gatunku ludzkiego.

— W Baltimore — precyzuje Lainie. — Ludzie są mili. Nie ma tego południowego pozerstwa. Dzieci lubią nasz duży ogród. Lubią szkołę. Sklepy robią wielkie wrażenie. Ty lubisz swoją pracę. Wiem, że nie myślisz o niej w tych kategoriach, ale kobieta potrafi to ocenić. Ciągłe pracujesz do późna. Jesteś zaangażowany. Jestem pewna, że cię doceniają. Zrobisz tam wielką karierę. Wszystko będzie wspaniale.

Zabandażowana lewa dłoń Stricklanda spoczywa w dłoni Lainie. Strickland nie potrafi powiedzieć, jak do tego doszło. Ma nadzieję, że to przez te pigułki. Bo jeśli nie, to jego zdradzieckie ciało zalewają środki odurzające coraz bardziej prawdopodobnego stosunku. Lainie kładzie jego palce na swojej piersi i zaczerpuje powietrza, aby ją powiększyć, a jednocześnie

wyciąga szyję. Strickland ogląda jej nieskazitelną skórę i zamiast niej widzi dwie wypukłe blizny Elisy Esposito. Elisa, Lainie. Tak podobne imiona. Strickland zaczyna przebiegać palcami wzdłuż wymaganych blizn. Lainie wtula szyję w jego dłoń. Stricklandem szarpie współczucie. Lainie nie ma pojęcia, jakie rzeczy chodzą mu po głowie. Na przykład to, co on myśli sobie w tej chwili: że wolalby pogryźć ją na kawałki, tak jak ukryte pod zlewem piranie.

— Boli? — Lainie wciska jego zimne, przyszyte palce w swoją ciepłą pierś, tuż nad sercem.
— Czujesz cokolwiek?

Lainie widzi jego dzikość i przyklaskuje jej. Zbyt długo inwestował swą najlepszą energię w dżunglę. Ale w Baltimore stawka jest wyższa niż tylko misja wojskowa. Lainie musi mu o tym jak najczęściej przypominać. Pytanie Timmy'ego o kapsułę czasu wytrąciło Richarda z jego torów i zareagował wspaniale, sypał radami, jak przystało na ojca. Lainie wie, że musi mu po prostu dać trochę czasu. Niedługo Richard będzie gotów porozmawiać z ich synem o tym, co zrobił jaszczurce i co to znaczy być dobrym człowiekiem. Bo Richard, mimo pracy, jaką wykonuje, mimo zależności od generała Hoyta, mimo wszystko — jest dobrym człowiekiem. Lainie jest tego prawie pewna.

Postępowe czasopisma dla kobiet ją instruują, żeby nie oddawała swojego ciała w formie nagrody, ale czy one się znają? Czy któraś z tych dziennikarek i redaktorek ma męża, którego wrzucono do dwóch rodzajów piekła i wrócił żywy? „Tak mogłoby być. Moglibyśmy być szczęśliwi, normalni”. Lainie liczy na to, że Richard w ten sposób odczyta komunikat płynący z seksu. A może przy okazji Lainie uda się przekonać do tego siebie samą. Może już nie będzie musiała trzymać w tajemnicy swojej pracy w Klein & Saunders. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, a on mocno ją potem przytuli, wykończony i oszołomiony, ona natychmiast mu powie. Może nawet będzie z niej dumny.

Jego dzikość nie trwa jednak długo. Richard łatwo się zawstydzą, kiedy jego ciało jest niezdarne, i pomiędzy gamoniowatym zdejmowaniem ubrania a nieporadnym ułożeniem się na Lainie ponownie chowa się w ogrze z pobrużdżonym czołem, którym jest od czasu Amazonii. Lainie celowo zachowuje się chaotycznie — nocna koszula rozpięta do połowy, jedna dłoń wsunięta w splątane włosy, druga ściska kołdrę — ale Richard to mięso na tłokach, narzędzie do wykonania zadania, wchodzi w nią prosto jak strzykawka. Od początku rzuca biodrami z jednostajną, średnią prędkością.

Ale to jest już coś. Lainie krzyżuje kostki za jego plecami, wbija palce w jego bicepsy i miota klatką piersiową, nie dlatego, że jest jej szczególnie przyjemnie, ale po to, żeby wszystkie części ich ciał się ruszały, bo dopóki Lainie nie będzie leżała nieruchomo, istnieje szansa, aby zobaczyć każdą chwilę z nowej perspektywy, aby uwierzyć, że ten akt, jak również szerszy akt małżeństwa, nie doczekał się jeszcze końca.

Wymaga to zaangażowania i energii, pochłania uwagę Lainie aż do chwili, kiedy czuje ciepło dłoni Richarda na swojej szyi. Lainie otwiera oczy powoli, żeby go nie wystraszyć. Richard ma mokrą i czerwoną twarz, a jego oczy, również mokre i czerwone, wpatrują się w jej szyję, gdzie jego kciuk kreśli ukośną linię w stronę gardła. Lainie nie umie tego zinterpretować, ale chce go do tego zachęcić.

— Przyjemne — szepcze. — Głaskaj mnie całą.

Jego dłoń wędruje do góry, po podbródku, zakrywa usta z tak gładką łatwością, że Lainie nie wie, co się dzieje, dopóki nie czuje, że po jej szyi spływa coś mokrego. Na wardze, twardej jak kłykieć, czuje obrączkę pod bandażem. Stara się zachować spokój. Richard nie próbuje zrobić jej krzywdy. Nie próbuje jej udusić. Między jej wargami znowu zbiera się coś mokrego. Lainie rozpoznaje ten smak. Nie chce w to uwierzyć. Znowu kosztuje i odsuwa głowę na bok, żeby uwolnić ją od ręki Richarda.

— Słonko — sapie — dłoń ci krwawi...

Ale jego mokra dłoń znowu nasuwa się na jej usta. Tego chce Strickland — chce, żeby była niema. Kopuluje teraz szybciej, sprężyny jazgoczą, zagłówek łóżka dudni w nietypowym rytmie, Lainie zaciska wargi przed krwią i odycha przez nos, mówi sobie, że wytrzyma, aż Richard skończy, ponieważ to jest ta dzikość, której ona chciała, i to na podkreślonym poziomie. Niektóre kobiety to lubią. Widziała mnóstwo okładek czasopisma „Adventure” z bezradnymi kobietami w sukienkach poszarpanych przez mężczyzn przypominających Tarzana. Może i ona zdoła to polubić.

Nacisk dłoni Richarda na jej usta słabnie, kiedy jego ciało zaczyna sztywnieć, dzięki czemu Lainie może ułożyć głowę pionowo. Richard nie patrzy już na dwie wykreślone krwią linie w poprzek jej gardła. Odchylił głowę, mięśnie szyi ma napięte i najwyraźniej zagląda do szafy. Lainie czuje, że jego uda drżą na jej udach, i opuszcza głowę z powrotem na poduszkę, krew dalej spływa po bokach jej szyi. To za bardzo niezrozumiałe, żeby o tym myśleć. W szafie nie ma nic, na co warto byłoby patrzeć, zupełnie nic. Tylko jakieś marne stare buty na wysokim obcasie.

Elisa nie chodzi do laboratorium każdej nocy, a kiedy idzie tam z jajkiem w ręku i zastaje stworzenie w kapsule, zamiast w basenie, serce jej pęka. Sytuacja ta wyrywa ją z egoistycznego zachwytu i przypomina jej, że w F-1 tak naprawdę nie ma radości. Owszem, basen jest lepszy od kapsuły, ale prawie wszystko byłoby lepsze od basenu. Na świecie roi się od stawów i jezior, strumieni i rzek, mórz i oceanów. W takie noce Elisa stoi koło kapsuły i zastanawia się, czy jest choć trochę lepsza od żołnierzy, którzy pojмали stworzenie, albo naukowców, którzy je więżą.

Jednego Elisa jest pewna: stworzenie wyczuwa stan jej umysłu, nawet przez metal i szkło. Światła jego ciała wypełniają kapsułę tak intensywnymi kolorami, jakby pływał w lawie, roztopionej stali albo żółtym ogniu. Gwałtowność tych emocji martwi Elisę. Czy to możliwe, że przez nią stwór ma teraz jeszcze trudniejsze życie? Przed zajrzeniem do środka Elisa przełyka wielkie łyżę i maskuje drżenie warg najbardziej błogim uśmiechem, na jaki potrafi się zdobyć.

Stwór czeka, krąży tuż za iluminatorami. Kręci się i przetacza na jej widok, z jego dłoni wzlatają bąbelki, migając słowa, które stwór najbardziej lubi: „cześć”, „Elisa”, „płyta”. Elisa wątpi, czy z wnętrza kapsuły stwór cokolwiek słyszy, konstatacja ta zmienia jej pęknięte serce w proszek. Stwór chce od niej, żeby puściła płytę, której on nie usłyszy, ponieważ uszczęśliwi to ją, a to z kolei uszczęśliwi jego.

Elisa podchodzi więc do stołu audio z ulgą, że zniknie stworowi z pola widzenia, toteż nie będzie widział jej dygocącego szlochu ani wycierania łez zgiętym w pół ramieniem. Kładzie płytę na talerzu gramofonu, bierze kilka wdechów dla dodania sobie otuchy i wraca pod iluminator kapsuły. Stwór mruga przenikliwie, sprawdzając autentyczność miny Elisy, po czym odpycha się między ścianami kapsuły, tam i z powrotem, wiruje i fika, jakby chciał zrobić na niej wrażenie pokazem sprawności fizycznej.

Elisa się śmieje i urządza dla niego spektakl, którego on chce: umieszcza jedną dłoń na wysokości ramienia, a drugą na wysokości talii, tańczy walca w takt muzyki, wyimaginowanego partnera zastępuje jajko, ona sama omija betonowe słupy z przykręconymi stalowymi kajdanami oraz stoły z ostrymi instrumentami, jakby to byli nieporadni tancerze. Promieniujący z kapsuły lawendowy blask wskazuje, że stwór jest zadowolony. Po jakimś czasie Elisa zna parkiet taneczny dostatecznie dobrze, aby zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że jej lewa dłoń spoczywa w chłodnej, szponiastej dłoni stwora, a prawa na jego mocnej, pokrytej łuskami talii.

Jest mnóstwo powodów, dla których Elisa nie zauważa wchodzącego do laboratorium mężczyzny. *Stardust* to utwór o hipnotyzującym rytmie, a ponieważ stwór jest zamknięty w kapsule, bardziej niż zwykle podkreśla głośność. Przede wszystkim jednak jej uszy nastroiły się na konkretne rodzaje nocnych zagrożeń: jakiś naukowiec z niezdarnym brzękiem wywraca kieszenie spodni w poszukiwaniu karty kodowej albo Pustaki maszerują korytarzem z równomiernym stukiem. Na ten dźwięk nie jest natomiast przygotowana: odgłos mężczyzny świadomego faktu, że stwór ma bardzo czuły wzrok i słuch. Elisa wykonuje krok podstawowy, przykuca, wiruje, a nagle luminescencja stworzenia przygasa do zmartwionej matowej czerni, jednak Elisa, ze swoimi błogo zamkniętymi oczami, nie ma szans zauważyć tego ostrzeżenia.

¹ W oryginale *tantalising* (przyp. tłum.).

² Ang. *janitor* (przyp. tłum.).

³ Gra słów: *mps* — *military police*, *Empties* — coś pustego (przyp. tłum.).



**TWÓRCZA
TAKSYDERMIA**

1

Tylko ciepło męskich łez uświadamia mu wszechobecny chłód: zamknięte drzwi F-1, których dotykają jego plecy; przeciąg na korytarzu jak w katakumbach; chłód jego własnych palców zaciśniętych na ustach. Roześmiałyby się, gdyby nie płakał — oczywiście przekaźnikiem tej epifanii jest jajko. Znaczoną część życia poświęcił badaniu czegoś, co niektórzy nazywają ewolucją, ale on woli termin „emergencja”: bezpłciowe replikacje robaków i meduz; embrionalne morfogenezy zapłodnionego jaja; niezliczone inne teoretyczne drogi postępu życia, które nie kończą się unicestwieniem przez ludzkość wszystkiego, co czyste i dobre.

To samo powtarzał swoim studentom. Wszechświat pokolenie po pokoleniu fałduje się wzdłuż jednostajnych osiowych linii, a ostateczny kształt życiu nadają właśnie przetarte fałdy, miejscami wręcz ich rozdarcia. Zmiany uruchomione przez emergencję mogą trwać tysiąclecia i oddziaływać na nas wszystkich. Pochlebiał młodym umysłom studentów, mówiąc im, że chociaż on jest jedynym na sali imigrantem w pierwszym pokoleniu, wszyscy słuchacze są całkowicie egzotyczni jako dzieci niezwykłych mutantów.

O tak, jest strasznie odważny, stojąc na *terra firma*, bezpieczny za katedrą, naćpany kredowym pyłem, ale teraz znajduje się w terenie, w rzeczywistym świecie. W takim razie dlaczego z każdym dniem coraz bardziej wygląda to na fantazję? Kiedy w dzieciństwie snuł marzenia, jego matka mówiła „leniwij mózg”. Prawda jest oczywiście odwrotna — marzenia były przejawem działania nadaktywnego umysłu, dzięki któremu został cenionym naukowcem. Dzisiaj nie ma już pewności, ile te wszystkie dyplomy, odznaczenia i tytuły są warte tutaj, w rzeczywistym świecie. Mógłby odciągnąć woźną od kapsuły, usunąć ze strefy zagrożenia, a przecież, jak przystało na zamkniętego w wieży z kości słoniowej tchórza, po prostu wybiegł z laboratorium.

Często wraca do Occam późną nocą, nie potrafi zasnąć, dopóki czwarty albo piąty raz nie sprawdzi wskaźników w basenie i kapsule. Doszedł do przekonania, że obiekt nie przeżyje o wiele dłużej w tych sztucznych warunkach. Któregoś dnia rano znajdą go brzuchem do góry, martwego jak złota rybka, i Richard Strickland zacznie krzyczeć z radości i poklepywać wszystkich po plecach, on natomiast będzie powstrzymywać falę łez. Dopiero teraz, dzisiejszej nocy, nareszcie poznał rozwiązanie zagadki przetrwania obiektu. Tym, co trzyma go przy życiu, jest ta kobieta — ta woźna — nie serum i różne roztwory, tylko siła ducha. Usunięcie tej kobiety z laboratorium mogłoby podziałać tak samo jak wbicie sztyletu w utrudzone serce stwora.

W miękką, różową, żalostną ludzką dłoń doktora wrzynają się inne sztylety, a mianowicie sztywna jasnobrązowa teczka, jeszcze kilka chwil temu przedmiot o nadzwyczajnym znaczeniu, teraz tak ciasno zwinięta w jego dłoni, że na zgięciach tworzą się ostre kanty. Doktor otwiera pięść i rozprostowuje teczkę. Dziś w nocy nie przyszedł do F-1, żeby sprawdzić wskaźniki. Na pewno nie przyszedł po to, żeby tańcząca woźna skruszyła fundamenty jego światopoglądu. Dzisiejsza wizyta miała służyć weryfikacji zgromadzonych wcześniej danych. W jasnobrązowej teczce znajduje się raport dla wywiadu, którego sporządzenie wiązało się z wielkim osobistym ryzykiem, a który musi zostać ukończony przed jutrzejszym spotkaniem.

Nikłe dźwięki *Stardust* wlatują mu do czaszki, nadal przyciśniętej do drzwi laboratorium. Doktor odpycha się od drzwi i chwiejnym krokiem idzie korytarzem. Mocniej przyciska teczkę

— pal licha, że wrzyna mu się w skórę — aby przypomnieć sobie, kim jest i po co jest tutaj. Jest doktorem Bobem Hoffstetlerem, który urodził się jako Dmitri Hoffstetler w rosyjskim Mińsku i chociaż czytelnik jego *curriculum vitae* zasługiwałby na usprawiedliwienie, gdyby skonstatował, że ma do czynienia z naukowcem do szpiku kości, prawdziwy zawód Hoffstetlera, jedyny, który w życiu wykonywał, określany jest za pomocą znacznie mniej eufemistycznych terminów niż „obiekt”. Hoffstetler jest kretem, tajniakiem, agentem, informatorem, sabotażystą, szpiegiem.

Kto zajrzyłby do wynajętego domu Hoffstetlera przy Lexington Street, zaklasyfikowałby jego lokatora jako typ fanatyka, który układa obcięte paznokcie według długości. Dom jest urządzony nie tyle nawet oszczędnie, ile skąpo. Szafki i szafy stoją puste i otwarte. Trwałe artykuły spożywcze pozostają w siatkach na składanym stole pośrodku kuchni. Artykuły nietrwałe również pozostają w siatkach, tyle że trzymane są w lodówce. W sypialni nie ma żadnych szaf; spartańska garderoba Hoffstetlera leży poskładana na blacie innego stołu. Hoffstetler śpi na brezentowym łóżku polowym ze stalową ramą. Również szafka na lekarstwa jest pusta. Farmaceutyki Hoffstetlera stoją w wojskowym szyku na zbiorniku spluczki. Jedyne kosze na śmieci w całym domu jest opróżniany na zewnątrz każdego wieczoru i raz w tygodniu dokładnie myty. Wszystkie światła to gołe żarówki; Hoffstetler włożył lampy do pudła i zaniósł do piwnicy. Światło jest zatem ostre i po kilku miesiącach od przybycia do Baltimore Hoffstetler nadal rzuca się na własne cienie — zawsze myśli, że to jakiś agent kgb, który podkrada się, aby skrócić przedłużającą się misję Hoffstetlera.

Ascetyczny wystrój komplikuje zadanie zakładania podsłuchów i pluskiew czy inne nieładne działania. Hoffstetler nie ma powodów sądzić, że zajmuje się nim cia, a jednak w każdą sobotę, kiedy inni mężczyźni otwierają piwo i oglądają sport, on przeciąga szpachlę po szufladach, oknach, kratkach wentylacyjnych, framugach i deskach wiatrowych, a potem wykonuje specjalny rytuał — odpowiednik weekendowego rodzinnego grilla — polegający na rozebraniu i ponownym zmontowaniu telefonu. Telewizory i radia to obciążenia, których Hoffstetler nie potrzebuje; w milczeniu patroszy telefon, czytając książki z biblioteki, które oddaje w każdą niedzielę, przeczytane albo nie. Trzeba było bulwersującego widoku woźnej — zidentyfikowanej na podstawie danych zegara do podbijania kart jako „Elisa Esposito” — tańczącej przed rozpromienionym obiektem, żeby Hoffstetler w pełni poczuł, jak smutne jest jego samotnictwo.

Dzisiaj jednak rutynowe wyjmowanie jednej z klepek podłogi w przedpokoju wydaje mu się wręcz niebezpieczne: wydaje mu się złe. Okropne uczucie. „Złe” to domena rodziców, nauczycieli, duchownych. Naukowcy nie potrzebują tego słowa. Jednak w gardle Hoffstetlera jak rybia ość utkwiała pewność, że to, co widział minionej nocy, wszystko zmienia. Jeśli obiekt potrafi odczuwać tego rodzaju radość, sympatię i troskę — Hoffstetler dostrzegł wszystkie te trzy emocje w chromatycznym kalejdoskopie stwora — żaden naród nie powinien w żadnym celu bawić się nim jak okazem w palniku bunsenowskim. Z obecnej perspektywy nawet eksperymenty Hoffstetlera, przeprowadzane z lekarską ostrożnością, wydają się złe. Hoffstetler zadaje sobie pytanie, dlaczego pośród licznych emocji wzbudzanych przez obiekt w Waszyngtonie, Occam i w jego własnym sercu nie występuje wstyd.

W zagłębieniu pod podłogą znajduje się paszport, koperta z gotówką i wymięta jasnobrązowa teczka. Hoffstetler wyjmuje teczkę, słyszy trąbienie taksówki i wkłada klepkę z powrotem na miejsce. To zawsze przebiega tak samo. Zdawkowy telefon z podaniem godziny i szyfru; Hoffstetler rzuca wszystko, co w danym momencie robi; układa w głowie usprawiedliwienie spóźnienia dla Davida Fleminga. Potem kisi się w kwasie stresu, a kiedy przychodzi pora spotkania, wzywa taksówkę, wsiada i zapisuje w notesie nazwisko taryfiarza, żeby żaden nie zawoził go na miejsce spotkania więcej niż raz. Dzisiejszy kierowca nazywa się Robert

Nathaniel de Castro. Hoffstetler mógłby się założyć, że koledzy mówią na niego „Bob”. Czy istnieje mniej kontrowersyjne albo łatwiejsze do zapamiętania imię?

Ciągnący się za lotniskiem, po drugiej stronie mostu nad Bear Creek, równoległe do stoczni w cieniu huty Bethlehem obszar przemysłowy nie jest miejscem, w które często podwożeni są mężczyźni w garniturach. Garderoba Hoffstetlera ogranicza się do garniturów; całkowita zwyczajność to jego jedyne przebranie. Hoffstetler chowa swoje profesorskie pawie pióra i zanudza Roberta Nathaniela de Castro monotonną gadaniną i niezapadającym w pamięć napiwkami. Idzie w stronę magazynu i dopiero po zniknięciu taksówki skręca między kontenerowce, mija tymczasowy skład towarów, przechodzi na drugą stronę torów i wraca dookoła dziesięciometrowych hałd piasku, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi.

Czekając, lubi siedzieć na konkretnym betonowym słupku. Stuka o niego rytmicznie piętami, jakby był znudzonym małym chłopcem w Mińsku. Po niedługim czasie przez niebo przelatuje chiński smok pyłu, a opony miażdżą żwir jak rozgryzane kości. Pojawia się mocarny chrysler, czarny jak szczelina lodowa z chromem podobnym do płynnej rtęci, stateczniki rozkrawają bochny wzbitego kurzu. Hoffstetler zsuwa się z betonowego słupka i staje przed mrużącą bestią pośród wirującego brudu, który jego tata nazwałby *griaz*. Otwierają się drzwi kierowcy i wysiada ten sam człowiek co zawsze — uszyty na miarę garnitur opina jego szeroką jak u bizona klatkę piersiową.

— Wróbel ma gniazdo na parapecie — mówi Hoffstetler.

— A orzeł... — Rosyjski akcent jest bardzo wyraźny. — Orzeł...

Hoffstetler sięga do srebrnej klamki.

— A orzeł porzywa ofiarę — warczy. — Po co używać szyfru, skoro go nawet nie pamiętasz?

3

Czarny chrysler wiezie go z powrotem przez miasto. Bizon, jak Hoffstetler zaczął myśleć o kierowcy, nigdy nie jedzie najkrótszą drogą. Tego dnia odbija na zachód od Camp Holabird, okrąża zespół miejskich szpitali, kreśli schodkowy wzór, zmierzając do cementarzy przy North Street, i wreszcie spada jak kotwica do East Baltimore. Brudna, szara siatka ulic Baltimore dla leniwego mózgu Hoffstetlera stanowi dowód na kosmologiczną organizację całej materii, od najmniejszych cząstek po najbardziej nieogarnione skupiska galaktyk. On zatem jest tylko nic nieznaczącym punkcikiem o nieistotnej roli w historii. Tak w każdym razie brzmi jego modlitwa.

Parkują tuż przed restauracją rosyjską Black Sea. Hoffstetler nie może tego zrozumieć. Po co te wszystkie zakodowane telefony, szyfry i pokretna trasa, skoro zawsze się kończy w całkiem niedyskretnej, wykładanej lustrami, inkrustowanej złotem restauracji z czerwonymi okiennicami i wyszywanymi złotą nicią lalkami na malachitowych blatach stołów? Bizon przytrzymuje drzwi samochodu, a potem wchodzi za Hoffstetlerem do środka.

O tej porze restauracja jest jeszcze zamknięta. Z kuchni dochodzą różne odgłosy, ale rzadko słowa. Obsługa kelnerska siedzi przy jednym ze stołów i pali papierosy, wkuwając na pamięć dania dnia. Trzech skrzypków stroi instrumenty do *Oczy cziornyje*. Ostry zapach czerwonego octu winnego miesza się ze słodyczą świeżo upieczonych pierników. Hoffstetler mija ubikację, koło których wisi plakat opublikowany przez J. Edgara Hoovera, apelujący do imigrantów, aby donosili władzom o przypadkach „szpiegostwa, sabotażu i działań wywrotowych”. To taki prywatny żarcik: w ostatniej kabinie sali restauracyjnej w kształcie litery L, podświetlanej księżycowym blaskiem gigantycznego akwarium z homarami, czeka Leo Michałkow.

— Bob — wita się.

Michałkow woli rozmawiać z Hoffstetlerem po angielsku, aby poćwiczyć konwersację, ale słysząc z ust agenta swoje imię w wersji zamerykanizowanej, Hoffstetler czuje się, jakby poddano go rewizji osobistej. Nie bez znaczenia jest fakt, że Michałkow wymawia to imię jako „bub”⁴. Hoffstetler zadaje sobie pytanie, czy to też jest szyderstwo — tak jak plakat fbi. Na dany sygnał muzycy stają koło kabiny niczym siepacze, rytmicznie kiwają głowami i zaczynają grać. Na korzyść Black Sea przemawia między innymi niepodatność lokalu na podsłuchy, co dodatkowo wzmacniają ogłuszające smyczki. Hoffstetler musi podnieść głos.

— Jeszcze raz cię proszę, Leo, mów do mnie Dmitri.

Nazwijcie to tchórzostwem, ale Hoffstetler woli trzymać swoje dwa wcielenia osobno, bo tak jest łatwiej. Michałkow kładzie na wyciągniętym języku blina z wędzonym łososiem, *crème fraîche* i kawiozem, chowa język do ust i degustuje potrawę. Hoffstetler bezwiednie wygładza trzymaną w ręku jasnobrązową teczkę. Jak szybko, za pomocą jednej umniejszającej sylaby, ten rosyjski brutal sprowadził go do pozycji lęklivego petenta.

Leo Michałkow to czwarty kontakt operacyjny w jego życiu. Niechętne uwikłanie Hoffstetlera w szpiegostwo zaczęło się dzień po odebraniu dyplomu na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie, kiedy agenci nkwd Stalina pojawili się jak wraki statków w sztucznym zbiorniku, z którego spuszczone wodę. Zafundowali mu — młodemu, głodnemu naukowcowi — kolację złożoną z marynowanych pomidorów, zakusok, boeuf Strogonow i wódki, a na deser poczęstowali go tajemnicami państwowymi: zespoły pracujące nad wystrzeleniem satelitów na

orbitę, testy zaawansowanej broni chemicznej, sowiecka infiltracja amerykańskiego programu atomowego. Równie dobrze mogliby nakarmić go trucizną. Hoffstetler musiał zdobyć antidotum, żeby przeżyć — antidotum w postaci bezwzględnej lojalności i posłuszeństwa wobec pierwszego sekretarza.

Kiedy wojna będzie kaput, powiedzieli agenci, Ameryka przesieje gruzy Eurazji w poszukiwaniu złota i co znajdzie? Znajdzie Dmitrija Hoffstetlera. Jego zadanie polega na tym, żeby dobrowolnie przejść na drugą stronę i stać się dobrym Amerykaninem. Nie będzie tak źle, obiecywali. Żadnych tłumików i fiolek z trucizną do połknięcia. Hoffstetler będzie mógł podążać za swoimi predylekcjami zawodowymi, byle pracował w dziedzinach zapewniających obfite plony wywiadowcze. Hoffstetler nawet nie pytał, co się stanie, jeśli odmówi. Agenci wypowiadali się o jego tacie i mamoczce wystarczająco konkretnie, aby zrozumiał, co może ich czekać ze strony nkwd.

Michałkow kwituje prośbę Hoffstetlera wzruszeniem ramion. Nie jest człowiekiem imponującym swoją posturą. Sprawia nawet wrażenie, że z ochotą robi się jeszcze mniejszy, siadając na tle błękitnej perspektywy akwarium z homarami. Przypomina przez to nóż sprężynowy, kompaktowy i z wierzchu niegroźny w swoich opiętych garniturach, z różą w butonierce i z krótko obciętymi siwymi włosami. Ostrza wyskakują, dopiero kiedy się sprowokuje. Przełyka kawior i wyciąga rękę na powitanie, skorupiaki za jego plecami zdają się wypełzać mu z uszu. Hoffstetler podaje mu teczkę, frasując się jej zagnieceniami jak matka niewyprasowanym kościółkowym strojem swojego dziecka.

Michałkow rozwiązuje elastyczną tasiemkę, wytrzepuje z teczki dokumenty i zaczyna je przeglądać.

— Co to jest, Dmitri?

— Rzuty. Wszystko tam jest. Każde drzwi, okno i przewód wentylacyjny w Occam.

— Otliczno. O, po angielsku. Dobra robota. To zainteresuje szefostwo. — Nabija na widelec kolejnego blina, po czym zauważa napięty wyraz twarzy Hoffstetlera. — Skosztuj tej wódki, Dmitri. Destylowana cztery razy. Przybyła w dyplomatycznej walizce z Mińska. Z twojej ojczyzny, da?

Jest to najnowsze z pojawiających się przez całą dekadę odniesień do noży przykładanych do gardła jego rodzicom. No chyba że Hoffstetler zaczął dryfować w morzu paranoi. No chyba że tak dokładnie schował się pod swoją przykrywką, że już nie widzi, co się dzieje na powierzchni. Hoffstetler rozkłada zaaranżowaną w wiatraczek serwetkę i wyciera pot z czoła. Skrzypkowie nie słyszą nic oprócz wibracji, które przechodzą przez ich podbródki, mimo to Hoffstetler pochyla się i zniża głos.

— Wykradłem te plany z konkretnego powodu. Potrzebuję twojej zgody na ekstrakcję. Musimy wy dostać stamtąd to stworzenie.

Wspomnienia o latach nauczania w Wisconsin są jak zimowe tereny w tym stanie: jaśniejąca prostota życia na Środkowym Zachodzie ochlapana brzydką czarną breją raportów, które przekazywał Leo Michałkowowi, materializującemu się ze śnieżnych wirów w sobolowym futrze i uszance jak Dziadek Mróz ze świątecznych opowieści mamy. Hoffstetler próbował nasycić Michałkova kradzieżami: elektroskop, komora jonizacyjna, liczniki Geigera-Müllera. To nigdy nie wystarczało. Michałkow ścisnął Hoffstetlera, który jak gąbka ociekał litaniami ściśle tajnych zbrodni. Amerykański program polegający na nacieraniu czaszek opóźnionych w rozwoju dzieci grzybicą i badaniu skutków. Komary zakażane dengą, cholerą i żółtą febrą, a następnie wypuszczane na pacyfistycznych więźniów w ramach programu broni entomologicznej. Najnowsza propozycja to wystawianie amerykańskich poborowych na działanie nowej dioksyny chwastobójczej o nazwie Agent Orange. Każdy wynik testu szmuglowany agentowi sowieckiemu przez Hoffstetlera był wirusem zżerającym trzewia jego przyjemnego w innych aspektach życia.

Uświadomił sobie z bolesnym smutkiem, że każdy, kto za bardzo się do niego zbliży, może w przyszłości paść ofiarą sowieckiego szantażu. Hoffstetler nie widział dla siebie żadnego wyboru. Zerwał z cudowną kobietą, z którą się spotykał, i przestał chodzić na uniwersyteckie przyjęcia, które odurzały go przyjaznym intelektualizmem. Udostępniony przez uniwersytet dom ochrzcił w ten sposób, że usunął większość mebli i wszystkie lampy, opróżnił szuflady i szafy, a pierwszego wieczoru usiadł sam na środku uprzątniętej podłogi i powtarzał: „Ja Ruski”, a gdy okna pokrył szron, siedzący w ciemnościach Hoffstetler zaczął w to wierzyć.

Jedynym wyjściem było samobójstwo. Za dużo wiedział o środkach uspokajających, aby powierzyć im to zadanie. W Madison nie było wysokiego budynku, z którego mógłby skoczyć. Zakup pistoletu przez mężczyznę z rosyjskim akcentem mógłby przyciągnąć niechcianą uwagę. Nabył więc opakowanie Gillette Blue Blades i położył na brzegu wanny, ale niezależnie od tego, jak bardzo gorącą wodę do niej napszczał, nie potrafił się opędzić od ostrzeżeń mamy przed nieczystą siłą, legionem demonów, który wprowadza wszystkich samobójców w życie pozagrobowe. Hoffstetler płakał w wannie, nagi, w średnim wieku, łysiejący, z ziemistą cerą, pofałdowanym brzuchem, dygoczący jak niemowlę. Ależ się stoczył! Bardzo, bardzo nisko.

Zaproszenie do zespołu Ośrodka Badań Kosmicznych Occam analizującego „nowo odkrytą formę życia” uratowało mu życie. To nie jest hiperbola. Jednego dnia żyletki czekały na brzegu wanny, następnego dnia zniknęły z domu razem ze śmieciami. Potem przyszły jeszcze lepsze wiadomości. Michałkow mu przekazał, że to będzie jego ostatnia misja. Wykonaj swoją robotę w Occam, a zabierzemy cię do domu, z powrotem do Mińska, w ramiona rodziców, których nie widziałeś od osiemnastu lat.

Nie mógł się doczekać. Podpisał wszystkie wymagane formularze i zobowiązania, po czym zaczął czytać częściowo zaczernione, ale mocno zaskakujące depeche z Waszyngtonu. Zrezygnował ze stanowiska na uczelni, posługując się wyświechtaną formułką „powody osobiste” i załatwił sobie kwatery w Baltimore. „Nowo odkryte życie”: sformułowanie to wpompowało w jego zimne, więdnące ciało ciepło młodszej nadziei. Nowo odkryte życie znajdowało się również w jego wnętrzu i dla odmiany miał je wykorzystać nie w celu

zniszczenia innej istoty, lecz jej zrozumienia.

A potem je zobaczył. Nie, to złe słowo: spotkał. Stworzenie patrzyło na Hoffstetlera przez iluminator kapsuły i w sposób charakterystyczny dla ludzi i naczelnych dało sygnał, że zarejestrowało jego obecność. W ciągu paru sekund Hoffstetler został odarty z naukowego pancerza, który budował przez dwadzieścia lat; to nie była jakaś zmutowana ryba, na której można by wykonywać różne czynności, lecz istota, z którą należałoby się dzielić myślami, emocjami i wrażeniami. Uświadomienie to było wyzwalające dokładnie w takim sensie, w jakim Hoffstetler, pogodzony ostatnio ze śmiercią, tego potrzebował. Wszystko go na to przygotowało. Nic go na to nie przygotowało.

Stworzenie też było sprzecznością samą w sobie. Pod względem biologicznym należało do okresu dewonu. Hoffstetler zaczął je nazywać dewończykiem, a jego największe zainteresowanie budziła ścisła relacja stwora z wodą. Początkowo Hoffstetler wysnuł teorię, że dewończyk rządzi otaczającą go wodą, ale to było zbyt despotyczne. Wręcz przeciwnie, woda wydawała się współpracować z dewończykiem, odzwierciedlała jego nastrój: wierzgała i pienią się albo była nieruchoma jak piasek. Stojąca woda jak wszędzie na świecie przyciągała owady, ale insekty, którym udało się dostać do F-1, ulegały magicznej mocy dewończyka i bzyczały mu nad głową w rozbudowanych formacjach albo osaczały Hoffstetlera, kiedy zdarzyło mu się wykonać jakiś agresywny ruch.

W głowie mu się kłębiło od nieprawdopodobnych hipotez, ale samolubnie je chomikował, w pierwszych raportach z Occam ograniczając się do strawnych faktów. Dewończyk, pisał Hoffstetler, jest obustronnie symetrycznym, ziemno-wodnym dwunogiem, którego układ kostny sugeruje istnienie struny grzbietowej, cewki nerwowej i zamkniętego krwioobiegu obsługiwanego przez serce — czterokomorowe jak u ludzi albo trzykomorowe jak u ziemno-wodnych stworzeń, których Hoffstetler jeszcze nie zna. Wyraźnie widać kieszonki skrzelowe, ale również falowanie klatki piersiowej nad unaczynionymi płucami. To sugeruje, że dewończyk może w jakimś stopniu funkcjonować w dwóch geosferach. Zakres wiedzy na temat oddychania podwodnego, którą środowisko naukowe może pozyskać, jest nieograniczony, entuzjazmował się Hoffstetler.

Wadą „nowo odkrytego życia” Hoffstetlera była również nowa naiwność. Pracowników Occam nie interesowało rozwiązywanie odwiecznych zagadek. Chcieli tego samego co Leo Michałkow: zastosowań wojskowych i kosmicznych. Hoffstetler natychmiast przystąpił do obstrukcji, majstrował przy czym mógł, korygował ustawienia zaworów, orzekał, że sprzęt jest niebezpieczny, a dane niewiarygodne — innymi słowy, robił wszystko, żeby zyskać więcej czasu na zbadanie dewończyka. Wymagało to kreatywności i zuchwałości, a także trzeciej osobistej cechy, której pozwolił zwiędnąć pod pieczę Michałkova: empatii. Stąd zainstalowane przez niego specjalne żarówki, które miały imitować naturalne światło. Stąd nagrania terenowe z Amazonii.

Takie działania wymagały czasu, a Richard Strickland sprawił, że czas stał się gatunkiem tak samo zagrożonym jak dewończyk. W życiu akademickim panowała atmosfera rywalizacji. Hoffstetler potrafił dostrzec nóż ukryty w rękawie osoby, która wręczała mu coś z uśmiechem. Strickland był innym typem rywala. Nie ukrywał swojej antypatii do naukowców, wyklinał ich prosto w twarz, przez co czerwienili się i jękali. Natychmiast wyczył, że manewry Hoffstetlera służą tylko grze na zwłokę. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć o obiekcie, powiedział mu na różne sposoby Strickland, to nie łaskoczesz go w brodę, tylko rozcinasz i patrzysz, jak krwawi.

Instynkt podpowiadał Hoffstetlerowi, że powinien skulić się ze strachu. Nie mógł jednak tego zrobić, nie tym razem. Stawka była za wysoka, nie tylko dla dewończyka, ale również dla duszy

samego Hoffstetlera. F-1, powiedział sobie, to osobliwość nieoswojonego nowego wszechświata i aby w nim przeżyć, będzie musiał stworzyć swoje trzecie wcielenie. Nie Dmitriego. Nie Boba. Bohatera. Bohatera, który może odkupi swoją winę polegającą na tym, że milczał, kiedy niewinne istoty padały ofiarą eksperymentów dwóch bezdusznych krajów. Wiedział, że jeśli chce, aby mu się udało, musi zastosować w życiu tę samą zasadniczą lekcję, którą przekazywał swoim studentom: wszechświaty tworzą się w drodze kolizji eskalującej przemocy, a kiedy powstanie nowe środowisko życiowe, członkowie lokalnego taksonu będą walczyli o zasoby, często na śmierć i życie.

— Ekstrakcja — дума Michałkow. — Amerykanie określają tym słowem wyrwanie zęba. Straszna papranina. Mnóstwo kości i krwi na śliniaczku. Nie, plan nie obejmuje ekstrakcji.

Sam Hoffstetler nie ma przekonania, czy jego pomysł jest racjonalny. Na jakiej podstawie sądzi, że zsr nie będzie stosował wobec dewończyka jeszcze bardziej prymitywnych tortur niż usa? Niepewność dojrzała w nim jednak do postaci wyboru mniejszego zła. Hoffstetler otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale skrzypkowie mają przerwę między dwoma utworami i Hoffstetler w ostatniej chwili wstrzymuje oddech. Łokcie muzyków zataczają łuk i końskie włosie smyczków znowu oscyluje jak rozerwana pajęczyna. Szostakowicz: dostatecznie wybujałe, aby szczelnie otulić nawet najbardziej niebezpieczną rozmowę.

— Mając te rzuty — upiera się Hoffstetler — możemy wy dostać stwora z Occam w dziesięć minut. Dwóch wyszkolonych agentów, o nic więcej nie proszę.

— To jest twoja ostatnia misja, Dmitri. Dlaczego chcesz ją skomplikować? Czekaj cię przeszczęśliwy powrót do domu. Posłuchaj mojej rady, towarzyszu. Nie jesteś typem awanturnika. Rób to, w czym jesteś dobry. Pozamiataj po Amerykanach jak dobra sprzątaczką i przekaż nam szufelkę ze śmieciami.

Hoffstetler wie, że się go obraża, ale szpila ześlizguje się po jego skórze. Doszedł ostatnio do przekonania, że sprzątaczkę, zwłaszcza woźne, są najbardziej ze wszystkich ludzi nastrojone na tajemnice.

— Stwór potrafi się komunikować — mówi Hoffstetler. — Widziałem.

— Psy też potrafią. Czy to nas powstrzymało od wystrzelenia Łajki w kosmos?

— Nie tylko czuje ból, ale go rozumie, tak samo jak ty i ja.

— Nie zaskakuje mnie, że Amerykanie nie chcą tego uznać. Jak długo głosili pogląd, że czarni nie czują tego samego bólu co biali?

— Rozumie sygnały dłonią. Rozumie muzykę.

Michałkow wypija kieliszek wódki i wzdycha.

— Życie powinno być jak oprawianie zabitego jelenia, Dmitri. Zdejmujesz skórę, oddzielasz mięso od kości. Proste i schludne. Bardzo tęsknię za latami trzydziestymi. Spotkania w pociągach. Mikrofilmy ukryte w damskich kosmetykach. Transportowaliśmy przedmioty, których mogliśmy dotknąć, i wiedzieliśmy, że przewozimy je do kraju dla dobra naszych ludzi. Koncentrat witaminy D. Rozpuszczalniki przemysłowe. Dzisiaj nasza praca bardziej przypomina wywlekanie flaków przez dziurę w brzuchu. Zajmujemy się rzeczami niedotykalnymi. Ideami, filozofiami. Nic dziwnego, że mylisz je z emocjami.

Emocje: Hoffstetler wyobraża sobie orkiestrację świateł dewończyka przez Elisę.

— Co jest złego w emocjach? — pyta Hoffstetler. — Czytałeś Aldousa Huxleya?

— Najpierw muzyka, teraz literatura? Jesteś człowiekiem renesansu, Dmitri. Da, czytałem pana Huxleya, ale tylko dlatego, że Strawiński bardzo pochlebnie wypowiada się o jego twórczości. Wiedziałeś, że jego najnowsza kompozycja jest hołdem dla pana Huxleya? — Kiwa głową w stronę skrzypków. — Szkoda, że ci nowicjusze nie potrafią się jej nauczyć. Droga od ryby z Occam do tej przyszłej antyutopii jest długa i męcząca. Nie możesz mieć takiego miękkiego serca. Skoro twoje hobby to literatura popularna, to polecam H.G. Wellsa. Pozwól, że

zacytuje słowa doktora Moreau z książki pana Wellsa. „Człowiek badający naturę staje się równie bezlitosny jak ona”⁵.

— Chyba nie zamierzasz bronić doktora Moreau.

— Cywilizowani ludzie udają, że Moreau jest potworem, ale my rozmawiamy w cztery oczy w Black Sea, Dmitri, i możemy być ze sobą szczerzy. Moreau wiedział, że albo rybki, albo akwarium. Jeśli ktoś wierzy, że świat natury jest dobry, to musi również zaakceptować jego brutalność. To stworzenie, które tak wysoko cenisz, nic do ciebie nie czuje. Jest bezlitosne. Ty też powinieneś być bezlitosny.

— Człowiek powinien być lepszy od potworów.

— Tak, ale kogo uznasz za potworów? Nazistów? Imperialną Japonię? Nas? Czy nie wszyscy robimy potworne rzeczy, aby zapobiec ostatecznej potworności? Lubię wyobrażać sobie świat jako porcelanowy talerz podtrzymywany w górze na dwóch patykach, jeden to USA, drugi to ZSRR. Jeśli jeden patyk idzie do góry, drugi też musi się podnieść, bo inaczej talerz się rozbije. Znałem kiedyś człowieka, który nazywał się Vandenberg. Uplasowany w Ameryce tak jak ty. Naiwny idealista tak jak ty. Nie przeżył, Dmitri. Utonął w akwenu, którego z oczywistych względów nie mogę wymienić.

W akwarium z homarami wzlatają bąbelki, jakby w pochłonięciu Vandenbergą brała udział cała woda. Klimat muzyki ulega subtelnej zmianie: skrzypkowie odsuwają się na bok, aby przepuścić kelnera, który z pokornym ukłonem stawia przed Michałkowem talerz z homarem i stekiem. Agent błyska uśmiechem, wsuwa za kołnierz serwetkę i zbroi się w sztucce. Hoffstetlera cieszy to interludium. Jest roztrzęsiony, ale w świetle tego, co się stało temu Vandenbergowi, uznaje za roztropne ukryć to przed Michałkowem.

— Jestem na służbie pierwszego sekretarza — mówi Hoffstetler. — Dążę do przejęcia obiektu, abyśmy tylko my znali jego tajemnicę.

Michałkow kroi homara, zanurza białe mięso w maśle, powoli i zamasyście obraca przeżuwaną szczęką.

— Ze względu na twoją wieloletnią lojalność — mówi z za jedzenia — wyświadczę ci tę przysługę. Spytałem o ekstrakcję. Zobaczymy, co się da zrobić. — Połyka mięso i pokazuje nożem na puste miejsce przed Hoffstetlerem. — Masz czas, żeby do mnie dołączyć? Amerykanie nadali tej potrawie zabawną nazwę. Mówią na nią *surf and turf*. Popatrz za mnie. Wybierz sobie homara, który ci odpowiada. Jeśli chcesz, możemy zabrać go do kuchni i popatrzysz, jak się gotuje. Trochę skrzypią w zębach, to prawda, ale są takie miękkie, takie słodkie.

Przychodzi wiosna. Z nieba usuwa się szara kurtyna. Grudy starego śniegu, przycupnięte w zacienionych miejscach jak dygoczące króliki, znikają. Tam, gdzie wcześniej panowała cisza, ćwierkają ptaki, a niecierpliwi chłopcy rzucają piłkami bejsbolowymi na pustych działkach budowlanych. Wypiętrzenia portowej wody tracą swoje ostre jak sierp krawędzie. Zmieniają się jadłospisy — czuć to przez otwarte po raz pierwszy od wielu miesięcy okna. Ale nie wszystko jest dobrze. Deszcz nadal się wstrzymuje. Trawa jest zmierzwiona jak poranne włosy i żółta jak mocz. Węże ogrodowe się rozwijają, aby wykonać zadanie, które nie ma końca. Gałęzie drzew wystawiają pączki jak pięści. Kratki kanalizacji obracają spragnione, zardzewiałe zęby do słońca.

Elisa czuje się tak samo. Wzbierająca w niej powódź nie może znaleźć ujścia. Elisa nie była w F-1 od trzech dni — od piątku, jeśli doliczyć weekendy, a Elisa dolicza, minuta po minucie, sumując na bieżąco w głowie. W laboratorium praca wre. Przybyło Pustaków, którzy patrolują energiczniej. Zanim jakiś kawałek umytej podłogi zdąży wyschnąć, plamią ją odciski wojskowych butów. Kiedy Elisa przychodzi do pracy, wymianą personelu zarządza nie tylko Fleming, ale również Strickland. Elisa odwraca od niego wzrok i ma nadzieję, że to, co przed chwilą zobaczyła, to nie był uśmiech zaadresowany do niej.

W pralni dalej szczypie w oczy, chociaż już pięć lat temu usunięto stamtąd pralki. Zrobiono to po tym, jak Elisa znalazła na podłodze Lucille, która straciła przytomność od oparów wybielacza. Zelda lubi podczas lunchu z automatu relacjonować ten dzielny wyczyn. Elisa położyła Lucille na wózku z praniem, wywiozła ją na mniej toksyczne powietrze w kafeterii i wezwała pogotowie. Occam nie lubi skupiać na sobie uwagi. Pranie zlecono zewnętrznej firmie (Millicent Laundry), a Elisa i Lucille miały szczęście, że nie zwolniono ich z pracy.

Sortowanie prania nadal jest wykonywane na miejscu. Zelda i Elisa rozdzielają brudne ręczniki, odzież roboczą i fartuchy laboratoryjne na duże stoły, Zelda opowiada w tym czasie nową historię o Brewsterze. Poprzedniego wieczoru Zelda chciała oglądać *Walt Disney's Wonderful World of Color*, ale Brewster uparł się przy *Jetsonach*, kłótnia się zaostrzała, aż w końcu Zelda wytrząsnęła męża z fotela jak śmieci z kosza, a on zrewanżował się tym, że przez całą godzinę trwania jej programu na cały głos ryczał czołówkę *Jetsonów*.

Elisa wie, że Zelda opowiada tę historię po to, aby wyciągnąć Elisę z dołka, którego ona nie potrafi ukryć, ale nie chce podać jego powodów. Elisa jest wdzięczna i w przerwach między kładzeniem brudnych rzeczy na wózkach energicznie miga na potwierdzenie, że uważnie słucha opowieści koleżanki. Kiedy pranie jest już posortowane, wytaczają wózki na korytarz. Elisie trafił się ten skrzypiący. Skamle tak głośno, że jeden z Pustaków na końcu korytarza wystawia osłoniętą kaskiem głowę, aby ocenić zagrożenie. Trasa Zeldy i Elisy prowadzi koło F-1. Elisa nadśluchuje wymownych odgłosów, starając się nie dać po sobie poznać, że słucha.

Skręcają i zagłębiają się w czerń pozbawionego okien korytarza, do którego wpada tylko trochę pomarańczowego światła z parkingu, przez podwójne drzwi blokowane w pozycji otwartej drewnianym kłocem. Zelda otwiera inne drzwi, wciąga za sobą wózek i przytrzymuje drzwi dla Elisy. Jak to często bywa, spotykają tam inne osoby pracujące na cmentarną zmianę, które stoją jak ptaki na drucie i palą papierosy. Naukowcy mają odwagę łamać obowiązujący

w Occam zakaz palenia, ale woźni nie. Kilka razy w ciągu nocy gromadzą się na rampie załadunkowej i na czas palenia zawieszają spory. Wiąże się to z pewnym ryzykiem: podczas przerw należy przebywać w głównym holu, a nie tutaj, tak blisko sterylnych laboratoriów.

— Musisz naoliwić te kółka — mówi Yolanda. — Skrzywienie słychać na kilometr.

— Nie słuchaj jej, Elisa — mówi Antonio. — Dzięki temu mam czas ładnie uczesać dla ciebie włosy.

— To mają być włosy? — szydzi Yolanda. — Myślałam, że wyciągnęłaś to z zatkanej muszli klozetowej.

— Panno Eliso, panno Zeldo! — woła Duane. — Dlaczego nigdy z nami nie palicie?

Elisa wzrusza ramionami i pokazuje na bliznę na szyi. Jedno zaciągnięcie się papierosem w warsztacie za Domem wystarczyło jej za wszystkie eksperymenty; tak kaszłała, że zaplula ziemię pod nogami krwią. Pcha skrzypiący wózek po rampie, macha widzianemu w lusterku wstecznym furgonetki kierowcy Millicent Laundry i przez otwarte tylne drzwi zaczyna przetrzucać pranie do koszy. Zelda parkuje wózek obok pojazdu Elisy, ale odwraca się do pozostałych.

— A, co mi tam — mówi Zeldo. — Trochę się stęskniłam za tym smakiem. Dajcie mi papierosa.

Inni krzyczą „hurra”, kiedy Zeldo do nich podchodzi. Przyjmuje od Lucille lucky strike’a, zapala, zaciąga się i drugą dłonią chwyta za łokieć ręki z papierosem. Poza to sprawia, że Elisa wyobraża sobie młodszą, bardziej gibką wersję koleżanki ciąganą po bombardowanym jazzową artylerią parkiecie tanecznym przez zalotnika, może Brewstera. Elisa śledzi wzrokiem wydmuchnięty przez Zeldę dym, który ociera się o lampę sodową, a potem przelatuje przed kamerą monitoringu.

— Nie martw się, złotko.

Elisa z zaskoczeniem patrzy na Antonia, który mruga jednym z zezowatych oczu i chwyta za opartą o ścianę miotłę. Trzymając ją od strony szczotki, stuka drugim końcem w dół kamery. Wolne od brudu kółko na denku kamery zdradza, że woźni każdej nocy ją podnoszą, a potem opuszczają, również miotłą.

— Przez kilka minut jesteśmy w martwym polu. Sprytne, co?

Dopiero po chwili Elisa uświadamia sobie, że przestała ładować pranie do furgonetki. Kierowca z Millicent Laundry trąbi; Elisa nie reaguje. Duane próbuje ją obudzić za pomocą żartu, a mianowicie pyta ją, dlaczego przynosi do pracy dużo więcej gotowanych jajek, niż potrafi zjeść; Elisa nie reaguje. Zeldo w końcu gasi papierosa, daje znak kierowcy, żeby się nie denerwował, podbiega do furgonetki i zaczyna przekładać swoją część prania.

— Wszystko w porządku, słońce? — pyta.

Elisa słyszy, że kości jej szyi trzeszczą, co znaczy, że przytaknęła, ale nie potrafi oderwać wzroku od palaczy, którzy w ramach kapitulacji wobec zegara wyrzucają tłące się niedopałki i zostawiają Antonia z zadaniem przywrócenia kamer monitoringu do pozycji prokuratorskiej. Elisa prawie nie słyszy, jak Zeldo zamyka drzwi furgonetki i wali w nie pięścią, aby zasygnalizować kierowcy, że może jechać. „Martwe pole”. Elisa wtula się w to sformułowanie, bada je, rozpoznaje, odczuwa jako prawie pieścotliwe. Nie licząc Zeldy i Gilesa, Elisa spędza całe życie w martwym polu, zapomniana przez cały świat. Czy to nie byłoby coś, myśli, gdyby właśnie ta niewidzialność pozwoliła jej wszystkich zaszokować?

Pracownicy porannej zmiany wlewają się do szatni. Zelda nawiązuje kontakt wzrokowy z ludźmi, których szkolila. Dziwne, że ich awansowano, a jej nie. Udają, że patrzą na zegarki, zajmują się swoimi torebkami czy plecaczkami. Zelda nie zapomina twarzy. Niektórzy z tych zadzierających nosa woźnych należeli do największych plotkarzy na nocnej zmianie. Sandra twierdziła kiedyś, że widziała w B-5 plany ucieczki na wypadek zagazowania ludności środkami uspokajającymi. Albert oświadczył, że w szafkach A-12 przechowywane są ludzkie mózgi zamarynowane w zielonej mazi — przypuszczalnie, spekulował, mózgi prezydentów. Rosemary przysięgała, że czytała wyrzucone akta młodego człowieka o pseudonimie „Zięba”, który się nie starzał.

Tak działają plotkarskie młyny: mielą. Zelda nie przywiązuje więc zbyt wielkiej wagi do pogłosek krążących wokół F-1. Czy w tej kapsule jest coś dziwnego? Na bank — odgryzło panu Stricklandowi dwa palce. Ale dziwność to w Occam chleb powszedni. Tylko złotodziób by się tym podniecał.

Elisa z pewnością nie jest złotodziobem. Ostatnie poczynania koleżanki kompletnie skołowały Zeldę. Zauważyła, jak Elisa się zachowywała, kiedy pchały wózki z praniem koło F-1. Skrzywienie kółek równie dobrze mogło być zawodem tej dziewczyny. To minie, myśli sobie Zelda. Każdy musi przejść fazę świętego oburzenia rządowym spiskiem. Ale choć Zelda bardzo się stara, nie potrafi tego skwitować wzruszeniem ramion. Elisa to jedyna osoba w Occam, która dostrzega w Zeldzie dobrego i cholernie pracowitego człowieka. Gdyby Elisa doprowadziła do tego, żeby ją zwolnili, Zelda chyba by tego nie zniosła. Może egoistyczne, ale taka jest prawda. Bolały ją palce, nie od ściskania mopów, ale dlatego, że Elisa mówi palcami, i myśl o tym, że Zelda miałyby stracić tę codzienną rozmowę, to codzienne potwierdzanie, że ona, Zelda Fuller, jest ważna, boli.

Jedna rzecz na temat F-1 nie podlega dyskusji: przez to laboratorium szefostwo nęka personel sprząający bardziej niż kiedykolwiek. Jeśli Elisa dalej będzie się kręciła koło F-1, będzie to igranie z ogniem. Zelda kończy przebieranie się, siada na ławce i wzdycha, rozkoszując się ostrym zapachem lucky strike'a. Wyjmuje z kieszeni lkzj, rozkłada i jeszcze raz przebiega wzrokiem. Fleming ciągle zmienia jakieś szczegóły, podkładając woźnym nogę. Gdyby Zelda była na miejscu Elisy, prawdopodobnie by podejrzewała, że Fleming chce ją odciągnąć od snucia teorii na temat F-1. Zelda pociera zmęczone oczy i po kolei sprawdza każdy wers, każdą kolumnę tabeli. Przebrani w robocze stroje pracownicy porannej zmiany stukają drzwiczkami szafek. W lkzj roi się od pustych, niewypełnialnych kwadracików, tak samo jak w jej życiu. Życiu pełnym rzeczy, których nigdy nie będzie miała, miejsc, których nigdy nie odwiedzi.

W szatni jest tłoczno od kobiet. Zelda rozgląda się, szuka czegoś pośród stawianych na ławkach nóg, zdejmowanych z wieszaków ubrań, poprawianych ramiączek biustonoszy. lkzj nie jest jedynym powodem, dla którego wciąż nie wyszła z szatni. Czeką na Elisę, żeby mogły razem zaczekać na autobus — czekanie na czekanie, historia jej życia. Powiedziawszy to sobie, czuje się żałośnie. Ostatnią osobą, o której myśli ostatnio Elisa, jest Zelda. lkzj się rozmywa i w końcu największym nieodfajkowanym tej nocy kwadracikiem staje się Elisa. Gdzie ona jest? Nie przebrała się w cywilne ciuchy. To znaczy, że nadal przebywa na terenie Occam. Zelda

wstaje, lczj zsuwa się na podłogę.
O Boże. Ta dziewczyna coś kombinuje.

W głowie dzwoni jej głos dyrektorki sierocińca. „Głupia dziewczynka”. Elisa zwalnia kroku, aby przeczekać dwie rozgadane pracowniczki porannej zmiany, które niespiesznie zacierają w stronę końca korytarza. „Nigdy nie wykonujesz poleceń, nic dziwnego, że wszystkie inne dziewczyny cię nienawidzą”. Dobra, teraz jest już sama. Pędzi do drzwi F-1 i wsuwa kartę kodową. „Któżś dnia złapię cię na kłamstwie albo kradzieży i wywalę na mróz”. Bolce zamka odskakują i Elisa otwiera drzwi, co o tej porze jest skandalicznym postępkim. „Nie będziesz miała innego wyjścia, jak tylko sprzedawać swoje ciało, bezwstydnico”. Elisa wślizguje się do środka, zamyka za sobą drzwi, przyciska do nich plecy i nasłuchuje odgłosów kroków. W jej lęklwym umyśle powstaje hybrydowy koszmarny obraz: dyrektorka zrzuca małą Mamę ze schodów, a na dole łapie ją David Fleming.

W Occam kłębi się od porannego personelu. Niebezpieczna pora na wizytę, ale Elisa nie potrafi się powstrzymać, musi go zobaczyć. Musi sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Trudno jednak cokolwiek dostrzec. W F-1 palą się wszystkie światła, jest tak jasno jak tej nocy, kiedy wtoczono do środka kapsułę. Elisa mruży oczy i zatacza się, ale również uśmiecha, na przekór wszystkiemu. Tylko szybka wizyta, aby dać mu znać, że o nim nie zapomniała, mignąć mu, że za nim tęskni, poczuć, jak robi jej się ciepło po jego mignięciu E-l-i-s-a, poprawić mu humor za pomocą jajka. Elisa wyjmuję jajko z kieszeni i biegnie przed siebie, jej nogi zaczynają sobie przypominać, jak się tańczy.

Elisa słyszy go wcześniej, niż widzi. Przypomina to pisk wieloryba, wysokiej częstotliwości dźwięk mija jej uszy i ciasno jak drut oplata jej piersi. Elisa nieruchomieje, całkowicie: ciało, oddech, serce. Jajko wyslizguje się jej z dłoni, miękko ląduje na stopie i przetacza przez kałuże wody, pozostałości jakichś zmagani. Stworzenia nie ma ani w basenie, ani w kapsule. Klęczy na środku laboratorium, metalowa obroża jest przymocowana łańcuchami do betonowego słupa. Lampa medyczna na regulowanym ramieniu bombarduje go woltażem, Elisa czuje zapach jego słonej suchości kojarzący się z rybą, która gnije na nabrzeżu. Rozmigotane łuski stały się matowe i szare. Wdzięk jego wodnych figur zatłukły brutalne zgięcia przymusowego klęczenia. W piersiach mu charczy jak staremu gruzlikowi, skrzela pracują mozolnie, jakby dźwigały na sobie ciężary, każda ich szczelina świeci czerwonym podrażnieniem.

Stwór obraca głowę — z dyszących ust cieknie ślina — i patrzy na Elisę. Jego oczy, tak samo jak łuski, pokrywa matowa patyna i chociaż utrudnia to odczytanie ich koloru, nie sposób błędnie zinterpretować gest, który stwór wykonuje obiema rękami, mimo że skuwają je łańcuchy. Dwa palce wskazujące gorączkowo wycelowane w podłogę. Elisa dobrze zna ten sygnał: „Idź”.

Przypadkowo lub nie, dany przez stwora znak kieruje wzrok Elisy na stołek obok betonowego słupa. Elisa nie rozumie, jak mogła go wcześniej nie zauważyć — tak jaskrawy kolor pośród całej tej laboratoryjnej monotonii. Na stołku stoi otwarta torebka zielonych landrynek.

Zelda pracuje w Occam już od tylu lat, ale nigdy wcześniej nie szła korytarzami tej placówki w cywilnym ubraniu. Jak się okazuje, jej roboczy strój działał niczym magiczna peleryna. Bez niego ludzie zauważają Zeldę. Ziewający naukowcy i pracownicy porannej zmiany widzą ją w taki sposób, że Zelda czuje niespodziewany przypływ ciepła, które szybko jednak przebija sople strachu. Jej sukienka w kwiaty, gdzie indziej gustowna, nieprzyzwoicie bije po oczach w tym królestwie białych fartuchów i szarych uniformów. Zelda maksymalnie zasłania ją torebką i przyspiesza kroku. Chaos wymiany personelu potrwa jeszcze kilka minut — wystarczy, żeby znaleźć Elisę i solidnie nią potrząsnąć.

Zelda skręca za róg i widzi Richarda Stricklanda wynurzającego ze swojego pokoju z monitoringiem. Strickland się zatacza, jakby zszedł z pokładu statku. Zelda zna to chodzenie wężykiem. Widziała je u Brewstera, zanim przestał pić. U swojego ojca, w szponach demencji. U wuja, kiedy jego dom się palił za jego plecami. Strickland prostuje się i przeciera zaskorupiałe oczy. Czy on tam spał? Strickland idzie korytarzem. Po chwili Zelda szarpie się do tyłu, słysząc metaliczny brzęk o podłogę. Pomarańczowy elektryczny pastuch. Strickland wlecze go za sobą jak maczugę jaskiniowca.

Strickland jej nie widzi. Prawdopodobnie w ogóle mało widzi. Oddala się w przeciwną stronę. Co ucieszyłoby Zeldę, gdyby nie wiedziała, dokąd on zmierza, ponieważ ona zmierzała w to samo miejsce. Obraca w głowie mapę Occam. Poziom podziemny ma kształt kwadratu, więc idąc w drugą stronę, również można się dostać do F-1. Ale droga jest dwa razy dłuższa, Zelda nie zdąży dotrzeć tam przed Stricklandem. A może jednak zdąży: Strickland zatacza się, przytrzymuje dłonią ściany i syczy z bólu. Zelda musi tylko odkrztusić strach, który zatyka jej płuca, i przekonać stopy, żeby...

Maszeruje, kołysząc ramionami. Mija kafenię buchającą różnymi zapachami, nie odgrzanych paskudztw z automatu, tylko prawdziwych, gotowanych śniadań. Zelda zahacza o białą kobietę, która wkłada na włosy siateczkę, i słyszy karcące „ts”. Sekretarki, zaalarmowane stukotem jej butów, wystawiają głowy z pokoju z kserokopiarkami. A potem — kłopoty. Zator przy amfiteatrze, sali tak rzadko otwieranej w nocy, że Zelda nie uwzględniła jej w swoich obliczeniach. Naukowcy wlewają się do środka, może w celu obejrzenia jakiejś sekcji, chociaż Zeldzie wydaje się równie prawdopodobne, że wyświetlają tam jakiś horror, może ten, w którym ona obecnie żyje, sabat potworów w białych fartuchach, śmiejących się szyderczo z jej obfitego ciała i werniksu potu.

Utrudniają jej życie. Ale zawsze tak było. Zelda musi się przeciskać między ich nagle znieruchomiałymi ciałami, przeprosza każdą kolejną osobę, przedziera się na drugą stronę i pędzi dalej, próbując zignorować śmiechy, które ją smagają w plecy. Co z tego, że ich przeprosiłam, myśli, skoro nie powinno mnie tu być. Serce jej wali. Nie może złapać tchu. Tylko siłą rozpędu znowu skręca i na drugim końcu korytarza widzi człapiącego w jej stronę Stricklanda.

Zelda została zauważona. Odwracając się teraz, przyznałaby, że zrobiła coś złego. Jakie jest inne wyjście? Zelda idzie w kierunku Stricklanda. To najodważniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiła. Serce obija się o żebra jak piłeczka. Oddychanie jest tajemnicą uprowadzoną przez tajemnicze mięśnie. Strickland patrzy na nią jak na zjawę i unosi elektrycznego pastucha — zły

znak, chociaż przynajmniej paralizator już nie hałasuje po посадzce.

Oboje zatrzymują się przed drzwiami F-1. Zdyszanej Zeldzie udaje się wydusić z siebie pozdrowienie.

— A, dzień dobry, panie Strickland.

Strickland lustruje ją szklanymi oczami. Żadnych oznak rozpoznania, mimo że spotkali się już dwa razy. Twarz ma zmizerowaną i bladą. Dolną wargę pokrywają resztki jakiegoś granulowanego proszku. Strickland ze wzdrgnięciem prychnięciem przerywa studiowanie jej twarzy.

— Gdzie pani uniform?

Ten człowiek umie wbić szpilę: od razu i głęboko. Kierując się instynktem ludzi zdesperowanych, Zelda podnosi jedyną rzecz, którą ma przy sobie.

— Zapomniałam torebki.

Strickland mruży oczy.

— Pani Brewster.

— Tak, proszę pana. Poza tym, że nazywam się pani Fuller.

Strickland kiwa głową, ale nie wygląda na przekonanego. Prawdę mówiąc, wygląda na zagubionego. Zelda już wcześniej zauważyła to u białych ludzi, którzy pierwszy raz znaleźli się sytuacji sam na sam z czarnymi. Strickland nie wie, gdzie ma patrzeć, jakby samo istnienie Zeldy go zawstydzalo. Mruczy coś pod nosem, za cicho, żeby było go słychać w F-1. Jeśli Zelda chce ostrzec Elisę, to musi wykorzystać zakłopotanie Stricklanda i zająć go czymś możliwie jak najdłużej i jak najgłośniej.

— Proszę powiedzieć, panie Strickland — Zelda ukrywa drżenie w głosie, nadając mu rażny ton — jak pańskie palce?

Strickland marszczy brwi, a potem przygląda się bandażowi na lewej dłoni.

— Nie wiem.

— Przepisali panu środki przeciwbólowe? Mój Brewster złamał sobie kiedyś w hucie Bethlehem nadgarstek i lekarz ładnie go oporządził.

Strickland się krzywi, nie bez powodu: Zelda krzyczy. Nie obchodzi jej odpowiedź Stricklanda, zresztą spragnione przeciągnięcie językiem po białym proszku na jego wardze mówi jej wszystko na temat zażywanych przez niego środków przeciwbólowych. Strickland przełyka na sucho i jakby lek zadziałał — albo uruchomił się efekt placebo — prostuje plecy, a jego szkliste oczy rozjaśnia przerażające skupienie.

— Zelda D. Fuller — charczy. — D. jak Dalila.

Zeldę przechodzą ciarki.

— Jak pańska... — Zelda nie potrafi myśleć — ...pańska żona, panie Strickland. — Sama nie wie, co mówi. — Jak pańskiej żonie podoba się...

— Pracuje pani na cmentarnej zmianie — burczy Strickland, jakby właśnie to było w Zeldzie najgorsze, gorsze od innych rzeczy, które po niej na pierwszy rzut oka widać. — Ma pani torebkę. Niech pani idzie do domu.

Wyjmuje z tylnej kieszeni kartę kodową i wbija w zamek jak sztylet. Zelda zbiera się w sobie, żeby dokończyć pytanie, rzucić coś tak sympatycznego na temat jego żony, żeby nawet Richard Strickland zmuszony był odpowiedzieć, ale on już powrócił do swojego naturalnego stanu niedostrzegania jej, kobiety, która w gruncie rzeczy nie istnieje. Strickland wchodzi do laboratorium, elektryczny pastuch trąca o gałkę, co posłuży — a przynajmniej taką Zelda ma nadzieję — za ostatnie ostrzeżenie dla Elisy.

Kurde, strasznie jasno. Jakby ktoś wbijał mu igły w oczy. Chciałby jak najszybciej wrócić do swojego przyciemnionego biura, zamknąć oczy pod miękkim szarym kocem ekranów monitoringu. Tchórzowski odruch. W końcu przyszedł tutaj z jakiegoś powodu. Czas wkroczyć do akcji, stanąć twarzą w twarz z Deus Brânquia, doprowadzić do zakończenia eksperymentu Hoffstetlera. Nie, nie Deus Brânquia. To tylko obiekt, nic więcej. Dlaczego znowu zaczął myśleć o nim jak o Deus Brânquia? Musi z tym skończyć. Wierne „Pozdrowienia z Alabamy”, przemysłowy elektryczny pastuch Farm-Master 30 tkwi w jego dłoni długi i prosty, pełni rolę poręczy, która wyprowadzi go z opiatowego otumanienia z powrotem do rzeczywistego świata.

Wystarczyło dwóch żołnierzy żandarmerii, aby pomóc mu wyłowić stwora z kapsuły i przykuć do słupa, bez utraty choćby jednego palca. Żołnierze nie pisną słowa. Jest ich szefem. Potem odesłał ich do domu, ale odkrył, że zostawił paralizator w swoim pokoju. Jego pokój — szuflada biurka, tabletki. Zbieg okoliczności. Nie zostawił tam paralizatora celowo.

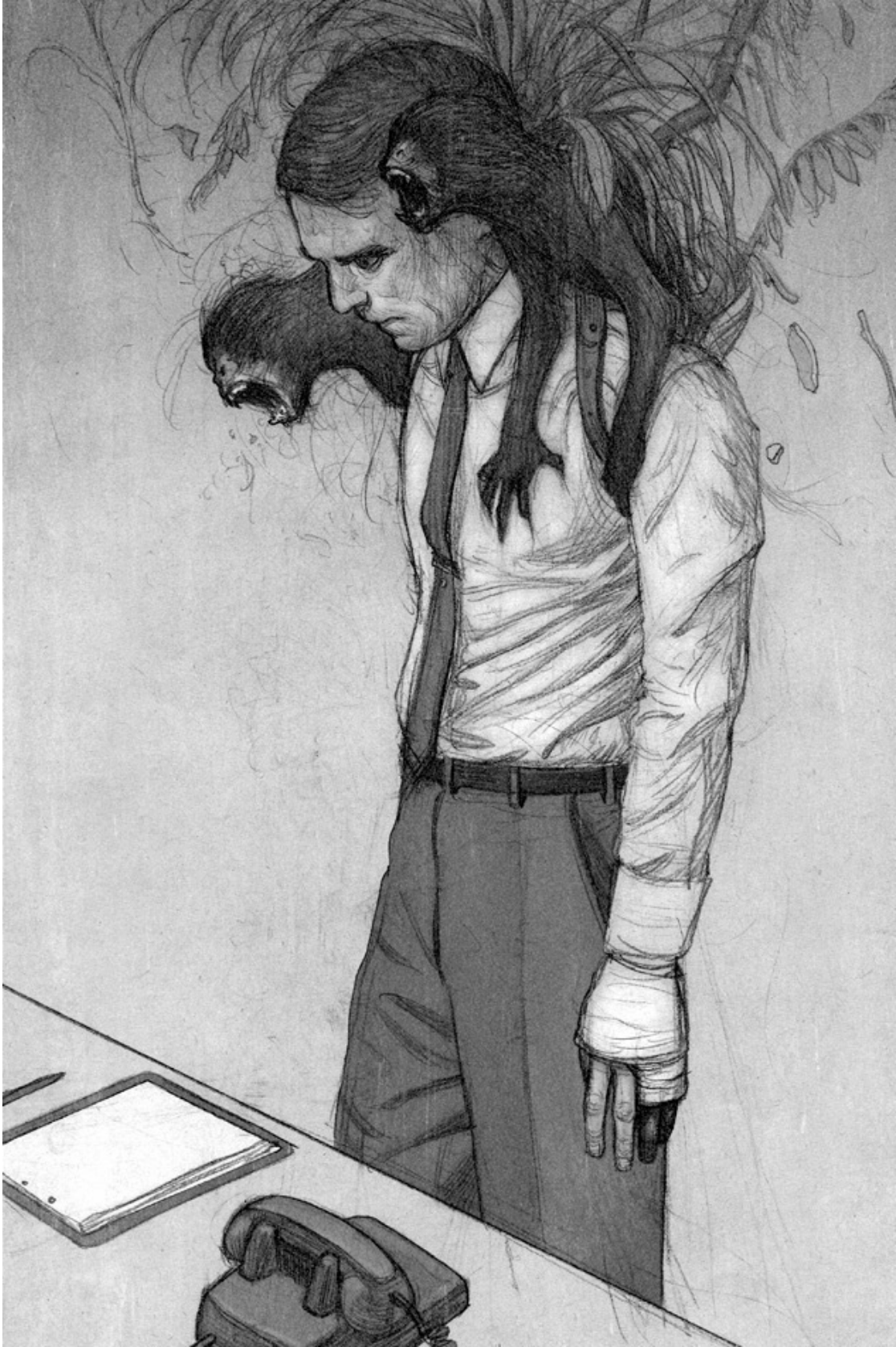
Myśli o zestresowanej Lainie, która mu zrelacjonowała, jak przyłapała Timmy’ego na rozkrwawianiu jaszczurki. Strickland w ogóle się tym nie przejął. Kurde, był dumny. Powinien brać przykład ze swojego syna. Kiedy poprzedni raz Strickland był sam na sam z tą jaszczurką? Trzeba by się cofnąć bardzo daleko, do Amazonii, Strickland ścisnął miotacz harpunów w ciemnej grocie rozbrzmiewającej wrzaskami małp. Deus Brânquia — obiekt — opryskany rotenonem, wyciąga do niego oba ramiona. Jakby byli równi sobie. Co za arogancja! Co za afront!

A teraz? Strickland widzi cierpienie stwora. Obiekt klęczy na zakrwawionych kolanach, które nie są przystosowane do tego, aby tak długo dźwigać ciężar ciała. Krwawienie wyrwanych z korzeniami szwów. Fragmenty odrażającej anatomii palpitują i pulsują w pogoni za powietrzem. Strickland unosi paralizator i macha nim na boki. Deus Brânquia jeży spięte błoną kolce.

— O, czyli pamiętasz? — mówi Strickland.

Okraża słup, rozkoszując się dystyngowanym stukiem swoich obcasów. Chwile poprzedzające tortury zawsze są zmysłowe. Obrzmienie strachu. Bolesna tęsknota dwóch ciał, które są rozdzielone przed nieuniknionym zderzeniem. W wyobraźni ofiary wykwitają tak twórcze pomysły, że Stricklandowi nie wystarczyłoby do tego cierpliwości. Lainie nigdy nie zrozumie tego rodzaju gry wstępnej, w odróżnieniu od każdego żołnierza, który zna to charakterystyczne ruszenie krwi. W głowie Stricklanda pojawia się obraz zakrwawionej szyi Lainie. Piękny, ożywczy. Strickland wyjmuje z torebki zieloną landrynkę, ssie ją, udaje, że ostry smak jest smakiem krwi.

Odgłos rozgryzania landrynki rozwala mu bębniaki uszne. Elisa Esposito to chyba jedyny punkt ciszy, który pozostał na świecie. Ciszę Stricklanda zjadają małpy, które powróciły. Trajkoczą z ekranów monitoringu. Pohukują spod biurka. I wrzeszczą. Oczywiście, że wrzeszczą. Kiedy on próbuje myśleć. Kiedy on próbuje spać. Kiedy on próbuje sygnalizować, że słucha nużących codziennych kronik swojej rodziny. Małpy chcą od niego, żeby wrócił na tron boga dżungli. Dopóki tego nie zrobi, będą wrzeszczały.



Więc kapituluje. Tylko trochę. Dla sprawdzenia, czy złagodnieją, choćby odrobinę. „Pozdrowienia z Alabamy”? To wcale nie jest elektryczny pastuch, tylko maczeta *índios bravos*. Mały chichoczą. Podoba im się to. Jemu też się podoba. Strickland kołysze maczetą jak wahadłem, wyobrażając sobie, że rąbie korzenie podporowe kapokowca. Deus Brânquia reaguje gwałtownie, szarpiąc za łańcuchy — paroksyzm ryby, która wydawała się martwa. Skrzela trzepoczą, dwukrotnie poszerzając jego głowę. Durny zwierzęcy numer. Na ludzi nie działa. Na bogów też nie.

Strickland trąca przełącznik. Maczeta buczy w jego dłoni.

Kończyny posplatane w twardej metalowej skrzyni, włosy utknęły w zawiasie, kolano otarte i krwawiące, a przecież Elisa nie czuje bólu. Czuje tylko strach, tę potężną burzę piaskową, którą wyrzucają z siebie jej wnętrzności, oraz gniew, z łomotem wykuwający nowy kształt jej czaszki, z grubym, szerokim czołem i długimi, krętymi rogami. Elisa sforsuje tymi rękami drzwi skrzyni i na swoich zwierzęcych kopytach zaatakuje tego straszego człowieka, nawet jeśli miałaby przy okazji stracić życie — zrobi wszystko, żeby ocalić ukochane stworzenie.

W pierwszej chwili nie potrafiła zidentyfikować głosów, ale wewnątrz F-1 wszelkie ludzkie tony oznaczają kłopoty, toteż spięła się jak glista i poszukała nory, do której mogłaby wpełznąć. Zelda próbowała ostrzec Elisę. Elisa musiała uszanować ryzyko koleżanki. Dała nura do szafki medycznej, tak mocno tłukąc kolanami o blachę, że łzy napłynęły jej do oczu. Jak wszystko w F-1 szafka miała kółka i zaczęła się toczyć. Elisa wyciągnęła ramię w funkcji hamulca i przycisnęła dłoń do podłogi.

Teraz trzy metry od niej przechadza się Strickland, za blisko, żeby mogła zamknąć skrzypiące drzwi szafki. Elisa ściska się w sobie, skrywana tylko przez cień, i dławi własny oddech. Klatka piersiowa i lewe ucho są przygniecione do podłogi szafki. Przez cienką blachę Elisa słyszy dudnienie własnego serca. Nie ruszaj się, mówi sobie. Biegnij, atakuj, mówi sobie.

Strickland macha pastuchem ze zręcznością sportowca. Pastuch wypuszcza snop iskier, które trafiają stwora pod pachą. Błyskają dwa złote światła i ciało stwora się zaciska, łuski falują nad kurczącymi się mięśniami, stwór odskakuje od Stricklanda najdalej, jak się tylko da, czyli nie więcej niż kilkanaście centymetrów. Elisa nie krzyczy tylko dlatego, że nie może. Mimo to zakrywa sobie usta, wbija paznokcie w policzki. Większość ludzi doświadczyła słabszego lub silniejszego porażenia prądem, ale stwór raczej nie zna tego uczucia. Uzna to za czarną magię, za piorun wystrzelony przez mściwego boga.

Strickland sprawia wrażenie zdesperowanego. Zataczającym się krokiem idzie za słup. Tam, niewidziany przez stworzenie, zdejmuje blezer, składa go jak mężczyzna, który nigdy w życiu nie składał prania, kładzie go koło torebki z cukierkami. Przypomina to zrzucanie skóry przez węża i Elisa dławi się strachem. Pokazuje się biała koszula poplamiona czymś, co wygląda jak stare jedzenie. Ewidentnie od dawna nie zaznała żelazka.

— Mam ci parę rzeczy do powiedzenia — mruczy Strickland.

Przesuwa paralizator między palcami rannej lewej dłoni jak bilardzista, celując w kark stwora. Elisa czuje, jak jej dłonie migają w ciemnościach: „Przestań, przestań”. Strickland strzela. Lecą iskry, głowa stworzenia wali o betonowy słup, odskakuje, łuski na czole są zmiażdżone i lśnią od krwi. Dla Elisy dalej są piękne, srebrne monety zanurzone w czerwonym atramencie. Skrzela falują zdezorientowane i stwór wydaje z siebie pisk delfina. Strickland kręci z niesmakiem głową.

— Dlaczego musi być z sobą taki kłopot? Zwabiłeś nas do piekła. Wiedziałeś, gdzie jesteśmy. Czuleś nasz zapach, tak samo jak my czuliśmy twój. Siedemnaście miesięcy. Hoffstetler mówi, że jesteś bardzo stary. Może dla ciebie siedemnaście miesięcy to kropla w wiadrze. Coś ci powiem. Te siedemnaście miesięcy mnie zniszczyło. Żona tak na mnie patrzy, jakby mnie nie poznawała. Przychodzę do domu, a moja dziewczynka przede mną ucieka. Staram się, kurwa,

staram się, ale...

Kopie szafkę, taką samą jak ta, w której chowa się Elisa, wgniatając drzwi dokładnie w miejscu, gdzie znajdowałyby się jej twarz. Przewraca stół. Instrumenty medyczne rozsypują się po laboratorium. Elisa jeszcze ciaśniej zwiija się w szafce. Strickland pociera wolną dłonią twarz i bandaż się rozwija. Elisa widzi koncentryczne brązowe kółka krwi, a także żółtą plamę. Jest też pociemniała obrączka. Obrączka ślubna, którą Elisa mu zwróciła. Nasunął ją na przyszyty palec. Elisa, której już wcześniej było niedobrze, czuje jeszcze większe mdłości.

— Wydłubałem cię z dżungli jak żądło z ramienia. Teraz ty dostajesz jacuzzi i baseny, a ja co dostaję? Dom nie lepszy od dżungli? Rodzinę mniej więcej tak przyjazną jak te tubylcze pojeby w swoich zasranych wioskach? To twoja wina. Do kurwy nędzy, to wszystko twoja wina!

Strickland dźga pastuchem jak szpadą, sypie ogniem na szwy stwora, przy ruchu powrotnym strzela ponownie. Elisa widzi, że jeden ze szwów pęka, łuskowata tkanka odrywa się od nagiego mięśnia. Laboratorium wypełnia swąd dymu i wędzonej krwi. Elisa wciska usta w łokieć, w żołądku jej się kotłuje. Nie widzi, że kopnięta druga szafka się przewraca, słyszy tylko huk, który przypomina odgłos zrzuconego ze schodów zestawu perkusyjnego. Elisa uświadamia sobie, że jej szafka jest następna na destrukcyjnej drodze Stricklanda.

Elisa wyziera z szafki i widzi tył nogi Stricklanda — z tak bliska, że czuje smród bezsenności — spodnie są wymięte, ponieważ nie zdejmował ich na noc, a także poplamione starą kawą i świeżą krwią. Gdyby miała nóż, myśli gorączkowo, mogłaby przeciąć mu ścięgno Achillesa albo dziabnąć arterię w łydce — potwornie bestialskie czyny, których nigdy wcześniej nie rozważała. Co się z nią stało? Sądzi, że to wie, mimo całej mrocznej paradoksalności tej konstatacji: tym, co się z nią stało, jest miłość.

— Zapłacisz mi za to — warczy Strickland. — Za wszystko.

Potem — buczenie paralizatora i smród gorącego metalu. Strickland szarpie się do tyłu, paralizator uderza o szafkę Elisy z ogłuszającym hukiem. Zesztywniała ze zgrozy Elisa zaciska zęby i patrzy, jak Strickland unosi paralizator niby lancę harcownika i galopuje prosto na oczu stwora, dawniej błyskające złotem latarnie morskie, które teraz są mlecznomatowymi sadzawkami. Choć szafka się trzęsie, Elisa ma w głowie wyraźny obraz: paralizator przebija jedno z oczu, napompuje mózg stworzenia elektrycznością i położy kres cudowi jego życia, podczas gdy ona, tak ślamazarna jak oskarżała ją o to dyrektorka sierocińca, będzie na to beczynnie patrzyła.

Stopa Stricklanda ociera się o niewielki przedmiot, który odtacza się kpiąco łukowatą trasą. Wytracony z rytmu Strickland prawie się potyka, a potem staje i patrzy, jak przedmiot wytraca impet. Strickland mruczy pod nosem, schyla się i podnosi tę zawadę. Jest to gotowane jajko upuszczone przez Elisę na widok łańcuchów — krucha, mała rzecz, w której drzemie atomowy potencjał.

Osobą, która zasugerowała, żeby poszukali wagarowicza Stricklanda w F-1, był Fleming. Hoffstetler się obruszył i wyraził pogląd, że Strickland nie ma tam nic do roboty, ale teraz, kiedy wchodzi w ślad za Flemingiem do F-1 i widzi antropoidalny kształt Stricklanda, który kręci się po laboratorium, uznaje, że od przyjazdu do Baltimore jeszcze nigdy nie był aż tak naiwny — uosobienie zamkniętego w akademickim klasztorze profesora oszukanego przez rzeczywisty świat, który łamie reguły według własnego widzimisię. Dewończyk klęczy na podłodze. Hoffstetlera nie poinformowano o usunięciu stworzenia z kapsuły, a ponieważ sam jak idiota rygorystycznie stosuje się do wszystkich reguł, nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości.

Nawet Fleming jest dostatecznie bystry, aby podejrzewać jakieś nieprawidłowości.

— Dzień dobry, panie Strickland — mówi. — Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli tę procedurę w planach...

Strickland upuszcza na podłogę jakiś przedmiot. Czy Fleming również go widzi? Jest to elektryczny pastuch, uzbrojenie wybrane przez tego nieokrzesanego. Tętno Hoffstetlera przyspiesza. Idzie na palcach jak dziecko, próbując ustalić, czy ze stworzeniem jest wszystko w porządku. Strickland trzyma coś również w rannej dłoni, ale nie widać, co to jest. Hoffstetler wcześniej był zaniepokojony, a teraz się boi. Nigdy nie znał takiego człowieka jak Strickland, kompletnie nieprzewidywalnego w swoich działaniach, którymi steruje jego stężone id.

— Standardowe kwestie dyscyplinarne — mówi Strickland.

Hoffstetler przyspiesza kroku, mijają Fleminga, policzki mu płoną w gorącej wiązce szyderstwa Stricklanda. Może i kwestie dyscyplinarne — w końcu ten człowiek stracił dwa palce — ale czy standardowe? Nie ma w tym nic standardowego. Stan dewończyka jest przerażający. Szwy rany po harpunie pękły i stworzenie krwawi na całym ciele, pod pachą, na karku, na czole. Z poszarzałych warg wiszą sznury gęstej śliny sięgające szlamu krwi, słonej wody i łusek, w którym klęczy. Hoffstetler bez strachu pada na kolana obok dewończyka. Przykutemu łańcuchami do słupa stworzeniu ledwo starcza sił na oddychanie, a co dopiero mówić o wykorzystaniu drugiej szczęki do celów zaczepnych. Hoffstetler dotyka rany. Między palcami płynie mu gęsta, ciemna krew. Potrzebny jest bandaż, potrzebna jest taśma samoprzylepna, potrzebna jest pomoc, mnóstwo pomocy.

Fleming przełyka ślinę i Hoffstetler myśli: Tak, proszę, interweniuj, przerwij to, mnie ten człowiek nie posłucha. Jednak to, co wychodzi z ust Fleminga, nie wykazuje żadnych znamion reprimendy.

— Nie chcieliśmy przeszkadzać w śniadaniu.

Tylko tak niedorzeczna wypowiedź mogła skłonić Hoffstetlera do odwrócenia wzroku od okaleczonego dewończyka. Strickland spuszcza wzrok jak chłopiec przyłapany na kradzieży cukierków i otwiera lewą dłoń, w której objawia się białe jajko. Przez chwilę Strickland sprawia wrażenie, jakby się zastanawiał nad jego sensem, ale zdaniem Hoffstetlera jajko jest rzeczą zbyt kruchą, żeby taka bestia jak Strickland ją zrozumiała, za bardzo nasyconą znaczeniem, w zbyt subtelny sposób symbolizującą ciągłość życia. Strickland wzrusza ramionami i wyrzuca jajko do kosza. Jajko nie ma dla niego żadnego znaczenia.

Dla Hoffstetlera — wręcz przeciwnie. Nie zapomniał i nigdy nie zapomni, jak ta niema woźna

trzymała jajko w dłoni, kiedy tańczyła walca przed kapsułą dewończyka. Hoffstetler powoli obraca głowę, jakby pobieżnie inwentaryzował F-1. Kości jego szyi skrzypią, jak gdyby chciały go zdradzić. Hoffstetler strzela oczami w stronę każdej potencjalnej kryjówki. Pod biurka. Za kapsułę. Nawet do basenu. Zajmuje mu dziesięć sekund, zanim lokalizuje Elisę Esposito, z szeroko otwartymi oczami i zaciśniętą szczęką, wyraźnie widoczną przez drzwi szafki, której zamknięcie uniemożliwia jej ciało.

Gardło Hoffstetlera dławią sznury pędzącej krwi. Nawiązuje z Elisą kontakt wzrokowy, a potem zamyka raz oczy — ma nadzieję, że jest to uniwersalny znak oznaczający „zachowaj spokój”, chociaż doskonale wie, że adekwatną do tej sytuacji emocją jest panika. Nie sposób przewidzieć, co się może wydarzyć tej kobiecie, jeśli zostanie przyłapana. Tu nie chodzi o kradzież firmowego papieru toaletowego. Pracowniczka cementarnej zmiany zatrzymana przez takiego człowieka jak Richard Strickland? Niewykluczone, że Elisa zniknęłaby bez śladu.

Elisa stała się niezbędna do utrzymania dewończyka przy życiu. Po tych okaleczeniach być może w jeszcze większym stopniu. Hoffstetler musi odwrócić uwagę Stricklanda. Ponownie kieruje wzrok na dewończyka. Obrażenia woźnej na razie są hipotetyczne, a obrażenia tego wyjątkowego organizmu realne i makabryczne, mogą doprowadzić nawet do jego śmierci, jeśli Hoffstetler natychmiast nie przeniesie go z powrotem do uzdrawiającej wody w kapsule albo basenie.

— Nie może pan tego robić! — krzyczy Hoffstetler.

Strickland i Fleming zaczęli mówić jednocześnie, a teraz obaj milkną. W laboratorium zapada cisza, jeśli nie liczyć sapania dewończyka. Hoffstetler gromi wzrokiem Stricklanda, który najwyraźniej dobrze się bawi tym szczeniackim buntem.

— Przecież to jest zwierzę — mruczy Strickland. — Po prostu je tresuję.

Hoffstetler zna prawdziwy strach: czuje go za każdym razem, kiedy dopuszczają go do tajnych dokumentów przeznaczonych dla sowieckich agentów. Nigdy jednak nie zaznał takiej wściekłości jak w tej chwili. Wszystko, co kiedykolwiek zrobił, powiedział albo poczuł w kwestii dewończyka, wydaje się powierzchowne, a nawet nonszalanckie. Przekomarzanki z Michałkowem, czy stwór jest inteligentniejszy od psa, spory o Wellsa i Huxleya. Hoffstetlera nagle ogarnia przekonanie, że pod pewnymi względami stworzenie w F-1 jest aniołem, który zechciał oświetlić ten świat swoim blaskiem, a potem błyskawicznie go zastrzelono, przybito pinezkami do korkowej tablicy i oznaczono jako diabła. Hoffstetler brał w tym udział. Być może jego dusza już nigdy się nie podniesie.

Hoffstetler zrywa się na nogi i staje twarzą w twarz ze Stricklandem, okulary zsuwają się po nosie nagle śliskim od potu, a dolna warga wydyma się jak u butnego malczaka, który stawia się swojemu ojcu. Hoffstetler wie, że nic nie wskóra ze Stricklandem, jeszcze nigdy mu się to nie udało, ale Fleming przybył z pewną wiadomością i intuicja podpowiada Hoffstetlerowi, że informacja ta może posłużyć za narzędzie, które pozwoli poskromić Stricklanda. Hoffstetler się modli, żeby Elisa wytrzymała jeszcze kilka minut.

— Proszę mu powiedzieć, panie Fleming — mówi Hoffstetler. — Proszę mu powiedzieć o generale Hoycie.

Słowo „Hoyt” działa jak zaklęcie. Hoffstetler odczuwa małą satysfakcję, widząc coś, czego nigdy wcześniej nie widział: brudę dezorientacji przecinającą twarz Stricklanda, zmarszczkę na czole, zagłębienie między brwiami, wgłębienie wargi. Strickland odstepuje krok do tyłu. Jego pięta łąduje na jakimś przedmiocie. Strickland patrzy w dół i sprawia wrażenie, jakby po raz pierwszy zauważył przewrócone stoły i rozrzucone narzędzia — bałagan, którego sam narobił, i nie może

tego ukryć. Przełyka ślinę, niejasnym gestem pokazuje na to pobojowisko i zaczyna mówić głosem przechodzącego mutację nastolatka:

— Woźne muszą... lepiej tu sprzątać.

Fleming również przełyka ślinę.

— Czuję się trochę niezręcznie, panie Strickland, ale doktor Hoffstetler ma rację. Generał Hoyt zadzwonił do mnie dzisiaj rano. Bezpośrednio z Waszyngtonu. Poprosił o przygotowanie dla niego dokumentacji. Przedstawiającej rozbieżne filozofie, pańską i doktora Hoffstetlera, dotyczące obiektu.

— Generał Hoyt... — Twarz Stricklanda zwiotczała. — ...dzwonił do pana?

W nieznacznym, spiętym uśmiechu Fleminga jest zakłopotanie, ale również duma.

— Pan generał zażyczył sobie obiektywnego spojrzenia. Mam tylko zebrać informacje i przedstawić generałowi Hoytowi, aby miał się na czym oprzeć przy podejmowaniu decyzji, jaką wybrać drogę postępowania.

Strickland wygląda, jakby zrobiło mu się niedobrze. Jego twarz jest blada, usta sine, a głowa powoli odchyła się do tyłu, jak gdyby ktoś kręcił zardzewiałą korbą. Strickland patrzy na podkładkę z klipsem w ręku Fleminga, jakby zobaczył piłę tarczową, która zaraz zacznie wirować. Hoffstetler nie wie, jakie jest źródło władzy Hoyta nad Stricklandem, ale nic go to nie obchodzi. Dla niego, dla dewończyka i dla Elisy jest to atut, który Hoffstetler postanawia wykorzystać.

— Po pierwsze, panie Fleming, może pan powiedzieć generałowi, że ja, jako naukowiec, jako humanista, błagam go, żeby jednoznacznie zabronił takich zachowań, samowolnych decyzji o skrzywdzeniu obiektu bez żadnego powodu. Nasze badania są jeszcze w powijakach! Mamy jeszcze wiele do nauczenia się od tego stworzenia, a teraz widzimy je pobite prawie na śmierć, duszące się na naszych oczach. Przenieśmy stworzenie z powrotem do kapsuły.

Fleming unosi podkładkę. Jego długopis czyni zygzaki po kartce papieru i tym samym obiekta Hoffstetlera zostaje zarejestrowana, utrwalona czarno na białym. Zwycięstwo to rozgrzewa piersi Hoffstetlera do tego stopnia, że kiedy znowu widzi Elisę, błyska oczami na znak, że wszystko będzie dobrze. Potem przenosi wzrok z powrotem na Stricklanda. Żołnierz gapi się na atramentową bazgraninę Fleminga, szczęka mu drży, oczy mrugają z urażoną zgrozą.

— Nn — protestuje niewerbalnie Strickland.

Hoffstetler czuje przypływ energii, tego samego wysokooktanowego paliwa, które napędzało go podczas ważnych wykładów na uczelni. Szybko, zanim Strickland wykrzesze z siebie bardziej artykułowaną reakcję, Hoffstetler klęka obok stwora, pokazuje na rozedrgane strzela i dygoczący tors.

— Chciałem zwrócić na coś pańską uwagę, panie Fleming. Widzi pan, jak stworzenie się przestawia idealnie, płynnie między dwoma zupełnie odrębnymi mechanizmami oddechowymi? Nie można oczekiwać, że w środowisku laboratoryjnym odtworzymy wszystkie jego ziemnowodne funkcje. Wydzielnictwo lipidów, nawadnianie przezskórne. Ale emulsje oddechowe? Proszę powiedzieć generałowi Hoytowi, że jestem głęboko przekonany, iż jeśli będziemy mieli dostatecznie dużo czasu, stworzymy utlenione zamienniki, zbudujemy funkcjonalny odpowiednik osmoregulacji.

— Kupa... — zaczyna Strickland, ale Fleming robi to, w czym jest najlepszy: notuje, poświęcając całą uwagę Hoffstetlerowi. — To wszystko jest kupa...

— Proszę sobie wyobrazić, panie Fleming, że my też oddychamy jak to stworzenie, w warunkach niewiarygodnie niskiego ciśnienia i gęstości. Podróże kosmiczne staną się znacznie

prostsze, prawda? Zapomnijmy o jednym okrążeniu Ziemi, nad którym pracują Sowieci. Wyobraźmy sobie całe tygodnie na orbicie. Miesiące. Lata! A to dopiero początek. Datowanie radiowęglowe wskazuje, że to stworzenie może mieć wiele stuleci. To się nie mieści w głowie!

Rozdętą pewność siebie Hoffstetlera przekłwa igła wstydu. Hoffstetler mówi prawdę, która leży jednak na jego języku jak arsenik. Przez dwa miliardy lat na świecie panował pokój. Dopiero po pojawieniu się płci — konkretnie samczej, rozpościeraczy ogonów, rogobodźców, torsołuków — Ziemia zaczęła się staczać ku samozagładzie. Być może to wyjaśnia odkrycie Edwina Hubble'a, że wszystkie znane nam galaktyki oddalają się od Ziemi, jakby cała nasza planeta była zbudowana z arsenu. Hoffstetler pociesza się myślą, że w taki dzień jak ten cała ta pogarda dla ludzkości jest uzasadniona. Zanim Michałkow nie uzyska zgody na ekstrakcję, psy w Occam będą potrzebowały kości do gryzienia.

— ...bredni. — Strickland zdołał dokończyć zdanie. — Kupa bredni. Może pan powiedzieć generałowi Hoytowi, że doktor Hoffstetler, pan Bob, bierze stronę dzikusów z Amazonii. Traktuje to coś jak boga. Może to jest ruska specyfika. Niech pan to zapisze, Fleming. Może w Rosji mają innych bogów niż my.

Hoffstetler czuje w gardle czop paniki, przelęka go. Richard Strickland nie jest pierwszym współpracownikiem, który podważa jego wiarygodność ze względu na jego pochodzenie, ale jest pierwszy, który dysponuje środkami potrzebnymi do ujawnienia całej prawdy. Choć Hoffstetler nigdy nie spotkał generała Hoyta ani nawet nie widział jego zdjęcia, wydaje mu się, że widzi, jak ten człowiek materializuje się na tle sufitu F-1, olbrzymi lalkarz, który zderza ze sobą dwie marionetki, aby sprawdzić, która z nich zasługuje na sponsorowanie. Hoffstetler ukrywa niepokój, odwracając głowę w stronę świszczącego stwora. Owszem, karierę zawodową Hoffstetlera znaczą szpikulce ego, ale nigdy nie chciał tego rodzaju uwagi.

Z drugiej strony nie może się wycofać z tej walki, jeśli chce, aby dewończyk przeżył, jeśli chce, aby Elisa Esposito przeżyła, jeśli sam chce przeżyć. W świetle lampy medycznej, przykucnięty w krzepnącej krwi konającego stwora, Hoffstetler nagle sobie uświadamia, że wtopienie się dewończyka w naturalny świat miało swój początek dopiero w Amazonii, a jego śmierć może oznaczać śmierć emergencji, kres postępu, koniec wszystkiego i nas wszystkich.

— Klucze. — Odważnie wyciąga rękę w stronę Stricklanda. — On musi natychmiast wrócić do wody.

Ostatnio nie może spać, a kiedy już zaśnie, spada w czarną czeluść. Trzecia rano, a on dławi się i dyszy, Lainie głaszcze go po plecach, jakby był chłopcem, ale on nie jest chłopcem i niemożliwe, żeby miał łzy na policzkach, odpycha jej dłonie, a ona dalej go uspokaja, pyta, czy chodzi o jego palce i czy lekarz nie powinien znowu ich zbadać, ale nie chodzi o palce i ona znowu zaczyna gadać, że w takim razie musi chodzić o wojnę, czytała o tym w czasopiśmie, jak wojna dręczy człowieka, ale co ta kobieta może wiedzieć o wojnie, jak cię zżera, ale ty też możesz ją zjeść, i co ona wie o pamięci, bo wydaje się niemożliwe, żeby Lainie w swoim życiu zdominowanym przez deski do prasowania i brudne talerze miała choćby jedno wspomnienie podobne do tych, które wypaliły się w mózgu Stricklanda.

W snach Strickland jest z powrotem na „Josefinie”, ślizga się pod kordelasami mgły, krew załogi ścieka z pokładu, słychać tylko śliniące się ssanie bezzębnego błota. Strickland steruje statkiem do groty zwiniętej ciasno jak muszla skorupiaka, zasłona insektów rozsuwa się na boki i stworzenie wstaje, ale nie jest to Deus Brânquia, tylko generał Hoyt. Nagi, różowy i świecący jak guma, podaje mu ten sam nóż KA-BAR, który podał mu w Korei, i zawiera z nim ten sam makabryczny pakt.

Strickland wyraźnie widzi Hoyta. Hoyt lubił stać z jedną ręką majtającą medalami, a drugą pieszczącą wysunięty do przodu brzuch. Oczy przymknięte, ale rzadko mrugające. Między okrągłymi policzkami przeciska się szelmowski uśmiech. Strickland widzi go, ale nie słyszy. Wszystkie wspomnienia o Hoycie, rozkazy, komplementy, nieetyczne motywatory, zostały oskrobane z głosu. Hoyt nie jest niemy jak Elisa, tylko jego głos został przesłonięty, tak samo jak zaczernione słowa w instrukcji Hoyta na temat Deus Brânquia zostały przesłonięte grubymi czarnymi kreskami. Brzmią jak przeciągły, brutalny wrzask i wyglądają jak zaczernienia:

Nawet tutaj, w tym laboratorium, Strickland nie umie sobie wyobrazić, jak Fleming mógł zrozumieć ten bezsensowny wrzask Hoyta. Stricklanda ogarnia odrętwienie, którego nie czuł od czasów upału Amazonii, a przedtem trochę łagodniejszego upału Korei. Może Hoyt słyszał o jego przyszytych palcach. Może Hoyt uważa, że Strickland stracił umiejętność kontrolowania sytuacji. Jeśli Hoyt przestanie wierzyć w Stricklanda, to szanse na zrzućnięcie pęt i odzyskanie wolności staną się iluzoryczne. Strickland mruga, rozgląda się wokół siebie, ma wrażenie, że widzi zielone pnącza wpełzające z kratek wentylacyjnych, zielone pączki wystawiające nosy z kontaktów. Skutki uboczne środków przeciwbólowych? Czy może to się dzieje naprawdę? Skoro Strickland nie może zakończyć tego eksperymentu, Deus Brânquia zwycięży i być może całe miasto stanie się drugą Amazonią. Strickland, jego rodzina i całe Baltimore zostaną w niej zaduszeni.

Strickland zaciska pięści, wiedząc, czym to poskutkuje. Ból chlupie jak gęsty, gorący syrop z zakażonych palców do ramienia, a potem do serca. Stricklandowi wzrok się rozmywa, a potem wyostrza jak po *buchité*. Hoffstetler dalej stoi z wyciągniętą dłonią, czeka na klucze. Dalej mówi o zaletach specjalistycznych lamp i szpul z nagraniami terenowymi. Obiecuje dostarczyć Flemingowi wykresy i dane do przesłania generałowi Hoytowi, jak tylko pozwolą temu biednemu stworzeniu umożliwić się wygodnie w jego przytulnej kapsule. Strickland bierze się

w garść. Musi okazać twardość, i to natychmiast.

Śmieje się wystarczająco chamsko, żeby Hoffstetler przestał mówić.

— Dane — powtarza Strickland kpiącym tonem. — Według pana jak pan coś zapisze na papierze, to się staje prawdziwe, racja?

Gardło Hoffstetlera, rurka, którą łatwo można zgnieść, podskakuje w pół słowa. Dłonie opadają i Stricklanda cieszy ten widok. Mało tego, rozgrzewa go, napęnia nadzieją. Czy to, co teraz słyszy, to są radosne zaczernienia Hoyta? Wydaje mu się, że wrzeszczą niegłośno z wentylacji komputera: ██████████. Hoffstetler na pewno też to słyszy. Podbiega do kapsuły i pokazuje na jeden z upierdliwych zegarów.

— Dwadzieścia osiem minut. Ten chronometr odmierza czas od ostatniej dehermetyzacji kapsuły. Maksymalny okres przebywania obiektu poza kapsułą wyznaczono na trzydzieści minut. O raporcie dla generała Hoyta możemy porozmawiać później. Klucze, panie Strickland, niech pan nie każe mi błagać.

Ale błaganie jest właśnie tym, co chciałby usłyszeć Strickland. Przykuca koło obiektu, w tym samym miejscu co wcześniej Hoffstetler. Przyjemna poza, mimo że Deus Brânquia targają tak silne konwulsje, że obryzguje Stricklandowi koszulę. Strickland czuje się jak kowboj sprawdzający stan krowy, która padła na ziemię, toczy z mordy pianę i trzeba ją dobić. Strickland wie palcem wokół falującej piersi Deus Brânquia.

— Proszę to zapisać dla pana generała, panie Fleming. To, co tutaj mamy, to nie są dane. To jest coś, co możemy dotknąć własnymi rękami. Tutaj wzdłuż żeber, widzi pan? Chrzątka połączona stawami. Jak zeszyte ze sobą palce. Obowiązująca teoria mówi, że to oddziela dwa zestawy płuc, pierwotne i wtórne. Nic nie pomyliłem, panie Bob? — pyta podniesionym głosem.

— Dwadzieścia dziewięć minut — odpowiada Hoffstetler. — Proszę.

— Ta chrzątka jest tak gruba, że nie potrafimy uzyskać czytelnego rentgena. A przecież nieraz próbowaliśmy. Pan Bob na pewno panu powie, ile razy. A teraz podstawowa kwestia, o której generał Hoyt musi się dowiedzieć: jeżeli chcemy ustalić, dlaczego ten narząd jest taki gruby, to nie powinniśmy o nim dyskutować, tylko go rozkroić.

— Na litość boską.

Głos Hoffstetlera brzmi tak, jak powinien. Odległy, nikły.

— Sowoci być może są teraz w Ameryce Południowej i wyławiają z rzeki kolejne z tych stworzeń.

— Kolejne? Nie ma innych na całym świecie! Gwarantuję to panu.

— Nie było pana ze mną na tej łodzi, prawda, panie Bob? Przeczytać parę książek o jakiejś rzece to nie to samo, co zobaczyć na własne oczy setki kilometrów tej rzeki. I miliony rzeczy w wodzie. Więcej, niż potrafi policzyć ten pański komputer, zapewniam pana.

Z komputera wrzeszczą radosne zaczernienia: ██████████. Strickland jest zaskoczony, że nikt inny tego nie słyszy. Z drugiej strony nie dziwi go to. Nikt inny nie pracował w wojsku. Strickland nie rozumie niuansów tego wrzasku, ale czuje je w trzewiach, w sercu. Dawno, dawno temu był dla Hoyta jak syn, prawda? Hoyt musi być dumny, widząc, że jego chłopiec wyrósł na takiego dzielnego mężczyznę. Sam Strickland musi zwalczać w sobie dumę, jaką go to napawa. Przeciera oczy, aby się upewnić, że są suche. Może przyjmie od Hoyta odrobinę pomocy. Ale już nigdy nie pozwoli mu rzucić na siebie uroku.

— Trzydzieści minut — mówi Hoffstetler. — Teraz już błagam. Błagam.

Strickland okręca się na pięcie. Nie wystarczy mu usłyszeć błaganie Hoffstetlera. Chce zwrzeć się z nim oczami, sprawić, żeby zapamiętał tę chwilę. Ale Hoffstetler na niego nie

patrzy. Głowę ma odwróconą w inną stronę, odsłonił zęby i rusza brwiami z góry na dół, prawie jakby sygnalizował coś czwartej osobie w laboratorium. Strickland przypomina sobie o jajku. Nie wie dlaczego. Na podłodze leżało jajko, prawda? Podąża za spojrzeniem Hoffstetlera.

Ze stwora dobywa się gulgot. Strickland patrzy w dół, zapomina o jajku. Deus Brânquia dostaje konwulsji. Odpadają dziesiątki łusek. Z ust bąbelkuje brudnobiała piana. Wszystkie mięśnie się napinają, jakby trącono go elektrycznym pastuchem, maczetą albo czymś innym. Potem traci przytomność. Całym ciężarem ciała zwiesza się na uprzęży. Wycieka spod niego mocz, nadając mieszance białej piany i czerwonej krwi ciemnopomarańczowy kolor. Strickland musi wstać, żeby dopuścić do stwora innych. Widzi, że Fleming coś zapisuje. Chyba nie rejestruje tego incydentu? To obrzydliwe, obrzydliwe, nie nadaje się do spożycia przez Hoyta. Równie nieestosownie byłoby jednak pozwolić Deus Brânquia umrzeć, zanim Hoyt się wypowie. Strickland wyjmując z kieszeni klucze i podaje z tyłu Hoffstetlerowi. Ach, ci naukowcy: zero koordynacji. Stuk kluczy o podłogę przebija się przez wrzask.

Poranna mgła, dym papierosowy, zmęczone oczy: przez takie welony Giles zauważa ją pół przecznicy dalej. Nikt tak nie chodzi jak Elisa. Giles wstępuje na schody przeciwpożarowe i opiera się przedramionami o poręcz. Targana porywami wiatru Elisa nie zamienia się w ostrze, tylko w pięść, z wyprężonym tułowiem mija fantomowych wrogów, spleta ramiona z niewidzialnymi rugbistami z tej samej drużyny. Ale jej stopy funkcjonują w innym wymiarze, stawiają długie, zwinne, taneczne kroki w butach tak jasnych, że wlewają w pogrzebową szarość dzielnicy blask życia. Giles uświadamia sobie, że buty są dla Elisy tym, czym dla niego teczka kreślarska.

Giles gasi papierosa i wraca do środka. Wstał wcześniej, wziął prysznic i zjadł śniadanie przed bardzo ważną ponowną wizytą w Klein & Saunders. Ruchem stopy zgania kota z czaszki Andrzeja i zabiera peruczkę. Staje przed łazienkowym lustrem, zakłada tupecik, dociska, czesze. Zastępcze włosy nie wyglądają już tak przekonująco jak kiedyś. Tupecik się nie zmienił, lecz Giles tak. Mężczyźnie w jego wieku nie pasuje tak gęsta grzywa. Ale Giles raczej nie może zrezygnować teraz z tej charakterystyki. Świat pomyślałby, że Giles został oskalpowany. Z drugiej strony jaki świat? Giles ogląda wychudłą skamielinę w lustrze i zadaje sobie pytanie, jak to możliwe, że wpadł w sidła takiej sprzeczności: mężczyzna, na którego nikt nie patrzy, martwi się o swój wygląd.

Pukanie do drzwi go deprymuje. Po drodze do drzwi Giles sprawdza na zegarku godzinę. Ostrzegł wczoraj Elisę, że tego przedpołudnia ma spotkanie, ale mu nie odpowiedziała. Jest ostatnio zamyślona. Zmartwiony swoim odbiciem w lustrze Giles myśli z przerażeniem, że Elisa ukrywa coś strasznego, na przykład nieuleczalny nowotwór. Pukanie staje się natarczywe.

Zanim Giles dociera do drzwi, wchodzi Elisa i zdejmuje wełnianą czapkę z pomponem, rozkręcając śmigła naelektryzowanych włosów. Giles trochę się uspokaja. Takie wtargnięcia należą do ich wspólnej tradycji, a Elisa, mimo nocnego trybu życia i nędznego zaprowiantowania typowego dla nisko opłacanej siły roboczej, ma tak rumiane policzki, że Giles się rozczuła. Jego twarz byłaby po takim wysiłku biała jak całun.

— Wpadamy dzisiaj z rozmachem, co? — zagaja Giles.

Elisa wchodzi w głąb mieszkania, prawie obija się o ściany, miga tak nieostrożnie, że stopy starych obrazów zaczynają się kolebać. Giles unosi palec, prosząc o cierpliwość, i zamyka drzwi przed zimnym powietrzem. Odwraca się i widzi, że Elisa nadal zmierza przed siebie. Jej prawa ręka faluje — „ryba”, myśli Giles, a potem Elisa ściąga biodra do środka — „kominek”, myśli Giles; nie, „szkielet”; nie, „stworzenie” — a następnie wykonuje podobny ruch, ale zaokrąglony — „pułapka” albo coś w tym rodzaju. Zresztą nie ma sensu próbować tego zrozumieć, bo Elisa mówi o wiele za szybko. Giles unosi obie dłonie.

— Uprasza się o chwilę ciszy.

Elisa garbi smętnie ramiona, patrzy jak skarcone dziecko i otwiera obie pięści, jednocześnie wyrzucając ramiona do przodu. Nie jest to konkretne słowo z języka migowego, tylko uniwersalny znak frustracji.

— Zacznijmy od początku — mówi Giles. — Masz kłopoty? Stało ci się coś?

— N-i-e.

Elisa miga to słowo, jakby je rozgniałała.

— To wspaniale. Miałabyś ochotę na płatki kukurydziane? Zjadłem tylko pół miski. To chyba nerwy.

Elisa gromi go wzrokiem i lodowato miga „ryba”.

— Kochanie, mówiłem ci wczoraj wieczorem, że mam spotkanie. Właśnie miałem wyjść. Skąd ta nagła ochota na rybę? Nie mów, że jesteś w ciąży.

Elisa chowa twarz w dłoniach. Gilesa ściska w piersiach. Czyżby jego żarcik doprowadził tę biedną dziewczynę, singielkę od dnia, w którym ją poznał, do płaczu? Ramiona jej się trzęsą, ale ze śmiechu. Odejmuje dłonie od twarzy i wzrok dalej ma dziki, ale kręci głową, jakby nie mogła uwierzyć w absurdalność czegoś, czego on jeszcze nie wie. Elisa wypuszcza powietrze, żeby się uspokoić, trzepie dłońmi, jakby się paliły i patrzy Gilesowi w oczy. Po chwili unosi prawy kącik ust. Giles jęczy.

— Jedzenie między zębami — próbuje zgadnąć. — Nie, chodzi o włosy, tak? Krzywo leżą? Staranowałaś drzwi, zanim zdążyłem...

Elisa sięga ręką, aby zdjąć ze swetra i zamszowego płaszcza Gilesa liście buka, ślady po niedawnej wichurze. Następnie przekręca muszkę Gilesa o sto osiemdziesiąt stopni. Na koniec głaszcze jego skroń na styku prawdziwych włosów i tupecika — Giles odbiera to raczej jak czuły gest, a nie korektę. Elisa odstepuje krok do tyłu i miga „przystojny”. Giles wzdycha. Nie można liczyć na to, że ta kobieta powie mu nielukrowaną prawdę.

— Bardzo bym chciał postąpić zgodnie z małpią zasadą wzajemności i wyiskać ci futro, ale mam rzczone spotkanie. Czy chciałabyś mi coś powiedzieć, zanim pójde?

Elisa wbija w niego kwaśne spojrzenie i unosi obie dłonie naraz dla zasygnalizowania, że zaraz zacznie migać. Giles prostuje kręgosłup jak student przed ustnym egzaminem. Podejrzewa, że Elisa nie doceniłaby w tym momencie jego uśmiechu, więc chowa go pod wąsem. Z roku na rok narasta w nim strach, że on, niewykłety, niedoszły, tak zwany artysta i jego zdziesiątkowany batalion zmarniałych kotów ponoszą winę za trwonienie potencjału Elisy. Jakość jej życia by wzrosła, gdyby Giles po prostu się wyprowadził, znalazł jakieś zmurszałe stadło staruszków, którzy by go przyjęli do swojego kółka brydżowego. Elisa byłaby w tej sytuacji zmuszona wyjść do ludzi, którzy być może rozszerzyliby jej horyzonty, zamiast je ograniczać. Ale czy Giles przeżyłby smutek rozstania?

Miganie Elisy jest teraz powolne, precyzyjne, pozbawione emocji. „Ryba”. „Człowiek”. „Klatka”. O-c-c-a-m.

— Osiągnąłem poziom średnio zaawansowany — deklaruje Giles. — Możesz migać szybciej.

Ciąg dalszy jest równie zaskakujący jak miltonowski monolog wygłoszony przez stremowanego przedszkolaka. Po skłonności Elisy do wyszukiwania jak najbardziej adekwatnych słów nie zostało ani śladu. Jej dłonie uzyskują zwinność normalnie ograniczoną do jej stóp i opowieść płynie z symfoniczną klarownością, mimo że bije od niej zacięciem improwizacyjnym. Pod względem mechanicznym narracja zapiera dech i jak każdą dobrze opowiedzianą historię przyjemnie się ją czyta, mimo że każdy zakręt fabuły prowadzi ją w głąb gatunku bardziej mrocznego, niż lubi Giles, któremu do pewnego momentu się wydaje, że Elisa snuje jakąś fantazję. Potem szczegóły stają się zbyt drastyczne, zbyt patologiczne. W każdym razie Elisa wierzy w każde swoje słowo.

Człowiek-ryba, zamknięty w Occam, torturowany i konający, trzeba go uratować.

Prasowanie — ta monotonna, zaparowana, odrętwiająca robota stała się idealną przykrywką dla podwójnego życia. Richard ani razu nie wyprasował sobie koszuli. Nie ma wyobrażenia o skali tego zadania, nie wie, czy zajmuje ono pół godziny czy pół dnia. Lainie wstaje przed świtem, robi jak najwięcej rzeczy przy domu, odprowadza dzieci na autobus, a potem ogląda poranne wiadomości pośród pary, przeciągając prasowanie do momentu, aż Richard wyjdzie. Wytargowała u Berniego Claya, że będzie siedziała w recepcji od dziesiątej do trzeciej, toteż bez problemu zdąża do pracy, a potem ma mnóstwo czasu na to, żeby wrócić do domu i zamaskować egzotyczną woń świeżego papieru biurowego przyziemnymi zapachami perfum. Richard odjeżdża, stary thunderbird klekocze, a Lainie składa deskę do prasowania, której od dziesięciu, dwudziestu albo trzydziestu minut używała już tylko na pokaz. Ma świadomość, że okłamywanie męża to wirus w małżeństwie, ale nie wymyśliła odpowiedniego sposobu na powiedzenie mu prawdy. Kiedy po raz ostatni była tak podekscytowana i pełna nadziei? Może w okresie zalotów Richarda, tego elegancko ubiegającego się żołnierza, który właśnie wrócił z wojny koreańskiej. W każdym razie w pierwszych dniach zalotów. Po paru miesiącach randkowania, kiedy ślub stał się już nieunikniony, Lainie zaczęła czuć pod stopami luźny żwir.

Lainie nie pozwala sobie na rozmyślenia o przeszłości. W tych dniach tak wiele rzeczy ją ekscytuje, interesuje i satysfakcjonuje, a najbardziej ze wszystkiego szybkie przebieranie się w kostiumy do pracy, które trzyma w gotowości z tyłu szafy. Ubieranie się do pracy jest rodzajem nowego wyzwania. Lainie robiła notatki na temat stroju sekretarek. Trzy razy pojechała do Sears. Formalne, nie sportowe. Eleganckie, nie ładne. Podkreślające urodę, nie kokieteryjne. Sprzeczne cele, ale taki jest już los kobiety. Lainie dba o to, żeby spódnice były wąskie i flanelowe, kołnierzyki w kształcie płatków kwiatu albo półokrągłe, gorsy skromne i zapięte.

Równie satysfakcjonująca jest jazda autobusem. Opanowanie fizycznej etykiety obowiązującej w komunikacji publicznej, zajęcie miejsca, przytulenie torebki zapakowanej z wydajnością komandosa i wreszcie — najlepsza rzecz — przelotny, ale pełen sympatii kontakt wzrokowy między nią a innymi kobietami pracującymi. Siedziały osobno, ale były w tym wszystkim razem.

Mężczyźni w Klein & Saunders — no cóż, jak to mężczyźni. Przez pierwszy tydzień szczypano ją w tyłek dokładnie raz dziennie, za każdym razem inny mężczyzna uznawał, że jest do tego uprawniony, tak jakby wybierał najobfitszą krewetkę w bufecie. Za pierwszym razem pisnęła. Za drugim zamknęła się w sobie. Zanim nadszedł piąty raz, miała już tak dobrze wyćwiczoną karcącą minę kobiety pracującej, że winowajca wzruszył ramionami ze skruszoną miną. Odprowadziła wzrokiem tego ostatniego pinczera, który dołączył do grupy rozrechetanych kolegów. Uszczypnięty pośladek ją piekł. Cały pierwszy tydzień był rodzajem zawodów dla żółtodziobów.

Lainie postanowiła je wygrać, udowodnić, że jest czymś więcej niż tylko tyłkiem, za który można złapać. Ten sam cel przyświecał zapewne maszynistkom i sekretarkom w agencji, albo paniom w autobusie. Albo kobietom myjącym podłogi w laboratorium Richarda. Niezależnie od nastroju Lainie chodziła z podniesionym czołem. Podczas przerwy na lunch ćwiczyła odbieranie telefonów. Nadawała swojemu głosowi pewność siebie, w którą z każdym dniem sama coraz

bardziej wierzyła. Szczypanie stało się rzadsze. Mężczyźni byli dla niej mili. A potem zrobiło się jeszcze lepiej: przestali być mili. Polegali na niej. Burczeli, kiedy coś zawałiła, kupowali jej kwiaty, kiedy uratowała im skórę.

W tym ostatnim Lainie nabrała wprawy. Opanowała tę naukę, a jednocześnie sztukę, jaką było zarządzanie menażerią ludzkich ego, które tłoczyły się w recepcji: prezesi, playboye z reklam telewizyjnych, początkujące modelki. Nauczyła się wykręcać nieistniejące numery i improwizować różne bzdury, żeby zaimponować klientom. „Cześć, Larry. Pepsi-Cola musiała przenieść spotkanie na czwartek”. Lainie intuicyjnie wyczuwała, kiedy należy tak zrobić. Przypominało to monitorowanie nastroju Richarda przed poproszeniem go o pieniądze na wydatki. Oczywiście ostatnio nie prosiła, bo miała swoje. Była z tego dumna i chciała podzielić się tą dumą ze swoim mężem. Ale on by nie zrozumiał, odebrałby to jako osobisty afront.

Do Berniego dotarły słuchy, że jego podjęta pod wpływem impulsu decyzja rekrutacyjna się sprawdziła. W ubiegłym tygodniu zaprosił Lainie na lunch. Przez pierwsze pół godziny zachowywał się jak wszyscy inni. Nalegał, żeby wzięła coś do picia, a kiedy odmówiła, i tak zamówił dla niej Gin Rickey. Wypiła niewielki łyk, żeby nie robić Berniemu przykrości, a on uznał to za sygnał do nakrycia jej dłoni swoją. Lainie czuła jego obrączkę ślubną. Cofnęła dłoń z napiętym i zimnym uśmiechem.

Można powiedzieć, że zdała egzamin, o którym żadne z nich dwojga nie wiedziało. Bernie napił się swojego koktajlu Manhattan i alkohol najwyraźniej rozpuścił jego sprośność do postaci niewymuszonej, prostej sympatii. Jakie to uczucie, zastanawiała się Lainie, być mężczyzną i tak beztrudno modyfikować swoje zamiary bez obawy przed konsekwencjami?

— Posłuchaj — powiedział. — Zaprosiłem cię na lunch, żeby ci zaproponować zatrudnienie.

— Przecież ja już mam pracę.

— Tak, ale na część etatu. Ja mówię o karierze zawodowej. O pracy na cały etat. Osiem godzin dziennie, czterdzieści godzin w tygodniu. Świadczenia. Pakiet emerytalny. Etat ze wszystkimi przyległościami.

— Och, dziękuję ci, Bernie, ale już mówiłam...

— Wiem, co zaraz powiesz. Dzieci, szkoła. Znasz Melinę z księgowości? Znasz Barb, dziewczynę Chucka? Sześć albo siedem naszych pań jest w tej chwili w tym programie. Mamy w budynku opiekę dzienną. Przywozisz pędraki skoro świt, przyjeżdża autobus i dostarcza je do szkół jak przesyłki. Klein & Saunders pokrywa koszty.

— Ale dlaczego... — Chwyliła oburącz szklankę z Gin Rickey, aby uspokoić rozbiegane palce, rozważała nawet wypicie kolejnego łyka dla spowolnienia pulsu. — Dlaczego miałbyś to dla mnie zrobić?

— Kurczę, Elainie, w tym biznesie jak znajdziesz kogoś dobrego, to nie wypuszczasz go z rąk. Bo inaczej spyli do Arnolda, Carsona czy Adamsa i wychłapie wszystkie nasze tajemnice. — Bernie wzruszył ramionami. — Mamy lata sześćdziesiąte. Za kilka lat świat będzie należał do kobiet. Wszystkie możliwości, które teraz są dostępne tylko dla mężczyzn, staną przed tobą otworem. Moja rada brzmi, żebyś się przygotowała, odpowiednio ustawiła. Zaczęła pukać na salony. Dzisiaj recepcjonistka, ale jutro kto wie, może szefowa biura? A na dalszym etapie współpracowniczka w firmie? Masz to, czego potrzeba, Elainie. Jesteś inteligentniejsza od połowy tumanów z tego budynku.

Czy to możliwe, że wypila cały gin, nie zdając sobie z tego sprawy? Wzrok jej się rozmywał. Aby go ustabilizować, spojrzała za bastion keczupu, musztardy i sosu do steków, wyjrzała przez okno i zobaczyła matkę, która zmagiała się z siatką z zakupami, jednocześnie pchając wózek

dziecięcy. Lainie spojrziała w przeciwną stronę, w półmrok restauracji, i zobaczyła odzianych w eleganckie garnitury rekinów biznesu, którzy błyskali zębami do zniechęconych kochanek modlących się o to, żeby głodne spojrzenia mężczyzn wyrażały coś więcej niż chęć pożarcia ich.

Lainie mogłaby je zapewnić, że te spojrzenia nic nie znaczą. Poprzedniego wieczoru Richard powiedział, że obiekt, do którego ochrony go zatrudniono, zbliża się do kresu swojej użyteczności, w związku z czym niewykluczone, że Stricklandowie całkiem niedługo zwiną obóz w Baltimore. Jemu się tu nie podoba. Lainie widziała go siedzącego z encyklopedią na kolanach i wyszukującego takie hasła, jak Kansas, Denver czy Seattle. Ale Lainie się tu podoba. Uważa nawet, że Baltimore to najlepsze miasto świata. Perspektywa, że zostanie wyrwana z jedynego miejsca, w którym czuje się użyteczna, oddaje istotę zagrożenia, jakie niesie związane się z mężczyzną. Jesteś pasożytem, a kiedy twój gospodarz zaczyna umierać — powiedzmy na skutek infekcji palców — twój krwiobieg też jest zatruty.

Lainie chciała powiedzieć Berniemu „tak”. Myślała o tym codziennie, w każdej minucie.

Ale czy w ten sposób nie powiedziałaaby „nie” Richardowi?

— Wiesz co, zastanów się nad tym — powiedział Bernie. — Oferta obowiązuje, powiedzmy, przez miesiąc. Potem raczej będę musiał zatrudnić drugą dziewczynę. A teraz bierzmy się do jedzenia. Mógłbym zjeść konia. Dwa konie. I jeszcze rydwan.

Strach spada Gilesowi na kark jak zestrzelony z nieba pterodaktyl. Occam to trójkąt bermudzki Baltimore. Giles ciągle słyszy różne niestworzone historie, z których większość kończy się podejrzaną śmiercią lub zniknięciem odważnego śledczego. Gilesowi robi się niedobrze. To, co sugeruje Elisa, znacznie przekracza możliwości dwojga zbiedniałych nieudaczników, którzy mieszkają nad sypiącym się kinem. Człowiek-ryba z rojeń Elisy musi być jakimś zdeformowanym od urodzenia biedakiem — i ona chce go stamtąd wydostać?

Elisa to dobry człowiek, ale jej doświadczenie życiowe jest strasznie ograniczone. Elisa nie docenia głębokości uskoków tektonicznych, które dzielą Amerykę w związku z „czerwonym zagrożeniem”. Rozmaitego sortu osoby niepożądane na co dzień ryzykują życie i źródło utrzymania, a homoseksualny malarz lokuje się całkiem wysoko na liście kategorii osób niepożądanych. Giles nie ma czasu na te bzdury. Czekając na spotkanie z Berniem w sprawie reklamy, nad którą ciężko harował.

Giles odwraca się, wiedząc, że zrani Elisę. Jego też to rani do tego stopnia, że ma problemy z wsunięciem poprawionego obrazu do teczki kreślarskiej. Potem zaczyna mówić twarzą do ściany — tchórzowska metoda, która uniemożliwia niemej osobie przerwanie mu.

— Kiedy byłem chłopcem, na Herring Run rozbiło namioty wesołe miasteczko. Mieli wystawę specjalną, cały namiot z dziwami natury. Jednym z nich była syrena. Wiem o tym, bo zapłaciłem pięć centów, żeby ją zobaczyć. Dla chłopca była to w tamtych czasach pokaźna suma. I wiesz, co się okazało? Po pierwsze, syrena była martwa. Piękność z nagimi piersiami, którą pokazywali na plakatach, nie miała nic wspólnego ze starą mumią w szklanej gablocie. Syrena okazała się głową i tułowiem mały przyszytymi do rybiego ogona. Wiedziałem o tym. Każdy musiał to zauważyć. Ale przez lata powtarzałem sobie, że widziałem syrenę, bo zapłaciłem za to. Chciałem wierzyć. Ludzie tacy jak my potrzebują wierzyć bardziej od innych, prawda? A przecież czym naprawdę była syrena w bezlitosnym świetle dnia? Twórczą taksydermią. Często tak wygląda życie, Elisa. Różne rzeczy bez sensu ze sobą pozszywane, ale czujemy potrzebę tworzenia na ten temat mitów, które nam odpowiadają. Jak myślisz?

Giles zamyka teczkę, dystyngowane stuknięcia zamków emanują mądrością. Giles mimo wszystko musi już iść. Może to będzie pierwsze z wielu drobnych ukłuc, które zaaplikuje Elisie jak szczepienia. Przywdziewa uśmiech, który ma za zadanie ją udobruchać, i odwraca się. Uśmiech twardnieje na kamień. Zimne spojrzenie Elisy wciąga do mieszkania lodowate podmuchy z zewnątrz i Giles zasłania się przed szczypiącym mrozem. Elisa miga, z brutalnością pałki i szybkością bicia, nigdy wcześniej nie przybrała takiego tonu, pewne powtarzane symbole grawerują się w powietrzu jak sztuczne ognie na Czwartego Lipca. Giles próbuje odwrócić wzrok, ale Elisa wskakuje w jego pole widzenia, a jej miganie jest jak ciosy pięścią, jak szarpanie za frak.

— Nie — mówi Giles. — Nie zrobimy tego.

Miganie, miganie.

— Bo złamalibyśmy prawo! Prawdopodobnie nawet teraz łamiemy prawo, rozmawiając o tym!

Miganie, miganie.

— Co z tego, że jest sam? Wszyscy jesteśmy sami!

Tak okrutnej prawdy nie wyraża się na głos. Giles odskakuje w lewo. Elisa zagradza mu drogę. Zderzają się ramionami. Giles czuje tę kolizję w zębach, potyka się i podpira dłonią o podłogę, żeby nie upaść. Nigdy nie było między nimi aż tak źle, można to porównać do uderzenia w twarz. Gilesowi wali serce. Twarz mu płonie. Z jego tupecikiem jest coś nie w porządku. Giles klepie się po czaszce, żeby sprawdzić, czy peruczka jest na swoim miejscu, i jeszcze bardziej się przez to czerwieni. Jest bliski łez. Niesamowicie, że wszystko się tak błyskawicznie posypało. Elisa dyszy i Giles zdaje sobie sprawę, że on też. Nie chce na nią patrzeć, ale patrzy.

Elisa płacze, ale wciąż miga, a Giles odruchowo to czyta.

— „To najbardziej samotny stwór, jakiego w życiu widziałam”. — Giles jęczy. — Widzisz? Sama to powiedziałaś. To jest stwór. Dziwoląg.

Jej miganie biczuje i smaga. Giles jest zakrwawiony i posiniaczony.

— „Ja też jestem dziwolągiem?” Proszę cię, Elisa! Nikt tego nie mówi! Przepraszam cię, moja droga, ale naprawdę muszę iść!

Miganie trwa — „Jego nie obchodzi, czego mi brakuje” — ale Giles odmawia powtórzenia tego na głos. Jego drżąca dłoń znajduje klamkę i otwiera drzwi. Zimny wiatr krystalizuje po jednej łzie w kąciку każdego oka. Giles wychodzi na przeciąg w korytarzu, odczytując w przelocie jeszcze jedno zdanie („Albo go uratuję, albo pozwolę mu umrzeć”), ale przypomina sobie, że gdzieś w tym mieście jest pewien budynek, w tym budynku kalendarz spotkań, w kalendarzu jego nazwisko. To nie fantazje, tylko fakty. Giles piskliwym głosem rzuca na odchodnym:

— To nie jest nawet człowiek.

Słowa lęklivego starca, który błaga o to, żeby pozwolono mu w spokoju dożyć swoich dni. Zaczyna ustawiać teczkę kreślarską pod odpowiednim kątem, żeby zmieścić się na schodach przeciwpożarowych, lecz w ostatniej chwili rejestruje miganą odpowiedź Elisy i czuje, że te słowa wypalają mu się na plecach, przez marynarkę, przez sweter, przez koszulę, przechodzą nawet przez mięśnie i kości, wnikają tak głęboko, że bolą jak świeża rana przez całą drogę do Klein & Saunders, gdzie zaczynają śwędząco przekształcać się w blizny, które Giles będzie zmuszony czytać przez resztę swojego życia: „My też nie jesteśmy ludźmi”.

Z Waszyngtonu przychodzi wiadomość, że obiekt należy uśpić, pokroić na plastry jak mięso na kotlety i rozesłać próbki do laboratoriów na terenie całego kraju. Hoffstetler ma tydzień na finalizację badań. Strickland siada wygodnie w swoim biurze i próbuje się uśmiechnąć. Misja prawie wykonana. Po drugiej stronie czeka lepsze życie. Powinien wykorzystać ten tydzień na wypoczynek. Na znalezienie jakiegoś hobby. Na powrót do miejsca, w którym był przed Amazonią. Może nawet powinien zrobić to, o co suszy mu głowę Lainie: pójść do lekarza, żeby sprawdził, co z palcami. Strickland wykreśla ten pomysł. Patrzenie na palce przypomina mu o zgniliźnie dżungli. Lepiej będzie jeszcze trochę potrzymać je pod bandażami.

Strickland wraca wcześniej do domu. Zaskoczy Timmy'ego i Tammy, którzy zastaną go tam po powrocie ze szkoły. Dziwna rzecz, ale Lainie nie ma w domu. Strickland siada przed telewizorem i czeka. Jego plan nie wypalił. Strickland czeka, łykając środki przeciwbólowe. Bez sensu, równie dobrze mógłby czekać w pracy. Lainie w końcu wraca późnym popołudniem. Strickland ma już wtedy ograniczony kontakt z rzeczywistością. Tabletki rozmazują szczegóły, które stają się tak nieczytelne jak wyrzaskiwane rozkazy generała Hoyta: ██████████. Strickland widzi zakupy spożywcze w ramionach Lainie. Kostium, który ma na sobie jego żona, nie wygląda znajomo. Lainie jest wyraźnie zaskoczona jego widokiem, a potem śmieje się i mówi, że następnego dnia będzie musiała jeszcze raz pójść do sklepu, bo zapomniała portfela.

Strickland zajmuje się w życiu obserwacją. Potrafi ocenić, którzy naukowcy są leworęczni, i pamięta, jakiego koloru skarpetki miał na sobie Fleming w ubiegłą środę. Lainie za dużo mówi, a Strickland wie, że jest to nieomylny objaw zdradzający każdego kłamcę. Strickland myśli o Elisie Esposito, o jej kojącym milczeniu. Elisa nigdy by go nie okłamała. Nie potrafi i nie ma takich skłonności. Lainie coś ukrywa. Romans? Strickland ma nadzieję, że nie. Dla jej dobra, ale też dla swojego w kontekście konsekwencji prawnych, które by go czekały po rozprawieniu się z cudzołóżnikami.

Postanawia na razie poddać swoje emocje kompresji. Następnego dnia rano, po odjeździe dzieci do szkoły na pożegnanie całuje Lainie nad rozgrzaną deską do prasowania i przejeżdża thunderbirdem jedną przecnicę dalej. Parkuje pod gigantycznym bukiem. Nie jest to idealna osłona — z braku deszczu drzewo wygląda jak szkielet — ale musi wystarczyć. Strickland jak zawsze połknął do śniadania cztery tabletki, nie więcej. Nie może sobie pozwolić na jeszcze większe stępienie zmysłu obserwacji. Strickland gasi silnik. Modli się w duchu, żeby nie zobaczył przed sobą Lainie. To jest ich małżeństwo. To jest ich życie. Proszę cię, zostań w domu, posprzątaj kuchnię, rozpakuj pudła, cokolwiek.

Po piętnastu minutach Lainie pojawia się na ulicy, widać skończyła prasowanie. Strickland czuje ukłucie wstydu. Obiecał jej kiedyś, że jego żona nie będzie musiała korzystać z komunikacji publicznej. Strickland kurczy mięśnie umysłu i igła wstydu wypada. Oboje złożyli śluby, prawda? To on na siłę wsunął obrączkę z powrotem na palec, który spuchł wokół niej. Strickland walczy z thunderbirdem przez dobrą minutę, zanim silnik zapala, a potem wyjeżdża na ulicę i wleczkę się kilkadziesiąt metrów za żoną. Stoi z włączonym silnikiem, kiedy ona czeka na autobus, a potem rusza jego śladem.

Ludzie wysiadają koło spożywczego. Lainie wśród nich nie ma. Strickland przypomina sobie,

że śledzenie kogoś wymaga otwartości umysłu. Może Lainie nie podobają się ceny w tym sklepie. Jednak kiedy autobus opuszcza dzielnicę sklepową w centrum, nie wyrzuciwszy z siebie Lainie, umysł Stricklanda się zatrząskuje. Skoro jego żona ma jakąś sprawę do załatwienia, to dlaczego mu o tym nie powiedziała? Dlaczego robi to za jego plecami? Strickland tak mocno ściska kierownicę, że w jednym z przyszytych palców coś pęka. Może któryś z wielkich czarnych szwów oderwał się od gnijącej tkanki.

Potem samochód gaśnie. Umiera bez dramatycznych scen. Kicha niegłęboko, a później już tylko toczy się z rozpędu. Strickland wrzuca luz i próbuje zapalić silnik, który nie zdradza jednak oznak życia. Autobus wyjeżdża z przystanku z odgłosem, który przypomina piśnięcie bólu obiektu. Strickland jest bezradny. Pośród dymu z silnika, który jest znacznie gęstszy od pary z żelazka Lainie, spycha thunderbirda pod krawężnik. Jedyne wolne miejsce jest koło hydrantu przeciwpożarowego. Po prostu, kurwa, idealnie. Strickland wrzuca „park”. Wysiada. Patrzy przed siebie. Pojazdy kłębią się jak osy. Ludzie biegają na wszystkie strony jak karaluchy. Całe miasto jest jadowitym gniazdem.

Strickland kopie drzwi auta. Robi się wgniecenie. Palce u stóp śpiewają z bólu i Strickland podskakuje w kółko, ze wszystkich przekleństw, jakie wymyślono, buduje jedno wulgarnie arcydzieło. Nieruchomieje z twarzą w kierunku drugiej strony ulicy. Widzi rozgrzaną do białości kulę ogniową, a pod nią olbrzymie talerze z płynnym ogniem i gładkie języki lawy. W głowie mu pulsuje od nadmiaru światła. Musi przysłonić sobie oczy, żeby rozszyfrować ten obraz. Słońce skwierczy od szyldu z wirującą ziemią, płacht szkła i natłoku chromowych wykończeń salonu Cadillaca.

Strickland nie pamięta, żeby przechodził na drugą stronę ulicy, ale wędruje po parkingu dealera. Pod girlandami furkoczących chorągiewek. Pod prawdziwą palmą. Patrzy w oczy reflektorów, którym znaczek w kształcie litery V pośrodku nadaje gniewny wyraz. Strickland przeciąga palcami po osłonach chłodnicy, które przypominają uśmiech kota z Cheshire — setki śliskich zębów. Przystaje przy jednym z samochodów. Kładzie dłonie na parząco zimnej masce. Czuje się silny, sprawny i ostry. Nawet uszkodzone palce jakby się wzmocniły. Strickland pochyla się maską i wciąga powietrze. Lubi zapach gorącego metalu — tak pachnie pistolet po wystrzale.

— Cadillac Coupe DeVille. Najdoskonalsza maszyna wynaleziona przez ludzkość.

Przyszedł sprzedawca. Strickland rejestruje rzadkie włosy, zaczerwienienie twarzy po goleniu, pofałdowaną szyję. Dalsze szczegóły rozplywają się w zbyt jasnym słońcu. Mężczyzna jest całkowicie zautomatyzowany, równie metaliczny jak pojazdy, które sprzedaje. Porusza się wzdłuż cadillaca tak płynnym ruchem, jakby on również miał koła z kołpakami, a zaprasowania marynarki i spodni są ostre jak stateczniki auta. Sprzedawca głaszcze maskę. Zegarek i spinki mankietów błyszczą jak chrom.

— Ośmiocylindrowy czterosurowy silnik z zapłonem iskrowym. Czterostopniowa skrzynia biegów. Od zera do sześćdziesięciu w 10,7 sekundy. Prędkość maksymalna sto dziewiętnaście mil na godzinę. Chodzi jak złoto. Stereofoniczne radio am/fm. Cała Filharmonia Londyńska na tylnym siedzeniu. Wnętrze de lux. Biała skóra. Prawdziwa prezydencka salonka. To nie są siedzenia, tylko sofy, otomany, kozetki. Klimatyzacja tak mocna, że lód w drinku się panu nie rozpuści, a ogrzewanie tak mocne, że pańska niewiasta nie zmarznie.

Jego niewiasta? Zasuwa dalej, lichy wie dokąd. Zostawiła go z prawie skończoną robotą w Occam. Niezależnie od tego, czy będzie ścigał Lainie, czy samotnie wyjedzie z tej zapyziałej dziury, będzie potrzebował nowego wózka w miejsce kupy złomu nielegalnie zaparkowanej po

drugiej stronie ulicy. Ten człowiek z metalu jest silniejszy od niego. Jaki jest sens się sprzeczać? Strickland protestuje, bo tak się robi w salonach samochodowych, ale wychodzi to żałośnie.

— Tylko oglądam.

— W takim razie niech pan obejrzy to, przyjacielu. Długość całkowita 5,65 metra. Dwie tablice do koszykówki postawione jedna na drugiej. Potrafiłby pan trafić z takiej odległości? Niech pan popatrzy, jaka szerokość. Zajmie cały pas, no nie? Niech pan spojrzy, jaką ma sylwetkę, jak lew. Masa własna 2,3 tony. Wyjeżdża pan stąd tą ślicznotką i jest pan królem drogi, prosta sprawa. Automatyczne szyby. Wspomaganie hamulców. Wspomaganie kierownicy. Automatycznie regulowane siedzenia. Wszystko zautomatyzowane i wspomagane. Ma pan pełną władzę nad wszystkim.

To brzmi dobrze. Każdy Amerykanin na to zasługuje. Władza oznacza szacunek. Żony, dzieci. Sługusów, których nie spotkało w życiu nic trudniejszego od awarii samochodu w trakcie jazdy. On należy do innej kategorii. Potrzebuje tylko znaleźć sposób na poinformowanie wszystkich, że mają spieprzać mu z drogi. Zaczyna czuć się lepiej. Nie tylko lepiej: dobrze, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Udaje mu się zaprotestować jeszcze raz, ale każdy dobry sprzedawca wyczułby jego kapitulację, a to jest najlepszy sprzedawca wszech czasów.

— Nie wiem, czy chcę zielony — mówi Strickland.

Zasoby salonu potwierdzają, że cadillaki istnieją w tylu kolorach, w ilu buty Elisy Esposito. Szary „gwiazdny pył”, róż „wata cukrowa”. Malinowy. Czarny „naftowy”. Ten jest zielony, ale nie pocieszająco zielony jak jego landrynki. Bardziej jedwabisty, jak stworzenie, które powinno umrzeć stulecia temu, widziane wskroś nieruchomej wody na tle dna rzecznego.

— Zielony? — Sprzedawca czuje się urażony. — O nie, drogi panie. Nie sprzedałbym panu zielonego samochodu. To jest kolor morski, przyjacielu.

W głowie Stricklanda coś przeskakuje. Sprzedawca wskazał mu drogę. Władza. Strickland miał władzę jako bóg dżungli. Ma ją do tej pory. Myśli o jednym z perorujących pastorów Lainie. W jaki sposób Bóg na początku okazał swoją władzę? Między innymi nadając rzeczom nazwy. Bóg dżungli też może nazywać rzeczy. Stają się wtedy tym, czym on chce, żeby były. Zielony staje się morskim. Deus Brânquia staje się obiektem. Lainie Strickland staje się niczym.

Strickland zagląda do wnętrza samochodu. Za chwilę będzie w nim siedział, ale przyjemnie jest podroczyć się z samym sobą. Na desce rozdzielczej widać sto zegarów i pokręteł. F-1 upakowane w jednym przednim siedzeniu. Kierownica cienka jak bat, jak ramiączko nocnej koszuli. Strickland wyobraża sobie, że zaciska wokół niej palce — jak łatwo będzie się ścierało z białej skóry czerwoną krew jego rozszarpanych palców. Sprzedawca stanął za jego plecami. Szepcze jak kochanek. Oferta w tym kolorze jest limitowana. Dwanaście warstw ręcznie polerowanego lakieru. Czterech na pięciu ludzi sukcesu w Ameryce jeździ cadillakiem. Wystrzeliwanie tych wszystkich rakiet na orbitę na nic się nie zda. Sputnik nie umywa się do DeVille.

— Tak się składa, że pracuję w tym biznesie.

Chociaż umowa jest już w gruncie rzeczy podpisana, Strickland odczuwa potrzebę zaimponowania temu mężczyźnie.

— Serio? Może pan wsiądzie.

— Obrona narodowa. Nowe inicjatywy. Zastosowania kosmiczne.

— Co pan powie? Może pan ustawić sobie fotel. Właśnie.

— Kosmos. Rakiety. Przyszłość.

— Przyszłość. To dobrze. Wygląda pan na człowieka, który się tam wybiera.

Strickland bierze długi wdech przez nos. Nie tylko wybiera się do przyszłości. On jest przyszłością. Albo będzie, kiedy dokończy robotę jako bóg dżungli, obiekt zniknie, sprawy rodzinne zostaną uregulowane, a tabletki nie będą już potrzebne. On i jego samochód połączą się ze sobą — człowiek z metalu, tak samo jak sprzedawca. Zespoleni na fabrycznej linii montażowej przyszłości. Przyszłości, w której wszystkie dżungle świata i wszystkie mieszkające w nich stworzenia zostaną zmodernizowane za pomocą betonu i stali. Rzeczywistość oczyszczona z szaleństwa natury. Rzeczywistość kropkowanych linii, sygnalizacji świetlnej, migaczy. Rzeczywistość, w której cadillaki, tak samo jak on, mogą po wsze czasy swobodnie grasować.

Wszyscy w Klein & Saunders ubierają się zgodnie z obowiązującą modą. Przewidywanie trendów należy do ich obowiązków zawodowych. Ten starszy pan nie ma na sobie garnitur o nowoczesnym kroju. W ogóle nie przyszedł w garniturze. Jego blezer i spodnie nie pasują do siebie. Może dlatego, że mężczyzna słabo widzi. Nosi krzywe okulary z grubymi szklami i poplamione farbą. Farbę ma również na wąsach. Przynajmniej muszka jest czysta, ale Lainie nigdy wcześniej nie widziała w tym biurze muszki. Nie można jej jednak odmówić uroku, tak samo jak tupecikowi, aczkolwiek Lainie wątpi, czy jest to zamierzony efekt. Lainie chce ochronić tego dziadziusia przed stadem wilków, których nie wpuszcza za mleczne szklane drzwi.

Natychmiast rozpoznaje w nim Gilesa Gundersona.

— Domyślam się, że panna Strickland.

W rozmowach telefonicznych — a było ich wiele — zawsze mówił do niej „panna Strickland” — nie „złotko”, nie „laluniu”. Ze względu na jego uprzejme, ale wytrwałe dążenie do spotkania się z Berniem pan Gunderson wyrobił sobie u Lainie pozycję ulubionego współpracownika firmy, a jednocześnie najmniej ulubionego. Ulubionego dlatego, że rozmawianie z nim jest jak rozmawianie z łagodnym dziadkiem, którego nigdy nie miała. Najmniej ulubionego, ponieważ jej zadaniem jest przekazywanie niedorzecznych wymówek Berniego i powstrzymywanie się od przeprosin, kiedy usłyszy w słuchawce trzaski pęknięcia dumy pana Gundersona.

Pan Gunderson wyciąga do niej rękę na powitanie — nietypowy gest.

— O, jest pani mężatką! Cały czas należało się do pani zwracać „pani Strickland”. Cóż ze mnie za grubianin!

— Ależ skąd. — Prawda jest taka, że jej się to podoba, tak samo jak to, że wszyscy mówią tutaj do niej Elaine. — Ja się z kolei domyślam, że pan Gunderson.

— Proszę do mnie mówić panie Giles. Najwyraźniej zmylił panią mój królewski orszak, tarcze herbowe i żywe tableau.

Praca za biurkiem nauczyła Lainie nie rezygnować z uśmiechu nawet w chwilach dezorientacji czy zakłopotania. Pan Gunderson — Giles, imię to doskonale do niego pasuje — natychmiast to wyczuwa i śmieje się przepraszająco.

— Proszę wybaczyć tępotę. Przez większość dni gadam tylko do siebie i nikt nie musi rozszyfrowywać tych bzdur. Jestem dzięki temu niezwykle popularny.

Uśmiecha się tak szczerze, tak cierpliwie, tak bezinteresownie, że Lainie musi przytrzymać swoje dłonie, bo inaczej wyrwałyby się do niego. Lainie czuje się niezręcznie, więc zagląda do kalendarza, żeby ukryć rumieniec.

— Co my tu mamy? Jest pan zapisany na spotkanie z panem Clayem o 9.45.

— Tak, przyszedłem piętnaście minut wcześniej. Zawsze bądź gotowy do wyjścia, takie mam motto.

— Zrobić panu kawy?

— Z miłą chęcią napiłbym się herbaty, jeśli można.

— Obawiam się, że nie mamy herbaty. Wszyscy tutaj piją kawę.

— Szkoda. Kiedyś mieli herbatę. Może tylko dla mnie. Kawa to barbarzyński napój. Te biedne, umęczone ziarna. Cała ta fermentacja, łuskanie, palenie i mielenie. A co to jest herbata?

Suszone liście, które ponownie się nawadnia. Wystarczy dolać wody, pani Strickland. Wszystkie żywe istoty potrzebują wody.

— Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. — Przychodzi jej do głowy zgryźliwa uwaga, którą normalnie schowałaby do kieszeni, ale przy tym człowieku czuje się bezpieczna. Nachyliła się ku niemu. — Może od tej pory będę podawała tylko herbatę, żeby zmienić wszystkie te łapczywe mały w dżentelmenów.

Giles klaszcze w dłonie.

— Kapitalny pomysł! Spodziewam się, że kiedy następny raz panią odwiedzę, pani reklamiarze będą nosili fulary i dyskutowali o niuansach krykieta. Poza tym będziemy podawali tylko herbatę, pani Strickland. Musi się pani przyzwyczaić do używania królewskiego „my”.

Dzwoni telefon, potem drugi, więc Giles kłania się i siada, teczkę kreślarską trzyma koło stóp jak psa. Lainie mówi sekretarce Berniego, że przybył pan Giles, a następnie przekierowuje rozmowy, po czym podchodzi do niej trzech menedżerów firmy produkującej detergenty, wszyscy odchrząkują, a po nich zbliża się łysy duet, który od jakiegoś czasu przyprawia Klein & Saunders o bóle głowy w związku z kampanią reklamującą żwirek dla kotów. Dopiero po półgodzinie prób ich udobruchania Lainie ma czas odetchnąć i przy okazji zauważa, że Giles Gunderson nadal tam siedzi.

W recepcji celowo nie wisi żaden zegar, ale Lainie trzyma chronometr na swoim biurku. Przygląda się ukradkiem Gilesowi i uznaje, że niewzruszony uśmiech to jego metoda na uzbrojenie się przeciwko nieuniknionemu afrontowi. Lainie bierze pod uwagę przebiegnięcie się po firmie dla sprawdzenia, czy któraś z sekretarek nie ma herbaty, manny, która mogłaby wprowadzić Gilesa w swobodniejszy nastrój. Wybiera jednak czekanie, aż w końcu obraźliwe spóźnienie Berniego wisi w powietrzu jak spaliny autobusu z kichającym gaźnikiem. Smog gęstnieje, trzydzieści minut przechodzi w czterdzieści i pełnie, z prędkością strzępiącego się sznura, w stronę godziny.

Każda kolejna sekunda dodaje profilowi Gilesa szlachetności. W jego postawie jest coś znajomego. Kiedy Lainie w końcu to rozpoznaje, wstrzymuje oddech. Tę samą pozę widziała odbitą w lustrze damskiej ubikacji w pierwszym tygodniu swojej pracy w Klein & Saunders, kiedy poprawiała włosy i makijaż, a także ćwiczyła obronę przed uszczyplnięciami w pupę. Tę część Elainie Strickland budowała — i wciąż buduje — w oderwaniu od męża. Brodę uniosła tak wysoko, że patrząc przed siebie, widzi swój nos. Tak samo postępuje Giles: konstruuje, z dostosowaną do sytuacji wyniosłością, fantazje swojej ważności.

Młodej żony i zmurszałego staruszka nic ze sobą nie łączy, a przecież w tej chwili Lainie wydaje się, że na całym świecie nie ma dwojga bardziej podobnych do siebie ludzi. Nie potrafi tego dłużej znieść. Kładzie na biurku tabliczkę wykorzystywaną podczas przerw na skorzystanie z ubikacji (**PROSZĘ USIĄŚĆ, ZARAZ WRACAM!**), nie daje sobie szansy na przemyślenie swojej decyzji i przez drzwi z mlecznego szkła przechodzi do biura.

— Wszystkie nadzieje więdną...

— Kiedy wiosna... jak wiosna...

— Gdy wiosna się oddała. Czy to jest Czechow? Czy to jest Dostojewski? To jest proste zdanie, które potrafiłby powtórzyć nawet głupi rebionok. Ta akcja to niedźwiedzie pazury, które wbijają mi się w skórę!

Hoffstetler nigdy nie jest spokojny, kiedy wzywają go na spotkanie z Michałkowem, ale teraz wręcz się w nim gotuje. Nie potrafi powstrzymać swojego ciała ani języka. Dzisiejszy taryfiarz zwrócił mu uwagę, że kopie fotel, a kiedy czekał na spotkanie, tak tłukł piętami o betonowy słupek, że wyrzeźbił dwa wgłębienia. Nastroju nie poprawił mu Bizon, prostak dostatecznie inteligentny, żeby przejechać chryslerem okrężną drogą przez całe Baltimore, ale niepotrafiący zapamiętać nieskomplikowanego szyfru. Marnują całe godziny, kiedy nie ma ani sekundy do stracenia.

Skrzypkowie, wezwani do pracy w dzień, kiedy restauracja jest zamknięta, mają zaskorupiałe oczy i pomięte garnitury. Na widok Hoffstetlera podnoszą nienastrojone instrumenty, ale on przeciska się koło nich, zanim zdążają zagrać pierwszą nutę stereotypowo rosyjskiej muzyki.

Na tle promiennego błękitu akwarium z homarami restauracyjne łoże wyglądają ciemnobrązowo; najmroczniejszym kształtem jest sam Michałkow, który siedzi tam, gdzie zawsze. Hoffstetler śmiga w tamtą stronę i uderza po drodze biodrem o stolik. Boli. Hoffstetler przywołuje obraz pękniętych szwów stwora.

— Ten idiotyzm musi się skończyć! Marnuję tyle godzin na czekanie i potem obwożenie przez twoje ulubione zwierzątko!

— Dobroje utro — odpowiada Michałkow. — Tyle energii o tak wczesnej porze!

— Wczesnej? Ty nic nie rozumiesz! — Hoffstetler pospiesznie przechodzi pod łukiem triumfalnym i staje nad Michałkowem z zaciśniętymi pięściami. — W każdej minucie, którą spędzam poza Occam, ci barbarzyńcy mogą go zabić!

— Nie tak głośno, pażałsta. — Michałkow przeciera oczy. — Boli mnie głowa. Wczoraj wieczorem przedawkowałem, Bob.

— Dmitri! — zapluwa się Hoffstetler, marszcząc gładką powierzchnię czarnej herbaty Michałkowa. — Mów do mnie Dmitri, mudak!

Dobrze świadczy o moich kompetencjach informatora, pomyśli później Hoffstetler, że aż do tego incydentu człowiek wyszkolony przez kgb nigdy nie uruchomił przeciwko mnie pełni swoich możliwości. Michałkow, ze wzrokiem odchylnym od pożądanego kierunku przez kaca, łapie Hoffstetlera za nadgarstek i ciągnie w dół, jakby spuszczał roletę. Hoffstetler pada na kolana, tłucze brodą o blat stołu i przygryza sobie język. Michałkow wykręca mu ramię za plecy i szarpie do góry. Podbródek Hoffstetlera wbija się w stół. Muzykanci, na których spoczywa wzrok Michałkowa, zaciskają szczęki, wyznaczają ruchami głowy jakiś rytm i zaczynają grać.

— Popatrz na homary. — Michałkow wyciera sobie usta serwetką. — No popatrz, Dmitri.

Obraca głowę z podbródkiem wciśniętym w blat; boli. Stół jest wilgotny od jego krwi albo z podbródka, albo z języka. Hoffstetler podnosi oczy. Akwarium jest jak uwięzione za szkłem tsunami. Mimo stresującej sytuacji Hoffstetler rozumie, o co chodzi Michałkowowi. Skorupiaki

zazwyczaj są ospałe, snują się po dnie zbiornika jak pąkle. Dzisiaj są pobudzone, kołyszą czułkami i próbują wspinać się po ścianach, stukając odnóżami o szkło.

— Zachowują się tak jak ty, prawda? — pyta Michałkow. — Powinny się wyluzować. Zaakceptować swój los. A przecież jeśli zostawić je same, wbijają sobie do głowy różne dziwne rzeczy. Wspinaczka, ucieczka. Marnują tylko energię. Nie wiedzą, jak duży jest świat poza akwariem.

Michałkow bierze do ręki widelec. Oczy Hoffstetlera biegną w tę stronę. Widelec jest czysty, srebrny, błyszczący w nikłym świetle. Michałkow przyciska szpikulce do ramienia Hoffstetlera.

— Wystarczy lekko przekręcić i ramiona odchodzą. Jak masło. — Michałkow przeciąga widelcem po karku Hoffstetlera. — Ogon też. Bardzo proste. Przekręcić, pociągnąć i odchodzi. — Widelec znowu się rusza, szpikulce wędrują po koszuli i parkują na bicepsie. — Najłatwiej jest z nogami. Butelka wina, pieprzniczka, przygniatasz ramiona do talerza i mięso po prostu wytryskuje na zewnątrz. — Michałkow oblizuje wargi, jakby kosztował roztopione masło. — Mogę cię nauczyć, jak się to robi, Dmitri. Dobrze jest umieć rozłożyć zwierzę na kawałki.

Michałkow puszcza nadgarstek i Hoffstetler osuwa się na podłogę, przyciskając do brzucha zwichnięte ramię. Chociaż łyż rozmazują mu wzrok, widzi gest Michałkowa i czuje wielkie łapy Bizona, który podnosi go z podłogi i umieszcza w łoży. Wygoda siedzenia wydaje się niedorzeczna; zwijanie się na podłodze miało więcej sensu. Hoffstetler sięga po serwetkę i przykłada ją do podbródka. Krwi nie jest dużo. Leo Michałkow wie, co robi.

— Moi zwierzchnicy poinformowali mnie, że ekstrakcja jest niemożliwa. — Michałkow topi w herbacie dwie łyżeczki cukru. — Przedstawiłem im twoją argumentację. Wydawała mi się przekonująca. Związek Sowiecki, powiedziałem im, nie wyprzedza Stanów Zjednoczonych w zbyt wielu dziedzinach, ale w podboju kosmosu jesteśmy pierwsi! Occam umocniłoby naszą przewagę. — Michałkow wypija łyk herbaty i wrusza ramionami. — Ale co taki brutal jak ja może wiedzieć o takich sprawach? Jestem tylko ulubionym zwierzątkiem, jak to nazwałś. Każdy z nas jest czymś ulubionym zwierzątkiem, Dmitri.

Hoffstetler ściska w dłoni zakrwawioną serwetkę i mówi zdyszczanym głosem:

— Czyli umrze? Po prostu pozwolimy mu umrzeć?

Michałkow uśmiecha się.

— Rosja nie zostawia swoich rodaków na lodzie.

Michałkow wyciera ręce i podnosi z siedzenia jakieś pudełko, małe, czarne, z przemysłowego plastiku. Odciąga zamknięcia i unosi wieczko. W środku są trzy przedmioty, rozdzielone ochronną pianką. Michałkow wyjmuje pierwszy. Hoffstetler zna wiele gadżetów, ale to jest coś nowego: urządzenie rozmiarów piłeczki bejsbolowej zrobione z hydraulicznego kolanka jak domowej roboty granat, poza tym że spaw jest profesjonalny, a kable schludnie wtopione w żywicę epoksydową. Obok czerwonego guzika przyklejono taśmą małą zieloną lampkę.

— Nazywamy to wybijaczem — mówi Michałkow. — Jedna z nowych zabawek Izraelczyków. Zainstaluj to w promieniu trzech metrów od głównych bezpieczników Occam, naciśnij guzik, a pięć minut później pójdzie tak mocny impuls, że w całym budynku wysiądzie prąd. Światła, kamery, wszystko. Bardzo skuteczne. Ale ostrzegam cię, Dmitri, że uszkodzenia są tymczasowe. Wystarczy wymienić bezpieczniki. Nie sądzę, abyś miał więcej niż dziesięć minut na wykonanie swojego zadania.

— Mojego zadania — powtarza Hoffstetler.

Michałkow wkłada wybijacz z powrotem do pudełka i z delikatnością rolnika, który bierze do ręki kurczątka, wyjmuje drugi przedmiot. Hoffstetler go rozpoznaje, ponieważ posłużył się nim

na wiele godnych pożalowania sposobów. Jest to strzykawka z igłą. Michałkow wyciąga ostatni przedmiot, małą szklaną fiolkę z jakimś srebrnym płynem. Trzyma te przedmioty ostrożniej niż wybijacz i obdarza Hoffstetlera współczującym uśmiechem.

— Skoro Amerykanie planują eksterminację obiektu, jak mówisz, to istnieje tylko jedna droga działania. Musisz ich uprzedzić i wstrzyknąć obiektowi ten roztwór. To go zabije. Co ważniejsze, wytrawi jego wnętrzości. Nie zostanie nic do zbadania poza kośćmi. Może trochę łusek.

Hoffstetler się śmieje, opryskując stół śliną, krwią i łzami.

— Skoro my nie możemy go mieć, to oni też. Taka jest idea?

— Obustronnie gwarantowana destrukcja — mówi Michałkow. — Znasz tę koncepcję.

Hoffstetler podpira się jedną ręką o stół, drugą zasłania twarz.

— Nie chciał nikogo skrzywdzić — szlocha. — Przez stulecia nikogo nie skrzywdziłem. To my go skrzywdziliśmy. Przywlekliśmy go tutaj. Torturowaliśmy go. Jaki będzie następny krok, Leo? Jaki gatunek wytępimy? Może siebie samych? Mam nadzieję. Zasłużyliśmy na to.

Hoffstetler czuje, że Michałkow kładzie mu rękę na dłoni, delikatnie ją poklepuje.

— Powiedziałeś mi, że on rozumie ból tak samo jak my. — Michałkow mówi łagodnym głosem. — W takim razie bądź lepszy od Amerykanów. Bądź lepszy od nas wszystkich. Posłuchaj tego swojego pana Huxleya. Myśl o uczuciach stwora. Wybaw go od cierpienia. Jak załatwisz sprawę, to odczekamy kilka dni dla zachowania pozorów. Potem zabiorę cię do ambasady i wsadzę na statek do Mińska. Wyobraź to sobie, Dmitri. Mają tam błękitne niebo, do którego tutejsze się nie umywa. Słońce jak bożonarodzeniowa gwiazdka pośród ośnieżonych drzew. Wiele się zmieniło, odkąd to wszystko widziałeś. Zobaczysz to znowu. Zobaczysz to razem ze swoją rodziną. Skoncentruj się na tym. Już prawie koniec.

Wszyscy znają recepcjonistkę i wszyscy są zajęci, ale dzisiaj wstrzymują swoje działania, aby popatrzeć, jaka ona przechodzi. Jej niezawodny uśmiech sposepniał, a wystudiowany strategiczny chód ustąpił miejsca krokom tak szybkim, że wprawiają dół spódnicy w trzepot. Lainie tak stanowczo maszeruje w stronę sekretarki Berniego, że ta dobrze wyszkolona kobieta odruchowo go osłania: „Nie ma go”. Lainie cały dzień rzuca klientom kłody pod nogi, dzięki czemu umie nad nimi przestępować. Omija sekretarkę łukiem, chwyta za klamkę drzwi Berniego i wchodzi do środka.

Bernie Clay siedzi odchylony w skórzanym fotelu ze stopami skrzyżowanymi na blacie biurka, koktajlem w jednej dłoni i twarzą rozciągniętą w uśmiechu. Na sofie siedzą wygodnie szef copywriterów i główny nabywca mediów, śmieją się nad identycznymi drinkami. Spóźniona, ale zobowiązana protokołem sekretarka dzwoni do Berniego z informacją, że wchodzi Elaine Strickland. Uśmiech Berniego zamienia się w wyraz konsternacji. Bernie pokazuje szklanką na pozostałych mężczyzn.

— To się nazywa spotkanie, Elaine.

Zemdleje, zwolnią ją, jest taka głupia, co ona sobie myślała!

— Pan Gunderson... czeka na ciebie.

Bernie mruży oczy, jakby mówiła do niego po chińsku.

— Aha. Ale ja mam ważne spotkanie.

Szef copywriterów prycha. Lainie spogląda w stronę sof. Obaj mężczyźni uśmiechają się półgębkiem. Zimny marmur potu spada jej po kręgosłupie, chociaż Lainie czuje szarpnięcie gniewu, widząc, jak oni siedzą, podpici ważniacy. Lainie mocno się chwyta tego rozżalenia. Skoro musi zemdleć, to niech przynajmniej spadnie z prestiżowej wysokości. Wbija stopy w podłogę.

— On czeka już od godziny.

Bernie zdejmuje nogi z blatu i prostuje tułów. Alkohol wychlapuje się na dywan. Nie jego problem, myśli Lainie: jakaś woźna, kolejna niezauważalna osoba, padnie na kolana, żeby to wypucować. Bernie patrzy w stronę mężczyzn i szarpie głową w stronę Lainie, jakby chciał powiedzieć: „Pozwólcie, że się tym zajmę”. Wstają, zapinają marynarki i nie starają się ukryć kolegialnych uśmiechów związanych z patrzeniem na to, jak ich kumpel bodzie się z kłótnią samicy. Po drodze do wyjścia szef copywriterów mruga do Lainie. Nabywca mediów przeciska się tak blisko niej, że na pewno słyszy — myśli Lainie — a może nawet czuje łomot jej serca.

— Wiem, że zaproponowałem ci pracę na pełny etat — mówi Bernie. — Wolalbym, żeby nie uderzyło nam to do głowy. Wykonuj swoją pracę, Elaine, a ja będę wykonywał swoją. Przyjdę po pana Gundersona, kiedy znajdę czas. Mam nadzieję, że zdążę przed fajrantem, ale zobaczymy.

— To miły człowiek. — Lainie gardzi sobą za drzenie w głosie. — Czekał dwa tygodnie na termin spotkania...

— Właśnie to chciałem powiedzieć. Nie bardzo wiesz, o czym mówisz, prawda? Każdy, kto wchodzi przez te drzwi, ma jakąś historię. Ty nie masz? Pozwól, że ci coś powiem o miłym panu Gundersonie. Kiedyś tu pracował. Dopóki go nie aresztowano za nieobyčajność. Zaskoczenie?

Więc kiedy tutaj wpadasz przy innych i mówisz „pan Gunderson”, myślą właśnie o tym. Nie ułatwia mi to życia. Jestem jedyną osobą w mieście, która chce współpracować z panem Gundersonem. Robię to z dobroci serca. Powiem ci jeszcze jedno. Jego prace są do niczego. Nie przeczę, że dobrze maluje, ale styl jest archaiczny i się nie sprzedaje. Dwa tygodnie temu przyniósł mi jakieś wielkie czerwone okropieństwo i kazałem mu je przemalować na zielone. Zrobiłem to dlatego, że nie miałem serca powiedzieć mu prawdy. Jest skończony w tym biznesie. Dzięki mnie przynajmniej dostaje honorarium. Więc kto tutaj jest miły, Elaine?

Lainie sama już nie wie. Bernie wyrozumiale wypuszcza powietrze, wstaje, obejmuje ją ramieniem i prowadzi do drzwi, gdzie instruuje ją — tolerancyjnie, musi przyznać Lainie — aby powiedziała panu Gundersonowi, że panu Clayowi wypadło coś pilnego i prosi o zostawienie obrazu. W ten sposób kamienne serca z księgowości będą mogły przekazać złą wiadomość później. Lainie czuje się jak dziecko. Kiwa głową jak grzeczna dziewczynka, wymuszony uśmiech marszczy jej twarz w sposób, który kojarzy jej się z domem, stołem jadalnym, udawaniem, że wszystko jest w porządku.

Kiedy Lainie wraca do recepcji, Giles wstaje, poprawia marynarkę i maszeruje przed siebie, kołyszając teczką kreślarską. Lainie czmycha za biurko jak żołnierz do okopu i wybiera ze swojego katalogu przepaszający ton z towarzyszącym mu tekstem. Pan Clay jest zajęty, musiał się zająć pewną nieprzewidzianą sprawą. Nie wiedziałam o tym. To moja wina. Przepraszam. Czy mógłby pan zostawić u mnie swoją pracę? Dopilnuję, żeby pan Clay ją zobaczył. Lainie się zastanawia, czy tak właśnie czuje się Richard — serce twardnieje na kamień z każdym słowem. Giles rozbija ten kamień, otwierając teczkę kreślarską bez słowa protestu, przyjmuje jej jawne kłamstwo nie dlatego, że w nie wierzy, lecz dlatego, że nie chce jej dodatkowo stresować. Lainie nie obchodzą słowa Berniego o nieobyczajności. Giles Gunderson to najzyczliwszy człowiek, jakiego w życiu spotkała.

— Niech pan nie otwiera.

To brzmi jak jej głos. I nie tylko brzmi — jej usta się poruszyły. Ale jakim cudem takie niesubordynowane słowa mogła wypowiedzieć kobieta oślepią parą Spray 'N Steam, przygięta do ziemi fryzurą „gniazdo os”, ogłuszona rytmicznym stukaniem pionowej deski łóżka o ścianę? Ale głos mówi dalej, mając w tle agresywne dzwonienie telefonu i chrząkania najnowszych patentów, dzięki czemu Lainie może ten jeden raz dać pierwszeństwo człowiekowi, którego nikt inny nie stawia na pierwszym miejscu.

— Oni go nie chcą — mówi Lainie.

— Oni... — Giles poprawia okulary. — Słucham?

— Nie powiedzą tego panu, ale nie chcą tego obrazu. I nigdy nie będą chcieli.

— Ale... poprosili o zielony i...

— Jeśli go pan u mnie zostawi, dostanie pan należne honorarium, ale na tym koniec.

— ...jest tak zielony, jak to tylko możliwe. Bardziej zielonego nie zrobię!

— Uważam, że nie powinien pan.

— Panno Strickland? — Giles mruga zdezorientowany. — To znaczy pani Strickland...

— Zasługuje pan na coś lepszego. Zasługuje pan na ludzi, którzy pana cenią. Zasługuje pan na miejsce, w którym będzie pan dumny z tego, kim pan jest.

Głos wydaje się niezależny od niej — uzmysławia sobie Lainie — ponieważ mówi nie tylko do Gilesa Gundersona, ale również do Elaine Strickland. Lainie zasługuje na coś lepszego; zasługuje, żeby ją ceniono; zasługuje, aby żyć w miejscu, w którym duma nie jest egzotycznym darem. Młoda żona i zmurszały staruszek ponownie są jedną osobą, napiętnowaną jako

wybrakowana przez ludzi, którzy nie mają tytułu do stawiania takiego zarzutu. Klein & Saunders to tylko początek.

Giles manipuluje przy muszce, szukając jakichś wskazówek w kącie recepcji, ale Lainie dalej kiwa głową, coraz gwałtowniej, nakłania go, żeby zrobił to, co należy, czyli wyszedł. Giles z lekkim drżeniem wypuszcza powietrze i patrzy na teczkę kreślarską. Potem ostro zaczerpuje tchu i patrzy Lainie w twarz, jego oczy lśnią łzami, a wąsy drgają od odważnego uśmiechu. Wyciąga przed siebie teczkę. Nie obraz, lecz całą teczkę.

— Dla pani, moja droga.

Lainie nie może przyjąć tego prezentu. Oczywiście, że nie może. Jednak ramię Gilesa trzęsie się dokładnie tak samo jak wcześniej jej głos. Giles odpowiada impulsywnym heroizmem na jej impulsywny heroizm, błaga ją, żeby go uwolniła od kłopotliwego bagażu życiowego. Lainie bierze teczkę, jej palce wpasowują się w bruzdy latami rzeźbione przez jego palce w czerwonej skórze. Giles odchodzi, Lainie widzi jego przesuwający się cień, ale nie podnosi wzroku. Czuje, że byłoby mu jeszcze trudniej, a poza tym szuka miejsca na odstawienie teczki, która jest tak ciężka od znaczenia, że mogłaby się przebić przez wszystkie trzy piętra budynku.

Hoffstetler po raz ostatni sprawdza w F-1 zegary rejestrujące temperaturę, objętość i pH wody, jego asystenci na zawsze wywożą z laboratorium wózki ze sprzętem i nagle dociera do niego druzgoczący fakt. Być może już nigdy nie znajdzie się tak blisko dewończyka, przynajmniej dopóki ten wciąż oddycha. W poniedziałek, kiedy miną trzy okropne dni, on sam rozpuści go od środka za pomocą otrzymanego od Michałkowa roztworu iniekcyjnego.

Dlaczego tak długo był niewrażliwy na ból innych, z powodu zbroi fartuchów laboratoryjnych i tarcz aktówek? Dzisiaj nie ma na sobie fartucha. Rzucił go na podłogę swojego biura, zde gustowany, że nasiąknął niewidzialną krwią. A co z aktówką? Za kilka dni będzie symbolizowała zawalenie się jego niezwykle starannie prowadzonego życia. Jest pełna pomiętych notatek, torebek po krakersach, okruszków ciastek. Tym razem śmierci i jej egzekutora nie oddziela w F-1 ani gram profesjonalizmu.

Ofiara Hoffstetlera — doktor nie pozwala sobie myśleć o dewończyku w bardziej wyrozumiałych kategoriach — unosi się na środku basenu, łańcuchy przymocowane do jego uprząży są nieruchome jak pręty. Jedynym objawem życia jest światło, które wylewa się z jego oczu na wodę niczym roztopione złoto. Hoffstetler myśli o tańczącej Elisie Esposito i zachwyconych iluminacjach dewończyka, po czym ogarnia go wściekła zazdrość. To nie fair, że Elisa go pokochała, a on ją, podczas gdy Hoffstetlera obarczono morderstwem, którego nie wybaczy mu żaden bóg. Hoffstetler odkłada zegary na miejsce i próbuje odegnać od siebie wszelkie czułości, bo wie, że nie ułatwi mu przebicia kościstych tkanek śmiercionośną igłą.

Hoffstetler nie ma powodu sądzić, że dewończyk czuje do niego cokolwiek oprócz nienawiści. Absolutnie żadnego powodu. A jednak, kiedy słyszy, że drzwi laboratorium zamykają się za jego asystentami, wbrew własnej woli błagalnie podnosi wzrok. Skoro Elisie się udało, to może jemu też się uda nawiązać kontakt, prawdziwy kontakt z dewończykiem. Potrafi żyć ze sobą, mimo że wielokrotnie przekraczał granice humanitaryzmu. Czy zdoła przebaczyć sobie również to drastyczne przekroczenie granic tego, co ludzkie?

W pustym laboratorium panuje cisza. Hoffstetler odkłada notes, nie dbając o to, czy się nie zmoczy, czy wszystkie pieczołowicie zapisywane fakty się nie rozmażą, bo jaki miał w Occam pożytek z faktów? Przechodzi za czerwoną linię ostrzegawczą i siada na murku koło basenu. Woda wsiąka mu w spodnie na siedzeniu. Jego dłonie przywykły do tego, że są puste, nieporadnie szukają siebie nawzajem, a kręgosłup się krzywi. Melancholijna poza, jak przygarbione siedzenie koło grobu ukochanej osoby. Kolejna fantazja ludzkości. On nie ma ukochanych. Nie w tym kraju. Nawet dewończyk, istota z innego świata, pobił go pod tym względem.

— Prosti mienia, pażałsta — szepcze. — Tak bardzo cię przepraszam. — Złocista woda faluje delikatnie jak pole pszenicy. — Nie rozumiesz mnie. Wiem o tym. Przyzwyczyłem się. Mój prawdziwy głos, mój piękny rosyjski, tutaj nikt go nie rozumie. Jesteśmy pod tym względem podobni. Może jeśli będę mówił z dostatecznym uczuciem, to mnie zrozumiesz. — Hoffstetler stuka się w pierś. — To ja cię zawiodłem. To ja nie potrafiłem cię uratować. Mimo tych wszystkich dyplomów, które zapakowałem do pudeł. Mimo tytułów, którymi poprzedzają moje nazwisko. Wszystko to ma służyć pokazaniu mnie jako inteligentnego. Ale co to jest

inteligencja? Czy inteligencja to analizy i obliczenia? Czy też prawdziwa inteligencja musi zawierać składnik moralny? Z każdą mijającą minutą coraz bardziej tak uważam. A tym samym uważam, że jestem głupi, głupi, głupi. Łańcuchy, kapsuła to jest zapłata dla ciebie za uratowanie mi życia. Wiesz, że uratowałeś mi życie? Czujesz to w mojej krwi? Powyjmowałem już żyłki. Kiedy cię znaleźli, to było jak z bajek Afanasjewa, które czytałem w dzieciństwie. Historie o czarodziejskich zwierzętach, dziwnych potworach. To na ciebie, mój drogi dewończyku, całe życie czekałem. Nasza relacja powinna być bajkowa. Wiem, że mój świat jest suchy i zimny. Jednak istnieje w nim wiele rzeczy, które mógłbym ci pokazać, które mogłyby sprawić ci radość. Tymczasem między nami nie ma żadnej relacji, prawda? Nawet nie wiesz, jak mi na imię. — Hoffstetler uśmiecha się do niewyraźnego kształtu swojego ciemnego odbicia w wodzie. — Na imię mam Dmitri. I bardzo, bardzo mi miło, że cię poznałem.

Z jego gardła dobywa się szloch. Gorące łzy spływają mu po policzkach. Kilkanaście naraz, jakby to jemu wstrzyknięto serum Michałkowa, jakby to jego trzewia się rozpuszczały. Hoffstetler opiera się o murek i patrzy, jak jego łzy wpadają do basenu, miniaturowa ulewa, pierwsza, jaką Baltimore widziało od wielu miesięcy.

Coś przecina wodę na pół. Dłoń dewończyka wyskakuje jak rekin, pazury jak pięć perłowych płetw. Hoffstetler odruchowo szarpie się do tyłu i wstaje z murka. Ale nie ma się czego bać. Dewończyk jest metr dalej, podpłynął bezdźwięcznie i cofa już ramię. Hoffstetler patrzy ze wstrzymanym oddechem, jak stworzenie wsuwa palce do ust, kładzie je na języku. Sens tego gestu nie ulega wątpliwości.

Dewończyk kosztuje łzy Hoffstetlera.

Hoffstetler miał szczęście, że nikt z jego zespołu nie wszedł w tym momencie do F-1. Usta otwarte w milczącym krzyku, twarz mokra i zarumieniona, całe ciało rozdygotane. Podwójna szczęka dewończyka międli jego słone łzy, a kolor oczu przechodzi z metalicznożłotego w błękitny jak niebo. Dewończyk dźwiga się do pozycji pionowej, jakby drwił sobie z grawitacji, i kłania się Hoffstetlerowi. Nie ma na to innego słowa. Potem cicho nurkuje, błoniaste stopy kreślą w wodzie znaki, które Hoffstetler odczytuje jako „dziękuję” oraz „żegnaj”.

Odjazd z salonu jest jak marzenie. Opony cadillaca nie dotykają asfaltu. Toczą się na pierzastych chmurach. Na zawijasach dymu z jego papierosa. Na sprężystych lokach dziewczyn, które na każdym świetłach rzucają Stricklandowi i jego autu lubieżne spojrzenia. Wystarczy otworzyć drzwi, żeby wsypały się do środka. Radośnie, ochoczo, znając swoje miejsce: tylne siedzenie. Amerykańskie marzenie — sądził, że się zgubiło, zawieruszyło pośród pudeł po przeprowadzce. Człowieku małej wiary! Byстрыm chłopakom z Detroit udało się je zbudować ze stali. Wystarczy wysupłać kasę, mister, i jest twoje.

W Occam istnieje wiele bardziej pożądaných miejsc parkingowych, ale Strickland wybiera biały prostokąt blisko wjazdu. W ten sposób wszyscy parkujący zobaczą jego cadillaca. Nawet autobusy dowożące obsługę będą musiały go minąć. Strickland wysiada, kuca obok morskozielonej ślicznotki, dokonuje oględzin. Skaza brudu blisko kół. Trochę kurzu na przednim zderzaku. Strickland wyjmuję chusteczkę i poleruje te miejsca do połysku. Czuje się lepiej niż rano. Lainie ma tajemnicę, to niedopuszczalne. Ale samochód pomaga. Samochód jest częściowym rozwiązaniem. Strickland wyjmuję buteleczkę z tabletkami i wstukuje sobie kilka do ust. Inne rozwiązanie, jeszcze lepsze, czeka wewnątrz Occam.

Strickland jest w dostatecznie optymistycznym nastroju, aby nie warczeć na woźnych, którzy palą na rampie załadunkowej zamiast w holu na górze. Wyrzucają niedopałki i rozpierzchają się. Strickland zdobywa się na uśmiech. Wielkie rzeczy! Niech szeregowi pracownicy trochę się wyszumią. Strickland podnosi nawet miotłę, którą zostawili, i opiera o ścianę. Wchodzi do Occam za pomocą karty kodowej i maszeruje zatłoczonym korytarzem. Naukowcy, administratorzy, asystenci, sprzątaczkі. Czy wszyscy na niego patrzą? Strickland ma wrażenie, że tak. W sumie nic dziwnego. Czuje się jak cadillac: wielki i błyszczący. Pożera drogę i wszystko, co na niej jest.

Drugie rozwiązanie to Elisa. Przychodzi dopiero o północy. Strickland jakoś dociągnie na lekach. Zmniejszy dawkę, słowo honoru, ale jeszcze nie dzisiaj. Każda czynność jest brzemenna w oczekiwanie. Strickland ściera kurz z ekranów monitoringu równie delikatnie, jak wcześniej czyścił cadillaca. Lokalizuje Hoffstetlera, żeby móc się pochwalić doktorowi, który ma opuchnięte oczy, nadchodzącą wiwisekcją. Znajduje tekturowe pudło i przystępuje do wyjmowania z biurka rzeczy osobistych. Wyobraża sobie malejące w lusterku wstecznym cadillaca Occam i Baltimore. I Waszyngton. A któż to siedzi obok? Elisa? Skoro Lainie kombinuje za jego plecami, to czy on nie może zrobić tego samego? On i Elisa będą jechali tak długo, żeby generał Hoyt nigdy ich nie znalazł.

Dwunasta piętnaście, Strickland stuka w interkom.

— Mógłby pan znaleźć pannę Elisę Esposito i przysłać ją do biura pana Stricklanda? Coś mi się rozsypało.

Coś się rozsypało. W sumie wiarygodny pretekst. Strickland rozgląda się i widzi torebkę z landrynkami. Nie są mu potrzebne. W każdym razie dopóki nie odstawi tabletek. Macha torebką i patrzy, jak kulki ścigają się do ciemnych rogów niczym zielone myszy. Zrobił to dosyć energicznie i cukierki toczą się całkiem daleko. A co, jeśli Elisa się nie nabierze? Strickland prychna śmiechem i czuje, że przewraca mu się w żołądku. Jest zestresowany. Już dosyć dawno

nie czuł się zestresowany z powodu kobiety.

Jednokrotne pukanie do drzwi. Strickland przywdziewa szeroki uśmiech i podnosi wzrok. Jest Elisa, akuratna jak uczennica i odziana w czarny strój woźnych. Dzierży mop jak *rokushakubō* z Okinawy, podbródek ma opuszczony w klasycznej pozie nieufności. Strickland czuje chłodne powietrze na zębach. Czyżby jego uśmiech był zbyt wilczy? Strickland próbuje go złagodzić. Przypomina to próbę rozluźnienia mięśni wyciągniętej gumowej dłoni. Jeśli nie będzie uważał, uśmiech może wybuchnąć, wystrzelić w stronę drzwi. Strickland nie ma wprawy w zarządzaniu uśmiechami.

— Dobry wieczór, panno Esposito. Jak się pani dzisiaj miewa?

Dziewczyna jest naprężona jak kot. Po chwili dotyka swoich piersi, po tym otwiera dłoń na zewnątrz. Strickland opiera się w krzesło. Mrowiący prąd przepływa mu przez głowę. Nadzieja. Już zapomniał, jakie to uczucie. Popęłił tak wiele błędów. Uzależnił się od Hoyta. Pozwolił Lainie zejść na złą drogę, przypuszczalnie poza jego zasięg. Ale teraz, w miękkim, przytłumionym świetle monitorów jest szansa. Elisa spełnia wszystkie jego wymagania. Cicha. Sterowalna.

Elisa wsuwa głowę do pokoju i rozgląda się. Wyrzywa to Stricklanda z błogostanu. Elisa wyraźnie spodziewa się jakiejś pułapki. Dlaczego tak pomyślała? Strickland bardzo się postarał — zmienił bandaż na mało apetycznych palcach i usunął z pola widzenia elektrycznego pastucha. Pokazuje na podłogę.

— Mop nie będzie potrzebny. Rozsypałem trochę cukierków. Wypadły z torebki. Nie chcę, żeby przyciągnęły robaki. Dostyc łatwe zadanie. Pewnie mógłbym zrobić to sam, ale mam dużo roboty. Dlatego siedzę tutaj tak długo. Tyle papierów do wypełnienia.

Na biurku nie ma żadnych papierów.

Należało o tym pomyśleć. Kiedy Elisa wraca do swojego wózka, on wyjmuje z biurka pierwszą z brzegu teczkę. Elisa wchodzi do pokoju z szufelką i zmiotką, które trzyma jak nunczako. Jest spostrzegawcza jak kot. Jej oczy spoczywają na teczce, która nagle znalazła się w jego rękach. Stricklandowi się to nie podoba, czuje się złapany na kłamstwie, ale podoba mu się to, że Elisa na niego patrzy. Woźna klęka w kącie, aby zamieść cukierki na szufelkę. Ładnie to wygląda. Strickland czuje przyływ władzy. Tak samo jak od wibracji ośmiu cylindrów cadillaca. Automatyczne szyby, wspomaganie hamulców, wspomaganie kierownicy — pełnia władzy.

— Chyba nie przywykłem pracować do tak późna. Męczę się i wszystko mi leci z rąk. Ale pani jest chyba przyzwyczajona, co? Dla pani jest teraz rano. Pewnie tryska pani energią. Chce pani cukierka? To znaczy nie z podłogi. Zostało mi jeszcze trochę w torebce.

Elisa jest teraz przed biurkiem, przykucnięta między krzesłami. Podnosi wzrok i przez kilka sekund wytrzymuje jego spojrzenie. Szare światło monitorów podnosi jej walory. Włosy to chmury burzowe. Twarz to pełgające srebro. Blizny na szyi to rozjarzone smugi piany na nocnym morzu. Strickland uwielbia te blizny. Zastanawia się, czy istnieją inne miejsca na ciele kobiety, w których blizny wyglądałyby równie ładnie. Pewnie jest ich mnóstwo. Elisa kręci przecząco głową. Dziękuję, nie chce cukierka. Zaczyna odwracać wzrok, ale Strickland nie chce tracić z oczu tych blizn.

— Chwileczkę, mam pytanie. — To nieprawda, ale jeszcze tylko przez chwilę. — Kiedy pani mówi, że jest niema, to znaczy pani chyba tego nie powiedziała. Murzynka to powiedziała. Pani nie może nic powiedzieć. — Strickland się śmieje. Elisa nie. Dlaczego? Przecież to zupełnie niewinny żart. — Nieważne. Tak się zastanawiałem, czy jest pani na sto procent niema. To

znaczy jeśli coś panią zaboli, wydaje pani z siebie jakiś dźwięk? Nie żebym planował zadawać pani ból. — Strickland znowu się śmieje i znowu bez odzewu. Dlaczego ona się nie wyluzuje? — Niektóre niemowy trochę skrzeczą. Tak się tylko zastanawiałem.

Niezbyt udany tekst. Strickland nie jest mistrzem prawienia uprzejmości. Nie jest Bobem Hoffstetlerem, który płynnie recytuje wszystkie argumenty za tym, jaki z niego geniusz. Mimo wszystko pytanie Stricklanda zasługuje na skinienie głową, jakiś gest, cokolwiek. Tymczasem Elisa się odwraca i ponownie zabiera do pracy. Sądząc po odgłosach, chce to zrobić jak najszybciej. Strickland się nad tym zastanawia. Gdyby ktokolwiek inny go tak zignorował, pożałowałby tego. Jednak woźna tylko pogłębia swoje błogie milczenie. Strickland patrzy na jej plecy. Przez ten uniform trudno je ocenić, ale wyglądają niezłe. Na pewno są niezłe, skoro Elisa ciągle chodzi w takich butach. Butach w panterkę. W panterkę. Jeśli Elisa nie nosi ich dla jego przyjemności, to dla czyjej?

Każdy cukierek trzaska o szufelkę. Jak gałązki trzaskające w dżungli, kiedy nadchodzi drapieżnik. Strickland wstaje, chodzi tam i z powrotem przed monitorami, żeby strząsnąć z siebie to skojarzenie. Elisa natychmiast wstaje. Albo skończyła, albo ma już dosyć, w każdym razie rzuca się w stronę drzwi, ale nie jest zbyt szybka. Cukierki przetaczają się po szufelce, próba utrzymania ich na niej nadaje się do cyrku. Strickland blokuje dostęp do drzwi prawym ramieniem. Elisa staje w miejscu, zielone cukierki chrzęszczą jak chore płuca.

— Wiem, jak to wygląda — mówi Strickland. — Z jednej strony ja, z drugiej strony pani. Ale nie jesteśmy aż tak bardzo różni. No bo kogo pani ma? Z teczki wynika, że nikogo. A ja, ze mną chyba jest inaczej, ale czuję się... Próbuję powiedzieć, że czuję się tak samo jak pani. Myślę, że gdybyśmy mogli, zmienilibyśmy w naszym życiu parę rzeczy, wie pani?

Strickland sam nie może w to uwierzyć, ale podnosi lewą dłoń i dotyka jedną z blizn na jej szyi. Elisa cała sztywnieje. Głośno przetyka ślinę. Tętno małego ptaszka rozwibrowuje żyłą szyjną. Strickland żałuje, że nie czuje tego pulsowania, ale jego palce są opuchnięte, zabandażowane, a jeden dodatkowo odrętwiały od obrączki. Od obrączki, którą Elisa oddała mu w tym biurze. Strickland zmienia rękę, przebiega po bliźnie na szyi palcem wskazującym, z przymkniętymi oczami, oddaje kontrolę nad sobą swoim zmysłom. Blizna jest miękka jak jedwab. Elisa pachnie tak czysto jak wybielacz. Jej wystraszony oddech mruczy jak cadillac.

W Amazonii jego ekipa znalazła zwłoki bagiennego jelenia, z rogami utkniętymi w żebrach jaguara. *Índios bravos* uznali, że dwa zwierzęta przez wiele tygodni były ze sobą sczepione przed śmiercią — groteskowa krzyżówka. Dokładnie jak on i Elisa, myśli Strickland. Dwa przeciwieństwa uwięzione razem. Albo będą ze sobą współpracowali i oderwą się od siebie, albo zostaną po nich tylko kości. Strickland wie, że kobiecy mózg potrzebuje czasu na myślenie. Jego lewe ramię ześlizguje się w dół po framudze drzwi. Elisa nie czeka. Wypada na zewnątrz, wysypuje zawartość szufelki do worka na śmieci, chwytą za wózek i odjeżdża. Opuszcza go, opuszcza go.

— Hej! — woła Strickland.

Elisa przystaje. W jaśniejszym świetle na korytarzu jej policzki są różowe, a blizny czerwone. Strickland czuje wir paniki, utraty i frustracji. Zmusza się do uśmiechu, który na przekór jego staraniom nie jest szczery.

— Nie przeszkadza mi, że pani nie mówi. To chcę powiedzieć. W sumie mi się to podoba. — Przychodzi mu do głowy nienachalny dwuznacznik. Czy taka zagrywka jest dopuszczalna? Czy Elisa pozytywnie na nią zareaguje? W głowie mu się kręci od tabletek i uznaje, że nie wolno mu zmarnować tej szansy. Gumowy uśmiech znowu się rozciąga i prawie pęka. — Założę się, że

potrafiłbym tak zrobić, żeby pani pisnęła. Chociaż trochę...

Zelda widzi Elisę wychodzącą z biura pana Stricklanda. Istnieje mnóstwo zasadnych powodów, dla których mogła tam być. Może Strickland narobił bałaganu swoją powiększoną przez bandażę dłonią. Albo na lckj Elisy znalazło się polecenie od Fleminga, żeby wyjątkowo wysprzątać ten pokój. Ale czy kiedykolwiek się zdarzyło, aby Zelda lub Elisa otrzymały od Fleminga specjalne zlecenie i nie podzieliły się z koleżanką tą informacją? Elisa nic nie powiedziała. Ale czy ona ostatnio w ogóle coś mówi? Kiedy Zelda opowiada Elisie kolejną historię o Brewsterze, Elisa nie zadaje pytań. Zelda próbuje zapytać, czy coś się stało, lecz Elisa udaje, że nie słyszy. Każde takie zlekceważenie wali Zeldę w żebra jak strzał z elektrycznego pastucha Stricklanda. Na jej ciele nawarstwiają się siniaki. Zelda krzywi się od nich z bólu nawet w domu. Brewster to zauważył, a jeśli Brewster coś zauważa, to znaczy, że wysyłane przez ciebie sygnały są jak flary na niebie.

— To przez Elisę — przyznała.

— Twoją koleżankę z pracy?

— Ostatnio traktuje mnie... W sumie nie wiem.

— Jak sprzątaczkę? — zażartował Brewster.

Taki już jest. Ostry jak nóż, jeśli dopadniesz go w jakimś innym miejscu niż przed telewizorem. Dla Zeldy za ostry. Nie można tak długo pielęgnować przyjaźni, a potem pozwolić jej odlecieć jak liść na wietrze. Musi tu działać jakaś zewnętrzna siła, prawie na pewno F-1. Od czasu, kiedy Strickland o mało nie przyłapał Elisy w środku, Zelda dwa razy widziała ją pchającą swój wózek od strony F-1. Zelda ciągle daje Elisie preteksty do podzielenia się szczegółami, zadaje pytania otwarte typu „Widziałaś dziś w nocy coś ciekawego?” i podsuwa niedwuznaczne sugestie w rodzaju „Bardzo jestem ciekawa, co się dzieje w F-1”. Elisa niczego nie zdradza. Nie raczy nawet wzruszyć ramionami. To nie tylko nie w jej stylu, ale również chamskie, w związku z czym Zelda zaczyna się zastanawiać, czy nie powinna pójść za radą Brewstera, okazać szacunek sobie samej i odwrócić się plecami.

Czy utrata przyjaźni Elisy rzeczywiście byłaby aż taką tragedią? Zelda sądzi, że potrafiłaby się bez problemu zintegrować z innymi pracownikami cmentarnej zmiany. Jeszcze parę papierosów wypalonych na rampie załadunkowej, parę dowcipów na temat Elisy i wciągnęliby ją do swojego plotkarskiego kręgu. Na pewno by bolało, ale praca to praca, Occam, przypomina sobie Zelda, to tylko jeden z filarów jej życia. Zelda ma rodzinę. Ciotki, wujkowie i rozmaite odnogi ich potomstwa, nie wspominając o sponiewieranym drzewie rodzinnym Brewstera z jego licznymi kuzynami, pociotkami i przyległościami, których do tej pory nie udało jej się umiejscowić genealogicznie. Zelda ma też sąsiadów, niektórych zna od piętnastu lat, niektórzy wołają „hurra!”, kiedy ona przychodzi do nich na grilla. Jest też kościół, zarazem rodzina i sąsiedzi — robią się tam głośni, obejmują się i płaczą, zawsze można tam liczyć na wsparcie, na miłość.

Co było do udowodnienia: Zelda nie potrzebuje Elisy.

Jednakże Zelda chce Elisy. Jest w tym uparta jak nastolatka, której zabroniono widywać się z koleżanką. Poza tym, że nie jest nastolatką. To ona, a nie Brewster, jej rodzina czy Kościół, decyduje, czy jej duma doznała zbyt wielkiego szwanku. Jeśli chce dać jeszcze jedną szansę przyjaciółce, która wyczerpała już swoją pulę, to da. Poza tym kobiety wariują, kiedy w grę wchodzi męczyzna — i na odwrót — toteż robocza teoria Zeldy brzmi: Elisa Esposito ma

romans. Skoro miejscem schadzek jest F-1, podejrzenie musi paść na doktora Hoffstetlera. Mężczyznę, który był dla nich tak miły. Który często zostaje po godzinach. Który nie nosi obrączki.

Zelda nie ma pretensji do Elisy. Kurczę, kusi ją nawet, żeby jej pogratulować. Elisa nie miała faceta, odkąd Zelda ją poznała. Jasne, mogą ją zwolnić za ten romans, ale prawdą jest również, że jeśli coś z tego wyjdzie, Elisa i doktor Hoffstetler mogą razem odejść z Occam. Kto by pomyślał! Elisa żoną doktora!

Ale dziś w nocy, kiedy zobaczyła, jak Elisa pospiesznie wychodzi z pokoju Stricklanda, Zelda nie jest już taka pewna. Strickland na pewno też ma kartę kodową do F-1. Może ten okropny człowiek z jego zardzewiałym elektrycznym pastuchem, który — jak uświadamia sobie teraz Zelda — gapił się na nogi Elisy, kiedy obie siedziały w jego biurze, wystartował do niej? Elisa nie jest głupia, ale nie ma zbyt dużego doświadczenia z mężczyznami. Jeśli Zelda poznała kiedyś mężczyznę, który bez skrupułów wykorzystałby taką kobietę, to na pewno jest nim pan Strickland.

Jakaś metalowa sztywność wkręca się w szczękę, pięści i stopy Zeldy, czyli wszystkie te części ciała, które mogą wpędzić pokorną woźną w tarapaty w takim miejscu jak Occam. Zelda podejmuje decyzję. Wystarczy pominąć dwa pomieszczenia, magazynki, w których rzadko jest brudno, aby mogła śledzić Elisę przez ostatnią godzinę cmentarnej zmiany. Zelda czuje się paskudnie. Co gorsza, jej detektywistyczne działania nie przynoszą konkretnych efektów. Ani uniform, ani włosy Elisy nie zdradzają śladów zbliżenia. Jednak w biurze Stricklanda najwyraźniej coś się stało, bo Elisa trzy razy zapomina powiesić miotełkę z piór na kołku przy wózku.

Rozlega się dzwonek sygnalizujący koniec zmiany. Woźni ruszają do szatni. Zelda kontynuuje obserwację Elisy, przebiera się szybciej niż zwykle, żeby móc stanąć tuż za nią w kolejce do podbijania kart. Na zewnątrz, pod blizną wschodu słońca w kolorze melona, czekając na przystanku autobusowym w żwirowym pyłu, Zelda wysyła do nieba modlitwę, szarpie zaskoczoną Elisę za rękaw i ciągnie pod kubeł na śmieci, odstrasżając wiewiórki. Oczy Elisy, o tej porze czerwone i zmęczone, błyskają ostrożnością.

— Wiem, wiem, złotko. Nie chcesz ze mną rozmawiać. W ogóle nie chcesz rozmawiać. To nie rozmawiaj, tylko posłuchaj. Po prostu słuchaj, zanim przyjedzie autobus.

Elisa próbuje się wymknąć, ale Zelda — co zdarza jej się bardzo rzadko — wykorzystuje swoje gabaryty i siłę: tak mocno ciągnie Elisę za rękaw, że jej biodro uderza o kubeł na śmieci. Elisa zaczyna wściekle migać, energicznie kłuje i bombarduje powietrze. Zelda łapie ogólną wymowę tych znaków: są to wymówki, usprawiedliwienia, preteksty. Znaczący jest fakt, że nie ma wśród nich przeprosin. Przeprosiny oznaczałyby przyznanie się, że Elisa zrobiła coś złego.

Zelda chwyta Elisę za obie dłonie, uspokaja je jak spłoszone gołębie i kładzie na swoich piersiach, żeby się odstresowały.

— Z twojego migania nie dowiem się niczego ważnego i obie o tym wiemy. — Elisa rezygnuje ze stawiania oporu, ale nadal ma nieporuszoną minę. Nie wrogą, tylko nieporuszoną, jak mur, za którym ukrywa jakąś wielką tajemnicę. Zelda wypuszcza powietrze. — Czy nie starałam się zawsze zrozumieć wszystkiego, co cię dręczyło? Od pierwszego dnia? Pamiętam ten plakat, który Fleming powiesił w szatni, jak zaczynałaś. Zdjęcie jakiejś kobiety w stylu Marilyn Monroe z mopem, strzałki pokazują na jej atuty. „Ręce gotowe pomóc. Nogi gotowe nadłożyć drogi”. Pamiętasz? Pamiętasz, jak się śmiałyśmy? To wtedy się zaprzyjaźniłyśmy. Byłaś taka młoda i nieśmiała, a ja chciałam ci pomóc. Dalej chcę.

Czoło Elisy marszczy się wzburzone. Obie słyszą chrzęst żwiru, bo grupka pracowników przestawia stopy, kiedy zaczynają wyjmować z kieszeni żetony na autobus. To znaczy, że go zobaczyli. Zelda wie, że nie zatrzyma przyjaciółki dłużej. Jak najciaśniej zamyka dłonie Elisy w klatce swoich. Czuje trzepot delikatnych gołębih skrzydeł Elisy.

— Jeśli masz jakieś kłopoty, to nie bój się. Nie bój się. Widziałam w życiu najróżniejsze kłopoty. Jeśli chodzi o mężczyznę...

Elisa śmiga oczami w stronę oczu Zeldy. Zelda kiwa głową, zachęca ją, ale Elisa odrywa się od niej, poza tym prychnania i syczenia autobusu nie da się już dłużej ignorować. Zeldzie natychmiast rozmazuje się wzrok — struga łez, która ją wkurza. Łzy wyrażają wszystkie emocje, które Zelda chce ukryć, próbując pokazać siłę. Elisa odchodzi, ale Zelda woła za nią. Elisa przystaje i częściowo się obraca. Zelda wyciera łzy wierzchem dłoni.

— Nie mogę cię bez końca pytać, złotko — chlipie. — Ja też mam swoje problemy. Swoje życie. Wiesz, że kiedyś stąd pójdę i założę własną firmę. I że zawsze sobie wyobrażałam, że pójdziesz ze mną. Ale muszę wiedzieć, czy my tylko razem sprzątam. Dalej jesteśmy przyjaciółkami, kiedy zdejmujemy uniformy?

Słońce puchnie i nadaje błyszczący kontur łzom, które zaczynają płynąć po policzkach Elisy. Niczym się nie różnią od łez Zeldy. Elisa się krzywi, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaciska dłonie — jej odpowiednik ugryzienia się w język — i kręci tylko głową przed ruszeniem w stronę autobusu. Zelda się odwraca, pozwala, żeby słońce ją oślepiło, wyciera mokrą twarz drżącym ramieniem i już je tam zostawia, dla osłony przed blaskiem, smutkiem, samotnością, wszystkim naraz.

Wskaż palcem dowolnych reklamiarzy z Baltimore, a przekonasz się, że po ciężkim dniu usiądą przy barze i będą popijać, narzekając na pecha i przeklinając niesprawiedliwość w wybranym przez siebie fachu. Tymczasem co robi Giles Gunderson? Po pierwsze, odłożył żalobę na następny dzień, ponieważ czuł się zbyt stary i zmęczony. Po drugie, nie żłopie piwa, tylko mleko. Po trzecie, jest sam.

Myślał, że już nigdy nie wstanie z łóżka. Bez pracy, bez pieniędzy, bez jedzenia, bez przyjaciół, jeśli Elisa nadal będzie na niego wściekła. Po co opóźniać to, co nieuniknione? Poranne światło skryształizowało się przez okno sypialni, a powstała w ten sposób tęcza przypominała gabloty z chromowymi rurkami w Dixie Doug. Jeśli coś mogło wyciągnąć Gilesa z dołka, to tylko atencje Brada — chyba że prawdziwa była druga wersja plakietki i człowiek ten miał na imię John. Giles włożył ubranie, które po raz pierwszy wydawało się nie oryginalne, lecz do prostu stare, a tupecik na głowie rozbudzał żalobę. Giles próbował nie zwracać uwagi na starcze krztuszenie się Mopsika i posklejać razem pocięte wstążki swojej dumy, żeby mógł wejść do Dixie Doug choćby z namiastką swojej zwyczajowej werwy.

Brada nie było, a kolejka, grzechotnik, nie nastrajała optymistycznie. Zmuszony coś zamówić i świadom swojej nędzy, uśmiechnął się blade do dziarskiej młodej kobiety zaanonsowanej na plakietce jako Loretta i wziął najtańszą pozycję z menu, żalobną szklanekę mleka. Teraz siedzi przy kontuarze, mimo że stołki barowe urządzą piekło jego biodru. Wypij mleko i spadaj stąd, zabierz się do umierania.

Giles obraca się w prawo, żeby zająć myśli obrazami z czarno-białego telewizora wciśniętego między pojemniki z plastikowymi sztuczkami. Odbiór jest kiepski, ale śnieżna zadymka na ekranie nie potrafi ukryć znajomych, kontrastowych obrazów Murzynów, którzy siedzą w kółku i migają. Mleko kwaśniej Gilesowi na języku. Jasne, dokładnie tego było mu potrzeba! Rozważa poproszenie Loretty o zmianę kanału, ale dziewczyna flirtuje jak najęta, przeobraża mrugnięcia i kiwnięcia palcami w całe floty ciastek i drożdżówek. Lokal rozbrzmiewa muzyką country-western. Do Gilesa docierają tylko urywki wiadomości z tv. Mówią o Williamie Levittcie, pionierze „podmiejskiego” życia. Podobno Levitt nie chce sprzedawać działek budowlanych Murzynom. Giles cierpi, patrząc na archiwalny materiał o Levitttown na Long Island. Wyobraża sobie siebie w jednej z pastelowych sadyb, każdego zroszonego poranka wychodzi z domu w szlafroku, aby podlać magnolie. Marzenie ściętej głowy. Giles odsiedzi dożywotni wyrok w tej zatęchłej kryjówce nad Arcade, to znaczy jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Łokcie układają się na kontuarze. Giles podnosi wzrok i oto jest: z samoobsługowego Elizjum spłynął anioł. Nawet swojskie przygarbienie Brada nie może ukryć wzrostu, który przewyższa wcześniejsze szacunkowe oceny Gilesa. Metr dziewięćdziesiąt. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt! Brad pochyła się nad kontuarem, pachnącym cukrem i ciastem. Ze splotu ramion wyskakuje jeden leniwy palec, aby pokazać na talerzyk z jasnozielonym ciastkiem, które pojawiło się obok mleka.

— Zapamiętałem, jak bardzo pan lubi limetkę kwaśną.

Sztuczny południowy akcent Brada powrócił i Giles się rozrzewnia. Sztuczny akcent, sztuczne włosy, co za różnica? Czyż nie mamy prawa do małych próżnostek, zwłaszcza jeśli sprawiają

przyjemność komuś, na kim nam zależy?

— Och! — Giles ma w głowie obraz swojego pustego portfela. — Nie jestem pewien, czy mam przy sobie tyle pieniędzy!

— Nie ma o czym mówić — obrusza się Brad. — Na koszt firmy.

— To zbyt wielkoduszne. Nie chcę o tym słyszeć. Później przyniosę pieniądze. — Przychodzi mu do głowy pewien pomysł, obłąkany, ale czy istnieje lepsza pora na wariactwa niż najgorszy moment w życiu? — A może... Jeśli podały mi pan swój adres, to wpadłbym do pana z forszą.

— I kto tu jest zbyt wielkoduszny? Psiakrew, pracując tu, czuję się jak za barem. Poznaje ludzi. Słyszę ich historie. I powiem panu, że większość ludzi potrafi podtrzymać rozmowę mniej więcej tak skutecznie, jak ja potrafię podtrzymać upadającą sekwoję. Nie mamy wielu klientów takich jak pan. Inteligentny, wykształcony. Wszystkie te rzeczy, które mi pan powiedział o wielkiej premierze produktu żywnościowego i tak dalej. Ma pan dużo ciekawych rzeczy do powiedzenia i jestem panu zobowiązany. Więc życzę smacznego, szefie.

Bernie musi mieć rację, myśli Giles. Jestem stary, jestem sentymentalny, utknąłem w innych czasach. Jak inaczej wytłumaczyć, że ta odrobina życzliwości wycisnęła mu łzy z oczu?

— Nie wyobraża pan sobie, ile to dla mnie znaczy... Pracuję sam i rozmowa... Rozmawiam z moją przyjaciółką, najlepszą przyjaciółką... — Pożegnalne zdanie Elisy nadal jest wypalone na jego plecach. — Powiedzmy, że trudno ją uznać za mistrzynię konwersacji. A zatem... dziękuję panu. Z głębi serca. I proszę do mnie mówić Giles. — Zmusza się do uśmiechu, który wydaje się kruchy, cała jego czaszka wydaje się krucha, łatwo tłukąca jak Andrzej. — Nie może pan finansować mojego limonkowego nałogu i nazywać mnie „szefem”.

Uśmiech Brada jest promieniem słońca, lemoniadą, skoszoną trawą.

— Kurczę, jest pan pierwszym Gilesem w moim życiu, jeśli chce pan znać prawdę.

Giles poznaje po wydęciu warg Brada, że za chwilę wyzna mu swoje prawdziwe imię z tą samą bezproblemową sympatią, z jaką zdradził swoje kanadyjskie korzenie. Od tej pory, myśli Giles, nie będzie już wypatrywać poszlak; nie będzie przeglądać książek telefonicznych jak chory z miłości uczeń; nie będzie przeżywać więcej upokorzeń w tym życiu, w którym prawie nie ma miejsca na nic innego. W ten najgorszy poranek jego życia nastąpi zbawienie.

— Chcę poznać prawdę — mówi Giles zdecydowanym tonem.

Oto prawda Gilesa. Zraził do siebie swoją jedyną zauszniczkę. Kampania reklamowa, którą wbrew swoim kłamliwym przechwałkom bynajmniej nie kierował, zaowocowała chałturą sprezentowaną litościwej recepcjonistce. Giles nie ma przyszłości. Nie ma nadziei. I właśnie dlatego — jak będzie później przekonywał — ulega tej od dawna tłumionej żądzy, majacząc jak dziecko zelektryzowane nadmierną ilością słodkiego ciasta. Kiedy poprzednim razem rozmawiał z Bradem, wyjaśnił mu etymologię słowa *tantalising* — Tantal wyciągał rękę po owoce i wodę, które zawsze pozostawały poza jego zasięgiem. Teraz wyciąga rękę również Giles.

Jego dłoń spoczywa na nadgarstku Brada. Ciepłym jak świeży chleb.

— Ja też lubię z panem rozmawiać — mówi Giles. — I chciałbym lepiej pana poznać. Jeśli pan też tego chce. Naprawdę ma pan na imię... Brad?

Wesołe iskierki gasną w oczach Brada, tak cicho i gruntownie, jakby zemdlął. Prostuje się, nie ma metr dziewięćdziesiąt ani metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, tylko trzy metry, trzydzieści metrów, trzysta metrów, oddala się od kontuaru i zajmuje całą stratosferę. Dłoń Gilesa ześlizguje się z ciepłej skóry i opada na zimny blat, zwiędnięta, płamista, pożyczkowana, roztrzęsiona. Od strony królującego w górze boga dochodzi głos wyprany ze swojego maślano-syropowego akcentu.

— Co ty robisz, staruszk?

— No bo... Przecież... — Giles jest zniewieściał, unosi się samotnie pośród jasnych światłał niczym biologiczny okaz. — Postawił mi pan ciastko.

— Wszystkim postawiłem — wyjaśnia Brad. — Bo wczoraj wieczorem się zaręczyłem. Z młodą damą, która tam stoi.

Gardło Gilesa zaciska się. Ten sam gruby, włochaty palec Brada, który wcześniej wskazywał darmowe ciastko, teraz pokazuje Lorette, ładną młodą osobę, zalataną i rozchichotaną, uosobienie normalności. Giles patrzy na Lorette, potem na Brada, potem na Lorette, tam i z powrotem, jak bezradny, zdementował staruszek. Następna w kolejce jest murzyńska rodzina, matka, ojciec i dziecko, oglądają wiszące na ścianie menu i szeptem knują ciastkowe spiski. Jak zauważa Giles, twarz Brada jest jasnoczerwona ze wstydu związanego z dotykaniem Gilesa i ten gniew musi znaleźć jakieś ujście.

— Hej! — krzyczy Brad. — Dla was tylko na wynos! Nie ma miejsca.

Rodzinne pogaduszki cichną. Trzy głowy się odwracają, podobnie jak wszystkie inne w Dixie Doug, aby spojrzeć na rozjuszonego Brada. Matka bierze dziecko na ręce.

— Jest mnóstwo miejsca...

— Wszystkie zarezerwowane — warczy Brad. — Cały dzień. Cały tydzień.

Wszyscy troje uciekają ze wzrokiem przed ogniem Brada. Giles dostaje mdłości. Chwyta się kontuaru, żeby stołek przestał wirować. Za plecami Brada widzi, że telewizor się rozmazuje. Giles przyjmuje tę pogardę, ponieważ na nią zasłużył. Ludzie codziennie widzą protesty czarnoskórych w wiadomościach, kiedy na przykład prasują, i nic nie czują. Giles nie potrafi jednak znieść tego widoku. Nie wynika to z nadmiaru współczucia, ale z instynktu samozachowawczego. Giles ma ten przywilej — przywilej — że może ukryć przynależność do mniejszości, ale gdyby miał w sobie choć trochę dumy, nie dopuściłby się ukradkowego macania na kontuarze cukierni. Stałby ramię w ramię z tymi, którzy się nie boją, że pałka rozłupie im czaszkę. Skompromitowanie się to jedna rzecz. Zgoda na to, żeby konsekwencje ponieśli Bogu ducha winni ludzie, którzy chcą tylko kupić przesłodzone i za drogie ciastka, jest nie do przyjęcia.

— Niech pan do nich tak nie mówi — protestuje Giles.

Brad kieruje swoją szyderczą minę na Gilesa.

— Byłoby lepiej, gdyby pan też wyszedł, mister. To jest lokal rodzinny.

Dzwoni dzwonek nad drzwiami, więc Brad przenosi wzrok w tamtą stronę. Czarnoskóry ojciec, który zapewne zna smak rozbitej wargi, wyprowadza swoją rodzinę ze strefy zagrożenia. Brad przywołuje na twarz promienny uśmiech — Giles sądził, że Brad zademonstrował go specjalnie jemu — i tym razem nie żałuje swoim gościom południowego akcentu:

— Alarm odwołany!

Giles gapi się na ciastko limonkowe. Kolor identyczny jak namalowana przez niego żelatyna — syntetyczna, pozaziemska zieleń. Giles przebiega wzrokiem po Dixie Doug. Gdzie się podziały pulsujące kolory i chromowa płynność? To jest cementarzysko taniego plastiku. Giles wstaje i stwierdza, że jego nogi są stabilniejsze, niż oczekiwał. Kiedy Brad znowu spogląda w jego stronę, Giles zauważa z zaskoczeniem, że obiekt jego fantazji nie jest wcale aż tak wysoki. Brad ma tyle samo wzrostu co on. Giles poprawia muszkę, naprostowuje okulary, strzepuje z marynarki kocią sierść.

— Kiedy mi pan powiedział o franczyzie — mówi — byłem pod wrażeniem, przyznaję. Wystrój, dowóz ciastek, wszystko.

Giles urywa zdumiony sztucznością swojego głosu. Klienci przyglądają mu się, jakby podzielali jego uczucia. Może to próżne, ale Giles żałuje, że trzyosobowa rodzina go nie słyszy. Żałuje, że nie ma tutaj jego ojca. I Berniego Claya, pana Kleina i pana Saundersa. Żałuje, że nie ma tutaj wszystkich ludzi, którzy go kiedykolwiek spostonowali.

— Ale czy pan wie, młody człowieku, czym naprawdę jest franczyza? — Giles wykonuje zamaszysty gest. — Franczyza to prymitywna, tchórzliwa, prostacka, świńska próba zafałszowania, przepakowania i sprzedania niesprzedawalnej magii jednej osoby siedzącej przy stole naprzeciwko innej osoby. Osoby, która jest ważna. Nie można sprzedać licencji na alchemię tłustego jedzenia i ludzkiej sympatii. Może nigdy pan tego nie doświadczył. Ja doświadczyłem. Istnieje osoba, która jest dla mnie ważna. Osoba o wiele za inteligentna, żeby jej noga tutaj powstała.

Giles obraca się na pięcie — twarz Brada zlewa się z plamą telewizora — i maszeruje przez cukiernię, w której panuje cisza, jeśli nie liczyć przyśpiewek country. Giles jest już w drzwiach, zanim Brad mobilizuje się do riposty:

— Na imię mam John, a nie Brad, ty pedale!

Już wcześniej się zdarzało, że słowo to ścigało go w drodze do domu, kiedy podsunął jakiemuś obiecującemu facetowi subtelną przynętę dwuznaczności, zaopatrzonej w bezpiecznik trzeciego znaczenia na wypadek, gdyby drugie znaczenie zostało właściwie zinterpretowane i odrzucone. Jednak tego dnia słowo to nie tyle go ściga, ile napędza, popycha przez ulice Baltimore, na parking za Arcade, w górę schodów przeciwpożarowych, przez korytarz obok jego drzwi do mieszkania. Krótkie ostrzeżenie w postaci zapukania w drzwi. Giles natychmiast widzi, że Elisa nie śpi, chociaż powinna. Światło w łazience wskazuje mu drogę. Giles wchodzi i zastaje Elisę na czworakach, w komitywie z wiadrzem pełnym pianistej wody. Oderwała się na chwilę od konsternującej czynności, jaką jest tak energiczne szorowanie wanny, żeby jej powierzchnia błyszczała jak marmur, stawiając Elisę, łazienkę, a może nawet kino na dole i całą szachownicę ulic w mieście w nowym, jasnym, lepszym świetle.

— Nie ma znaczenia, co się dzieje — mówi Giles. — Ważne, że tego potrzebujesz. Więc ci pomogę. Powiedz mi tylko, co mam robić.

Elisa zerka na przyjaciela, który dłubie pędzlem przy szablonie przyklejonym do suwanych drzwi Mopsika. Po usunięciu warstwy zaschniętego błota we dwójkę zdarli wieloletnie pokłady sadzy za pomocą cytrusowego płynu do naczyń, a następnie oskrobali furgonetkę z gliny — tajemna metoda woźnych. Giles cały czas ma na sobie tę samą kamizelkę w pepitkę, którą nosi, kiedy pochyla się jak sęp nad stołem kreślarskim. Identycznie również mruży oczy. Jednak zobaczyć go pod gołym niebem, pośród rześkiego wiosennego powietrza, to jak zobaczyć go uwolnionego z kajdan w lochu. Niedzielne słońce ogrzewa czubek jego łysej głowy. Kiedy ostatni raz wyszedł na zewnątrz bez tupecika? Elise to uszczęśliwia. Giles jest w ten weekend inny. Wszelkie wahania zostały z niego wydrylowane. Jeśli to jest — myśli Elisa — ich ostatni wspólny dzień, zanim zrealizują jej plan, zostaną aresztowani, skazani i być może rozstrzelani, to trudno wyobrazić sobie lepszy scenariusz.

Elisa nie może długo obserwować. Ramiona jej drżą od ciężaru kolejnej partii niezwróconych butelek po mleku, wypłukanych i napełnionych wodą. Wsiada do furgonetki. Opróżnili wcześniej przestrzeń bagażową, żeby zrobić miejsce na pudła i kosze ustawione na kawałku dywanu. Butelki staczają się z przedramion Elisy, która wkłada je jedną po drugiej do wyścielonego kocem pudła. Butelki brzęczą i chlupoczą; jej żołądek też. Siada oparta o ścianę furgonetki i dyszy.

— Właśnie, odpocznij chwilę. — Giles odrywa uśmiechnięte oczy od malowania. — Za ciężko pracujesz. I za bardzo się martwisz. Za kilka godzin, moja droga, będzie po wszystkim, wóz albo przewóz. Na tym się skup. Jednego jestem pewien: niepewność to najcięższa w życiu rzecz do zniesienia.

Elisa się uśmiecha, co zaskakuje ją samą. Miga:

— Skończyłeś robić identyfikator?

Giles nanosi trochę farby, osusza ją dmuchnięciem, a potem kładzie pędzel na puszcze z farbą. Wyjmuje portfel, z rozmachem wyciąga z niego jakąś kartę i przedstawia ją na tle drugiego nadgarstka, jakby to był miecz. Elisa bierze od niego kartę, ogląda, a potem wyjmuje z kieszeni autentyczny identyfikator z Occam dla porównania. Faktura i ciężar się nie zgadzają, ale jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy tak dokładnie sprawdzić im dokumenty, to prawdopodobnie i tak nie unikną wpadki. Identyfikator jest równie przekonujący jak wszystkie inne dzieła Gilesa. Było to dla niego nowe medium i wykonał kartę w jeden dzień, przez co jego osiągnięcie budzi jeszcze większy podziw.

Elisa miga widniejące na karcie nazwisko:

— Michael Parker?

— Uznałem, że to dobre, poczciwe, godne zaufania imię i nazwisko. — Giles wzrusza ramionami. — Oczywiście znajomi mówią do mnie Mike.

Elisa analizuje szczegóły i miga z uśmiechem:

— Pięćdziesiąt jeden lat?

Giles ma niepokieszoną minę.

— Za mało? Nawet z włosami? Co powiesz na pięćdziesiąt cztery? Jedno pociągnięcie farbą i dołożę sobie trzy lata.

Elisa sygnalizuje mimicznie, że to dobry pomysł. Giles wzdycha i strzela z palców, żeby oddać mu kartę. Bierze do ręki pędzel, ścisną włosie w punkt i delikatnie muska identyfikator koniuszkiem pędzla.

— Gotowe. Pięćdziesiąt siedem. Absolutne maksimum, na jakie mnie stać. A teraz przestań być nieuprzejma dla naszego kochanego Mike'a Parkera.

Wraca do pracy, obrażając się na niby. Elisa jest chora z napięcia, kręci jej się w głowie, a jednocześnie otula ją przedziwne ciepło, wewnątrz furgonetki jakimś sposobem stało się najwygodniejszym miejscem na świecie. Przez większość życia czuła się sama, ale w tej sekundzie istnieją liczne dowody na to, że jest inaczej. Jeśli za kilka godzin ich złapią, to najbardziej będzie jej żal — oczywiście poza samą klęską całego przedsięwzięcia — że nie mogła podziękować Zeldzie za to, iż chciała jej pomóc, prawie ją o to błagała. Elisa nie mogła jej tego zrobić, nie mogła jej w to wplątywać. Odepchnięcie Zeldy było straszne. Z drugiej strony Elisa myśli, że musiała zrobić w życiu coś dobrego, skoro zasłużyła sobie na taką lojalność.

Odgłos wkładania przez Gilesa ekwipunku malarskiego do furgonetki przywraca Elisę do brutalnej rzeczywistości. Suchy jak pustylny piasek wiatr poniewiera wnętrzem Mopsika, a z kina dolatuje pomruk muzyki zapowiadającej coś groźnego. Elisa wysiada z furgonetki i mruży oczy przed zachodzącym słońcem.

— Jestem z ciebie dumny.

Elisa patrzy na Gilesa, który kuca i płucze pędzel. Podświetla go wieczorne słońce, ale Elisa poznaje po sylwetce, że jej przyjaciel jest w refleksyjnym nastroju.

— Cokolwiek się stanie, jestem stary. Nawet moje alter ego, Mike Parker, jest stare. Na tym etapie można sobie pozwolić na takie ryzyko. Ale ty jesteś młoda. Życie rozpościera się przed tobą jak Ocean Atlantycki. A przecież się nie boisz.

Elisa chłonie ten komplement, ponieważ go potrzebuje, a potem, gwoli prawdy, z kokieteryjnym uśmiechem miga przerysowanymi ruchami. Giles marszczy brwi.

— O, jednak się boisz. Bardzo się boisz? Nie mów mi tego, moja droga. Ja jestem wprost przerażony!

Teatralny strach Gilesa sprawia, że łatwiej jest jej zapanować nad realnym strachem. Elisa się uśmiecha, wdzięczna za to wzmocnienie, i odstępuje o parę kroków, aby ocenić namalowany od szablonu napis w melodramatycznej scenerii pomarańczowo-fioletowego zachodu słońca. Wstrzymuje oddech. Schowanie do kieszeni sfalszowanego identyfikatora to jedna sprawa. Oszukańcza nazwa namalowana na oficjalnie zarejestrowanym pojeździe mechanicznym to inny poziom zuchwałości: **MILLICENT LAUNDRY**.

Połyskujące w słońcu wypucowane drzwi Mopsika za tym liternictwem przeobrażają się w basen, do którego wskakuje Elisa i tonie, a potem następuje gwałtowny zwrot akcji — stworzenie obdarza ją swoimi umiejętnościami i Elisa zaczyna pływać, a nawet oddychać pod wodą, nie tylko wypływa na powierzchnię jak bąbelki w gotującej się wodzie, ale również śmiga z prądami tej niewykonalnej operacji. Ciasna, brudna uliczka nasiąknięta smrodem starego popcornu nie znika z jej świadomości, ale Elisa czuje, że cały ocean stworzeń gromadzi się w jednym miejscu, ponieważ szukają u niej wskazówek. Przyszła na nią pora.

Zakrętka butelki wyślizguje się ze spoconych palców, uderza o kafelki, toczy się za muszlę klozetową. Hoffstetler chce paść na kolana i szukać jej, bo któraś z woźnych może ją znaleźć, któryś z naukowców zdjąć z niej odciski palców, a Strickland, z trzeszczącym elektrycznym pastuchem w garści, przyskrzynić Hoffstetlera, zanim on uzgodni termin spotkania z chryslerem Bizona. Ale nie ma na to czasu. Poniedziałkowa poranna wymiana personelu. Zbliża się najbardziej burzliwe trzydzieści minut w rozkładzie dnia Occam. Hoffstetler musi uspokoić dłonie, oddech i umysł, a potem wykonać zadanie. Nie dla siebie. Zrobi to dla dzieci, którym usankcjonowane przez niego tajne badania medyczne zniszczyły życie. W gruncie rzeczy można do nich zaliczyć również dewończyka. Hoffstetler może zapobiec jego dalszym cierpieniom i choćby w niewielkim stopniu odkupić swoje winy.

Zdejmuje z igły plastikową nasadkę, wrzuca do ubikacji i spuszcza wodę. Szum powiela puls w jego uszach. Woda ze spłuczki zrasza mu twarz, krople wiszą na jego skórze jak kurzajki, kiedy on wsuwa igłę do buteleczki i pociąga za tłoczek. Srebrny roztwór opalizująco zasysa się do strzykawki. Hoffstetler zna prawo natury: tak piękna substancja musi być zabójcza. Wkłada strzykawkę do kieszeni laboratoryjnego fartucha, wyciera twarz rękawem i wychodzi z kabiny, próbuje nie patrzeć w lustro na przeistoczoną twarz. Dystyngowanego, wyniosłego profesora uniwersytetu zastąpił morderca z czerwoną twarzą i wykrzywioną wargą.

Znalezienie karty do podbicia zajmuje Antoniowi dziesięć lat. Przez jego zeza, domyśla się Zelda. Bóg raczy wiedzieć, jak on to robi, że przy sprzątanu nie strąca wszystkiego z biurka. Nieprzyjemne myśli, ale Zelda uznaje, że Antonio na nie zasłużył. Elisa miała cały weekend na rozważenie pytania Zeldy: „Jesteśmy przyjaciółkami?”. Odpowiedź najwyraźniej brzmi „nie”. Poniedziałkowa zmiana już się skończyła, a Elisa wciąż nie odezwała się do Zeldy ani słowem. Nie chce na nią nawet spojrzeć. Zelda ma dosyć. Tak sobie przynajmniej mówi: ma dosyć. Może Brewster ma rację. Biała przyjaciółka jest twoją przyjaciółką, dopóki cię potrzebuje. Zeldzie siedzi jednak w głowie fakt, że Elisa była tej nocy blada jak brzuch ryby, ciągle oglądała się przez ramię, a ręce tak jej się trzęsły, że co chwila coś upuszczała.

Yolanda szturcha Zeldę w plecy. Kolejka przesuwa się do przodu i Zelda robi to samo, poza tym że podczas gdy ona wyciąga swoją kartę w normalnym tempie — w końcu jest to najprostsza rzecz na świecie — Antoniowi zajmuje to dzisiaj dłużej niż dziesięć lat. Zelda czuje się tak, jakby musiała pokonać przepaść bez dna. Upokorzenie i gniew, nieważne, jak bardzo Zelda na nie zasługuje i jak bardzo chce je mieć, to śliskie przedmioty, które trudno złapać, tak śliskie jak karta do podbicia. Karta wyfruwa jej z palców i opada leniwie niczym złamane skrzydło.

Mopsik klekocze po Falls Road. Giles musi przyjechać na miejsce zgodnie z harmonogramem wyznaczonym przez Elisę, godzinę przed przybyciem prawdziwej furgonetki z pralni — wcześniejsza pora wzbudziłaby podejrzenia. Giles pyrkocze przez sadzawki światła lamp sodowych, wzdłuż zygzakowatej żyłki strumienia Jones Falls, koło czarnych zagajników Druid Hill Park, wokół fioletowych trawników Baltimore Country Club. Nigdy bliżej nie poznał i nie pozna tej części miasta. Giles ma ciężką nogę, kiedy jest zdenerwowany, toteż skręt w lewo w South Avenue pokonuje z taką prędkością, że koła od jego strony prawie tracą kontakt z asfaltem. Mopsik osiada z powrotem na zużytych amortyzatorach, z tyłu przewraca się skrzynka, wypuszczając torpedy butelek z wodą jak okręt podwodny Polaris. Giles przeklina, zмага się z kierownicą, zwalnia przed ciemnym kompleksem o nazwie Dom Rekonwalescencji dla Dzieci „Szczęśliwe Wzgórze”, będącym ostatnim punktem orientacyjnym przed Occam Road.

Nie był tutaj od dnia, kiedy zawiózł osiemnastoletnią Elisę na rozmowę o pracę. Nic się nie zmieniło. Gęste lasy po obu stronach drogi nadal zdają się ukrywać trolle, a podświetlany zegar szyldu Occam świeci jak drugi księżyc. Giles od dawna żałował, że przyczynił się do wzięcia przez Elisę tej pracy, ale dzisiaj nie żałuje. Dzisiaj Elisa ma jakiś cel, a to jest piękny widok. Giles przypomina go sobie, podążając za drogowskazami „Załadunek” obok pustego parkingu. To znaczy nie całkiem pustego. Zauważa gigantycznego zielonego cadillaca Coupe Deville, zanim światła reflektorów Mopsika padają na strażnika przy szlabanie, który ręką sygnalizuje Gilesowi, żeby się zatrzymał, podczas gdy jego druga dłoń spoczywa na kolbie pistoletu w kaburze.

Szare światło ekranów monitoringu wystarcza Stricklandowi za cały wschód słońca. Wstaje z podłogi, która służy mu za łóżko w te noce, kiedy nie może znieść widoku Lainie, i siada na krześle. W brzuchu mu burczy od leków przeciwbólowych. To musi być ciężka praca, bo kiedy Strickland kaszle, widzi krew, która opryskuje białą kopertę na biurku. Strickland ją wyciera. Rozmazuje się, ale nie szkodzi. Dzięki temu koperta pulsuje ważnością. Bo też jest ważna. Zawiera zgodę na dzisiejszą sekcję obiektu. Strickland wyjmuję z niej jeden dokument. Jest czysty, piękny — ani jednego zaczernionego słowa. Strickland nawet nie czyta, umieszcza swój podpis nad kilkoma kreskami. Nie zatrzymuje się na diagramach. Sekcja wygląda na dosyć standardową jak na rzekomo tak rzadkie stworzenie. Nacięcie w kształcie litery Y. Złamanie żeber na pół. Wyłuskanie narządów. Oskalpowanie za pomocą ząbkowanej piły. Mózg do garnka. Strickland nie może się doczekać.

Kroki za drzwiami. Strickland podnosi wzrok znad protokołu. O tej porze spodziewa się pana Podkładki, ale to nie jest Fleming, tylko Bob Hoffstetler. Wygląda fatalnie. Spocony, blady, spłoszony, wygląda jak Raúl Romo Zavala Henríquez, kłębek nerwów. Strickland rozpiera się w krześle. Splat palce za głową. Boli, ale warto dla takiej pozy. Szykuje się dobra zabawa.

Zelda klęka, żeby podnieść kartę kodową. Yolanda za jej plecami doznaje amoku. Zelda słyszy jednak tylko Brewstera, który w kółko powtarza, że nie powinna nikomu ufać. Ale Brewster nie zna przecież Elisy. Mimo że przyjaźnią się od wielu lat, Elisa ani razu nie była w domu Zeldy. Jednak Zelda zna tę dziewczynę. Wie, że ją zna. Osoba z ostatnich dni nie jest Elisą, którą zna Zelda.

Karta Elisy czeka w swojej przegródce niepodbita, chociaż jej właścicielka bardzo szybko wyszła z szatni. Drobnny detal, chyba że połączy się ze sobą wszystko, co działo się w Occam przez ostatnie kilka dni. Sprzęt wytaczany z F-1 pod pokrowcami. Naukowcy ściskają sobie dłonie podczas pożegnania uświetnionego kawą i pączkami. Mieszane nastroje jak w ostatnim tygodniu ostatniego roku szkoły czy studiów: podekscytowanie, ale również wiele obaw i smutku. Zelda czuje, że cały budynek napina się w sobie, jakby w oczekiwaniu na cios. Dzisiaj szykuje się coś wielkiego. Coś — Zelda nie ma już teraz żadnych wątpliwości — w co wplątała się Elisa. Skąd ona to wie? Całą noc miała to przed oczami, skrzypiące wzdłuż korytarzy.

Buty Elisy. Włożyła brzydkie, szare adidas z gumowymi podeszwami, przeznaczone do biegania.

Zelda podbija kartę, a potem — Yolanda pluje na ten widok kwasem — znajduje kartę Elisy i też ją podbija. W końcu karty będą pierwszą rzeczą, którą sprawdzi Fleming, jeśli coś się stanie. Zelda zawraca, trąca Yolandę, nie przeprasza i biegnie z powrotem w stronę laboratoriów. Jeśli coś się stanie? Zelda ma przeczucie, że stanie się dużo złego, i to bardzo niedługo.

Hoffstetler nachyla się w stronę biurka Stricklanda. W kieszeni ma strzykawkę. Michałkow nigdy się nie dowie. Nie ma takiej potrzeby. Połowa roztworu dla dewończyka, połowa dla Stricklanda. Tego drugiego trzeba zabić, aby zagwarantować możliwość bezproblemowego zabicia tego pierwszego. Hoffstetler przekonuje sam siebie, że ten podły, paskudny mudak zasłużył sobie na to. Szkło strzykawki jest śliskie i wyslizguje mu się z palców. Hoffstetler wyciera je wewnątrz kieszeni i jego chwyt jest już bardziej pewny. Hoffstetler prawie dotarł do biurka. Nie zatrzymuj się.

— Wróć i zapukaj — rozkazuje Strickland.

Te słowa nie mają sensu, toteż Hoffstetler — z mózgiem zaprogramowanym na sens — odrzuca je jak komputer, któremu wgrano wadliwe dane, i robi najgorszą możliwą rzecz: zatrzymuje się przy ścianie monitoringu, który oślepia go szesnastoma ekranami szarego światła. Osłania oczy dłonią, w której chwilę wcześniej trzymał strzykawkę. Teraz dłoń jest pusta, miękka, wiotka, niegroźna.

— Zapukać...?

— Procedury, Bob — mówi Strickland. — Wiem, jak wielką wagę przywiązujesz do procedur.

— Chciałem... dać ci jeszcze jedną szansę...

— Mnie? Dać szansę mnie? Nie nadażam za tobą, Bob. Oczywiście, chętnie cię wysłucham, ale najpierw wróć na korytarz i zapukaj.

Mopsik nie ma czułego zawieszenia, ale Giles przeżywa jazdę tak, jakby nagie opony były częścią jego ciała, toteż kiedy oddala się od szlabanu, czuje każdy kamyk na jezdni. Strażnik przepuścił go nawet bez sprawdzenia identyfikatora, przekonała go namalowana na furgonetce nazwa firmy, ale Giles od początku zdawał sobie sprawę, że sforsowanie szlabanu będzie najłatwiejszym elementem całej operacji. Ślimaczym tempem okrąża budynek. Ktoś stoi oparty o ścianę, pali papierosa między dwoma światłami. Giles wyciera zaparowaną przednią szybę. Tak, to musi być to: rampa załadunkowa. Giles próbuje przełknąć strach, ale gardło ma jak papier ścierny.

Wjeżdża między dwie żółte linie. Strażnik budzi się z szarpnięciem i unosi obie dłonie, tak jak się robi przed zadaniem pytania imbecylovi. Krąży w powietrzu palcem, a Giles drży, że mógł popełnić taki błąd. Należało wjechać tyłem. Dostyc oczywiste: furgonetki nie ładuje się od przodu. Wyciera pot z twarzy, wrzuca wsteczny i zaczyna zawracać na trzy razy. Fatalna sprawa. W normalnych okolicznościach Giles potrafi dołożyć parę kilometrów, byle oszczędzić sobie publicznej kompromitacji i nie musieć parkować tyłem. Teraz, w mroku przedświt, pod czujnym okiem strażnika musi wjechać na wstecznym w wąski prostokąt. W lusterku widzi podejrzliwe czerwone oko zapalonego papierosa. Znowu wrzuca wsteczny, mocniej ściska kierownicę i modli się do bogów General Motors o motoryzacyjny cud.

— A, siema, Bob. Wchodź, wchodź. Co mogę dla ciebie zrobić dzisiaj rano?

Hoffstetler czuje się dokładnie tak, jak Strickland sobie zamierzył: jak skarcone dziecko. Zapukał z dziesięć razy, podczas gdy Strickland szczyrzył zęby. Mnóstwo czasu zmarnowane. Hoffstetler znowu staje koło pulsujących ekranów monitoringu. Jest skołowany ze strachu i tak nieskoordynowany, że kiedy wsuwa rękę do kieszeni, zawadza palcem wskazującym o igłę. Syczy paniką do obnażonych zębów swojego sztucznego uśmiechu.

— Chciałem tylko... się upewnić... czy rzeczywiście zamierzasz to zrobić.

— Takie są rozkazy generała Hoyta. — Strickland bierze do ręki dokument, pogładowy rysunek obiektu podzielonego na rzeźnicze segmenty. — Ja je tylko parafowałem. To oznacza, że za dwie godziny i czterdzieści pięć minut ty i ja zachowamy się jak dobrzy Amerykanie i wypatroszymy tę rybę. Wiem, co czujesz. Ale pomyśl o tym inaczej: Japońcy, Szkopy i Chinole to też są inteligentne stworzenia, a przecież nie mieliśmy najmniejszego problemu z zabijaniem ich.

Hoffstetler wyobraża sobie, że skacze przez biurko. Wiedział, że może do tego dojść. Mało eleganckie, ale u człowieka w jego wieku tak nieoczekiwane, że może stanowić pożądany element zaskoczenia. Strickland osłoni się ramieniem albo odwróci plecami — nie ma znaczenia. Nieważne, w co wbije się igła. Hoffstetler spina uda do skoku, kiedy zauważa mikroskopijny wręcz szczegół. Być może jego oczy doskonale się wyćwiczyły w dostrzeganiu dowolnych rozmiarów antropocentrycznych detali, aż po rzęski komórek i organelli. Tuż nad głową Stricklanda, na siódmym monitorze, spojrzenie kamery wędruje do góry, przenosi się z furgonetki z pralni, która podjeżdża tyłem do rampy załadunkowej, na puste czarne niebo.

Hoffstetler otwiera dłoń, w której trzymał strzykawkę. Odpowiada, że tak, oczywiście, będzie asystował Stricklandowi przy eutanazji, ale te uprzejme formułki zagłusza śpiew jego serca: *Slav'sja, Otczestwo nasze swobodnoje!* Sowiecki hymn narodowy. Michałkow — w końcu dotarł. Po osiemnastu latach skazywania Hoffstetlera na samotną walkę Rosjanie przybyli z pomocą.

Elisa biegnie do pralni. To się dzieje: przez moment patrzyła, jak Mopsik wjeżdża tyłem pod rampę załadunkową, wykonując ten manewr tak esowato, że strażnik podbiegł do auta, co jest niepokojące, choć z drugiej strony dało Elisie dostatecznie dużo czasu, żeby przed czmychnięciem do pralni wziąć miotłę i szturchnąć kamerę do góry. Uderza biodrem w przemysłowy zlew, zatyka odpływ i odkręca oba kurki. Wyjmuje z kosza ręczniki i wrzuca do zlewu. Elisa i Zelda przez lata wyśmiewały się z lęków Fleminga, ale teraz trzeba mu to przyznać: gdyby nie wdrukowana w mózg Elisy sekwencja czynności, prawdopodobnie byłaby sparaliżowana strachem.

Wyjmuje namoczone ręczniki ze zlewu i rzuca ciężkie jak błoto na najbliższy pusty wózek. Działa dalej — fartuch jest coraz bardziej mokry — a kiedy wózek napełnia się do połowy, zakręca wodę i ścisną uchwyt wózka. Ale wózek ani drgnie. Jej szpik kostny zamienia się w lód. Kolejna próba, zęby odsłonięte, mięśnie naprężone, podeszwy adidasów wbite w podłogę. Pierwszy centymetr jest najtrudniejszy, ale potem wózek pełźnie do przodu, jeden obrót, dwa. Zastygłe serce Elisy wraca do pracy, lecz znowu się zacina: wzięła skrzypiący wózek, ten, który miauczy jak kotka w rui. Nie ma jednak czasu na zamianę.

Giles odskakuje od stukania w szybę. Strażnik wykonuje dłonią ruch, jakby kręcił korbą. Giles nie ma wyjścia, opuszcza szybę i rysy strażnika zyskują wyrazistość: senne brązowe oczy, zaniedbane wąsy, włochate uszy. Świeci latarką po ubraniu Gilesa i marszczy brwi. Gilesem szarpie pewne wspomnienie: dwadzieścia dwa lata temu, w dniu aresztowania w gejowskim barze, przez które wyleciał z Klein & Saunders, świecenie latarkami po jego ciele przez tych wszystkich wąsatych gliniarzy odebrał jak fizyczną napaść.

— Nie wygląda pan na pracownika pralni — mówi strażnik.

— Dzięki.

Tak powiedziała by kierowca, myśli Giles, nie „dziękuję, szanowny panie”.

Strażnik nie chce docenić tego żartu.

— Identyfikator proszę.

Giles szczerzy się szeroko — ma obawy, że zęby mu wypadną — i udaje, że szuka portfela, w nadziei, że zmarznięty i zmęczony strażnik da sobie spokój. Strażnik milczy. Giles nie ma wyboru, musi pokazać identyfikator. Przytrzymuje go w takiej odległości, żeby strażnik mógł przeczytać dane bez dotykania karty, ale ten numer nie przechodzi. Strażnik, który wcale nie jest zaspany, chwyta kartę z szybkością żmii. Światło latarki prześwieca na wylot przez cienki jak papier plastik. Giles widzi kciuk strażnika drapiący kartę. Siódemka namalowana przez Gilesa w celu podciągnięcia wieku Michaela Parkera odkleja się.

— Masz ci los — mówi Giles.

— Wysiadać! — rozkazuje strażnik.

Nagle w Ośrodku Badań Kosmicznych Occam gasną wszystkie światła.

Zelda jest w pralni, kiedy to się dzieje. Sześć lat temu okradziono oba mieszkania w jej domu i nigdy nie zapomni, jak szybko się zorientowała, że coś się stało. Ledwo wysiadła z samochodu, Brewster siedział jeszcze za kierownicą. Z kawałka trawy przed domem nic nie zniknęło, bo też nie było nic do zabrania. A przecież wszystko było nie tak. Z trawą było nie tak, zdeptały ją inne buty. Z drzwiami było nie tak, gałka przekreślona. Przede wszystkim z powietrzem było nie tak — połowa wyssana przez oddech obcego człowieka, a reszta skłębiona jak stado rozjuszonych os.

Widząc krople wody na podłodze, Zelda czuje tę samą makabryczną pewność. Nic drastycznego, w końcu woda czasem kapie na podłogę. Dlaczego zatem Zelda podchodzi do niej ostrożnie jak do kałuży krwi? Ponieważ krople wody stanowią czytelny materiał dowodowy. To nie są paciorki zaokrąglone napięciem powierzchniowym, tylko smugi snujące opowieść o pospiechu — pospiechu Elisy. Te wymowne tropy pozostają dla niej widoczne nawet po zgaśnięciu świateł, które pogrąża Zeldę w ciemnościach.

Z tego rodzaju wydarzeniem trzeba chwilę poobcować, zanim się w nie uwierzy. W Occam nigdy nie jest ciemno. Nawet świateł w szafkach nie można wyłączyć. Ze ścian wychodzi zmęczone stęknienie, a potem zapada cisza, prawdziwa cisza wykrwawiona z buczenia w tle, przez co Zelda zostaje sama z odgłosami maszynerii swojego ciała. No może niezupełnie sama. W głębi ciemnego korytarza słyszy skrzypienie wózka z zepsutym kółkiem.

Elisa nie wie, jak dużo czasu zajęłoby jej znalezienie drzwi F-1 w potopie ciemności, gdyby już do nich nie docierała. Pcha wózek przez ciszę laboratorium, w której krzyczy zepsute kółko. W pierwszej chwili jedyną mapą pomieszczenia są jej nieustanne sny na jego temat, a potem jej oczy zaczynają się oswajać z niskim natężeniem światła — pierwsze promienie świtu, jak podejrzewa, przeciskają się przez okna na piętrze i snują jak dym przez niewidoczne do tej pory przewody wentylacyjne.

Wózek uderza dopiero w murek wokół basenu. Szare błyski rozkołysanej wody wirują w ciemnościach jak rzucone noże. Czy on ją widzi? Elisa miga w ciemności z gorączkowością modlitwy. Ma nadzieję, że on nauczył się już tych słów. „Chodź”. „Płyn”. „Rusz się”. Stoi pochylona nad murkiem i śpiewa. Woda pluska o murek. Elisa cały czas śpiewa. Nie wiadomo, dlaczego zgasły światła, ale wywoła to panikę, a panika skłoni ludzi do ochrony najważniejszego obiektu. Dla stwora — ani dla Elisy — nie ma nadziei, chyba że stwór natychmiast pójdzie, popłynie, ruszy się.

Dwoje złotych oczu wschodzi nad wodą jak podwójne słońce. Elisa przekracza murek. Po chwili buty spadają jej ze stóp, nogi są w wodzie, uniform oplata uda jak zimne macki. Elisa dygocze i brodzi w jego stronę z wyciągniętymi ramionami. Złote oczy są czujne, ale to zrozumiałe — był już w życiu ścigany. Elisa stawia kolejny krok i dno basenu gwałtownie się zapada. Woda sięga jej po brodę. Elisa drży, ciężar ubrania ciągnie ją jeszcze głębiej. Elisa prychnie wodą, a jedynymi znakami wykonywanymi teraz przez jej dłonie są rozpaczliwe, puste gesty tonącej kobiety.

Monitory plują suchymi elektrycznymi trzaskami. Nie są jeszcze czarne. Gasnąca szarość, szesnaście konających oczu. Nic nie jest obserwowane. Nic nie jest nagrywane. Od czasów obozu dla rekrutów, Korei i Amazonii Strickland nie pragnął niczego oprócz kontroli — kontroli nad rodziną, nad własnym losem — a teraz wszystko to zostało ucięte jak maczetą. Strickland wstaje. Tak mocno uderza kolaniem o biurko, że słyszy odgłos pęknięcia drewna. Zatacza się, opiera o monitory, przytrzymuje martwymi palcami. To też boli i Strickland zabiera palce ze ściany ekranów. Brnie przez czarny, księżycowy teren. Przewraca stopą kosz na śmieci. Wali ramieniem o ścianę. Musi przeciskać się przez drzwi, jakby były przeznaczone dla psa.

Kroki, spanikowane i niepewne, nadlatują z głębi korytarza jak drobienie deszczu. Wiązka światła bazgrze coś w czarnym powietrzu.

— Strickland?

To Fleming, cywilny debil, z którego nigdy nie ma pożytku.

— Co jest, kurwa?

Nagły ból, wszystko boli.

— Nie wiem. Bezpieczniki?

— To wezwij pan kogoś!

— Jak? Telefony nie działają.

Instynkt Stricklanda najlepiej sprawdza się w kontakcie fizycznym. Jego pięści strzelają jak z procy. Chwyta Fleminga za kołnierz. Wcześniej dotykali się tylko raz, kiedy podawali sobie rękę pierwszego dnia. Ale bez przerwy to nad nimi wisało, prawda? Zagrożenie ze strony mężczyzny z krwi i sadzy dla wymachującego podkładką z klipsem gryzipiórka. Delikatny szew kołnierzyka Fleminga rozdziera się, kiedy Strickland napina bicepsy.

— Znajdź pan kogoś. Natychmiast. Zaatakowali nas.

Jakiś przedmiot wciska się w plecy Elisy. Wydaje się za duży jak na dłoń, ale spełnia inne parametry dłoni, składa się z miseczki i bolców. Inny przedmiot wciska się w jej tułów, pięć szponów delikatnie drapie jej piersi i brzuch. Siły starczyłoby do jej zgniecenia, ale jest podnoszona, delikatnie jak motyl, aż jej głowa znajduje się nad wodą. Elisa kaszle w pulsujące mięśnie dużego ramienia, które przeciąga ją z powrotem na płytsze wody. Nie potrafi spokojnie myśleć: on ją trzyma, łuski pod jej dłońmi są jednocześnie miękkie jak jedwab i ostre jak kryształ, i chociaż nie padają żadne słowa, wyrażane jest absolutnie wszystko.

Elisa czuje szarpnięcie. Łańcuchy naprężyły się do granic. Elisa trzeźwieje, znajduje grunt pod stopami i z kieszeni przemoczonego fartucha wyciąga najlepsze narzędzia, jakie udało się jej wymyślić razem z Gilesem: przeszmyglowane pod płaszczem obcęgi i kombinerki. Bruzdy w ciele stwora jarzą się czerwono, ale tylko przez chwilę. Patrzy na nią, ich oczy dzielą od siebie zaledwie centymetry, a potem staje wyprostowany, tułów wyłania się z wody, dzięki czemu Elisa ma dostęp do łańcuchów przymocowanych do uprzęży. Pozbawione wody skrzela zaczynają trzepotać, ale on nie ma żadnych wątpliwości. Rozumie. Ufa. Podobnie jak ona nie ma nic do stracenia.

Elisa rozwiera obcęgi i widzi, że popełniła fatalny błąd w ocenie: ogniwo łańcucha jest za grube, obcęgi go nie obejmą. Tak jakby próbowała ugryźć piłkę do koszykówki. Łapie w obcęgi tyle łańcucha, ile się da, ale skutkuje to tylko lekkim zadrapaniem metalu. Elisa chowa obcęgi do kieszeni, wsuwa końcówki kombinerek do środka ogniwa i próbuje rozerwać je od środka. Przy tej metodzie nie działa dźwignia. Narzędzie wyslizguje się jej z dłoni i wpada do wody. Elisa nie próbuje go ratować. Nie ma sensu. Elisa siedzi po uszy w bagnie, a dokładnie w basenie laboratorium F-1, Giles czeka na zewnątrz, ale nie ma sposobu na wyswobodzenie stworzenia. Głos męczyzny z ciemności brzmi jak zbawienie.

— Nie rób tego — mówi.

Giles odgrywa brawurową w swoim mniemaniu scenkę zatytułowaną „Mężczyzna, który nie potrafi rozpiąć pasów”, kiedy gasną światła. Nie tylko na rampie załadunkowej, ale wszędzie: w oknach, przy chodniku, koło trawników, markiz i parkingów. Strażnik odstępuje od furgonetki, wodzi wzrokiem po budynku i sięga po krótkofalówkę.

— Tu Gibson, rampa załadunkowa, wszystko gra tam w środku? Odbiór.

Elisa nic nie wspominała o wyłączeniu światła. Giles korzysta z okazji i patrzy w bocznym lusterku na drzwi do budynku. Chce, aby Elisa się w nich pojawiła, a jednocześnie ma nadzieję, że nie stanie się to już teraz. Strażnik nigdzie się nie wybiera. Trzeba więc będzie odwrócić jego uwagę. Giles wystawia głowę przez okno i chrząka.

— Proszę pana? — Przeklina pod nosem. To nie jest język kierowcy. Ponawia próbę: — Kolego?

Strażnik reguluje krótkofalówkę.

— Tu Gibson, rampa załadunkowa, odbiór.

— Bardzo przepraszam za identyfikator — mówi Giles. — Niestety, trochę się wstydzę swojego wieku. Widzi pan? To jest peruka. Obawiam się, że jestem próżny, ale zapewniam pana, że to nie wpływa na moją umiejętność przewożenia prania.

Strażnik odwraca się do niego i sprawnie wyjmując pistolet z kabury.

— Powiem to jeszcze tylko raz, panie Parker. Proszę wysiąść.

Hoffstetler przechodzi nad murkiem, wstępuje do wody i chwytą Elisę za ramię. Stworzenie syczy, co przypomina odgłos krajania lodu, ale Hoffstetler nie boi się śmierci.

— Dla kogo pani pracuje?

Hoffstetler zadaje to pytanie, bo dalej nie potrafi uwierzyć, że muzyka i taniec, nowatorskie metody, które pozwoliły utrzymać dewończyka przy życiu, mogły być płodem umysłu tej tuzinkowej woźnej. Wystarcza jednak sekunda patrzenia w jej zrozpaczone oczy, aby utwierdzić się w przekonaniu, że Elisa reprezentuje niezwykle rzadki gatunek niezależnego podmiotu kierującego się wyłącznie własnym poczuciem słuszności.

— Przetawiłaś kamerę na rampie, prawda? Zabierasz go stąd, prawda?

Elisa potwierdza, a jemu wiruje w głowie. Nie ma żadnych Rosjan. Właśnie wywalił bezpieczniki w Occam przy użyciu wybijacza Michałkowa, a tu się okazuje, że ma do pomocy tylko tę drobną kobietę, która nie mówi. Sytuacja tak beznadziejna, że można się tylko śmiać, ale Hoffstetler przypomina sobie, co mówił kiedyś swoim studentom. Wyobraźcie sobie, że jesteście planetą. Nie śmiejecie się, spróbujcie to sobie wyobrazić. Miliardy lat samotności, a potem któregoś dnia wasza elipsa zakrzywia się w stronę innej planety i słyszycie drżenie bliskości. Nie próbowalibyście tego wykorzystać? Nie próbowalibyście zapłonąć i eksplodować? To jest właśnie przypadek Elisy Esposito i Boba Hoffstetlera: dwóch samotnych ciał, które w tej jednej bezcennej chwili niespodziewanie znalazły się blisko siebie.

— Powiedz mu, żeby nie robił mi krzywdy — prosi Hoffstetler. — Uwolnię go.

Ekran monitoringu są zimne i martwe, kiedy Strickland wpada do swojego czarnego jak smoła biura. Miota się na wszystkie strony i co chwila coś przewraca. Czuje się jak ślepiec. Niepełnosprawny. Jak stworzenie, które ledwo potrafi oddychać normalnym powietrzem. Jak Elisa, która nie potrafi mówić. Jego dłoń frunie w powietrzu i strąca z biurka telefon, który podzwania żałośnie przy lądowaniu. Ciekawe który: czerwony? Generał Hoyt. Kurwa jego mać. Jak Hoyt się o tym dowie, to Strickland do końca życia będzie to musiał odpracowywać...

Jest. Zdrowa dłoń Stricklanda oplata gładki dębowy uchwyt maczety. Nie, elektrycznego pastucha. Stricklandowi coraz częściej się to myli. Stalowy trzon dzwoni o metalową szafkę, za którą przechowuje urządzenie. Naciska włącznik. Paralizator zaczyna buczeć. Strickland wywija nim przed sobą, zmierzając w stronę drzwi. Tym razem niczego nie przewraca. Tak jakby biuro teraz się go bało.

Cieniutki werniks przefiltrowanego przez szyby świtu oświetla korytarz. W oddali słychać tylko pojedyncze kroki i głosy. Ten, kto spalił bezpieczniki, wiedział, co robi. Wymiana personelu to doskonały moment na atak. Wąskie gardło przy windzie. Ogólne zamieszanie w holu. Tylko nieliczne ranne ptaszki na korytarzach i w laboratoriach. Kto mógł o tym wiedzieć? Człowiek, który właśnie był w jego biurze. Bob Hoffstetler. Ruski. Strickland idzie korytarzem tak szybko, jak mu na to pozwalają ciemności, strzyka z elektrycznego pastucha dymiącym ozonem.

— Obiekt! — krzyczy do wszystkich i do nikogo. — Zamknąć obiekt!

Ani ta drobna kobieta, ani podtatusiały biolog nie nadają się do pracy fizycznej. Wózek sprawia wrażenie załadowanego cegłami. Hoffstetler wierzy jednak w zasadę zachowania pędu. Trzeba go tylko rozruszać, a potem będzie już z górki. Jednak Elisa puszcza uchwyt i nachyla się do wózka, żeby lepiej ukryć stworzenie pod mokrymi ręcznikami. Robi to tak czule, że Hoffstetler nie ma serca na nią warczeć, ale to robi. Ta kobieta zorganizowała spisek, który władze sowieckie uznały za zbyt ryzykowny, w związku z czym jej plan zasługuje na próbę realizacji. Elisa znowu staje za wózkiem, oboje zaczynają pchać, ręczniki poruszają się od dygotu stworzenia, a koła, protestując płaczliwie, zaczynają się obracać.

Według szacunkowych obliczeń Hoffstetlera dotarcie do drzwi laboratorium trwa tyle, ile cała kariera zawodowa. Na korytarzu wciąż panują ciemności, ale on wie, że to nie potrwa długo. Jak powiedział Michałkow, wybijacz przepała bezpieczniki, ale każda osoba, która ma w domu korki, a w głowie choć trochę oleju, bez problemu je wymieni. Napierają i pchają wózek w kierunku rampy załadunkowej. Słychać tylko skrzypiące kółko, ich własne jęki wysiłku i świszczenie stworzenia pod ręcznikami, a potem z sąsiedniego korytarza dochodzi rwany jazgot gniewnego głosu:

— Obiekt! Zamknąć obiekt!

Hoffstetler od razu wie, co musi zrobić. Wyjmuje z kieszeni buteleczkę tabletek i wciska Elisie w dłoń.

— Rozpuszczaj jedną w wodzie raz na trzy dni. Rozumiesz? Woda, w której on mieszka, musi mieć 75 procent zasolenia. — Elisa patrzy na niego zdezorientowana. — Ścisła dieta białkowa. Surowe ryby. Surowe mięso. Rozumiesz? — Elisa kręci głową, Hoffstetler podaje jej strzykawkę. — Gdyby ci się nie udało, użyj tego. Nie pozwól, żeby go rozciąli. Proszę cię. On ma swoje tajemnice, których nam nie wolno poznać. Nikt z nas na to nie zasługuje. — Może poza tą woźną, myśli Hoffstetler. — Przeżyje tylko trzydzieści minut poza wodą. Pospiesz się. Pospiesz się!

Elisa potakuje, ale jakoś tak luźno, jakby głowa miała jej spaść z szyi. Zostało jeszcze tyle do przekazania nagromadzonych przez całe życie informacji i ostrzeżeń, ale Hoffstetler ma już tylko kilka sekund. Niknie w ciemnościach, udaje się w stronę głosu Stricklanda.

Elisa pcha, mięśnie jej nóg drżą, mięśnie ramion prawie pękają. Wózek porusza się centymetr po centymetrze, każdy pyłek na podłodze jest ogromną przeszkodą, którą Elisa musi pokonać. Słyszy jednak, jak Hoffstetler woła do Stricklanda, co rozpala ogień pod jej stopami, podobnie jak rosnąca chrapliwość oddechu stworzenia. Pchanie idzie jej ciężko, ale jeszcze ciężiej jest zachowywać się normalnie na widok mężczyzny, który zbliża się z zaskoczoną miną, jakiś naukowiec, który nadal ma w ręku kubek z kawą, co w zaistniałych okolicznościach wydaje się wręcz nieprzyzwoite. Prześlizguje się po Elisie wzrokiem, co oczywiste, ponieważ takie kobiety jak ona są niewidzialne. Nigdy wcześniej tak bardzo się z tego nie ucieszyła.

Dociera do skrzyżowania w lewo w stronę rampy załadunkowej. Widzi światło poranka w szczelinie między drzwiami. Ale uparte kółko odmawia współpracy. Wózek nie chce skręcić. Idą ludzie. Słyszą kroki, więcej niż przedtem, i coraz bardziej histeryczne głosy. Elisa kopie kółko i stopy prawie spod niej uciekają. Z wózka cieknie woda i dookoła jest ślisko. Elisa znowu staje z tyłu i zaczyna pchać z prawej strony, żeby wózek skręcił, ale jej stopy nie mają przyczepności. Uderza kolanami o podłogę. Wisi na wózku jak dziecko na drabinkach, bojąc się puścić.

Jakieś palce zaciskają się na jej ramieniu.

Zelda dźwiga Elisę na nogi. Dziewczyna jest w amoku, próbuje się wyrwać, szuka czegoś w kieszeni, ale Zelda trzyma ją mocno. Elisa nie tylko się trzęsie. Ma konwulsje, ledwo dyszy, a jej oczy są szeroko otwarte i obłąkane. Dłoń wysuwa się z kieszeni, trzymając coś, co wygląda jak strzykawka. Kropla płynu srebrzy się na igle, okraszona maźnięciem świtu. Zelda powoli przenosi wzrok z igły na Elisę.

— Uspokój się, złotko — szepcze.

Jej głos odnosi skutek, jakiego nie odniosła jej twarz. Elisa chowa strzykawkę z powrotem do kieszeni i pada na Zeldę, chwytając ją za uniform. Zelda doświadczyła takiego wściekłego poczucia krzywdy tylko na pogrzebach i pozwala Elisie dać mu upust, opasuje ramionami jej pulsujące plecy. Uniform jest mokry. Przemoczony. Zelda patrzy przez ramię Elisy na stos mokrego prania. Białe ręczniki, biały fartuch laboratoryjny, białe prześcieradła...

Jedno złote oko.

— O mój Boże — sapie Zelda. — O mój Boże.

Elisa odrywa się od niej, chwytą ją za przedramiona, błaga każdym dygotem. Może dzięki temu, że używa palców do mówienia, odpowiadają na wszystkie pytania: dlaczego Elisa była tak zimna dla Zeldy, dlaczego próbowała odtrącić przyjaciółkę. Właśnie dlatego: nie chciała wplątywać Zeldy w tę aferę. Oddanie Elisy dla ich przyjaźni sprawia, że Zelda odrzuca zdrowy rozsądek i zajmuje miejsce za wózkiem.

— Wariatka z ciebie — mówi Zelda. — A teraz pchaj.

Strickland rozpoznaje kształt cienia Hoffstetlera z nie mniejszą pewnością niż jego płaskostopy krok. Zaraz go dopadnie. Strickland przyspiesza, sunie środkiem korytarza we wlatujących przez jedno okno promieniach słońca, ignoruje żołnierza żandarmerii, który saltuje i prosi o instrukcje. Dopiero po kilku krokach Strickland rejestruje coś bardzo nieoczekiwanego: Hoffstetler nie ucieka, tylko idzie prosto na niego. Strickland staje, włącza elektrycznego pastucha, chwytą go w pozycji gotowej do strzału i otwiera usta, żeby wrzasnąć, ale Hoffstetler go uprzęda.

— Strickland! On się uwolnił! Wszedłem do środka, żeby go przygotować, a on mnie wciągnął do basenu!

— Mam ci uwierzyć, że...

Hoffstetler chwytą Stricklanda za fartuch. Strickland szarpie się do tyłu, chce go walnąć paralizatorem, ale to wszystko jest takie nagłe, takie dezorientujące.

— To nie ja, Richard! Ktoś się włamał! Wydostał go!

— Jesteś zasranym komuchem, który przyszedł do mojego...

— Mówiłbym ci o tym teraz, gdybym to ja zrobił? Musimy zablokować wszystkie wyjazdy!

Twarz Hoffstetlera jest tak blisko, że prawie stykają się nosami. Strickland świdruje naukowca wzrokiem, próbując coś wyczytać z jego oczu. Prawda tkwi w oczach. Widział ją u każdego człowieka, któremu groził. U każdego człowieka, którego zabił. Ale teraz nie widzi.

A potem mała przysługa: rozbłyskują wszystkie światła we wszechświecie.

Zapadnięcie ciemności było miękkie jak zamknięcie oczu do spania. Kiedy światła w Occam wracają, robią to ze stadionowym natężeniem, wolfram eksploduje z okien niczym wsteczny ciąg pożaru, światła parkingu leją się brutalnie jak lawa. Strażnik osłania oczy i okręca się na pięcie, ma wrażenie, że to budynek jest teraz przyczajonym napastnikiem. Giles wystawił jedną nogę z szoferki i waha się oślepiony, ale jakimś cudem patrzy we właściwym kierunku i widzi, że podwójne drzwi się otwierają i Elisa wypycha na rampę wózek, zgodnie z planem, tyle że pomaga jej duża czarnoskóra kobieta.

Giles ma świadomość, że nie jest człowiekiem czynu. Nieraz mu to zaszkodziło. Pozbawiło takiego życia, jakie powinien mieć. Ale nie dzisiaj. Strażnik dalej gapi się na budynek, kiedy Gilesowi przychodzi do głowy pewien pomysł. Giles nie pozwala mu rozwinąć się do takiej postaci, przy której nie sposób już uniknąć analizowania rozmaitych ważkich konsekwencji. Chwyta oburącz drzwi i z całej siły wali nimi w strażnika. Odgłos uderzenia metalu o czaszkę jest okropny, podobnie jak odgłos uderzenia ciała o beton — jak grzechot worka z kośćmi. Był to pierwszy akt przemocy w życiu Gilesa. Nie jest z tego dumny, ale wie, że przemocy na świecie nie brakuje, zwłaszcza tutaj.

Wózek zjeżdża po rampie samopas i uderza w tylne drzwi furgonetki. Elisa biegnie za nim, podczas gdy Zelda zamyka podwójne drzwi, aby zatuszować ucieczkę. Elisa otwiera jedno skrzydło drzwi furgonetki i zaczyna wrzucać do środka mokre ręczniki — tylko tyle, żeby odkryć stwora, który leży zwinięty jak płód i jedną ze swoich wielkich dłoni osłania rozbiegane oczy przed potokami jaskrawego światła. Elisa bierze go pod ramię i próbuje postawić na nogi. Stwór współpracuje, ale słabo mu to idzie. Skrzela się rozdymają, a nogi mięknią.

Jest przy niej Zelda. Jej przyjaciółka znowu jest przy niej. Chwyta stwora pod drugie ramię, krzywi się z obrzydzenia, dopóki nie czuje chłodnej, kojarzącej się z kolczugą faktury jego ciała. Dotyka go zaledwie przez dziesięć sekund — tyle czasu zajmuje wtłoczenie go do furgonetki — ale na jej twarzy pojawia się wyraz osłupiałego zrozumienia. To coś więcej niż tylko jakiś stwór, przerośnięta jaszczurka. Bardziej przypomina człowieka, ale jest pod każdym względem większy — stworzenie wyższego od nich rzędu, zawleczone na zimną, jałową pustynię, na której nigdy nie powinno się znaleźć.

— Jedź — sapie Zelda. — No jedź!

Nie ma czasu na pełne wdzięczności pożegnania. Elisa pokazuje na kamerę monitoringu, miga „Nie widzą cię” i popycha Zeldę w stronę wejścia do budynku, bo jeszcze jej nie widzieli, jeszcze może wrócić do środka i wytłumaczyć, że o niczym nie wiedziała. Zelda jednak wciąż stoi, wyczerpana i zaskoczona, kiedy Elisa trzaska drzwiami furgonetki, a auto rusza z szarpnięciem, opony piszczą głośniejsze niż zepsute koło wózka.

Strickland biegnie. Ma poczucie klęski. Bieganie w pracy to ostateczny dowód na to, że stracił kontrolę, ale nie ma wyboru. Pędzi przez hol, wywraca ludzi, schodami ewakuacyjnymi wbiega na górę, przecina recepcję, wypada jak bomba na zewnątrz i zatrzymuje się, żeby dokonać oceny sytuacji. Za plecami ma dwóch żandarmów, za którymi biegnie Fleming. Na zewnątrz rozgościł się już ranek. Naukowcy ziewając, drepczą chodnikiem do pracy. Sekretarki przystają, wyjmują z torebek lusterka i poprawiają szminkę. Jest: biała furgonetka z pralni toczy się ku niemu jak gigantyczna kula śnieżna z Everestu.

— Strzelać do niej! — woła Strickland, ale żandarmi dopiero dobiegają, a mężczyzna uzbrojony w elektrycznego pastucha nie zrobi krzywdy pędzącemu behemotowi.

Strażnik z wartowni uskakuje z drogi. Mimo to furgonetka skręca, żeby go ominąć — niespodziewany sygnał, że kierowca chce uniknąć ofiar. W tej części parkingu stoi tylko jeden samochód i furgonetka w niego uderza, miażdżąc tył w harmonijkę. Jest to długi, przepiękny, morskozielony cadillac Coupe DeVille.

— Nie. — Strickland czuje ból w piersiach, jakby to on został potrącony. Słyszy, że jego głos się wznosi, osiąga poziom dziewczęcego pisku: — Nie, nie, nie!

Furgonetka nieruchomieje, opony buksują. Giles czuje uderzenie ciała Elisy w tył jego fotela. W powietrzu unosi się swąd spalonej gumy. Stoją w miejscu. Utknęli parę metrów od wolności. Giles patrzy ponad maską Mopsika i widzi, że zderzak furgonetki szczepił się ze zderzakiem jasnozielonego cadillaca. Słyszy zrozpaczony krzyk — sądzi, że jest to krzyk kobiety, ale do furgonetki gorylimi susami zbliża się mężczyzna, trzymając w ręku przedmiot przypominający nietoperza.

Giles przeklina, wrzuca wsteczny bieg, depcze po gazie. Furgonetka cofa się o metr. Zgrzyta metal. Stłuczone szkło strzela jak fajerwerki. Biegnący mężczyzna jest szybki, zmniejszył już dystans o połowę. Giles przesuwa dźwignię biegów i naciska gaz. Chrom pęka, odrywane zderzaki trzeszczą. Giles podnosi wzrok i widzi uzbrojonych mężczyzn z podniesionymi karabinami, którzy wołają do biegnącego mężczyzny, żeby zszedł z linii strzału. Mężczyzna jest jednak w amoku. Przeskakuje przez żywopłot i wrzeszczy bez sensu. Giles podnosi szybę, ale raczej nie dla swojego bezpieczeństwa.

A jednak: nietoperz biegnącego mężczyzny uderza w okno. Szyba pęka na pół. Giles krzyczy, obraca kierownicą w prawo i dodaje gazu, a potem w lewo i znowu dodaje gazu. Mężczyzna jeszcze raz wali w okno, tworząc na szkłe pajęczą sieć. Po następnym ciosie szkło się rozpryskuje, odłamki zasypują Gilesowi twarz. W tym momencie zderzak furgonetki ostatecznie się odrywa i mężczyzna musi odskoczyć do tyłu, chcąc uniknąć potrącenia. Lecą iskry, kiedy Mopsik przerzyna się przez tył cadillaca i hebluje zielony lakier, całe mnóstwo lakieru, wiele warstw, jak ocenia Giles.

Skrzela otwierają się szeroko, odsłaniają oszłamiające warstwy czerwonej koronki i już tak zostają, nitki trzepoczą w powietrzu jak odnóża stonogi w poszukiwaniu twardego gruntu. Sapnięcia są krótkie i coraz rzadsze. Ramię unosi się z mokrego prania, udrapowane jak dziecko, które bawi się w ducha. Dłoń się zaciska i dalej wędruje do góry — pierwsza część stwora idąca do nieba.

Elisa chwyta go za nadgarstek i sprowadza z powrotem na ziemię. Dłoń nie daje za wygraną i Elisa w końcu rozumie: sygnał oznaczający wodę. Elisa otula go ręcznikami, głucha na butelki, które brzęczą o podłogę. Przetaczają się i wirują przy skrętach. Elisa podnosi jedną butelkę, odkręca i leje wodę na twarz, oczy, skrzela. Stwór napina plecy, jakby chciał się wcisnąć w tę wodę, która wsącza się w jego ciało przez zbrązowiałe bruzdy i błyskawicznie znika, lecz nadal jest suchy, nadal sapie.

— Jak on się czuje? Żyje?! — wrzeszczy Giles.

Elisa kopie obiema nogami w ścianę — zamiennik miganego „szybciej”.

— Jest poranny szczyt! Robię, co mogę!

Elisa znowu kopie. Hoffstetler powiedział, że stwór wytrzyma poza wodą trzydzieści minut, a upłynęło już piętnaście, może dwadzieścia. Czas ucieka. Elisa przenosi uwagę z powrotem na stwora, który wydaje taki odgłos, jakby się dławił. Elisa, która zna tylko ludzkie techniki pocieszania — politowania godne ograniczenie, jak sobie teraz uświadamia — wsuwa pod niego ramię i podnosi go do pozycji siedzącej, a do drugiej ręki bierze kolejną butelkę i leje z niej wodę na jego ciało.

Stwór wchłania, połyka; świeżo nawodnione oczy, teraz znajdujące się na poziomie okna, zmieniają kolor ze złotego na żółty jak mlecz. Mimo że się dusi, sprawia wrażenie zachwyconego światem, który roztacza się za oknami furgonetki. Elisa też patrzy i zadaje sobie pytanie, czy miasto ma w sobie choć strzępek magii dżungli. Szare rusztowania niewłączonych neonów ochlapane pomarańczowym światłem słonecznym. Ogromniejący żółty wieloryb trolejbusu. Ludzka reklama coca-coli, mężczyzna i kobieta, przywarci do siebie jak Elisa i stwór, kobieta trzyma butelkę coli, tak jak Elisa trzyma następną butelkę wody. Przez moment myśli, że Baltimore nie jest bezsensownym mrowiskiem, w którym z konieczności nauczyła się żyć, lecz gąszczem opowieści, grzęzawiskiem mitów, lasem rusałek.

Skreślając za Arcade, Giles traci panowanie nad Mopsikiem i chociaż hamuje, lewa przednia strona samochodu, niechroniona już przez zderzak, wpada w kubły na śmieci. Nie ma czasu, żeby się tym przejmować. Kiedy Giles otwiera tylne drzwi, Elisa jest gotowa, a stwór odziany w mokry fartuch laboratoryjny i nakryty mokrym prześcieradłem. Wejście po schodach przeciwpożarowych to niezdarny, tandetny numer slapstickowy, przykre przeciwieństwo występu Shirley Temple i Bojanglesa.

Jakimś cudem docierają na górę, wchodzą na korytarz i do mieszkania Elisy, ale drzwi łazienki są za wąskie, żeby zmieścili się w nich wszyscy troje, więc Giles zostaje i Elisa musi sama umieścić stwora w wannie, ale oboje są już słabi i bardziej przypomina to upadek — niezdatne już do niczego nogi stwora uginają się pod nim i osuwa się plecami do czekającej na niego wody. Chlapnięcie uderza Elisę w twarz jak butelkowana woda w furgonetce uderzyła

w twarz stwora: ablucja, chrzest. Na tle stwora wanna wygląda miniaturowo, ale wyglądałaby tak na tle większości mężczyzn, myśli Elisa i odkręca kran z gorącą wodą, bo kąpiel zdążyła się przez noc wystudzić. Rury zgrzytają i dygoczą, a potem woda wyskakuje tuż koło głowy stwora. Powierzchnia szybko się podnosi i zakrywa mu twarz. Elisa czeka na bąbelki oddechu. Nie widzi ich. Miesza wodę dłonią, żeby temperatura była taka jak w basenie F-1.

— Co to była za kobieta, która ci pomagała? — sapie za jej plecami Giles. — Zatrudniasz całą siatkę sabotażystów?

Właśnie, basen: Elisa myśli o tym, jak tonęła i usta zalała jej sól. Sięga do kieszeni i wyjmuje otrzymaną od Hoffstetlera buteleczkę z tabletkami soli. Z kieszeni wypada coś jeszcze i brzęka o podłogę.

— Dobry Boże, czy to jest strzykawka? — dziwi się Giles.

Jedna tabletką raz na trzy dni, tak powiedział Hoffstetler? A może trzy tabletki dziennie? Stwór jest jak kamień, który poszedł na dno. Nie ma czasu na dywagacje. Elisa wytrząsa trzy tabletki prosto do wody. Musują. Elisa znowu miesza wodę dłonią, po czym ochlapuje nią twarz i szyję stwora. A potem coś strasznego: nie ma już nic więcej do zrobienia. Elisa bierze stwora za rękę. Za potężną, błoniastą dłoń, rozmigotaną tęczą łusek, prążkowaną delikatnymi spiralami. Oplata szponiaste palce obiema dłońmi i ścisną jak chirurg serce.

Pada na nich cień Gilesa.

— Miałaś rację, jest piękny.

Dłoń stwora otula jej dłoń, połykając całą jak wąż gryzonia. Przedśmiertny spazm, myśli Elisa z konwulsyjnym szlochem, lecz nagle woda w wannie zaczyna się jarzyć — najpierw błysk kobaltu z oka, potem rozkwit, potem szafirowy ogień, przekształcający jasne, zawilgłe pomieszczenie bez okien w bezkresne akwarium, w którym oni również pływają, opalizujące, eteryczne i żywe.

⁴ *Boob* — ang. „cycek” (przyp. tłum.).

⁵ Herbert George Wells, *Wyspa doktora Moreau*, przeł. Ewa Krasieńska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997, s. 86.



**NIE TURBUJ SIĘ
WIĘCEJ**

Na tacy na jego biurku leżą resztki jakiegoś gadżetu. Strickland gapi się na nie od wielu godzin. Kawalek metalowej rurki rozerwanej przez eksplozję. Czerwona plama czegoś, co wygląda jak smażony w głębokim oleju plastik. Czarne, pokryte brudem żyłki, które przypuszczalnie służyły kiedyś jako okablowanie. Prawdę rzekłszy, Strickland nie ma bladego pojęcia, na co się gapi. I w gruncie rzeczy nie próbuje tego ustalić. Po prostu się gapi.

Nieważne, co to za bomba: wszystko stopiła. Bo tak wygląda teraz jego życie — stopione. Dążenia do bycia tatą. Tekturowe koncepcje rodzinnego spokoju. Nawet jego ciało. Strickland spogląda na bandaż. Nie zmieniał ich od wielu dni. Są szare, nawilgłe. Tak się dzieje ze zwłokami w trumnie. Stapiają się do postaci czarnego mułu. Proces ten nie zatrzyma się na jego palcach. Strickland czuje, że rozkład pełźnie do góry arteriami jego ramienia, zbliża się już do serca. Taka cuchnąca płodność przenikała całą Amazonię. Prawdopodobnie nie da się jej zatrzymać.

Pukanie do drzwi. Tak długo gapił się w tacę, że obrócenie gałkami ocznymi boli. To Fleming. Strickland mgliście sobie przypomina, że go wzywał. Fleming pojechał do domu spać. Spać. Po katastrofie na taką skalę? Strickland nawet nie brał pod uwagę pójścia do domu. Wmówił sobie, że nie ma to nic wspólnego z faktem, iż gdyby chciał to zrobić, najpierw musiałby oszacować szkody doznane przez cadillaca. Jego tok myślenia zakłóca chrzążnięcie Fleminga. Szare światło ekranów monitoringu jest jak rentgen. Strickland widzi wiotkie organy Fleminga. Jego cienkie jak gałązki kości. Pulsujące elektrody jego strachu.

— Jakież postępy z tym ustrojstwem? — pyta Fleming.

Strickland nie obrzuca go groźnym spojrzeniem. Groźne spojrzenie wymaga choć szczypty szacunku. Nad podkładką z klipsem, za którą chowa się Fleming, Strickland widzi siniec na szyi — dusił go w tym miejscu podczas awarii zasilania. Ten zasraniec jest delikatny jako owoc.

Fleming znowu odchrząkuje i zerka na kartkę.

— Mamy mnóstwo zdartego lakieru, na którym możemy pracować. Powinniśmy uzyskać mnóstwo informacji. Marka, model. A przede wszystkim mamy cały przedni zderzak. Możemy natychmiast wysłać ludzi na poszukiwania białej furgonetki bez zderzaka. Byłoby łatwiej, gdybyśmy mogli w to zaangażować miejscową policję, ale rozumiem, dlaczego pan sobie tego nie życzy. Na razie odgradziliśmy cały parking taśmami, żebyśmy mogli pomierzyć ślady opon.

— Ślady opon — powtarza Strickland. — Zdarty lakier.

Fleming przetyka ślinę.

— Mamy też nagrania z monitoringu.

— Poza jedyną kamerą, która mogłaby nam coś powiedzieć. Dobrze zrozumiałem?

— Nadal przeszukujemy materiał.

— I ani jednego świadka, który mógłby mieć dla nas użyteczne informacje.

— Dopiero zaczynamy przesłuchania.

Strickland opuszcza wzrok z powrotem na tacę. Tace są przeznaczone na jedzenie. Strickland wyobraża sobie, że zjada gadżet. Jego zęby zaciskają się na kawałkach metalu. Połknięte odłamki leżą mu ciężko na żołądku. Mógłby stać się bombą. Powstałoby pytanie, w którym miejscu się podłożyć.

— Jeśli wolno mi powiedzieć — kontynuuje Fleming — to moim zdaniem mamy tutaj do czynienia z doskonale wyszkoloną, elitarną grupą. Hojnie finansowaną i dobrze wyposażoną. Przeniknięcie do budynku zajęło im mniej niż dziesięć minut. Moim zdaniem, panie Strickland, to jest robota sił specjalnych Armii Sowieckiej.

Strickland nie odpowiada. Infiltracja rosyjska? To możliwe. Pierwszy satelita, pierwsze zwierzę i pierwszy człowiek w kosmosie. Na tle tych osiągnięć kradzież stulecia to pikuś. I jeszcze ten Hoffstetler. Jednak Strickland nie znajduje choćby cienia dowodu na to, że Hoffstetler postąpił w nocy niewłaściwie. Cały atak nie wydaje się rosyjski. Za bardzo niechlujny. Furgonetka, którą Strickland potraktował elektrycznym pastuchem, to był kawał złomu. Kierowca — histeryczny staruszek. Strickland potrzebuje czasu do zastanowienia. Dlatego wezwał Fleminga. Teraz to sobie przypomina. Odchyła się w krzesło. Bierze do ręki buteleczkę ze środkami przeciwbólowymi, wrzuca kilka do ust i rozgryza.

— Chciałbym, żebyśmy mieli absolutną jasność — komunikuje. — Informacje o tej sytuacji nie mogą się wydostać poza Occam, dopóki nie wydam na to zgody. Dopóki nad nią nie zapanuję. Na razie nikt nie musi o tym wiedzieć, rozumie pan?

— Poza generałem Hoytem? — pyta Fleming.

Zgnilizna pełzająca w górę ramienia Stricklanda zastyga jak żywica zimą.

— Poza... — Strickland nie potrafi dokończyć.

— Ja... — Fleming potrzebuje jakiejś tarczy i zasłania tors podkładką z klipsem. — Zadzwońłem do biura generała. Od razu. Pomyślałem...

Finalizacja procesu roztopiania się przebiega błyskawicznie. Płynne tkanki Stricklanda zatykają mu uszy. Prawie skończona praca w Occam, wszystko, co osiągnął w Amazonii. Z nadstatkiem by wystarczyło, aby wytargować uwolnienie go od więzów, które założył mu Hoyt. Ile to jest warte teraz? Hoyt wie, że go zawiódł. Wieża kariery, na którą wchodził Strickland z poduszczenia Hoyta, okazała się gilotyną. Strickland spada z niej w dwóch kawałkach i ląduje na czymś miękkim. W błocie pola ryżowego. Dławi go smród naturalnego nawozu. Ogłusza debilny rechot ciągniętych przez woły furmanek. O Boże, Boże, Boże. Wrócił do Korei, gdzie wszystko się zaczęło.

Korea, gdzie zadaniem Hoyta było pokierowanie ewakuacją na południe dziesiątek tysięcy Koreańczyków. Strickland pełnił funkcję jego zastępcy. W Yeondong, gdzie generał MacArthur kazał ich oddziałowi wysłać wrogowi czytelny komunikat, Hoyt capnął Stricklanda, pokazał na ciężarówkę i kazał mu usiąść za kierownicą. Strickland jechał przez parujący srebrny deszcz, dotrzymywał tempa czaplom w ich leniwych, trzepoczących przelotach z jednego pola ryżowego na następne.

Dotarli do dawnej kopalni złota do połowy zasypanej nędzną odzieżą. Strickland domyślał się, że ma ją spalić, tak samo jak wcześniej spalili mnóstwo wiosek, żeby Armia Ludowa z północy nie dotarła do łupów. Dopiero całkiem z bliska Strickland zauważył, że to nie są ubrania, tylko zwłoki. Pięćdziesiąt, może sto ciał. Ściany kopalni znaczyły ślady po pociskach. Potwierdzenie najgorszych pogłosek, które krążyły w armii — masakra niewinnych Koreańczyków. Hoyt się uśmiechnął, delikatnie chwycił Stricklanda za śliską od deszczu szyję i pogłaskał czubkiem kciuka.

■■■■■ — powiedział.

Kiedy Strickland zastanawia się nad tym teraz, słowa Hoyta są dla niego tylko wyrzaskiwanymi zaczerpniętymi. Całkiem dobrze pamięta jednak ich ogólną wymowę. Hoyt otrzymał informację, że nie wszyscy ludzie wrzuceni do kopalni nie żyją. A to niedobrze, dla

Hoyta i dla Ameryki. Gdyby ocaleni wydostali się i opowiedzieli światu swoją historię, byłaby niezła draka.

Strickland nigdy nie pozwoliłby sobie na okazanie słabości przy Hoycie. Zdjął karabin z ramienia. Czuł się tak, jakby odcinał sobie ramię. Jednak Hoyt przyłożył palec do ust, a potem pociągnął nim dokoła. Byli sami. Niezbyt mądre, żeby przyciągać uwagę. Hoyt wyjął zza paska nóż Ka-Bar z czarnym ostrzem. Podał go Stricklandowi i mrugnął.

Skórzany uchwyt pisnął w duszącym deszczu jak zepsute mięso. Zwłoki też były duszące, tworzyły prawie dwumetrową stertę, kończyny były pokrzywione i splątane. Strickland odczołżył na bok ciało kobiety. Z dziury w jej głowie wyciekał mózg. Z wywleczonych ze sterty zwłok mężczyzny wypęły jelita, jasnoniebieskie. Dziesięć ciał, dwadzieścia, trzydzieści. Strickland rozgrzebywał tę zimną rzeź, jakby drażył tunel w łonie trupa. Był zagubiony, złowrogi i cuchnący. Większość ofiar była martwa, ale niektórzy jeszcze żyli, szeptali, może błagali, przypuszczalnie się modlili. Poderżnął wszystkim gardła, na wszelki wypadek. Nikt nie przeżył, powiedział sobie, łącznie z Richardem Stricklandem.

Nie uwierzył w ten dźwięk, kiedy go usłyszał. Jak można w cokolwiek uwierzyć w otchłaniach piekła? Ale ten świszczący skowyt nie ustawał. Na spodzie sterty Strickland znalazł kobietę. Martwą, ale *rigor mortis* zamienił jej ciało w klatkę ochronną dla jej dziecka. Niemowlę żyło. Cud. A raczej przeciwieństwo cudu. Kiedy dziecko zostało uwolnione, zaczęło płakać. Głośno, a Hoyt nie życzył sobie żadnych hałasów. Strickland próbował zderzyć z noża włosy i chrząstkę, żeby móc wykonać czyste cięcie. Ale za bardzo się trząsał, by móc sobie zaufać. Czy nie o to w tym wszystkim chodziło? Żeby ufać? Hoytowi? Przemocy? Wojnie? Wierzyć, że zło jest dobrem, że morderstwo jest współczuciem?

Zobaczył kałużę. Deszczówki i krwi. Delikatnie wcisnął twarz dziecka w tę mieszankę. Może dziecko naprawdę jest cudem, modlił się. Może potrafi oddychać w wodzie. Ale takie stworzenie nie istnieje nigdzie na świecie. Krótkie drgawki i koniec. Strickland chciał, żeby jego życie też się skończyło. Podniósł się do pozycji kłęczącej i zwłoki stoczyły mu się z pleców. Podszedł do niego Hoyt, przytulił jego głowę do swojego okrągłego brzucha i poklepał go po zakrwawionych włosach. Strickland skapitulował, mocno się przycisnął. Próbował słuchać, co mówi Hoyt, ale uszy miał zatkane krwią i tkanką.

■■■■■.

Wtedy to był szept; teraz to jest wrzask. Strickland dopuścił się bestialstwa, zbrodni wojennej, która trafiłaby na pierwsze strony wszystkich gazet świata, gdyby wyciekła. Miało to zespolić go z Hoytem aż do śmierci jednego z nich. Sam w biurze Occam; po tych wszystkich latach Strickland nareszcie rozumie. Rozbijający bębenki skowyt zaczernień Hoyta jest tym samym co wrzaski małp — jak mógł nie dostrzec tego związku? Przez całe życie pierwotne głosy nakłaniały go do włożenia na siebie płaszcz, który uszyto specjalnie dla niego. To dlatego trzeba było złapać Deus Brânquia. To dlatego bóg dżungli musi zniszczyć boga skrzeli. Nowe bóstwo nie obejmie pełni władzy, dopóki stare bóstwo nie zostanie zamordowane. Trzeba było od początku słuchać Hoyta. Nie bój się rozkazów małp, tylko je wykonuj.

Węgiel jest jak laska dynamitu w jego dłoni. Giles rzadko posługuje się tym narzędziem. Nie wybierasz węgla do ukazania antyseptycznego dezodorantu w kremie czy różu na lato. Węgiel się rozmazuje, a takie produkty wymagają schludności i wyrazistości, a poza tym czarny kolor wprawia ludzi w nieufny nastrój, niesprzyjający zakupom. Ach, swego czasu nie akceptował niczego innego! Używał węgla przede wszystkim do rysowania aktów, ponieważ jest to najbardziej surowy instrument i wymaga surowości od tematu. Rysowanie węglem równało się czarownictwu. Nawet pominięte powierzchnie papieru budziły się do życia jako kanciaste policzki, uniesione czoła, sterczące obojczyki, zбочa pośladków, boki brzuchów. Subtelniejsze rysy zapadały się w popiele i powstawały narodzone na nowo — historia ewolucji przedstawiona w dwóch wymiarach.

Był wtedy młody i nie bał się błędów, a nawet z radością je witał jako katalizatory artystycznego zaskoczenia. Giles się zastanawia, czy wciąż to w sobie ma. Czy jego zbolące starcze dłonie przeszkodzą mu w modulowaniu koloru czarnego do wrzosowego do dymnego do mglistego? Czy dygot starczych palców pozwoli mu przesmarować faktury z juty na diagonal na jedwab na zamsz? Od akcji minął jeden dzień. Uszy Gilesa są nastawione na policyjne syreny. Tylko praca pozwala mu ukoić umysł i dłonie. Wybiera kredkę średniej długości. Spędziła kilkadziesiąt lat w trumnie cygarniczki i jest lepka od brudu. Giles oskrobuje ją paznokciem kciuka i przykładą do papieru, który leży na sztaludze, która spoczywa na jego udach, które siedzą na zamkniętej muszli klozetowej.

Stwór patrzy spod wody w wannie. Nadal uczy się oddychać wodą Arcade Apartments, a jego ruchy są w gruncie rzeczy ograniczone do przetaczania się z boku na bok. Tę czynność wykonuje dosyć wygodnicko, jak młody człowiek, któremu nie chce się wstawać z łóżka. Giles uśmiecha się do niego. Często się do niego uśmiecha. Z początku chciał w ten sposób zapewnić niezgłębionego sfinksa, że nie zamierza zrobić mu krzywdy. Teraz śmiech Gilesa jest szczery, co budzi w nim wesołość. Oczy jego kotów wydają mu się puste i pozbawione wyrazu, podczas gdy ze zmiennego blasku oczu stwora można tak wiele wyczytać. Na przykład jego zainteresowanie Gilesem i kolorową gamą kredek, z których żadna nie jest skalpelem ani elektrycznym pastuchem. Albo że zaczyna ufać Gilesowi, a może nawet go lubić.

Z początku Giles myślał i mówił o nim „to”, ale Elisa twardo postawiła sprawę i Giles chętnie się dostosował. Pomógł mu w tym fakt, że stworzenie jest zachwycające — miliard olśniewających klejnotów ulepionych w kształt mężczyzny przez artystę o wiele rzędów wielkości przewyższającego Gilesa pod względem geniuszu. Giles nie sądzi, żeby istniały farby olejne lub akrylowe zdolne oddać taką migotliwość bądź akwarele lub gwasze zdolne uchwycić ciemniejsze szeptki. Wybrał więc najprostszą drogę: węgiel. Giles odmawia fragmenty Zdrowaś Mario, które sobie przypomina, i wykonuje pierwsze pociągnięcie, esowatą linię płetwy grzbietowej.

— O rany — szepcze zdumiony. — O rany!

Po tym kątem nie widzi lustra nad umywalką, ale czuje się tak, jakby miał trzydzieści pięć, a może nawet dwadzieścia pięć lat — taki śmiały, taki odważny. Rysuje drugą kreskę, potem trzecią. To nie jest dzieło sztuki, ostrzega sam siebie, tylko szkic, coś, co ma uruchomić dawne

fluidy. Nie może jednak oprzeć się wrażeniu, że te zgrubne linie są najbardziej intensywne od czasów, kiedy przyjął pracę w Hutzler, firmie, która przygotowała grunt pod Klein & Saunders, która z kolei przygotowała grunt pod zapomnienie o wszystkim, co ważne.

Czyżby panna Strickland — pani Strickland — była uszmkowaną prorokinią z „gniazdem os” na głowie? Powiedziała Gilesowi prawdę. Nie tylko tę, że Bernie nie chce tego, co on przyszedł mu sprzedać, ale również że nie powinien się poniżać. „Zasługuje pan na miejsce, w którym będzie pan dumny z tego, kim pan jest”, powiedziała. Teraz Giles siedzi w domu swojej najlepszej przyjaciółki na wyciągnięcie ręki od najwspanialszej żywej istoty, jaką kiedykolwiek widział.

Elisa nie dysponuje zbyt wieloma informacjami na temat pochodzenia stwora, ale to nie ma znaczenia. Giles wyczuwa boską naturę tej istoty, a nawet w kontekście roboczego szkicu przedstawianie sacrum jest zadaniem artystycznym, które wymaga najwięcej uwagi. Rafael, Botticelli, Caravaggio — jako młody artysta Giles studiował ich twórczość w bibliotekach, w związku z czym znał gratyfikacje i pułapki związane z portretowaniem sfery religijnej. Wymaga to osobistych poświęceń. Czy bez tego Michał Anioł mógłby ukończyć fresk w Kaplicy Sykstyńskiej w cztery lata? Porównywanie się do Michała Anioła to żart, ale pewne podobieństwo istnieje. Obaj mają dostęp do czegoś, czego reszta świata nigdy nie widziała. Nawet jeżeli wozy policyjne w końcu przyjadą, to, na Boga, było warto.

Giles pokazuje stworzeniu, żeby się trochę obróciło, a potem śmieje się z tej nedorzecznej prośby. Jak szybko powraca roszczeniowość portrecy! Ale stworzenie reaguje, wystawia lewe oko nad wodę, jakby chciało dokładniej się przyjrzeć sygnałowi Gilesa. Giles wstrzymuje oddech i postanawia dokończyć swój gest. Stworzenie podąża za kreślącym kółka palcem, jak mógłby podążać za skrzydlatym owadem albo ptakiem w swoim rodzinnym kraju, spokojnie, życzliwie, bez wrogości. Stwór mruga. Skrzela miękko osiadają.

A potem, jak przystało na chętnie współpracującego modela, odwraca się.

3

Kiedy supermarkety zastąpiły światła pod sufitem supernowymi? Od jak dawna owoce w koszach płaczą z zachwytu nad własną urodą? W którym momencie wyroby cukiernicze zaczęły dmuchać cukrowanymi tajemnicami w chmurę, która skropliła się na jej twarzy jak łzy radości? Kiedy zakupowiczki, te krytyczne panie z pękatymi torebkami i bezczelnymi wózkami, przeistoczyły się w kobiety, które uśmiechają się do niej, przepuszczają ją, komplementują jej zakupowe decyzje? Może zobaczyły to, co Elisa ujrzała odbite w ladzie mięsnej: nie spłoszonego garbusa, który ukrywa blizny na gardle, lecz kobietę, która z wyprostowanymi plecami pokazuje na wybrane przez siebie ryby i mięso. Sporo tego, pomyślał zapewne ekspedient, ale dlaczego nie? Na taką kobietę na pewno czeka w domu głodny mężczyzna. To prawda, myśli Elisa i śmieje się.

Kupiła nie tylko mięso, ale również mnóstwo jajek, zaaranżowała w wózku foremki w figlarne, krzyżowe wzory, przez co inni klienci śmieją się z jej pomysłu. Wzięła też sól — tabletki Hoffstetlera prędzej czy później się skończą. Znalezienie tych wszystkich produktów zajmuje trochę czasu, ale Elisie to nie przeszkadza. Robienie zakupów dla kogoś innego to cudowna sprawa. Giles zgłosił się na ochotnika, ale odmówiła. Uważała, że tylko ona potrafi wyczuć, czego potrzebuje stworzenie. Skorzystała z komunikacji publicznej i nie zwracała uwagi na umundurowanych policjantów, przypominając sobie, że nie mają pojęcia o tym, co zrobiła. Pojechała aż do Edmondson Village. Zelda zawsze się zachwycała tym handlowym rogiem obfitości i miała rację. Właśnie, Zelda. Elisa ma jej mnóstwo do powiedzenia i powie jej to wszystko już najbliższej nocy — pod żadnym pozorem nie wolno jej opuścić ani jednej zmiany, jeśli chce uniknąć podejrzeń. Kiedy myśli o Zeldzie, jej już wcześniej napęczniałe serce napiera na żebra.

W pierwszej części hipermarketu z zaskoczeniem widzi dział z roślinami i kwiatami. Coś wciąga ją do środka. Łapczywe liście paproci i pnącza bluszczu ocierają się o jej ciało i policzki. Tego potrzebował stwór do złagodzenia ascetyczności laboratorium i tego potrzebuje teraz do zaokrąglenia ostrych kantów łazienki. Elisa wybiera najbardziej ulistnione rośliny. Dwie mięsiste paprocie w doniczkach; zasłonią mnóstwo porcelany i kafelków. Palma z liśćmi podobnymi do dłoni stwora; może poczuje się mniej samotny? Dracena smocza, która dosięgnie do lampek nad umywalką; może zabarwi całe pomieszczenie na zielono.

Upchane w wózku liście łaskoczą ją w nos i wywołują chichot. Jak ona przewiezie to wszystko do domu? Będzie musiała kupić jeden z dwukołowych wózków, które widziała przy wejściu. Nieoczekiwany wydatek, ale kilka dolarów nie gra roli. Tego dnia po raz pierwszy w życiu nie liczyła centów i jest zdecydowana wytrwać w tym przyjemnym stanie. Jest świadoma, że ma na twarzy szeroki uśmiech — tak samo by się czuła w krzykliwym kapeluszu. Powinna spróbować poskromić ten uśmiech. Każdemu gliniarzowi, który ma choć trochę rozumu, zapali się światełko ostrzegawcze na widok kobiety, która z taką radością robi zakupy żywnościowe.

Kierowanie wózkiem zza wysokich roślin jest trudne, ale też zabawne. Próbując ustawić się przy taśmie koło kasy, Elisa trąca stojak z promocjami. Sto tekturowych odświeżaczy powietrza tańczy na haczykach. Elisa przeciąga po nich palcem. Mają kształt drzewek, każde reklamuje

inny zapach. Różowa wiśnia. Brązowy cynamon. Czerwone jabłko. Zielonych jest kilka. **ZAPACH PRAWDZIWEJ SOSNY!** oznajmia celofanowe opakowanie.

Elisa nie sądziła, że jej uśmiech może się stać jeszcze większy, a jednak. Bierze jedno drzewko, a potem zmienia zdanie i zdejmuje z kołka wszystkie zielone zapachy. W sumie sześć. Sześć drzewek dżungli nie czyni, ale na początek dobre i to.

Nawet kiedy na papier skapują łzy, Giles umie je wykorzystać do celów artystycznych: rozciera je kantem dłoni, nadając ostrym kreskom płynną miękkość, dzięki czemu przypominają łuski stwora. Uśmiecha się do tego objawienia, chociaż przewiduje, że pewnie nie będzie ostatnie. Łza, kropla krwi, odrobina śliny z pocałunku: stwór użyje swojej magii, żeby również te substancje zamienić w sztukę, w piękno.

Giles unosi dłoń i kręci palcem w kółko. Stwór wykonuje częściowy obrót, aby zaprezentować się Gilesowi pod jeszcze innym kątem, wyciąga swoją wspaniałą szyję, prawie stroszy piórka. Giles się śmieje, kosztuje sól, zlizuje ją, a potem rysuje, rysuje, rysuje, jak wygłodzony mężczyzna na bankiecie, który się boi, że kelnerzy zaraz wszystko wyniosą. Sam nie zauważa, że w pewnym momencie zaczyna mówić; jego mruczenie jest szelestem węgla o papier.

— Elisa mówi, że jesteś zupełnie sam. Ostatni ze swego rodu. Coś w tym guście. — Prycha śmiechem. — Staram się jak mogę, ale nie łapię wszystkiego, co ona mówi. Naturalnie z początku nie uwierzyłem jej w to wszystko. Kto by uwierzył? A potem cię zobaczyłem i pozwolę sobie powiedzieć, że we własnej osobie jesteś bardzo przekonujący. Mam nadzieję, że wybaczysz mi moją wcześniejszą powściągliwość. Może nawet okażesz mi zrozumienie. Co pomyślałeś, kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś wewnątrz okrętu marynarki wojennej albo kapsułę, do której cię wsadzili? Nie sądzę, aby twoje myśli były szczególnie przychylnie wobec rodzaju ludzkiego. W życiu różnie bywa. — Grzbiet nad oczami stwora: Giles go rysuje jako mglistoszary, bezbronny. — Ale potem spotyka cię Elisa. I znowu coś się zmienia. Na pewno w niej, ale sądzę, że również w tobie. Może nie wszyscy ludzie są tacy źli? Jeśli taka myśl przemknęła ci przez głowę, dziękuję ci, ale ostrzegam, że jest to wyrozumiała ocena. — Kaskadowe tarczki jego torsu, gładkie jak płatki kwiatu, narysowane w coraz ciemniejszych odcieniach srebra. — Ale teraz, kiedy się już oficjalnie poznaliśmy... Aha, przy okazji: jestem Giles. Giles Gunderson. Zwyczaj każe podać sobie ręce, ale skoro dotarliśmy już do fazy łaźienkowej nagości, to myślę, że możemy to sobie darować. Widzisz, od kiedy cię poznałem, bezwiednie wracam do miejsca, z którego wyszedłem. Nie jestem pewien, czy zgadzam się z Elisą. Mówisz, że jesteś zupełnie sam, ale czy naprawdę? Bo jeśli jesteś anomalią, to ja też. — Muślinowe płetwy szare jak chmura popiołu, kości to czarne maźnięcia. — To głupie, ale mam wrażenie, że mnie też wyrwano z mojego miejsca. A może urodziłem się za wcześnie. Emocje, które przeżywałem w dzieciństwie... Byłem za młody, żeby je zrozumieć, i za bardzo wyobcowany, żeby coś z tym zrobić. Teraz, kiedy już je rozumiem, jestem stary. Popatrz na ciało, w którym tkwię. Mój czas się kończy, chociaż mam poczucie, że tak naprawdę nigdy nie miałem swojego czasu. — Kształt czaszki, najgładsze, mięciutkie pociągnięcia. — Ale to niemożliwe, żebym był sam, prawda? Oczywiście, że nie. Nie jestem aż tak wyjątkowy. Takie anomalie jak ja istnieją na całym świecie. W takim razie kiedy anomalia przestaje być anomalią i zaczyna być po prostu efektem tego, jak układa się życie? A może ty i ja nie jesteśmy ostatnimi z naszego gatunku, tylko jednymi z pierwszych? Jednymi z pierwszych lepszych stworzeń w lepszym świecie? Kto nam zabroni mieć nadzieję, że nie jesteśmy z przeszłości, lecz z przyszłości?

Giles przytrzymuje rysunek na wyciągnięcie ramienia. Jak na szkic postaci nie jest zły, a czym

są szkice postaci? Ćwiczeniem przed większym dziełem. Giles znowu rechocze pod nosem. Czy właśnie to planuje? O ja cię, od kilkudziesięciu lat nie czuł się taki nad wiek rozwinięty.

Bierze wdech i odwraca kartkę w stronę wanny. Stwór przechyla głowę, aż jego drugie oko wystaje z wody. Gapi się na szkic, a potem odchyła głowę, żeby porównać rysunek ze swoim zanurzonym ciałem. Naukowcy z Occam mogą sobie twierdzić, że stwór nie ma samoświadomości, ale Giles powiedziałby im co innego. Stwór wie, że tworzy się jego wizerunek, który jest czymś innym od odbicia w rzece. Na tym polega magia sztuki. Uznać możliwość bycia w ten sposób przedstawionym to aktywnie współpracować z artystą. Na Boga, myśli Giles, to prawda: nie są aż tacy różni. Również Giles, w odpowiednim świetle, zanurzony w odpowiedniej wodzie, jeszcze może być piękny.

Dwukołowy wózek na zakupy ma lepsze właściwości jezdne niż jego odpowiednik z Occam, ale chodniki Baltimore stanowią trudniejsze wyzwanie niż gładkie podłogi laboratorium. Jest późne popołudnie, minęły całe wieki, odkąd spała, ale nie jest zmęczona. Tulenie stwora w furgonetce najwyraźniej stanowiło przeciwieństwo tego, co wypełniało strzykawkę Hoffstetlera. Jest naelektryzowana. Wysiadła z autobusu kilka przystanków wcześniej, żeby urządzić sobie krajobrazowy spacer do domu, spalić tę nerwową energię. Chociaż bardzo chce znowu zobaczyć stwora, solankowa woń Patapsco wabi ją, jak świeżo upieczone ciastka wabią dziecko.

Ciągnie za sobą wózek obok mola z zakazem wstępu i doku, w którym pracują ludzie. Dalej widzi wąski pomost. Wolno na niego wchodzić? Ostatnia rzecz, której potrzebuje, to policja. Nie widać jednak żadnych zakazów. Elisa wchodzi nad rzekę, cień miejskich budynków ześlizguje się z jej pleców jak nocna koszula. Nie ma ogrodzenia, nie ma słupków z łańcuchami, nie ma nic oprócz tablicy z napisem: **ZAKAZ PŁYWANIA! ZAKAZ ŁOWIENIA RYB! POWYŻEJ 10 METRÓW AKWEN ŁĄCZY SIĘ Z MORZEM!** Idea łowienia ryb zawsze budziła w niej odrazę, a nikt nie nauczył jej pływać, jednak rozumie treść tego znaku. Kiedy poziom wody osiągnie namalowany na betonowym słupku znacznik 10 metrów — zakładając, że kiedykolwiek będzie padać — kanał umożliwi dostęp do zatoki, a tym samym do oceanu.

Elisa parkuje wózek, stawia stopę na pomoście i zamyka oczy przed tryśnięciem słonej piany, które sugeruje, że dzień nie jest taki pogodny, jak go postrzegała. To tłumaczy, dlaczego pasażerowie autobusu mieli postawione kołnierze i tak usztywnione pozy; żeby nie czuć chłodu własnych ubrań. To tłumaczy również, dlaczego kobieta, która siedziała po drugiej stronie przejścia, dopiero przy trzeciej próbie zauważyła słoneczny uśmiech Elisy.

Kobieta była ładna. Aż do wydarzeń poprzedniego dnia Elisa zawsze marzyła głównie o tym, żeby tak wyglądać. Tak właśnie wyobrażała sobie Julię ze sklepu Julia's Fine Shoes. Szczupła, ale z zaokrągleniami wystarczającymi do wypełnienia pasiastej flanelowej sukienki, całość zaakcentowana sprzączkami z kryształu górskiego, broszką, bransoletkami, kolczykami i obrączką ślubną. Tylko blondwłose „gniazdo os” wyglądało niemodnie, co Elisa przypisywała okoliczności, że miała do czynienia z kobietą pracującą, a kobiety pracujące, jak doskonale wie Elisa, są wiecznie zajęte.

Kiedy nareszcie spotkała się z nią wzrokiem, współpasażerka zawahała się chwilę, zanim odwzajemniła uśmiech. Jak wszyscy inni sprawiała wrażenie skonsternowanej wesołością Elisy. Zerknęła na jej dłoń i chyba zauważyła brak obrączki. Ku zaskoczeniu Elisy nie zareagowała na to z niechęcią, lecz z ulgą. Jej uśmiech stał się mniej obligatoryjny, a bardziej szczery. Elisa czuła, że chociaż podziwia tę piękną, profesjonalną kobietę, ona podziwia ją jeszcze bardziej. Jakby to nie było dostatecznie zwariowane, Elisa miała wrażenie, że słyszy rozbrzmiewające w głowie tej kobiety motto: „Rób to, co każe ci serce. Za wszelką cenę podążaj za swoim sercem”.

Elisa nareszcie tak właśnie postępuje. Ale tutaj, na skraju świata, przy spadającej z każdą sekundą temperaturze, Elisę ogarnia niepokój, kiedy przypomina sobie zestresowany wyraz twarzy współpasażerki. Skoro kobieta, która ma wszystko, może być tak nieszczęśliwa, to jaka jest nadzieja dla woźnej z cmentarnej zmiany, którą ledwo stać na płacenie czynszu, której

niemota odgradza ją od większości społeczeństwa i która trzyma u siebie w wannie ściśle tajnego wodnego mężczyznę?

Elisa otwiera oczy, rozgląda się dookoła, spod zmrużonych powiek patrzy na północ. Nie ma już żadnych wątpliwości: dzień jest szary i ponury. Dowodzą tego odległe światła markizy Arcade, włączane przez pana Arzouniana tylko w sytuacjach, kiedy jest dostatecznie ciemno, aby uzasadniało to ponoszone koszty. Żołądek Elisy robi fikołka. Widać stąd Arcade, a to oznacza, że stwór jest bardzo niedaleko od rzeki. Ta bliskość ją stresuje. Elisa bierze wózek i pędzi do domu.

Zastaje Gilesa pogrążonego we śnie. Jej przyjaciel siedzi na klapie muszli klozetowej, pochrapując, a dłonie ma usmarowane węglem. Cicho, żeby go nie obudzić, Elisa siada na postrzępionym dywaniku, kładzie ramiona na krawędzi wanny i opiera na nich brodę. Patrzy stworowi w oczy, nadal jasne pod wodą, i słucha delikatnego bąbelkowania jego oddechu. Stwór mruga w ramach pozdrowienia. Elisa rozcina wodę palcem wskazującym, który dotyka wierzchu dłoni stwora. Dłoń nieoczekiwanie się odwraca i palec Elisy przypomina pręcik ogromnego, zroszonego, rozchylającego płatki kwiatu. Elisa nasłuchuje własnego oddechu, ale nic nie słyszy. Owszem, od początku porozumiewają się za pomocą rąk, ale to? To jest dotyk. Elisa przywołuje obraz kobiety z autobusu — siedziała tak sztywno, nikogo nie dotykała. Brak strachu, uzmysławia sobie Elisa, można pomylić ze szczęściem, ale to nie to samo. Zdecydowanie nie to samo.

Oglądaj świat przewijany do tyłu. Jest szybszy, wytrawiony z duszy, jak przeciąganie nożem po rybich łuskach, usuwające całą ich migotliwość. Stop. Rozkoszuj się odgłosem naprężenia taśmy magnetycznej. Naciśnij „start”. Nieskończone korytarze, wszystkie identyczne, klony w białych fartuchach suną wzdłuż nich jak płytki krwi. Wyizoluj osobę, która cię interesuje. Przesuń o kilka klatek do przodu, do tyłu. Pokrój taśmę na sekundy, połówki sekund, ćwiartki sekund. Ludzie przestają być ludźmi. Są teraz abstrakcyjnymi kształtami, które możesz studiować, tak jak eremita studiuje Pismo Święte. Ten cień w kieszeni tego naukowca może zawierać tajemnicę całego życia. Ten dziwny uśmiech na zatrzymanej na stop-klatce twarzy może być czaszką diabła. Szesnaście kamer. Nieskończenie wiele poszlak. Przewiń do tyłu, zatrzymaj, przesuń o kilka klatek. Ten korytarz, tamten korytarz. Nie ma wyjścia. Wszystkie drogi prowadzą tutaj, do jego biura. Ani bliżej, ani dalej od prawdy. Utknął.

Oczy Stricklanda są jak przeterminowane parówki, które za chwilę pękną. Przywiózł z dżungli tyle zielonych cukierków, chociaż powinien przywieźć fiołki z *buchité*. Parę kropli, a zobaczyłyby wszystko, co ukrywają te taśmy. Siedzi nad tym już od wielu godzin. Opanowanie sprzętu zajęło mu tylko godzinę. Karabin M1 Garand, cadillac Coupe DeVille, magnetowid — wszystko ma takie same wnętrzości. Trzeba się z tym zespolic. Koło południa przestał czuć pod palcami guziki i pokręta. Teraz ma wrażenie, jakby sterował taśmami za pomocą umysłu. „Na tym polega sekret”, myśli. Niech ten materiał płynie jak woda, ty zanurz w niej ręce i schwytaj rybę.

No i schwytał. Tak po prostu. Kamera 7. Rampa załadunkowa. Pierwsze kilka sekund ostatniej taśmy przed awarią zasilania. Czy kamera skacze do góry? O kilkanaście newralgicznych centymetrów? Strickland przesuwa o kilka klatek do tyłu i do przodu. Przedtem, potem, przedtem, potem.

Wstaje z krzesła. Mógłby przysiąc, że na korytarzach się rozjaśniło. Osłania oczy dłonią, ma gdzieś, czy żandarmi uznają go za świra, i sunie obok F-1 na rampę załadunkową, przemierza tę samą trasę co wykradziony stwór. Pcha jedno skrzydło drzwi i opuszcza dłoń. Nie ma słońca. Jest noc. Znowu stracił rachubę czasu. Na rampie są tylko kałuże oleju. Strickland obraca się na pięcie. Podnosi wzrok na kamerę 7. Potem patrzy na to, co jest pod nią.

Stoją tam cztery osoby, twarze mają lepkie od szoku. Każda z papierosem w garści. Mają uniformy, niedbałe pozy, rozmaite odcienie cery. Łączy ich lenistwo. Od kradzieży obiektu on haruje jak wół w swoim biurze, a oni nie mogą wytrzymać pięciu minut bez zrobienia sobie przerwy, i to tutaj, gdzie nie wolno im przebywać. Ale Strickland potrzebuje informacji. Wypróbowuje twardy, woskowy uśmiech.

— Przerwa na dymka, co? — Czyżby Fleming zatrudniał wyłącznie niemowy? Nie, po prostu są przerażeni, uznaje. — Nie martwcie się, nie narobię wam kłopotów. — Rozciąga uśmiech na boki i czuje, że jego woskowe wargi zaczynają pękać. — Kurde, powinienem do was dołączyć. Mnie też nie wolno palić w środku, ale to olewam. — Woźni ukradkowo zerkają na niestrzepnięty, coraz dłuższy popiół. — Ale powiedzcie mi coś. Jak podnosicie tę kamerę, żeby was nie zobaczyli? — Mają przyszyte do uniformów imiona, jak karteczki przy obroży psa. — Yo-lan-da — odczytuje. — Możesz mi powiedzieć, złotko. Po prostu mnie to ciekawi.

Ciemnobrązowe włosy. Jasnobrązowa cera. Czarne oczy. Usta z rodzaju tych, które lubią

pyskować. Ale nie przy nim. Kobieta zna swoje miejsce. Strickland trochę podgrzewa woskowy uśmiech. To działa. Pod zapachem wybielacza Strickland czuje pot tej kobiety. Yolanda odwraca wzrok od innych czyścicieli sraczy i pokazuje na jakiś przedmiot za ich plecami (na pewno uważa, że dopuszcza się zdrady). Nie jest to tak wyrafinowane urządzenie jak gadżet, który wywalił bezpieczniki, tylko zwykła miotła. Ja pierdołę, miotła.

Strickland skupia myśli na magnetowidzie. Przewijanie do przodu, stop, start, przewijanie do tyłu, przesunięcie. Coraz bliżej newralgicznej klatki.

— Aha — zagaja konwersacyjnym w zamierzeniu tonem, który zupełnie mu nie wychodzi, ale ma to gdzieś. — Widzieliście tu kiedyś doktora Hoffstetlera?

Pierwsze kroki Zeldy po wysiadce z autobusu przed Occam są chwiejne, szyja ją boli od wpatrywania się w zmierzającą w jej stronę falangę Pustaków w kaskach, a jej kostki drżą przygotowane na to, że wylądują na ziemi i zostaną skute kajdankami. Cały dzień się nad tym zastanawiała. Przyjść do pracy? Zgłosić chorobę? Odjechać w siną dal? W pewnym momencie załamała się i powiedziała o wszystkim Brewsterowi. Pewne fakty zretuszowała pod kątem wiarygodności i zdradziła mężowi tylko część prawdy: Elisa ukradła jakiś nieokreślony cenny przedmiot, a Zelda bezwiednie brała w tym udział. Brewster nie miał ani cienia wątpliwości: trzeba ją wydać, bo w przeciwnym razie to ty dostaniesz po dupie.

Zelda zauważyła przed sobą na chodniku Elisę i przechodzi ją dreszcz ulgi. To dobry znak. Elisa mogła uciec, wyjechać z miasta, zostawić Zeldę samą z pytaniami, które na pewno zostaną zadane. Ale nie: przyjechała, punktualnie, wmaszerowuje do holu w ładnych butach. Zelda podąża za nią w niewielkiej odległości, wypatrując poszlak, które podpowiedział jej Brewster, prób zwrócenia na siebie uwagi któregoś z nadzorców itd. Znowu nic z tych rzeczy. Elisa wchodzi do szatni. Zelda nie ma innego wyboru, jak tylko pójść za nią i usiąść obok niej na ławce. Przez jakiś czas nie patrzają na siebie, ale Zelda czuje między nimi obecność wózka, tego ze skrzypiącym kółkiem, ciężkiego od niezziemskiego ładunku.

Przebrana w fartuch Elisa idzie do magazynku i zaczyna pakować rzeczy na swój wózek. Zelda robi to samo. Patrzy, jak Elisa wyjmuje z szafki rolkę worków na śmieci, i robi to samo. Potem Zelda podnosi butelkę z płynem do czyszczenia szyb, a kiedy odstawia ją z powrotem, Elisa natychmiast ją bierze. Poruszają się zgodnie z osobnymi rytmami, ale są coraz bliżej pełnej synchronizacji. Kiedy dłoń Zeldy spoczywa na nowej szczotce z trzonkiem, bo starą całkowicie zdała, dłoń Elisy chwyta za tę samą szczotkę.

Zelda zna wózek Elisy nie gorzej od swojego. Jej koleżanka nigdy nie używa szczotki z trzonkiem i pewno nie potrzebuje nowej. Palce Elisy i Zeldy tworzą bezładną płataninę. Niektóre są brązowe, niektóre białe, ale wszystkie jednakowo doświadczone przez los: zrogowaciałe od szorowania, czarne pod paznokciami, zróżowiałe od żrących detergentów — wszystkie wystają ze spranych mankietów Occam. Zelda czuje, że gardło ściska jej szloch, ale powstrzymuje go, nie zważając na toksyczność chemicznej chmury w magazynku.

Jest to nieme i niewidoczne wybaczenie. W szatni przebywają inni ludzie. W głębi budynku są Fleming i Strickland. Wszędzie indziej kamery i Pustaki. Leciutkie uściśnięcie palców na uchwycie szczotki musi wystarczyć za wszelkie przytulania. Palce naciskają na palce, po czym dłoń Elisy bez oporu oddaje szczotkę i wypycha wózek z pomieszczenia. Zelda zostaje, zamyka oczy, wdycha szkodliwe opary. Maleńki uścisk palców jest oczekiwanym od wielu tygodni miśkiem, gorącymi łzami wylewanymi za kołnierz pocieszającego, uznaniem zasług, docenieniem, przeprosinami, wyrazem podziwu. „Przeżyjemy — mówi uściśnięcie. — Ty i ja razem przez to przebrniemy”.

wstajemy /// słońce zniknęło dalej go nie ma tylko fałszywe słońca tutaj fałszywe słońca to wszystko co czujemy od wielu cykli nie lubimy fałszywych słońc fałszywe słońca nas męczą ale ta kobieta jest ślepa bez fałszywych słońc więc spróbujemy polubić je dla niej dla niej dla niej woda w tej jaskini jest mała ale zaczynamy się goić woda jest lepsza od poprzedniej żadna woda nie powinna sprawiać bólu woda nie powinna być płaską wodą nie powinna być gładką wodą nie powinna być pustą wodą nie powinna mieć kształtu nie ma kształtu wody /// w tej jaskini jest tylko kobieta i mężczyzna i jedzenie ale dobrze jest czuć głód nie czuliśmy silnego głodu od czasu rzeki od czasu trawy od czasu błota od czasu drzew od czasu słońca od czasu księżycy od czasu deszczu głód to życie więc wstajemy i fałszywe słońca podchodzą bliżej mężczyzna nie ukrył fałszywych słońc kiedy sobie poszedł brakuje nam mężczyzny mężczyzna jest dobry siedzi koło małej wody z czarnym kamieniem robi nasze małe bliźnięta dawno temu rzeczni ludzie robili małe bliźnięta z gałązek i liści i kwiatów bliźnięta są dobrymi bliźniętami dzięki nim jesteśmy wieczni teraz rzeczni ludzie zniknęli jest nam smutno ale mężczyzna jest dobry i cały dzień robi bliźnięta to nam daje więcej siły więcej głodu /// kobieta posadziła drzewa w tej jaskini światło prawdziwych słońc przychodzi z zewnętrznych jaskiń teraz dotykamy posadzonych drzew i one dotykają nas są szczęśliwe kochamy drzewa kobieta posadziła inne drzewa na ścianach małe płaskie drzewa nie pachną jak drzewa i nie są szczęśliwe nie są żywe ale kobieta je posadziła i będziemy kochali te małe nieszczęśliwe drzewa dla niej dla niej dla niej /// poruszamy się swobodnie nie trzymają nas metalowe pnącza minęło wiele cykli odkąd poruszaliśmy się swobodnie ta mała jaskinia staje się większą jaskinią jest mężczyzna trzyma nasze bliźnięta które robi oczy ma zamknięte ale oddycha w życiowych schematach wydaje odgłosy snu i to jest dobre i jesteśmy głodni ale nie zjemy mężczyzny bo mężczyzna jest dobry /// czujemy zapach kobiety zapach jest mocny jest inna jaskinia jej jaskinia wchodzimy do środka i kobiety tam nie ma ale jej zapach żyje zapach jej skóry jej włosów jej płynów jej powietrza najmocniej pachną jej płetwy na ścianie tak wiele kolorowych płetw kochamy jej płetwy i martwimy się że straciła płetwy ale nie ma zapachu krwi nie ma zapachu bólu nie ma zapachu strachu i mamy zamęt w głowie /// głód przechodzimy obok mężczyzny do miejsca zapachów jest płaskie i wysokie i białe i próbujemy je podnieść ale jest ciężkie próbujemy je rozbić ale nie znajdujemy szwu i pchamy i ciągniemy i otwiera się i zapachy zapachy zapachy to jest bardzo mała jaskinia zapachów i jaskinia z własnymi fałszywymi słońcami i wyjmujemy kamień ale to nie jest kamień ściskamy i pęka to jest mleko i mleko spada trzymamy je wysoko i pijemy jest dobre chrapiemy kamień i nie jest dobry wypluwamy go i bierzemy nowy kamień i otwiera się i to są jajka tak wiele jajek i jesteśmy szczęśliwi jemy jajka nie są twardymi jajkami które daje nam kobieta tylko płynnymi jajkami ale są dobre skorupki dobrze się chrupie /// zbieramy tyle dobrego jedzenia dużo dobrego jedzenia mężczyzna wydaje z siebie szczęśliwe odgłosy snu i jesteśmy szczęśliwi jest kolejna płaska i wysoka mała rzecz myślimy że jest w niej więcej jedzenia pchamy i ciągniemy i otwiera się ale nie ma tam jedzenia jest przejście i z przejścia idą różne zapachy zapachy z zewnątrz i odgłosy ptaków i odgłosy owadów nie chcemy żeby nas nie było kiedy wróci kobieta ale jesteśmy odkrywcami w naszej naturze jest odkrywać i najedliśmy się jesteśmy mocniejsi minęło już tyle cykli odkąd odkrywaliśmy więc

idziemy

Czerwony telefon. Nie przestanie dzwonić. Strickland nie odbierze. Nie może. Nie może odebrać, zanim nie złapie sytuacji za krótki, łuskowaty ogon. Telefon będzie dzwonił przez pięć minut. A potem minie trzydzieści minut — przy odrobinie szczęścia godzina — zanim znowu zadzwoni. Strickland musi się skupić. Hoffstetler. Ten różowy trockista. Patrzy na telefon takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej nie widział czerwonego koloru, tak jakby to nie była ta sama czerwień co na fladze jego ojczyzny. Strickland wertuje papiery, które wręczył mu Hoffstetler. Dla picu, żeby ten naukowiec się spocił. Strickland przeczytał tylko pierwsze zdanie. Swoimi martwymi palcami nie czuje papieru, ale już go to nie obchodzi. Papier jest dla ludzi, nie dla bogów dżungli.

— Nie odbierzesz? — pyta Hoffstetler. — Jeśli chcesz, żebyś wyszedł i za jakiś czas wrócił...

— Nigdzie nie idź, Bob.

Telefon dalej dzwoni. Mały też wkręciły się w ten dźwięk i wyją swoje polecenia. Strickland wyrównuje plik papierów i szczyrzy zęby w uśmiechu. Hoffstetler unika jego oczu, rozgląda się, kiwa głową w stronę monitorów. Połowa żyje, połowa jest od wczoraj spauzowana. Strickland czuje się tak samo, pół żywy, pół martwy, rozpaczliwie chce znaleźć Deus Brânquia, chociaż jego żyły są poprzetykane grubymi lianami.

— Jak idzie śledztwo? — pyta Hoffstetler.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Mam trop, bardzo obiecujący.

— O, to... — Hoffstetler poprawia okulary. — To wspaniale.

— Jesteś chory, Bob? Wyglądasz trochę szaro.

— Nie, bynajmniej. Może to przez tę szarą pogodę.

— Naprawdę? Myślałem, że skoro jesteś z Rosji, to przy takiej pogodzie będziesz się czuł jak w domu.

Telefon — mały — dalej dzwoni.

— Nie wiem. Nie byłem tam od dzieciństwa.

— Przypomnij mi, skąd do nas przyjechałeś.

— Z Wisconsin.

— A przedtem?

— Z Bostonu. Z Harvardu.

— A przedtem?

— Jesteś pewien, że nie chcesz odebrać...

— Ithaca, prawda? Durham. Mam dobrą pamięć, Bob.

— Tak, dobrze zapamiętałeś.

— Imponujące. Mówię szczerze. Kolejna rzecz, którą zapamiętałem z twojej teczki, to że miałeś gwarantowane do emerytury zatrudnienie na uczelni. Ludzie ciężko na to pracują, prawda?

— Tak, masz rację.

— Zrezygnowałeś z tego, żeby pracować u nas.

— Owszem.

— Coś niezwykłego, Bob. Bardzo mi to pochlebia. — Strickland rozciąga trzymaną w rękach kartkę papieru. Hoffstetler podskakuje na krześle. — Dlatego tak mnie zaskoczyła twoja dymisja — ciągnie Strickland. — Zrezygnowałeś z tych wszystkich zaszczytów, aby dołączyć do naszego małego projektu, a teraz odchodzisz?

Czerwony telefon przestaje dzwonić. Wibracje dzwonka trwają jeszcze przez dwanaście sekund. Strickland je odlicza, obserwując reakcję Hoffstetlera. Naukowiec rzeczywiście wygląda na chorego, ale ostatnimi czasy wszyscy w Occam tak wyglądają. Trzeba znaleźć lepszy dowód. Jeśli Strickland rzuci na tego naukowca tak ciężkie oskarżenia i się pomyli, to ten czerwony telefon będzie dzwonił jeszcze głośniej. Strickland oddycha przez nos, który płonie od upału Sertão. Dodaje to Stricklandowi energii, bada oczy Hoffstetlera. Szemrane, ale zawsze takie były. I spocone, ale połowa tych jajogłowych mdleje na widok żandarma.

— Chcę wrócić do swoich badań.

— Tak? A jakich?

— Jeszcze nie zdecydowałem. Zawsze można się czegoś więcej nauczyć. Myślałem o wielokomórkowości w drzewie taksonomicznym. Mógłbym również rozwinąć moje zainteresowania losowymi i wolicjonalnymi wydarzeniami niedeterministycznymi. Poza tym chyba nigdy mi się nie znudzi astrobiologia.

— Duże słowa, Bob. Hej, a może i mnie byś czegoś nauczył? To ostatnie, astro, jak to było.

— Co chciałbyś wiedzieć?

— To ty jesteś profesorem. Pierwszy dzień zajęć, wszyscy gapią się na ciebie. Co im mówisz?

— Uczyłem ich... piosenki. Jeśli chcesz znać prawdę.

— Chcę. Chcę znać prawdę. Nie znałem cię jako wokalisty, Bob.

— To taka piosenka dla dzieci...

— Jeśli myślisz, że cię stąd wypuszczę, zanim mi zaśpiewasz tę pioszeczkę, to chyba ci rozum odebrało.

Teraz Hoffstetler naprawdę się poci. A Strickland naprawdę się uśmiecha. Zasłania usta dłonią, żeby deliryczne wrzaski małp nie zaczęły wyskakiwać mu z gardła. Hoffstetler próbuje wykręcić się śmiechem, ale Strickland jest nieugięty. Hoffstetler się krzywi, patrzy na dłonie, które trzyma na kolanach. Tykające sekundy tylko pogarszają sprawę. Obaj o tym wiedzą. Hoffstetler odchrząkuje i ku radości Stricklanda zaczyna śpiewać.

„Kolor gwiazdy, moje misiuurki, wynika głównie z jej temperaturki”.

Hoffstetler lekko fałszuje, za to mocniej niż przy mówieniu zdradza swój rosyjski akcent. Sam o tym doskonale wie i ciężko przełyka ślinę. Strickland klaszcze w dłonie, martwe palce chwieją się jak plastik.

— Pięknie, Bob. Ale o co w tym chodzi, jeśli wolno mi zapytać?

Hoffstetler rzuca się do przodu, dostatecznie szybko, żeby zabić. Strickland rozdziawia oczy, szarpie się do tyłu, chwytą za schowaną pod biurkiem maczetę czy jak jej tam. Przeklina sam siebie. Nigdy, ale to nigdy nie wolno lekceważyć przypartej do muru ofiary. Jednak broń na razie okazuje się niepotrzebna. Hoffstetler przysiadł na skraju krzesła, lecz dalej się nie posunął. Jego głos nadal drży, ale nie ze strachu. Upokorzenie zrodziło gniew, ostry jak nadmorskie skały.

— Chodzi o to, że to prawda — rzuca Hoffstetler. — Wszyscy jesteśmy zrobieni z gwiazdnej pyłu, Richard. Tlen, wodór, węgiel, azot i wapń. Jeśli niektórzy z nas dopną swego i nasze kraje wystrzelą główce bojowe, to wszyscy powrócimy do gwiazdnej pyłu. Każdy z nas. Jaki kolor będą miały wtedy nasze gwiazdy? Oto jest pytanie. Pytanie, które mógłbyś sobie zadać.

Przyjazne pogaduszki dobiegły końca. Obaj mężczyźni świdrują się wrogim wzrokiem.

— Twój ostatni tydzień — mówi powoli Strickland. — Będzie mi cię brakowało, Bob.

Hoffstetler wstaje. Kolana mu trzeszczą. Przynajmniej to.

— Oczywiście gdyby był jakiś przełom, to natychmiast wrócę.

— Tego się spodziewasz? Przełomu?

— Nie mam pojęcia. Powiedziałeś, że masz trop.

Strickland się uśmiecha.

— Bo mam.

Czerwony telefon znowu zaczyna dzwonić, chociaż Hoffstetler nie zdążył jeszcze zniknąć. Mała wrzeszczy, tym razem oskarżycielsko. Strickland tak mocno tłucze pięścią w biurko, że słuchawka drży. Boli. Ale również sprawia przyjemność, jak rozgniatanie jadowitych chrząszczy, mrówek pociskowych, tarantuli, wszystkich tych amazońskich paskudztw. Za drugim razem Strickland wybiera lewą pięść. Mniej palców, które mogłyby zboleć. Prawie nic nie czuje. Pięść spada na biurko raz po raz. Stricklandowi się wydaje, że czuje trzaśnięcie w jednym z palców — kolejny czarny szew się rozerwał. Tak samo jest ze szwami Deus Brânquia. Kto się szybciej rozpada? Kto kogo przeżyje?

Strickland podnosi słuchawkę, ale nie czerwonego telefonu, i wykręca wewnętrzny numer Fleminga. Fleming jest wprawdzie chłopcem na posyłki generała Hoyta, lecz podlega również rozkazom Stricklanda. Odbiera po pierwszym sygnale. Strickland słyszy stuk odkładanej na biurko podkładki z klipsem.

— Kiedy doktor Hoffstetler wyjdzie dzisiaj z pracy — mówi Strickland — ma pan go śledzić.

światło wyskakuje spomiędzy drewna pod stopami jak figlarne zwierzęta dużo dobrych kolorów kolor ptaka kolor węża kolor karalucha kolor pszczoły kolor delfina próbujemy je złapać ale to tylko światło no i dźwięk kobieta nazywa to muzyką różni się od naszej muzyki ale kochamy to jarzemy się naszą miłością idziemy za światłem i muzyką i w przejściu znajdujemy kolejną płaską i wysoką i białą rzecz pchamy i ciągniemy i wchodzimy do środka jest to jaskinia która pachnie dobrym mężczyzną i jego skórą jego włosami jego płynami jego oddechem jego chorobą jest choroba słaba mężczyzna jeszcze jej nie czuje i robi nam się smutno ale są też dobre zapachy czarny kamień którego mężczyzna używa do robienia naszych małych bliźniąt widzimy małe bliźnięta w całej jaskini tak dużo bliźniąt dotykamy naszych bliźniąt i szpony mamy posmarowane na czarno i zlizujemy to czarne nie smakuje dobrze jest czaszka mężczyzny a na niej włosy fałszywe jak fałszywe słońca i czujemy się przez to samotni w naszej rzece jest wiele czaszek wszędzie śmierć i to jest dobre dobrze jest znać śmierć wtedy zna się też życie /// tutaj jest lepszy zapach zapach jedzenia najlepszego jedzenia żywego jedzenia czujemy w jaskini zwierzęta zwierzęta są naszymi przyjaciółmi i wychodzą z kryjówek mają szpiczaste uszy i wąsy i długie ogony ich oczy świecą jak nasze kłaniają się nam oferują siebie są piękne kochamy je przyjmujemy ich ofiarę bierzemy jedno i zgniatamy żeby nie było bólu i zjadamy naszego przyjaciela jest dobry krew futro ścięga mięśnie kości serce miłość i jemy i jesteśmy silniejsi i czujemy znowu rzekę wszystkich bogów pierzastego boga łuskowego boga skorupowego boga zębowego boga szponiastego boga obcęgowego boga drzewnego boga wszyscy jesteśmy częścią jednego węża nie ma ty i ja jest tylko my my my my my my /// hałas zły hałas trzaśnięcie jak ten zły człowiek i jego patyk z bólem patyk z błyskawicą syczymy i obracamy się i atakujemy zły człowiek wydaje dźwięk bólu ale źle zrobiliśmy to nie jest zły człowiek to jest dobry człowiek dobry człowiek wrócił do swojej jaskini zobaczył nas jak jemy jego przyjaciela ze spiczastymi uszami wąsami długim ogonem jest nam przykro zmieniamy się na kolor przeprosin na zapach przeprosin na płyny przeprosin na pozę przeprosin nie chcieliśmy zaatakować nie jesteśmy wrogiem jesteśmy przyjacielem przyjacielem przyjacielem dobry człowiek uśmiecha się do nas ale jego zapach się psuje dobry człowiek podnosi ramię i patrzy na nie i wychodzi krew mnóstwo krwi krew spada jak deszcz

Szef projektu ma dostęp do każdego pomieszczenia w Occam poza jednym i właśnie w tym jednym pomieszczeniu znajduje się teraz Hoffstetler: w damskiej szatni. Chwała Bogu, nie ma tutaj kamer. Hoffstetler zaczął patrzeć na kamery jak na gargulce, które trzepoczą skrzydłami ze swoich wyżyn i donoszą o jego każdym posunięciu. Kręcenie się przy drzwiach damskiej szatni ściągnęłoby na niego piętno zbrodźca — niby bez znaczenia, skoro niedługo przestanie tutaj pracować, ale znalazłby się pod ostrzałem pytań — więc wślizgnął się do środka, dojrzał dawne prysznicze przerobione na magazynek dla woźnych i ukrył się za zapasami przemysłowego płynu do czyszczenia.

Ostry dzwonek anonsuje fajrant. Hoffstetler słyszy człapiące wejście kwartetu kobiet z cementarnej zmiany. Kręci mu się w głowie. Pewnie przez ten smród amoniaku. No chyba że to panika. Do końca tygodnia, tylko tyle musi wytrzymać, mówi sobie. Po raz pierwszy — i ma nadzieję, że ostatni — okłamał Michałkowa, powiedział mu, że strzykawka zadziałała i dewończyk nie żyje. Michałkow nagrodził go za to szczegółami: w piątek telefon Hoffstetlera zadzwonił dwa razy, ma się wtedy udać w zwyczajowe miejsce, skąd Bizon zabierze go na statek, a statek zawiezie go do domu, do Mińska, do czekających na niego rodziców. Michałkow pochwalił nawet Hoffstetlera za lata niezłomnej służby. Mówił do niego Dmitri.

Hoffstetler zdejmuje okulary i pociera gałki oczne, które płoną od chemicznych wyziewów. Zemdleje? Skupia się na odgłosach z szatni. Z natury i fachu jest klasyfikatorem, ale nigdy nie zajmował się naukowo kategoryzacją kobiecych głosów. Jedwabiste szelesty. Łobuzerskie odzywki. Delikatne podzwaniania. Dowody na istnienie życia, którego do tej pory nie poznał, ale może jeszcze pozna, jeśli przeżyje do piątku.

— Hej, Esposito! — Głos tej kobiety nosi znamiona latynoskiego akcentu i jest ostry jak syrena sygnalizująca koniec zmiany. — Powiedziałaś temu facetowi, że palimy na rampie? — Przerwa na miganań albo gestykulacyjną odpowiedź Elisy. — Dobrze wiesz, który facet. Ten, co na ciebie łypie. — Przerwa. — Ktoś mu powiedział, że ruszamy kamerą. Tylko ty jedna nie palisz. — Przerwa. — Udajesz niewiniątko, ale ja swoje wiem. Pilnuj się, Esposito, bo inaczej ja cię przypilnuję, *entiendes?*

Oddalające się kroki, a potem współczujące pomruki — prawdopodobnie pochodzące od woźnej, która ma na imię Zelda, wydaje się Hoffstetlerowi. Wstrzymuje oddech, czeka, aż Zelda odejdzie od Elisy. Słyszy jednak co innego: gwar na górze, w holu, zaczyna przychodzić dzienna zmiana. Nie ma czasu. Hoffstetler rusza do akcji, na czworakach idzie po wilgotnych kafelkach. Wystawia głowę zza węgła. Elisa siedzi na ławce. Zelda stoi obok niej i czesze włosy, przeglądając się w szafkowym lustrze. Hoffstetler musi zaryzykować. Macha dłonią, aby zwrócić na siebie uwagę Elisy.

Jej głowa szarpie w jego stronę. Elisa jest ubrana, ale odruchowo się zasłania i podwija nogę, ustawia ją w pozycji do kopnięcia. Jej buty mocno rzucają się w oczy — są jasnozielone z cekinami, a obcasy głośno stukają o kafelki, skutkiem czego Zelda obraca się i widzi Hoffstetlera. Jej pierś rozdyma się do krzyku, ale Elisa chwyta ją za bluzkę, zrywa się z ławki i ciągnie Zeldę w akwamarynowy półmrok dawnych pryszniców, jej wolna ręka miga jak szalona, zapewne sypie litanię pytań. Hoffstetler unosi dłonie, błagając, żeby dać mu chwilę.

— Gdzie on jest? — szepcze Hoffstetler.

— Mają nas — sapie Zelda. — Elisa, mają...

Elisa miga do niej zdawkowo, żeby się zamknęła, a potem miga do Hoffstetlera i sygnalizuje Zeldzie, by przetłumaczyła.

Zelda mierzy Hoffstetlera niechętnym wzrokiem, po czym oznajmia krótko:

— W domu.

— Musisz się go natychmiast pozbyć.

Elisa miga, Zelda tłumaczy:

— Dlaczego?

— Strickland depcze nam po piętach. Nie mogę obiecać, co mu powiem, jeśli użyje... on ma tę pałkę... — Nie trzeba znać języka migowego, aby zrozumieć, że Elisa jest spanikowana. — Masz możliwość przetransportować go do rzeki?

Z twarzy Elisy odpływają emocje. Głowa opada i Elisa wpatruje się w swoje wysadzone klejnotami buty, a może w fakturę kafelków między nimi. Po chwili jej dłonie się unoszą, niemrawo, jakby zwisały z nich ciężarki, i miga ze zrozpaczonym wahaniem. Zelda tłumaczy każdy fragment na bieżąco.

— Ponad dziesięć metrów. Akwen. Łączy się z morzem.

Zelda patrzy pytająco na Hoffstetlera. Nie wie, co te słowa znaczą, ale on wie. Ta wątpliwość, ale nieskończenie pomysłowa woźna mieszka zapewne dostatecznie blisko rzeki, aby dostarczyć dewończyka na jakieś molo. Ale to nie wystarczy. Jeśli wiosenna susza się nie skończy, stwór utknie tam jak ryba wyrzucona na mieliznę i jego los nie będzie lepszy, niż gdyby Strickland dalej trzymał go przykutego do filara.

— Nie ma innej możliwości? — pyta Hoffstetler. — Furgonetka... Zabraliście go furgonetką, nie moglibyście go przewieźć do oceanu...

Elisa kręci głową jak dziecko, rzęsy ma zlepione łzami, policzki i szyja zabarwiają się na czerwono, nie licząc dwóch keloidowych blizn, które zachowują gładki i delikatny różowy kolor. Hoffstetler chce złapać ją za sukienkę i potrząsnąć nią, zagrzechotać mózgiem, żeby wytrześć z niej egoizm. Nie zdąża jednak: dzwoni telefon i ta wściekła kobieta z latynoskim akcentem zaczyna krzyczeć, jej głos odbija się od ścian szatni.

— Telefon do Elisy? To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Jak ona ma odebrać telefon, do cholery?

— Kto to jest, Yolanda?

Huknięcie jest tak głośne, że wywleka Hoffstetlera z bajora konsternacji. Pochodzi od Zeldy, którą Hoffstetler spisał już na straty jako sparaliżowaną strachem przed utratą pracy albo czymś jeszcze gorszym. Chociaż sytuacja całej trójki stała się tragiczna, działanie tej kobiety, która skacze jak lwica na pomoc Elisie, napawa go czymś małym, ale cennym, cieńszym od błony komórkowej, mniejszym od cząstki subatomowej: nadzieją.

Brązowe oczy Zeldy kipią ostrzeżeniem dla Hoffstetlera, a potem to ona chwyta Elisę za ramię i ciągnie za sobą. Hoffstetler nie ma innego wyboru, jak tylko się cofnąć, ale niedaleko, bo wie, że będzie musiał uciec z szatni, zanim zaczną się schodzić pracownicy dziennej zmiany, wie, że czekają go jeszcze trzy dni tej presji, wie, że nie będzie dziś w nocy spał, ponieważ nie udało mu się przekonać Elisy do jedynej sensownej drogi postępowania. Całkiem niewykluczone, że już nigdy nie będzie spał. Uskakuje za butelki płynu do czyszczenia, a po szatni krąży echo ostatnich słów Yolandy.

— Jestem dozorczynią Zeldą, a nie panią z centrali. Jerry? Jeremy? Giles? Jak ja to mam

pamiętać?

Elisa widziała mieszkanie Gilesa tysiące razy i zawsze był to świat tweedowych brązów i cynowych szarości. Teraz jest jasnoczerwony. Krew na podłodze. Na ścianie. Krwawy odcisk dłoni na lodówce. Elisa weszła zbyt szybko, żeby odstąpić na bok i teraz bezradnie patrzy, jak jej zielone buty znaczą na czerwono jej przejście po dywanie i linoleum. Podpiera się o deskę kreślarską Gilesa, z której zeskakują dwa koty. Zmusza się do analizy plam krwi, próbuje ustalić, w którą stronę prowadzą. Prowadzą jednak we wszystkich kierunkach.

Łącznie z drogą do drzwi wejściowych. Elisa idzie w tę stronę i widzi paseczek krwi łączący drzwi Gilesa z jej drzwiami. Wpada do swojego mieszkania i widzi Gilesa leżącego na sofie. Przyskakuje do niego, jej kolana lądują na węglowych szkicach zaakcentowanych czerwoną krwią. Twarz Gilesa jest blada; jej przyjaciel mruga w zwolnionym tempie; dygocze. Jego lewe ramię jest niedbale owinięte w niebieski ręcznik nasączony fioletem. Elisa patrzy w stronę łazienki.

— Nie ma go tutaj — skrzeczy Giles.

Elisa chwyta jego twarz w dłoń. Jest ciepły, nie zimny. Pyta go oczami, a on odpowiada wątlwym uśmiechem.

— Był głodny. Zaskoczyłem go. To jest dzikie stworzenie. Nie możemy od niego oczekiwać, że będzie się zachowywał inaczej.

Skoro i tak trzeba to zrobić, zrób to szybko, myśli Elisa. Odwija lepki ręcznik z ramienia Gilesa. Od nadgarstka do łokcia biegnie rozcięcie cienkie jak pajęczna nić, mógł je wyłobić tylko rogowaty szpon stwora. Jest głębokie, dalej krwawi, ale nie tryska krwią. Elisa pędzi do łazienki, porywa z półki czyste prześcieradło, biegnie z powrotem i zaczyna owijać ranę. Wygląda to jak płócienny wir otulający ramię morską pianą — nawet tutaj, nawet w takiej chwili Elisa wszędzie widzi wodę. Giles się krzywi, ale uśmiech dalej wisi na jego twarzy jak tania maska. Elisa przykładą lepką dłoń do jego policzka.

— Nie użalaj się nade mną, moja droga, tylko idź go znaleźć. Na pewno nie zaszedł daleko.

Elisa nie widzi innego rozwiązania. Wybiega na korytarz i zamyka za sobą drzwi. Trudno jest zobaczyć cokolwiek oprócz krzykliwych chlapnięć krwi, ale Elisa się dyscyplinuje i znajduje czerwone maźnięcia znaczące odrębny trop w stronę schodów przeciwpożarowych. Niemożliwe, myśli. Stwór za bardzo by się bał. W kinie na dole rozbrzmiewają fanfary — to jest całkiem podobne do płyt, które puszczała mu w F-1, prawda? Biegnie, śmiga w dół po metalowych schodach tak szybko, że czuje zawroty głowy jak w zerwanej windzie, a potem potyka się na uliczce z tyłu i na chodniku koło Arcade, zawadza o jedwabną linę oślepioną jasnością gabloty.

W takim świetle plamy krwi, teraz już nieliczne, wyróżniają się jak rozrzucone klejnoty. Prowadzą do kina. Elisa zerka w stronę kasy biletowej. W okienku widzi pana Arzouniana, który ziewa, walczy ze snem. Elisa nie daje za wygraną. Patrzy na swoje stopy, szmaragdowe buty Mary Janes z grubymi sprzączkami i kubańskimi obcasami, całkiem niezłe do tańczenia, i mówi sobie, że jest Bojanglesem z wyłączonym dźwiękiem w telewizorze. Tanecznym krokiem mija pana Arzouniana, tak jak minęła już w życiu wielu bumelujących mężczyzn w Occam.

Wytarty dywan pod jej stopami ustępuje miejsca kafelkom z motywem w stylu Nawahów. Elisa zadziera głowę i patrzy na ozdobioną zakurzonym murałem kopułę, która według pana

Arzouniana w latach czterdziestych i pięćdziesiątych witała celebrytów, polityków i rekinów przemysłu. W tamtych czasach Arcade się liczyło, a biur na górze nie przekształcono jeszcze w dwa nędzne mieszkania. Sędziwy wiek i lekceważenie otoczenia nie oznaczają, że coś nie jest piękne; Elisa z całego serca w to wierzy. Jest jednak za jasno i Elisa wie, że stwór będzie szukał ciemności.

Nawet zanurzona w roziskrzonym świetle filmu Elisa nie widzi ani jednego tyłu głowy na którymkolwiek z tysiąca dwustu miejsc. To nie ma znaczenia: ekran, balkon i konstelacje świateł na suficie nadają kinu majestat bazyliki. I czy w dzieciństwie Elisa nie przychodziła tutaj na kinematograficzne nabożeństwa? To tutaj znalazła materiały budowlane do wzniesienia pięknej fantazji życia i tutaj, jeśli szczęście się do niej uśmiechnie, uratuje to, co z tej fantazji zostało.

Idzie między rzędami foteli z nabożnym przygarbieniem. Zbliża się koniec wyświetlania *Historii Ruth*, biblijnego eposu, z którego Elisa zna tylko najgłośniejszy dialog i wszystkie efekty dźwiękowe. Między zerknięciami w lewo i w prawo przebiega oczami przez ekran, na którym spocony tłum niewolników tłucze kamienie pod groźnym owadziokim spojrzeniem gigantycznego pogańskiego posągu. Czyli tak wygląda Kemosz, którego imię tak często przebijało się przez jej podłogę. Jeśli stwór też jest bogiem, to znacznie mniej przerażającym.

W głowie Elisy kłębi się od koszmarnych obrazów stwora wędrującego po centrum Baltimore, kiedy nagle widzi ciemny kształt brnący między pierwszym i drugim rzędem. Pochyla się jeszcze bardziej, żeby promienie projektora o nią nie zawadziły. Jest, siedzi z kolanami podciągniętymi pod falujący tors, ramiona ma owinięte wokół głowy. Elisa zagłębia się w rząd foteli, porzuca ukradkowość, stuka obcasami, a stwór syczy — brutalne ostrzeżenie, którego nie słyszała od czasu, kiedy po raz pierwszy zbliżyła się do niego z jajkiem. Jest to odgłos drapieżnika, więc Elisa staje, strach skuwa jej ciało lodem, nie jest odważniejsza od niezliczonych zwierząt, które kiedyś pokazywały brzuch tej wyższej istocie.

Od strony głośników rozbrzmiewają krzyki bólu jak nagrania terenowe z dżungli, towarzyszą im odgłosy chłostania po plecach mężczyzn, którzy usiłują przesunąć kamiennego idola. Stwór ściska głowę dłońmi, jakby chciał zmiażdżyć sobie czaszkę. Elisa osuwa się na kolana i idzie na czworakach po lepkiej podłodze. Spływające kaskadą kolory światła zamieniają oczy stwora w kalejdoskop. Stwór czmycha do tyłu i klęka zdyszany.

Ogłuszający huk. Elisa nie może się powstrzymać od spojrzenia na ekran: Kemosz obalony, przygniótł wrzeszczącego niewolnika. Stwór reaguje żałościwym skamleniem i dygotem psa. Może się boi, że to on spowodował ten ekranowy ból, bo przestaje się cofać i wyciąga ręce w stronę Elisy. Elisa dociera do niego i obejmuje ramionami. Jest zimny. Jest suchy. Skrzela trzepoczą o jej szyję, szorstkie jak papier ścierny. Trzydzieści minut, ostrzegął Hoffstetler, nie dłużej. W kinie jest wyjście awaryjne. Prowadzi na uliczkę z tyłu. Elisa wyprowadzi go na zewnątrz, a potem zabierze na górę, do strefy bezpieczeństwa. Na razie jednak chce jeszcze przez kilka sekund obejmować to piękne, smutne stworzenie, które na tym świecie nigdzie nie będzie bezpieczne.

Ręka ją boli od migania „szpital”, ale Giles nie chce jechać i Elisa rozumie dlaczego. Lekarze umieją rozpoznać rany od szponów, a przepisy o ochronie przed groźnymi zwierzętami narzucają określone procedury: wizyty u pana Arzouniana, przeszukania Arcade Apartments w celu sprawdzenia, czy któryś z lokatorów nie ukrywa niebezpiecznego zwierzęcia. Oczywiście ukrywa, a oboje z Gilesem wiedzą, co miejscowe władze robią z niebezpiecznymi zwierzętami: odbierają je ich nieodpowiedzialnym właścicielom i usypiają.

Uległa więc prośbom Gilesa i zaaplikowała mu domową terapię opartą na jodynie i bandażach. Giles żartował sobie na każdym etapie, dając w ten sposób znać, że nie ma pretensji, ale jej to nie uspokoiło. Jeden z kotów Gilesa zjedzony. Rana, która może zakwitnąć lichem jakimiś zakażeniem. Giles jest stary i nieszczególnie odporny. Jeśli coś mu się stanie, to będzie jej wina — Elisy i jej serca, nad którym nie potrafi zapanować. A to znaczy, że jej serce też jest dzikim zwierzęciem, drugą żywą istotą, którą należałoby zamknąć w klatce, gdyby u jej progu pojawiły się służby ochrony przed groźnymi zwierzętami.

Elisa monitoruje Gilesa, pilnuje, żeby zjadł zupę, kiedy oboje słyszą pluskanie wody w wannie. Patrzą na siebie. Oboje już wiedzą, że stwór potrafi poruszać się w wodzie, wychodzić z niej i wchodzić do niej bezdźwięcznie, a to oznacza, iż celowo im zasygnalizował, że wstał. Dłoń Gilesa zaciska się na łyżce jak na pałce i Elisie pęka serce na ten widok. Wszyscy się zmieniają, wszyscy na gorsze.

Wyjście z łazienki zajmuje stworowi minutę. Człapie powoli z twarzą ku ziemi, skrzela ma płaskie i uległe, śmiertelnie groźne szpony ukryte za udami. Płetwy na plecach zgarbiły się pokornie, a jedno ramię przycisnął do ściany, jakby się przykuł do któregoś z betonowych słupów Stricklanda. Elisa jest przekonana, że ani razu w swoim nieznanym procesie starzenia się życia stwór nie zaznał bólu wyrzutów sumienia, więc wstaje i wyciąga do niego ramiona, bardzo chce przyjąć jego przeprosiny, chociaż odrzuca własne.

Stwór boi się na nią patrzeć i przechodzi smętnie koło jej rozpostartych ramion, drży tak potwornie, że łuski się odrywają i lądują na parkiecie, gdzie migają jasno jak konstelacje światła na suficie kina. Stwór człapie przez pokój jak jeden z chłostanych niewolników Kemosza, zrównuje głowę z głową Gilesa, który siedzi przy stole. Giles kręci głową i unosi dłoń.

— Proszę cię, nie zrobiłeś nic złego, chłopcze.

Stwór wyjmuje dłoń z kryjówki i dźwiga do góry, stopniowo, prawie niedostrzegalnie, w końcu wszystkie dziesięć szponów, do połowy schowanych w palcach, chwytając zabandażowane ramię Gilesa. Giles patrzy na Elisę, a ona na niego, tak samo zdezorientowana i pełna nadziei. Obserwują, jak stwór podnosi ramię Gilesa ze stołu, tak czule, jakby to było niemowlę, i umieszcza je przed swoją twarzą. Chociaż stwór jest skruszony, jego poza niepokoi: wydaje się, że zamierza zjeść ramię Gilesa. Przypomina skarczone dziecko, któremu kazano dokończyć obiad.

Tymczasem wydarza się coś mniej brutalnego i znacznie dziwniejszego. Stwór liże ramię. Jego język, dłuższy i bardziej płaski niż u człowieka, wysuwa się spomiędzy podwójnych szczęk i przywiera do bandaża. Usta Gilesa się poruszają, ale jest za bardzo zaskoczony, żeby cokolwiek wyartykułować. Nie lepiej radzi sobie Elisa; jej zwisające bezwładnie ręce nie układają się

w żadną literę. Stwór obraca ramię Gilesa, moczy cały bandaż, który przesiąka do samej skóry, wyschnięta krew z powrotem przechodzi w stan płynny i stwór zlizuje ją do czysta. Opuszcza błyszczące ramię na kolana Gilesa, pochyla się powoli, a potem, jakby w ramach pożegnalnego pocałunku, liże Gilesa w czubek głowy.

Rytuał nagle dobiega końca. Giles podnosi wzrok na stwora.

— Dziękuję.

Stwór nie reaguje. Za bardzo się wstydzi, żeby się poruszyć, myśli Elisa. Ale to był męczący dzień dla istoty, która czuje się dobrze tylko w wodzie: jego skrzela i tors zaczynają się rozdymać i drżeć. Elisa chce przemyć ramię Gilesa, jeszcze raz posmarować jodyną, zawinąć w nowy, sterylny bandaż, ale nie może znieść myśli, że miałyby urazić stwora. Podchodzi do niego, kładzie dłoń na jego pochylonych plecach i delikatnie popycha w stronę łazienki. Stwór jest posłuszny, ale idzie tyłem, żeby móc dalej bić pokłony Gilesowi. Nigdy nie miał w sobie tak mało wdzięku. Elisa musi przepchnąć go przez drzwi łazienki i przy okazji stwór trąca ramieniem drzewka z odświeżaczem powietrza.

Elisa pomaga mu wejść do wanny. W łazience nie pali się światło. Głowa stwora zanurza się w wodzie, lecz ani trochę nie rozwadnia to blasku jego oczu. Elisa odwraca wzrok, żeby nasypać do wody soli, ale czuje, że stwór na nią patrzy. Przez całe życie czuła, jak mężczyźni na ulicy albo w autobusie śledzą jej ruchy. To jest co innego. To jest przyjemne. Wkłada rękę do wody, żeby zamieszać sól i spotykają się oczami, tylko na chwilę, ale to wystarcza, żeby Elisa wyczytała z jego wzroku wdzięczność i zdumienie. Odjechany pomysł. Ona go zdumiewa. Jak to możliwe, skoro to on jest najbardziej zdumiewającą istotą w dziejach świata?

Elisa przestaje mieszać. On trzyma dłoń koło twarzy. Taki drobny gest, więc Elisa go wykonuje: kładzie dłoń na jego policzku. Jest gładki. Mogłaby się założyć, że naukowcy nie odnotowali tego w swojej dokumentacji. Zarejestrowali tylko zęby, szpony, kolce. Elisa gładzi go teraz po szyi i ramieniu. Woda ma temperaturę pokojową i on też, może dlatego Elisa nie czuje, jak jego dłoń przesuwają się w górę jej ramienia, dopóki nie dociera do miękkiej, niebieskawej skóry przy wewnętrznym zgięciu jej łokcia. Łuski na jego dłoni to lilipucie szkieleciki, figlarnie skrobują jej skórę, szpony kłują, ale nie na tyle mocno, żeby przebić skórę, wędrują po jej bicepsach, zostawiając białe ślady.

Po opatrzeniu Gilesowi rany Elisa przebrała się w cienką jak muślin koszulę pochodzącą z czasów dzieciństwa, toteż kiedy dłoń stwora przenosi się z jej ramienia na tors, bawełna natychmiast przemaka jak pod wpływem czarów. Najpierw jedna pierś, a potem druga. Elisa czuje na sobie ucisk przywierającej do skóry koszuli. Czuje się naga pod jego dłonią, czuje każde drgnienie falującej piersi, nie oddycha, ale nie dlatego, że dzieje się coś zakazanego. On zawsze jest przy niej nagi i już najwyższa pora, żeby dołączyła do niego w tym naturalnym stanie.

Łazienka rozjarza się od dołu. *Historia Ruth*, myśli Elisa, operator włączył projektor przed następnym seansem. Ale nie ma muzyki. Źródłem rozjarzenia jest stwór, światła jego ciała nasączają wodę różem jak flamingi, jak petunie, jak niepoliczona fauna i flora ze świata, który Elisa zna tylko z nagrań terenowych: rik-rik, czuka-czuka, kuru-kuru, ziii-iii-iii. Elisa wygina się do przodu, całym ciężarem napiera na dłoń na tyle szeroką, że mieści się w niej cały tors Elisy.

Gdzieś daleko Giles syczy z bólu. Elisa uświadamia sobie, że ma zamknięte oczy; otwiera je. Stwierdza, że całe jej ciało się poruszyło. Tak bardzo pochylała się nad wanną, że jej włosy są w wodzie. Chce się jeszcze bardziej pochylać i zanurzyć, replikując liczne sceny ze swoich snów, ale Giles jest ranny, i to za jej sprawą, więc trzeba znowu opatrzyć mu ranę, zwłaszcza że została

polizana przez stwora. Elisa z wielkim wysiłkiem prostuje kręgosłup. Dłoń z wolna wędruje po jej brzuchu i wraca do wody bez chlupnięcia ani żadnego innego dźwięku.

Przed wyjściem z łazienki Elisa narzuca na mokrą koszulę szlafrok. Nie podchodzi jednak do Gilesa, lecz go mija i zbliża się do okna. Przytyka czoło do szyby. Przyciska do niej dłoń. Wzrok jej się rozmywa, ale nie dlatego, że płacze. Na oknie jest woda, wisi małymi globulkami na szybie, ześlizguje się mokrymi strużkami po szkle. Elisa czuje, że się jednak rozpłacze.

Pada deszcz.

Strickland zdrową dłonią kręci gałką zmiany kanałów. Obraz jest niewyraźny, odbarwiony. Cholerna kupa złomu. Nieźle za nią wybulił w sklepie, który nazywał się Kosciuszko Electronics. Czy to z winy kabla? Drutów? Czy jedno z dzieci wylało na nie szklankę soku? Strickland ma ochotę zdjąć tylną pokrywę telewizora i znaleźć winowajcę, ale powstrzymuje go irracjonalny strach, że wnętrzości telewizora będą przypominały gadżet, który wywalił prąd w Occam, że będą wyglądały jak spalony gąszcz. Skoro nie umiał zidentyfikować gadżetu, to dlaczego miałyby umieć zdiagnozować usterkę telewizora?

A może ta przekłeta pogoda zakłóca sygnał. Strickland siedzi w Baltimore już tyle czasu, a mógłby przysiąc, że nigdy wcześniej nie widział tutaj deszczu. Leje cały dzień. Na dachu jest antena, pająkowata, otwarta jak nadajnik-o odbiorniki kapsuł kosmicznych, które zauważył w Occam. Kusi go, żeby wejść na dach i podłubać przy antenie w deszczu. Popatrzeć, jak burza gęstnieje i przewala się. Zaśmiać się w twarz błyskawicy. Znaleźć się w niebezpieczeństwie, które mężczyzna potrafi zrozumieć.

Tymczasem siedzi pośród ruin salonu. Rodzina, w którą trafił piorun, ale trzeba wiedzieć, gdzie szukać oparzeń, żeby się zorientować. Tammy nudzi, że chciałaby mieć szczeniaczka. Timmy chce oglądać *Bonanzę*. Lainie gędzi o żelatynowym pucharze lodowym, jakiejś pomarańczowej mazi, z której jest dumna, chociaż cała jej zasługa sprowadza się do tego, że wyjęła ją z pudełka. Ostatnimi czasy jedzą wyłącznie posiłki z pudełka. Z czego to wynika? Strickland wie z czego: Lainie przez większość dnia nie ma w domu, robi diabli wiedzą co. Nie należało przychodzić do domu. Należało kolejny raz przemocować w biurze. W końcu generał Hoyt dzwonił do Occam zaledwie cztery godziny temu. Co gorsza, zadzwonił do Fleminga. Z jasnym jak słońce komunikatem. Strickland ma dwadzieścia cztery godziny na znalezienie obiektu, bo inaczej będzie po jego karierze.

Co to dokładnie znaczy? Sąd wojskowy? Więzienie wojskowe? Jeszcze gorzej? Wszystko jest możliwe. Strickland się wystraszył. Wsiadł do zmasakrowanego cadillaca, o którym ludzie w Occam — mógłby przysiąc — zaczynają szeptać i śmieją się z niego, i pojechał do domu. Gdy tylko dotarł, zadzwonił Fleming. Zrobił to, o co poprosił go Strickland, i śledził Hoffstetlera jak zawodowca. Nie powinno mnie to dziwić, pomyślał Strickland. W końcu Fleming jest psem, a psy mają nosa do gówna. Fleming mówi, że ma zdjęcia Hoffstetlera pakującego swoje rzeczy w nieumeblowanym domu. Powiązano Hoffstetlera z rosyjskim attaché, który nazywa się Michałkow. Deus Brânquia być może nadal przebywa w kraju, a nawet w mieście. Strickland powinien być w tej chwili tam, pośród nocy, na deszczu, znaleźć stwora i zakończyć to wszystko, wypełnić swoje przeznaczenie.

Tymczasem dalej obraca pokręteł zmiany kanałów. Gdzie, do diabła, jest *Bonanza*?

— *Bonanza* jest dla dorosłych — mówi Lainie. — Zostawmy na *Dobie Gillis*.

Strickland się wzdraga. Musiał powiedzieć to na głos. Zerka na Lainie. Nie może znieść jej widoku. Wczoraj wróciła do domu z nową fryzurą. „Gniazdo os” zniknęło jak odrąbane amazońską maczetą i zastąpiła je mniej postrzępiona fryzura, sinusoida falująca po dziewczęcemu na szyi. A przecież Lainie nie jest dziewczyną, tylko matką. Lainie jest żoną, do ciężkiej cholery!

— Ale tata powiedział, że możemy oglądać *Bonanzę*! — woła Timmy.

— Skoro Timmy'emu wolno oglądać *Bonanzę* — argumentuje Tammy — to ja powinnam dostać szczeniaczka.

Doktor Kildare. Perry Mason. Flintstonowie. Te same trzy programy, parę martwych kanałów. Strickland niczego innego nie ogląda. Czuje dygot grzmotu. Patrzy przez okno. Nie widać nic oprócz deszczu uderzającego o okno jak owady o przednią szybę samochodu. Poza tym, że flaki są natychmiast splukiwane. Jego flaki też. Jego kariera, jego życie. Ta parodia amerykańskiej sielanki. Zasrany puchar lodowy, wyimaginowane szczeniaczki, western, którego nie można nigdzie złapać.

— Nikt nie dostanie szczeniaczka — mówi Strickland. — Wiesz, co się dzieje ze szczeniaczkami? Stają się psami.

Lekarz, prawnik, jaskiniowiec. Postacie na kanałach mylą mu się z własnym odbiciem w ekranie. To on jest lekarzem, prawnikiem, jaskiniowcem. To on cofa się w rozwoju, przeżywa regres. Poznaje to po zaniku cywilizowanych manier, po wzbierającej w nim prymitywnej żądzy krwi. Skalpel, młotek sędziowski, pałka.

— Richard — mówi Lainie — Myślałam, że uzgodniliśmy, że przynajmniej...

— Pies to dzikie zwierzę. Można próbować go udomowić. Jasne, że można. Ale któregoś dnia pies pokaże swoją prawdziwą naturę i ugryzie. Tego chcesz?

Czy psem jest w tym kontekście *Deus Brânquia*, czy on sam?

— Tato! — Timmy macha rękami. — Właśnie przeskoczyłeś!

— Co ci mówiłam, Timmy? — karci go Lainie. — Ten serial jest za bardzo brutalny.

Ludzie umierają na stole operacyjnym, ludzie umierają w więzieniu, cały gatunek wymiera. Trzy kanały wirują coraz szybciej. Są też wymarłe kanały, fantomowe sygnały, czyściec trzasków, do których nikt się nie przyznaje. Strickland nie potrafi przestać obracać gałką.

— *Bonanza* nie jest brutalna — burczy. — To świat jest brutalny. Moim zdaniem to się nadaje do oglądania. Tylko to się nadaje do oglądania. Chcesz się nauczyć, jak być mężczyzną, Tim? To naucz się, jak spojrzeć problemowi w twarz i go rozwiązać. Strzelić mu w łeb, jeśli trzeba.

— Richard! — woła zbulwersowana Lainie.

Gałka się urywa. Zostaje mu w dłoni. Strickland patrzy na nią osłupiały. Nie da się jej z powrotem zamocować. Plastik się odłamał. Strickland opuszcza ją na dywan. Gałka upada bezgłośnie. Dzieci też nie wydają z siebie żadnego dźwięku. Ani Lainie. Są niemi. Nareszcie są niemi. Tak jak sobie tego życzył. Słyszać tylko trzaski kanału, na którym zatrzymała się gałka. To brzmi jak deszcz. Strickland wstaje. Tak, deszcz. Las deszczowy. Tam jest jego miejsce. Był tchórzem, że uciekł tutaj, skoro jego prawdziwy dom jest tam.

Zbliża się do drzwi frontowych i otwiera je. Drobinie przechodzi w ryk. To dobrze, to dobrze. Jeśli się wsłucha, usłyszy małpy, posłańców Hoyta, śmigają w koronach mokrych drzew, wyrzaskują swoje zacierzenia, instruują go, co ma robić. Tak jakby Strickland znalazł się w kopalni złota w Yeongdong pod tymi wszystkimi ciałami. Tak jest, panie generale. Będzie się przedzierał przez ludzkie ciała i przemieszczał kości, aż znajdzie zdadne do oddychania powietrze. Nie ma już znaczenia, kto zostanie przy okazji rozerwany.

Moment później Strickland jest na zewnątrz. Dotarcie do *cadillaca* trwa tylko kilka sekund, ale Strickland jest przemoczony. Deszcz tłucze o stal, przypomina to obłąkane bębnienie kanibali w dżungli. Strickland przebiega palcami po ornamencie na masce, jakimś prymitywnym bożku, po zębach osłony chłodnicy, ociekającej czymś, co ma konsystencję krwi. Po statecznikach tak ostrych, że przecinają krople deszczu na pół. Jak to powiedział dealer, uśmiechnięty, gładko

ogolony Mefistofeles? Będzie pan miał pełnię władzy.

Przebiega palcami po spękany lakierze. Mokre bandaże rozwijają się i spadają na ziemię. Przyszyte palce są czarne jak noc. Strickland marszczy brwi. Nie widzi nawet obrączki. Drugą ręką naciska na jeden z chorych palców. Nie czuje go. Naciska mocniej. Spod paznokcia tryska żółty płyn, spada na blachę samochodu, splukuje go deszcz. Strickland wytrzepuje wodę z oczu. Czy naprawdę to widział?

Nagle jest koło niego Lainie, skulona pod parasolem.

— Richard! Wracaj do środka! Straszysz dzie...

Strickland obiema rękami chwytając Lainie za bluzkę. Czuje, że jego ramię zasysa ból z palców. Rzuca Lainie na zgnieciony tył samochodu. Podmucha wiatru porywa parasol i ciska w noc. Cadillac prawie nie reaguje na uderzenie ciała Lainie. Porządna robota. Zawieszenie z najwyższej półki. Idealnie skalibrowane amortyzatory. Lainie patrzy prosto w ulewny deszcz, który rozmazuje jej makijaż, niszczy nową fryzurę, którą Lainie tak się puszyła. Strickland poprawia chwyt, łapie żonę za chudą, krótką szyję. Musi się pochylić, aby go usłyszała pośród grzmotów i deszczu.

— Myślisz, że jesteś sprytniejsza ode mnie?

— Nie... Richard, proszę...

— Myślisz, że nie wiem, że codziennie jeździsz do centrum? Że kombinujesz za moimi plecami?

Lainie próbuje oderwać jego palce od swojej szyi. Jej paznokcie wbijają się w jego czarne palce. Sączy się jeszcze trochę płynu, zjełczałe żółte krople pryskają na jej policzki i brodę, jarząc się w świetle latarni ulicznej. Szeroko otwarte usta Lainie wypełnia deszcz. Wystarczy, że Strickland będzie dalej ją trzymał, a Lainie się utopi.

— Ja nie... Chciałam... To tylko...

— Myślisz, że ludzie się nie dowiedzą? W takiej zapadłej dziurze? Zobaczą to, Lainie. Tak jak zobaczą ten rozbity samochód. I co sobie pomyślą? Pomyślą, że nie zasługuję na to, aby tutaj mieszkać. Że nie mam kontroli nad swoją rodziną. I bez tego nie brakuje mi problemów. Rozumiesz?

— Tak... Rich... Nie mogę... Nie mogę...

— To ty niszczysz tę rodzinę. Nie ja, tylko ty!

Strickland prawie wierzy w swoje oskarżenie. Zaciska obie dłonie na jej szyi, próbuje utwierdzić się w wyrażonym przed chwilą przekonaniu. Naczynka krwionośne w jej gałkach ocznych nabrzmiewają jak skapnięty na papier czerwony atrament. Lainie wykrztusza coś, co wygląda jak język krwi. To wszystko jest odrażające. Strickland rzuca jej ciało za siebie, lekko jak piłkę. Słyszy łupnięcie o drzwi garażu, miękki dźwięk w porównaniu do wrzasków małp. Deszcz zamienił jego ubranie w drugą skórę. Znowu jest nagi, zupełnie jak w Amazonii. Czuje w kieszeni kluczyki, ostre jak złamana kość. Wyjmuje je. Pokonuje całą satysfakcjonującą długość cadillaca, długość całego życia, wciąż możliwego do uratowania.

Otwiera drzwi i siada za kierownicą. W środku jest sucho. Schludnie. Nadal pachnie nowością. Strickland włącza silnik. Owszem, samochód jęczy przy wrzucaniu biegu, ale zawiezie go tam, gdzie trzeba. Strickland wyobraża sobie zamkniętą szufladę swojego biurka. W środku jest model 70 Beretta. Ten sam pistolet, z którego strzelił do różowego rzeczno-delfina. Będzie mu brakowało elektrycznego pastucha. Mężczyźni przyzwyczajają się do swoich narzędzi, a to było dobre narzędzie. Ale czas pójść dalej. Depcze po gazie, wyobraża sobie gejer błota spod tylnych kół. Na drzwiach garażu, na bluzce Lainie. Przedmieścia zrobiły się brzydkie,

co nie powinno jednak dziwić nikogo, kto ma choć trochę rozumu. Pod spodem wszystko jest brzydkie.

Jest ranek, ale nie ma światła. Wzdłuż przepelnionych rowów odpływowych ciągną się zęby pomarańczowych słupków. Drewniane kozły blokują boczne ulice. Autobus, którym ona jedzie, rozcina trzydzieści centymetrów wody, która napiera na opony. Wszystko to, wytryśnięcia z ziemi, rozłożyste ciemności, odzwierciedla jej lęki. Odkąd zaczęła się ulewa, Elisa dwa razy dziennie sprawdza poziom rzeki, co można porównać do wyjadania łyżeczka po łyżeczce własnego serca. Jutro spełni się życzenie doktora Hoffstetlera. Ona i Giles zakładują stworzenie do Mopsika, pojedą pod pomost i zaprowadzą stworzenie nad wodę. Dzisiaj zatem jest jej ostatni dzień i noc z istotą, która bardziej niż ktokolwiek inny widzi w niej człowieka, którym ona naprawdę jest. Czy nie tak definiujemy miłość?

Elisa patrzy na swoje stopy. Nawet w przypadkowym mroku autobusu widzi swoje buty. Te buty; dalej nie może w to uwierzyć. Poprzedniego dnia, zanim udało jej się wywalczyć kilka godzin niespokojnego snu przed pójściem do pracy, zrealizowała pewne marzenie. Weszła do sklepu Julia's Fine Shoes i chociaż oszołomił ją ostry zapach skóry, szybko się odwróciła w stronę witryny, pochwyciła z marmurowego słupka niskie, wyszywane srebrną nicią buty z kwadratowymi czubkami i pomaszerowała do kasy.

Jak się okazało, Julia z jej wieloletnich wyobrażeń, ta niezwykła piękność ze smykałką do interesów, nigdy nie istniała. Elisa zapytała o to i kasjerka jej wyjaśniła, że „Julia” po prostu ładnie brzmiało. Poprawiło to Elisie humor, kiedy wracała do domu i czuła opinającą stopy skórę rozmigotanych butów. Skoro Julia nigdy nie istniała, to ona będzie Julią. Opieka nad stworzeniem wydrenowała ją z funduszy, a ekstrawagancki zakup doprowadził do bankructwa. Nie przejęła się tym i dalej jej to nie martwi. Buty to kopyta i chociaż ten jeden raz, w ten ostatni dzień, ona też chce być pięknym stworzeniem.

Wysiada z autobusu i rozkłada parasol, ale źle się czuje z tym nieporęcznym ludzkim wynalazkiem. Rzuca go na jezdnię, obraca twarz do nieba i zatracą się w wodzie, próbuje w niej oddychać. Postanawia, że już nigdy nie chce być sucha. Wraca do domu przemoczona i cieszy ją to; deszcz skapuje z jej ubrania i tworzy na korytarzu kałuże — Elisa ma nadzieję, że nigdy nie wyparują. Przed wyprawą stwora do kina nigdy nie zamykała drzwi mieszkania. Teraz wymacuje schowany w zepsutej lampie klucz i wkłada do zamka.

Gilesa nie ma w jego zwyczajowym miejscu. Zanim pojechała do Occam, obiecał, że zajrzy do stwora, ale chce skończyć obraz, do którego szkice węglem służyły jako przygotowanie. Czuje w sobie ogień, powiedział jej. Od młodości nie czuł takiej inspiracji. Elisa w to nie wątpi, ale nie jest głupia: Giles również wie, że zbliża się koniec, i chce dać jej przestrzeń na pożegnanie.

Oczywiście zostawił dla niej włączone radio. Elisa przystaje na chwilę koło stolika, żeby posłuchać. Uzależniła się od radia: polityka, wyniki sportowe, nudne wyliczanki lokalnych wydarzeń, które stanowią zdroworozsądkowe kontrapunkty dla nieposkromionej fantazji, w której ona żyje. Radio gra bez przerwy. Poprzedniego dnia stwór, owinięty mokrymi rękawicami, siedział z nią przy stole, po raz pierwszy w życiu na krześle — niełatwa czynność, jeśli ktoś ma pletwy grzbietowe i krótki, pleciony ogon. Stwór wyglądał jak kobieta, która właśnie wyszła z wanny, więc Elisa się roześmiała, a chociaż on nie miał prawa się domyślić, co

ją tak rozbawiło, rozjarzył się w ramach swojej wersji śmiechu, złote światło pulsowało w jego piersi, a skrzela trzepotały.

Elisa trąca palcami kostki scrabblu. Próbuje go uczyć drukowanych słów. Poprzedniego dnia przyniosła z pracy kilka czasopism, aby pokazać mu rzeczy, których w przeciwnym razie może nigdy by nie zobaczył: samoloty 727, Nowojorska Orkiestra Filharmoniczna, Sonny Liston okładający pięściami Floyda Pattersona, spektakularne fotosy Elizabeth Taylor w *Kleopatrze*. Uczył się z ogromnym zapałem. Delikatnymi ruchami kogoś przyzwyczajonego do tego, że jego szpony wszystko rozrywają, wyciągnął długi palec wskazujący i kciuk, podniósł fotkę z Elizabeth Taylor, umieścił ją na 727, a następnie położył oba zdjęcia na Orkiestrze Nowojorskiej. Potem, jak dziecko bawiące się w samoloty, przesunął 727 przez cały stół, aż wylądował na innej fotografii Egiptu z *Kleopatry*.

Sens był oczywisty: „Aby Elizabeth Taylor dostała się z Nowego Jorku do Egiptu, musiałyby polecieć 727”.

Informacja ta nie była mu oczywiście do niczego potrzebna. Na pewno zrobił to wszystko wyłącznie po to, żeby zobaczyć jej uśmiech, usłyszeć jej śmiech.

To wcale nie znaczy, że stwór dobrze się czuje. Osiedła na nim jakaś szarość, niby fabryczna sadza. Rozmigotane łuski straciły blask i przybrały morskozielony kolor, jak stara moneta na chodniku. Słowem, wygląda na to, że stwór się starzeje, a to może być jej najbardziej niewybaczalną zbrodnią. Od ilu dziesięcioleci, a może nawet stuleci stwór nie stracił ani grama witalności? W Occam przynajmniej mieli filtry, termometry, korowody uczonych biologów. Tutaj podtrzymuje go w zdrowiu tylko miłość. To jednak nie wystarczy. Stwór umiera, a ona jest jego morderczynią.

„Prognozuje się, że ulewny deszcz zaleje dzisiaj górny odcinek Wschodniego Wybrzeża — buczy radio. — Wciąż najgorzej będzie w Baltimore, gdzie przed północą spodziewamy się kolejnych dwunastu do siedemnastu centymetrów deszczu. Ta burza nigdzie się nie wybiera, kochani”.

Elisa podnosi ze stołu czarny marker, którego używała do lekcji języka. Na stole jest kalendarz z przypisanym do każdego dnia ckliwym cytatem ku pokrzepieniu serc, którego Elisa nie potrafi już przeczytać bez rozklejania się. Zdejmuje nasadkę z markera. Jeśli tego nie napisze, jeśli nie zobaczy tego czarno na białym, to nie wie, czy zdoła to zrobić. Wodzenie markerem po papierze jest jak wodzenie nożem po własnej skórze.

PÓLNOC — DOKI

Dziś po raz pierwszy od lat zgłosi chorobę. Nawet jeśli Fleming zarejestruje to jako nietypowe zachowanie, będzie już za późno. Czy Elisa wróci w poniedziałek do Occam? Kwestia ta wydaje się błaha. Raczej nie — wątpi, czy potrafiłaby to znieść. Nie ma pojęcia, z czego będzie żyła. To również wydaje się banalną kwestią rodem z pogrążonej w stagnacji krainy, którą zostawiła za sobą. W dniu, w którym Giles przyszedł do niej i powiedział, że pomoże jej uprowadzić stwora, miał charakterystyczną minę. Elisa sądzi, że ona też ma taką minę. Po pożegnaniu ze stworem nie zostanie nic ważnego do stracenia.

Właśnie tej radości będzie jej najbardziej brakowało: Elisa wraca do domu i w jej polu widzenia pojawia się stwór. To jest ostatni raz, kiedy ogarnie ją ten upojny dreszcz, więc Elisa wchodzi do łazienki powoli, jak do zimnej wody, centymetr po centymetrze. Stwór iskrzy jak chromatyczny koralowiec pod powierzchnią dziewiczego morza. Elisa jest bezsilna, nie potrafi

się oprzeć jego wezwaniu.

Zamyka za sobą drzwi i podchodzi, w jej piersi wzbiera coś, co z początku sprawia wrażenie łzawego smutku, ale potem Elisa czuje w trzewiach mocniejsze szarpnięcie, w którym rozpoznaje namiętność. Ani przez moment nie ma wątpliwości, co zrobi Elisa, nie ma też zaskoczenia. Uzmysławia sobie, że to musiało się tak skończyć, od pierwszej chwili, kiedy zajrzała do kapsuły F-1 i została wciągnięta do środka, nie fizycznie, lecz na wszelkie inne sposoby, przez galaktyki jego łusek i supernowe jego oczu.

Zasłona prysznicowa jest ściśnięta w harmonijkę pod ścianą. Elisa pociąga za nią. Otwiera się metalowe kółeczko. Elisa powtarza tę czynność jedenaście razy, kółeczka dzwonią o ściany i giną w listowiu, każde szarpnięcie za zasłonę jest zdumiewającym, nieodwracalnym aktem zniszczenia, na który nie poważyłaby się żadna woźna z cementarnej zmiany na całej planecie. Elisa rozkłada zasłonę na podłodze jak kołdrę na łóżku, podwija ją pod boazerię i zasłania nią szczelinę pod drzwiami. Kiedy plastik jest maksymalnie naprężony, Elisa wstaje. Nie potrafi rozkazywać wodzie jak stwór, ale dysponuje czymś niewiele gorszym: nowoczesną hydrauliką.

Zatyka umywalkę i odkręca krany. Strzela z nich woda. Elisa pochyla się nad wanną i powtarza te czynności. Odkręcenie obu kurków na pełny regulator to kolejna rzecz, której nie zrobiłaby żadna uboga osoba, ale Elisa nie jest uboga, nie dzisiaj. Dzisiaj jest najbogatszą kobietą świata; ma wszystko, czego mogłaby zapragnąć; kocha i jest kochana, a tym samym jest nieskończona jak stwór, nie jest ani człowiekiem, ani zwierzęciem — jest uczuciem, siłą wspólną dla wszystkiego, co kiedykolwiek było i będzie dobre.

Zdejmuje uniform; to jest jak odciążenie niewolników Kemosza od wydobywanego w kamieniołomie kamienia. Elisa rozpina biustonosz i zdejmuje majtki; to jest z kolei jak rozkucie z kajdan stworzenia zniewolonego przez inne stworzenie. Ubrania spadają bezgłośnie: woda przelała się zarówno z umywalki, jak i z wanny, wypełnia rozpostartą zasłonę, chłapie o kostki Elisy, ślizga się po jej łydkach jak ciepła dłoń. Zostały tylko srebrne buty; Elisa stawia nogę na skraju wanny, żeby stwór mógł zobaczyć jej but, płetwę bardziej fantastyczną od wszystkich, które oglądał na ścianie jej sypialni — jedyna z posiadanych przez nią rzeczy, która jest tak samo jasna i piękna jak on. Nigdy w życiu nie przybrała tak bezwstydnie zmysłowej pozy i słyszy teraz głos dyrektorki sierocińca, która nazywa ją bezwartościową, głupią, brzydką, kurwą. Stwór wstaje — po jego ciele spływa tysiąc bezgłośnych wodospadów — i przestępuje nad brzegiem wanny w oczekujące ramiona Elisy.

Kładą się spleceni na podłodze, części ich ciał znajdują odpowiednie przestrzenie w ciele drugiego. Głowa Elisy zanurza się w wodzie, cudowne uczucie, a potem się przetaczają i ona jest na górze, dyszy, z jej włosów leje się woda, on jest pod falującą powierzchnią i żeby go pocałować, Elisa musi zanurzyć twarz, co ekstatycznie robi, monotonne linie jej nieelastycznego świata miękną, umywalka, muszla klozetowa, gałka od drzwi, lustro, a nawet ściany zatracają swoje kształty.

Pocałunek rozbrzmiewa pod wodą, nie jest to pruderyjne mokre „tsk” ludzkich ust, ale grzmi jak burza, która wlewa się jej w uszy i wskakuje do gardła. Elisa bierze łuskowatą twarz stwora w dłoń, czuje pulsowanie jego skrzeli i mocno go całuje, chce wzmocnić rozpetaną przez nich burzę do natężenia tsunami, żeby spowodować powódź; może stwora uratują jej pocałunki, a nie deszcz. Elisa wypuszcza powietrze do jego ust i czuje, że bąbelki łaskoczą ją w policzki. „Oddychaj — modli się. — Naucz się oddychać moim powietrzem, żebyśmy mogli być na zawsze razem”.

Ale stwór nie potrafi. Swoimi silnymi rękami podnosi Elisę nad wodę, żeby się nie utopiła.

Elisa dyszy, z najróżniejszych powodów, przykładła dłoń do piersi, aby pomóc im w odzyskaniu tlenu. Widzi, że jej ręce pokrywają migoczące łuski stwora. Zachwycona przebiega dłońmi po piersiach i brzuchu, rozsmarowuje łuski, żałując, że w rzeczywistości tak nie wygląda. Z kina na dole dobiega fragment dialogu, który słyszała już sto razy: „Nie turbuj się więcej. Tym razem bądź silna. Z łona wdowy po twoim synu wyjdą dzieci i dzieci dzieci”. Tak, dlaczego nie? Każda kropla wody na jej rzesach jest odrębnym światem — czytała takie rzeczy w artykułach naukowych. Czy jeden z tych światów nie mógłby być światem, który zaludniliby nowymi, lepszymi gatunkami?

Żadna z jej łaźniowych fantazji nie może się z tym równać. Elisa odszukuje wszystkie wzniesienia i zagłębienia w ciele stwora. Stwór ma swój organ płciowy, tam, gdzie powinien być, a ona swój, również na swoim miejscu, i wciąga go w siebie; przy takich ilościach rozkołysanej wody jest to równie łatwe jak wślizgnięcie się jednej podmorskiej płyty tektonicznej pod drugą. Gejzer kinowych światła sączących się spod podłogi i zasłony przyćmiewają pulsujące rytmy krystalicznego koloru, jakby mieli pod sobą słońce, i chyba rzeczywiście mają, bo przecież są w niebie, w kanałach Boga, w sadzawkach Kemosza, robią wszystkie święte i grzeszne rzeczy naraz, wychodzą poza seks do zapłodnienia zrozumieniem, stwór zaszczepia w Elisie pradawną historię bólu i rozkoszy, która łączy ze sobą nie tylko ich dwoje, ale wszystkie żywe istoty. Nie tylko on jest w niej, ale również cały świat i na odwrót.

W ten sposób życie się zmienia, mutuje, wyłania, trwa, jedna istota rozgrzesza swój gatunek, stając się zupełnie innym gatunkiem. Być może doktor Hoffstetler by to zrozumiał. Elisa widzi tylko brzegi tego zjawiska, podnóża góry, czoło lodowca. Czuje się taka mała, tak bajecznie mikroskopijna w tym ogromnym, cudownym świecie, otwiera pod wodą oczy, aby przypomnieć sobie o rzeczywistości. Liście pływają dokoła jak kijanki. Zasłona się rozerwała i trzepocze wokół nich jak oddająca im cześć meduza.

Burzy na zewnątrz, w realnym świecie, sekunduje burza z *Historii Ruth* kończąca biblijną suszę. Ciałem Elisy targają różne wrażenia zmysłowe, z których każde jest jak otwarcie dłoni. Tak, susza się skończyła. Koniec, koniec, koniec. Elisa uśmiecha się, jej usta zalewa woda. Nareszcie tańczy, naprawdę tańczy, w zalanej sali balowej, nie boi się, że pomyli krok, bo jej partner mocno ją trzyma i zaprowadzi ją tam, gdzie ona będzie potrzebowała.

Giles przekłuba pędzlem farbę. Bernie lubi zielony? Szkoda, że nigdy tego nie zobaczy. Giles nie sądził, że taka zieleń jest możliwa. Jak on to zmieszał? Jako bazy użył karaibskiego błękitu i dołożył szczyptę winogronowego, maźnięcie ciemnopomarańczowego, strużkę słomkowego, kapinkę przyciemnionego indygo, plus jego markową czerwień gliny znad Missisipi. Co jeszcze? Nie pamięta i nic go to nie obchodzi. Funkcjonuje jak automat. Jest to pobudzające, ale niesie również jakiś spokój. Gilesa nie boli mózg od koncentracji; wędruje swobodnie, wiążąc nici z różnych bajek w błyszczące wstążki z domu handlowego.

Bernie. Poczciwy Bernie Clay. Giles myśli o ostatnim spotkaniu z tym człowiekiem. Z obecnej perspektywy widzi przeróżne oznaki stresu. Pożółkły kołnierzyk, którego nie odczyści żadna ilość wybielacza, brzuch wydyma koszulę — Bernie zawsze był człowiekiem talerza. Giles mu wybacza. Nigdy nie czuł się bardziej wybaczanym. Zła wola za długo zatykała mu arterie jak cholesterol, groźna substancja, o której właśnie czytał w gazecie. Dzisiaj cholesterol się wypłukał i została tylko miłość, która wpływa do wszystkich dawno wykopanych rowów. Policjanci, którzy go aresztowali w barze w Mount Vernon. Dyrektorska klika, która go zwolniła. Brad — albo John — w Dixie Doug. Wszyscy walczą z rozterkami i wątpliwościami, które oplatają ich życie.

Jak to możliwe, że rozpoznanie daremności gniewu zajęło mu sześćdziesiąt trzy lata? Zwłaszcza że pani Elaine Strickland, dwa razy od niego młodsza, instynktownie to wiedziała. Giles nie wierzy, że przyjdzie kiedyś dzień, w którym osobiście jej podziękuję. Tego dnia rano zadzwonił do niej do Klein & Saunders, żeby jej powiedzieć, jak wiele znaczyła dla niego jej szczerść: odsłoniła pokłady odwagi, o którą nigdy się nie podejrzewał, ale głos w słuchawce nie należał do Elaine i nie potrafił powiedzieć, dlaczego Elaine nie pojawiła się w pracy.

Gilesowi to nie przeszkadza: dysponuje gromadzonym przez całe życie zapasem cierpliwości. W końcu pani Strickland jest jedną z dwóch istot, którym przypisuje swoje odrodzenie. Drugą jest stwór. Giles śmieje się zachwycony. Wanna Elisy stała się wrotami do niemożliwego. Rysunki, które Giles wykonał obok niej, i to siedząc na muszli klozetowej — jest niezmiernie szczęśliwy, że zaznał boskiej inspiracji, w jego dotychczasowym przekonaniu zarezerwowanej dla najwybitniejszych mistrzów.

Stwór nie należy wprowadzić do nikogo, do żadnego miejsca ani czasu, ale jego serce należy do Elisy, toteż Giles zostawił ich dwoje, żeby mogli razem spędzić te ostatnie godziny. Poza tym Giles musi dokończyć obraz. Jest to bez wątpienia najlepsze dzieło jego życia, a świadomość, że nareszcie zdołał zrealizować swój potencjał, niesie ze sobą wielką egzystencjalną ulgę. Spełnieniem jego nadziei będzie pokazanie ukończonego dzieła stworowi przed jego odejściem, a to wymaga, żeby Giles pracował w dzień i w nocy.

Praca nigdy nie była jednak dla niego problemem. Stoi przy sztaludze od dwudziestu godzin, ale nadal czuje się wyśmienicie, niespożyty jak nastolatek, jakby zażył jakiś bajeczny narkotyk, którego jedynym skutkiem ubocznym jest napełnienie go pewnością siebie równie silną jak burza na zewnątrz. Giles bez wytchnienia kładzie na płótnie śmiałe plamy koloru. Najmisterniejsze szczegóły maluje bez artretycznego drżenia. Od kilkunastu godzin nie zrobił sobie przerwy na pójście do ubikacji. Kiedy poprzednio wytrzymał dwie godziny bez sikania?

Śmieje się i w tym momencie wpada mu w oko jakieś trzepoczące płótno. Bandaż, którym Elisa owinęła mu ramię. Giles pracuje z takim wigorem, że bandaż się rozwiązał. Dziwne, że tego nie zauważył. Jeszcze dziwniejsze, że od pójścia spać poprzedniego dnia nie potrzebował zażyć aspiryny na ból. Może rana mimo wszystko nie była taka głęboka. Ale luźny bandaż może spaść na mokrą farbę, a to byłaby katastrofa. Giles wzdycha i odkłada pędzel. Szybka zmiana opatrunku — może przy okazji umyje zęby — i z powrotem do sztalugi! Nie może się doczekać.

Giles nie zdaje sobie sprawy, że gwizdże melodię z filmu, dopóki skoczna piosenka się nie urywa. Przypisuje to przeoczenie temu, jak szybko działa: odwija bandaż tak gorączkowo, jakby kręcił kołowrotkiem wędki, na którą złapał się sum. Odwinięty do końca bandaż spada do zlewu. Nie ma krwi. Czyżbym był tak wykończony, że patrzę na niewłaściwą stronę ramienia? Obraca ramię, lecz dalej nic nie widzi. Nie ma nawet rany, która ostatnim razem, kiedy ją oglądał, była różowa i poszarpana.

Zaciska dłonie w pięści i patrzy, jak sznury w jego nadgarstku grubieją. Szok przychodzi powoli, co pozwala Gilesowi to zaobserwować. Zniknęła nie tylko rana. Miał plamy wątrobowe na ramieniu. Miał bliznę po młodzieńczej kolizji z maszyną tkacką. Je również zastąpiła idealnie gładka skóra. Giles sprawdza drugie ramię. Jest stare i pomarszczone jak zawsze.

Giles prycha z niedowierzaniem. Brzmi to bardzo podobnie do śmiechu. Czy jest to odpowiednia reakcja na nadprzyrodzone? Patrzy w lustro i widzi, że głębokie bruzdy na jego twarzy zakrzywiła radość. Nieźle wyglądam, myśli, a potem sobie uświadamia, że już nie pamięta, ile lat temu miał taką opinię na swój temat. Wędruje oczami do góry. To jest powód. Dopiero teraz to zauważył.

Jego głowę gęsto porastają włosy. Giles sięga do nich dłonią, ale powoli, jakby nie chciał ich spłoszyć. Głaszcz je. Nie rozwiewają się jak dmuchawiec. Są krótkie i gęste, ciemnobrązowe ze znajomymi blond i pomarańczowymi pasemkami. Co więcej, są sprężyste. Już zapomniał o niesforności młodych włosów, które stawiają opór, kiedy próbuje się je ograniczać. Gładzi je oszołomiony ich satynową miękkością. Iście erotyczne doznanie. To dlatego młodzi ludzie są tacy pożądlivi, myśli, ich ciała działają jak afrodyzjaki. Chwilę później zauważa jakiś nacisk na zlew. Spuszcza wzrok. Dół jego piżamy tworzy poziomy namiocik. Giles ma erekcję. Nie, to zbyt kliniczne słowo na określenie tej młodzieńczej reakcji na zupełnie niewinną myśl o zabarwieniu erotycznym. Po prostu mu stanął. Giles czuje, że młodość rozdyma każdą molekułę jego ciała lekkością, szybkością, elastycznością, zuchwałością.

Rozlega się pukanie do drzwi, a raczej łomot sugerujący jakąś awarię w sąsiednim mieszkaniu. Giles zna siebie dostatecznie dobrze, aby oczekiwać, że się załamię i dostanie mdłości, ale to coś, co zmieniło jego ciało, zmieniło również jego psychikę: odczuwane przez niego zaniepokojenie ma działanie mobilizujące, a nie paralizujące. Rzuca się do drzwi dostatecznie świadomy, jak głupio wygląda wahadło jego wzwiedzonego penisa. Po drodze chwytą poduszkę i zasłania się nią. Elisa nie może go zobaczyć w takim stanie! Giles mimo wszystko rechocze pod nosem.

Otwiera drzwi i widzi spoconą, czerwoną twarz pana Arzouniana.

— Panie Gunderson!

— A, czynsz — wzdycha Giles. — Owszem, jest zwłoka, ale czy kiedykolwiek...

— Pada deszcz, panie Gunderson!

Giles milczy przez chwilę, pozwalając werblom deszczu na schodach przeciwpożarowych wtrącić się do rozmowy.

— W rzeczy samej. Nie zamierzam z panem polemizować w tej kwestii.

— Nie! W moim kinie! Jest deszcz w moim kinie!

— Chce pan, żebym poświadczył cud czy ma pan na myśli przeciek?

— Tak, przeciek! Z mieszkania Elisy! Zostawiła włączoną wodę! Albo rura pękła! Elisa nie otwiera drzwi! Woda leje się przez sufit, prosto na klientów, którzy zapłacili za bilety! Znajdę moje klucze, panie Gunderson, i sam otworzę te drzwi, jeśli to się nie skończy! Muszę iść na dół! Niech pan coś zrobi, panie Gunderson, bo inaczej oboje nie będziecie więcej mieszkali w Arcade!

Pan Arzounian pognał na dół. Giles nie potrzebuje już poduszki. Rzuca ją za siebie na sofę i w samych skarpetkach truchtem pokonuje odległość między drzwiami mieszkań. Z kryjówki w lampie porywa klucz, wsuwa go do zamka ze zręcznością, która go zachwyca, i wpada do środka. Nie wie, czego się spodziewać. Znowu krwi? Zniszczeń spowodowanych przez jakiś napad wściekłości? Wszystko wydaje się na swoim miejscu, dopóki Giles nie uświadamia sobie, że centymetr wody koło drzwi łazienki raczej nie pojawił się w wyniku mycia podłogi. Giles biegnie w tamtą stronę, całkiem mocząc sobie skarpetki. Nie ma czasu na pukanie. Z rozmachem otwiera drzwi łazienki.

Woda chlusta na zewnątrz, zalewając Gilesa od kolan w dół. Dzień wcześniej napór wody, już nie wspominając o szoku, przewróciłby go na podłogę. Dzisiaj jednak jego nogi stoją jak wrosnięte, chociaż lampy stojące i stoliki za jego plecami padają jak muchy od nawału wody, która niesie ze sobą brudzący załadunek wyrwanych z doniczek roślin. Skraj zasłony prysznicowej, która najwyraźniej powstrzymywała powódź, opada na skarpetki Gilesa jak skóra węża, ukazując Elisę i stwora, którzy leżą na środku podłogi.

Powinni zostać wyrzeźbieni w marmurze dokładnie w tej pozycji, myśli Giles, najlepiej przez kogoś, kto się na tym zna — przez Rodina, Donatella. Elisa łśni mokro, cętkowana błotnistą ziemią, migocze łuskami, naga. Stwór również jest nagi: chociaż zawsze chodzi bez ubrania, zuchwała gorączkowość jego pozy nadaje jego nagości inny charakter. Jego ramiona i nogi są posplatane z ramionami i nogami Elisy, jego twarz zanurzona w jej szyi. Lewa ręka Elisy głaszczuje jego głowę w miejscu, gdzie zaczyna się grań jego płetw. Stwór nie wygląda dobrze, zresztą już od jakiegoś czasu. Wygląda jednak na zadowolonego, jakby sam wybrał swój los i tego nie żałuje, nawet gdyby miał przypłacić swój wybór życiem.

Giles ogarnia wzrokiem całość spektakularnego obrazu. To nie jest już łazienka, tylko dżungla. Giles mruży oczy, lecz po chwili uświadamia sobie, że widzi doskonale nawet bez okularów. Czy kochanie się Elisy i stwora, niezależnie od tego, jaką przybrało formę, sprawiło, że z zarodników pleśni wykwitła zieleń lasu deszczowego? Nie, to nie to. Rośliny, które przetrwały powódź, są przesiąknięte, a nawet lubieżne od wilgoci, ale tym, co zamieniło łazienkę w niesamowitą gęstwinę zachwycającego koloru, są setki tekturowych odświeżaczy powietrza w kształcie drzewek. Zieleń koniczyny, czerwień szminki, złoto cekinów. Gdzie Elisa znalazła ich tyle? Warstwowo pokrywają każdy centymetr ściany. Oranż dyni, brąz kawy, żółcień masła. Tekturowa dżungla robi jeszcze większe wrażenie dzięki swojej niskobudżetowej pomysłowości. Fiolet ametystu, róż pantofelka baletnicy, błękit oceanu. Jest to dom trochę Elisy, a trochę stwora — jedyne w swoim rodzaju dziwne niebo dla dwojga.

Elisa dopiero po chwili rejestruje obecność Gilesa. Oczy ma przymknięte, rozmarzone. Z roztargnieniem chwyta za skraj zasłony prysznicowej i naciąga ją na nich dwoje jak kołdrę. Giles ma świadomość, że wcielił się w rolę faceta, który nie zapukał. Spodziewa się, że odkryty przez niego ohydny, nienaturalny akt wzbudzi w nim odrazę. Jednak ile razy tych samych przymiotników użyto w stosunku do takich ludzi jak on? Dzisiaj nic nie jest grzeszne; nie ma

żadnych tabu. Może pan Arzounian ich wyrzuci. Całkiem prawdopodobne, że w tym świecie pan Arzounian w ogóle nie istnieje.

Giles klęka i otula ich zasłoną prysznicową. Nowi sąsiedzi, myśli, szczęśliwi młodzi kochankowie, w których on, sam odmłodzony, znajdzie prawdziwych, wiernych przyjaciół. Elisa patrzy na niego, mruga i wyciąga ramię migoczące łuskami. Przebiega palcami przez jego nowiuteńkie włosy i uśmiecha się czule, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

— Nie moglibyśmy zatrzymać go jeszcze trochę? — wzdycha Giles.

Elisa się śmieje, Giles też, tak głośno, że dźwięk odbija się echem w ciasnym pomieszczeniu i odgania ciszę niepewnej przyszłości — dzięki czemu mogą udawać, że to szczęście będzie trwało wiecznie oraz że raz znaleziony cud można włożyć do butelki i przechowywać.

Dwa dzwonki: Hoffstetler czekał na ten sygnał od północy, ponieważ nie potrafił przewidzieć, jak bardzo pedantyczny okaże się Michałkow w definiowaniu pojęcia „piątek”. Mimo to kiedy telefon dzwoni wczesnym popołudniem, Hoffstetler czuje się jak zaatakowany przez panterę. Wyrzuca przed siebie ramiona i nogi dla osłony, a z jego gardła dobywa się histeryczny krzyk. Pierwszy dzwonek przeciąga się nedorzecznie, Hoffstetler myśli nawet, że dzwoni pan Fleming, podejrzliwy z powodu nieobecności Hoffstetlera w ostatnim dniu pracy, albo Strickland, który chce mu powiedzieć, że wszystko wie.

Ale drugi dzwonek jest zdawkowy, ucięty przez dzwoniącego, rozbrzmiewa jak dźwięk gongu odbity od gołych ścian, pustych szafek, stalowej ramy łóżka polowego i talerzy. Ostatnie jęki samotnego życia, ma nadzieję Hoffstetler. Powinien być pijany ze szczęścia, a tymczasem jest sparaliżowany. Nie potrafi nawet przełknąć śliny. Zmusza się do oddychania. Wszystko idzie zgodnie z planem. Każdy szczegół jest na swoim miejscu. Luźna klepka podłogowa wklejona. Paszport i gotówka wybrzuszą wewnętrzną kieszeń marynarki. Jedyna walizka zapakowana i niecierpliwa koło drzwi.

Wykręca wkuty na pamięć numer taksówki i wraca na krzesło w kuchni, na którym spędził ostatnie czternaście godzin. Po kolejnych czternastu godzinach będzie w Mińsku i zacznie pracę w nowym zawodzie: w przemyśle zapomnienia. Czy Elisa dostarczyła dewończyka do rzeki, czy też zmarł w jej mieszkaniu? Hoffstetler będzie mógł na zawsze zakopać takie pytania w wysokich białych zaspach Mińska i spróbować się rozstać z ponurym przeczuciem, że skoro takiej istocie jak dewończyk można pozwolić umrzeć, to cała planeta Ziemia jest skazana na zagładę.

Trąbi taksówka. Hoffstetler bierze głęboki wdech, wstaje i czeka, aż jego rozkolebane kolana znieruchomieją. Chwila jest ciężka, a także nieuchronna. Jego oczy napełniają się ciepłymi łzami. Trzymałem się poza zasięgiem was wszystkich i bardzo was przepraszam, myśli. Studenci, których darzył sympatią, przyjaciele, których prawie miał, kobiety, które mogły go uszczęśliwić. Ich elipsy się zetknęły, ale nic się nie wydarzyło. W całym czasie i przestrzeni nie ma niczego smutniejszego.

Hoffstetler bierze walizkę i parasol, wychodzi. Taksówka czeka, żółte maźnięcie pod srebrnymi pociskami ulewnego deszczu. Pod każdym względem brzydki dzień, a przecież Hoffstetlera ze wszystkich stron otacza piękno. To jest Ameryka: Hoffstetler przystępuje do pożegnań. Żegnajcie zielone pąki rozwierające oczy listków pośród szkieletów kościstych drzew. Żegnajcie plastikowe dziecięce zabawki czekające na trawnikach przed domami, aż ożywi was wiosenny wigor. Żegnajcie koty i psy mrugające w oknach — dowód na symbiozę międzygatunkową. Żegnajcie domy z mocnej cegły, gościnne światła telewizorów, żegnaj serdeczny śmiechu. Hoffstetler podnosi łokieć, aby wytrzeć łzy, ale zmieszają się z deszczem.

jechał już wcześniej z tym taksówkarzem, co stanowi naruszenie jego własnego regulaminu, ale jest to ostatnia jazda, więc jakie to może mieć znaczenie? Mówi kierowcy, dokąd ma jechać, a potem ściera z szyby parę i patrzy przez okno, nie chcąc niczego przegapić. Amerykańskie automobile — za nimi też będzie tęsknił, za ich nedorzecznymi kształtami, za ich kiczowatością i krzykliwymi pigmentami. Żegnaj cadillacu Coupe DeVille, który stoisz z włączonym silnikiem

po drugiej stronie ulicy, przepiękna z ciebie maszyna, nawet jeżeli masz zmasakrowany tył.

Dobry dzień na zniknięcie. Lainie nie potrafi się powstrzymać od tej myśli. Rozchyła plisowane musztardowe kotary, z których kiedyś była tak dumna, i patrzy na kanonadę deszczu, który odbija się od jezdni jak kamienne kulki. Strugi deszczu z rynien na dachu, tryśnięcia z drzew, kaskady z poręczy, kurzawa za przejeżdżającymi samochodami. Pada tak mocno, że woda zdaje się wystrzeliwać do góry niczym z min wodnych, na które ktoś nastąpił. Pośród takiej ulewy nie widać daleko. Można się w nią zanurzyć i natychmiast zniknąć, a o to właśnie chodzi.

Plecaczek Timmy’ego jest tak mocno wypchany zabawkami, że trzeba go nieść oburącz, przez co łyzy pozostają niewytarte. Plecaczek Tammy również pęka, ale ona nie uroniła na razie ani jednej łyzy. Może dlatego — myśli Lainie — że Tammy jest dziewczynką i nauczyła się, że męska zasada „nigdy nie uciekaj przed kłopotami” jest gównem warta. (Lainie stwierdziła ostatnio, że przeklina w myślach, co również ją zachwyca). Tammy patrzy na matkę suchymi, badawczymi oczami. Ta dziewczynka zawsze brała sobie do serca nauki z książeczek z obrazkami. Po to zwierzęta mają stopy, ptaki mają skrzydła, ryby mają płetwy, żeby móc uciekać.

Lainie dopiero tego dnia rano uświadomiła sobie pełny potencjał własnych stóp. Richard błąkał się po domu, oczy miał spuchnięte, zawadził ramieniem o balustradę, zerwał czarny krawat, bo martwe palce nie zdołały go zawiązać, i rzucił na podłogę. Ona znajdowała się w swoim zwyczajowym miejscu, na fragmencie dywanu z odcisniętymi na stałe śladami po nogach deski do prasowania, jeździła Spray ’N Steam po jednej z koszul Richarda. Jej mąż wrócił do domu późno; poczuła, jak jego połowa łóżka się zapada i mocno przywarła do swojej strony materaca, żeby się nie stoczyć do bezdennej dziury Richarda. Rano obudził się pełen energii, zsunął lepkie ciało z łóżka i ubrał się bez prysznic, a jego ręka bez przerwy wskakiwała do kieszeni marynarki obciążonej przez jakiś przedmiot, który ważył tyle, ile jej żelazko.

Lainie z promienną miną patrzyła na kalejdoskop obrazków w telewizorze. Wiadomości nie były ani lepsze, ani gorsze niż w inne dni. Sportowcy zachwycali. Światowi przywódcy przemawiali. Czarni maszerowali. Wojska się koncentrowały. Kobiety tworzyły łańcuchy rąk. Kolejnych materiałów nic ze sobą nie łączyło, nie licząc postępu — każda wiadomość chwytiała w kadr człowieka, który zmierzał do przodu, doskonalił się, ewoluował. W którymś momencie Richard wyszedł, rolę pożegnalnego cmoknięcia odegrało huknięcie drzwiami, od którego zadrżała podłoga i zatrzęsła się deska do prasowania, kciuk Lainie ześliznął się z pokrętła regulatora i Lainie po prostu stała, absolutnie przekonana, że na całym świecie tylko ona się nie porusza. Żelazko było za ciężkie, aby postawić je pionowo. Nie miała wyboru, jak tylko pozwolić mu spoczywać na koszuli Richarda. Przez dziesięć sekund można było przywrócić normalność niewielkim skretem nadgarstka. Potem zaczął sączyć się dym. Urządzenie z Westinghouse’a wtopiło się w dakron, tak jak idea wtopia się w umysł. Lainie pozwoliła dymowi szernieć. Pozwoliła toksycznym spalinom drapać jej zatoki. Oderwała żelazko od wypalanej plamy na desce, dopiero kiedy dzieci poczuły swąd i zbiegły na dół. Odwróciła się do nich, uśmiechnęła i powiedziała:

— Jedziemy na wycieczkę. Zapakujcie wszystkie swoje ulubione rzeczy.

Teraz trzy ciężkie torby gryzły ją w ramiona. Jedno z ramion zdrętwiało, ale jej to nie

przeszkadza. Odrętwienie: dzięki niemu przeżyła przy Richardzie. Kobieta znana światu jako pani Strickland to złożona z gorsetu, fartucha i szminki tarcza osłaniająca przed dzidą zmarnowanego potencjału i wykorzystywanie tej tarczy — tylko tym razem — do realizacji własnych interesów jest podniecające. Lainie poprawia paski, koniuszki palców ocierają się o bruzdy na szyi w miejscach, w których dusił ją Richard. Wszyscy zobaczą sińce. Wszyscy się dowiedzą. Bierze głęboki wdech. Wystarczy, że będziesz szczerą, myśli. Prawda zacznie się łać i rozkwitnie wolność.

Przed dom zajężdza taksówka, opony rozchlapują stojącą wodę. Lainie macha przez moskitierę.

— Chodźcie, dzieci, pospieszmy się.

— Nie chcę — burmuszy się Timmy. — Chcę zaczekać na tatę.

— Za bardzo pada — mówi z kolei Tammy. — Woda sięga mi do sukienki!

Lainie żałuje kilku rzeczy. Żałuje, że będzie musiała złożyć wymówienie z pracy przez telefon z Florydy, Teksasu, Kalifornii czy gdziekolwiek indziej wylądują, a to nie wydaje się zbyt profesjonalne. Wyjaśni jednak Berniemu powody, dla których musiała wyjechać, a Bernie jej wybaczy i może nawet przyśle jej referencje. Żałuje też, że nie zapisała adresu pana Gundersona, bo mogłaby na jakimś etapie swojej upojnie nieokreślonej przyszłości napisać do niego, dać mu znać, że z chwilą, kiedy dał jej swoją skórzaną teczkę kreślarską, zrozumiała, że nigdy nie jest za późno, aby zamienić wszystko, co w swoim mniemaniu nas definiuje, na coś lepszego. Nawiasem mówiąc, teczka pana Gundersona jest jedną z trzech wiszących teraz na jej ramionach. Jak się okazuje, ma całkiem sporą ładowność.

Przede wszystkim jednak Lainie żałuje, że tak późno stanęła na swoim ganku-wyrzutni rakiet. Ten marazm pociągnął za sobą realne koszty. Dzieci widziały i słyszały różne rzeczy, które niekorzystnie je kształtowały. Rozkrojenie scynka przez Timmy'ego pozostaje niepokojącą i nierozwiązaną sprawą. Na szczęście oboje są jeszcze młodzi. Lainie nie jest naukowcem z Ośrodka Badań Kosmicznych Occam, ale wie, że dojrzewanie nie przebiega liniowo oraz że jej wpływ na dzieci nieprędko się wyczerpie. Przenosi teczkę kreślarską z prawego ramienia na lewe — wszystkie trzy torby wiszą teraz na lewym — klęka, opasuje Tammy ramieniem i opiera się o Timmy'ego.

— Biegnij — szepcze mu do ucha. — Prosto przez kałuże. Możesz chlapać, ile chcesz.

Timmy ze zmarszczonym czołem patrzy na swoje czyste spodnie i buty.

— Serio?

Lainie kiwa głową i rozciąga usta w uśmiechu. Timmy też zaczyna się uśmiechać, a potem z okrzykiem na ustach zeskakuje z ganku i biegnie przez ogródek, wzbijając fontanny wody. Tammy wpada oczywiście w panikę, ale właśnie dlatego Lainie opasała ją ramieniem. Podnosi dziewczynkę i sadza ją sobie na biodrze, otwiera drzwi stopą i staje pod daszkiem, który kiedyś symbolizował tak wiele nadziei, ale teraz jest obciążony taką ilością rozczarowania, że — jak się martwi Lainie — może się zawalić i ją zmiażdżyć.

Timmy jest przy taksówce, śmieje się przemoczony, podskakuje w miejscu i pogania ją. Lainie też się śmieje i uświadamia sobie, że nie, nie zostanie zgnieciona, już nigdy nie pozwoli się zgnieść. Wybiega w wodny świat. To przyjemne, jak deszcz pada na jej krótką fryzurę i spływa po zaokrąglonych plecach. Taksówkarz bierze jej bagaże, a ona siada z tyłu i piszczy z powodu deszczu na plecach. Strzepuje wodę z czapki Timmy'ego i wykręca końcówki włosów Tammy. Dzieci zaczynają pohukiwać i chichotać. Lainie słyszy trzaśnięcie bagażnika, a potem taksówkarz wskakuje za kierownicę, trzęsąc głową jak mokry pies.

— Woda zanieś nas do Timbaktu, jeśli ten deszcz nie zelżeje — rzuca żartobliwym tonem.
— Daleko się pani wybiera?

Patrzy na nią w lusterku wstecznym. Ześlizguje się wzrokiem po jej posiniaczonej szyi. Lainie nie próbuje jej ukryć: niech prawda się leje, niech wolność rozkwita.

— Gdzieś, gdzie będę mogła wynająć samochód. Zna pan jakąś wypożyczalnię?

— Ta przy lotnisku jest największa. — Kierowca mówi teraz delikatniejszym tonem. — Jeśli chce pani wypożyczyć samochód bez rezerwacji. Jeśli chce pani wyjechać szybko.

Lainie sprawdza jego identyfikator: Robert Nathaniel de Castro.

— Tak, panie de Castro. Dziękuję panu.

Taksówka oddala się od głębin przy krawężniku i rusza środkiem jezdni.

— Przepraszam za ślimacze tempo. Trudne dzisiaj warunki na drogach. Ale niech się pani nie martwi, bezpiecznie panią dowiozę.

— Nie szkodzi, nie przeszkadza mi to.

— Wyglądacie na szczęśliwych. To fajnie. Niektórym psuje to cały dzień, jak trochę popada, jak trochę zmokną. Dyspozytor kazał mi wcześniej zabrać jednego gościa i zawieźć go do parku koło huty Bethlehem. Drugi raz go tam wiozłem. Nic tam nie ma, kompletnie nic. Pokrążyłem trochę, żeby sprawdzić, co z nim. Trochę się o niego martwiłem, wie pani? No i gość siedział na betonowym słupku i nie wyglądał na szczęśliwego. Takiemu gościowi przydałby się wypożyczony samochód, wie pani? Wyglądał tak, jakby czekał na koniec świata. Zresztą jak patrzyłem na jego minę, to też mi się wydawało, że świat się kończy.

Lainie się uśmiecha. Taksiarz ciągle gada, oszczędzając jej konieczności rozmowy. Dzieci siedzą z twarzami przyciśniętymi do szyb. Lainie opiera brodę na przyjemnie pachnącej głowie Tammy. Patrząc za okno, można odnieść wrażenie, że taksówka spadła z klifu i tonie w morzu. Aby przeżyć w tak głębokiej wodzie, Lainie musiałaby nauczyć się w niej oddychać, stać się innym stworzeniem, zaadaptowanym do nowych warunków. Dziwna rzecz, ale jest przekonana, że by to potrafiła. Świat obfituje w potoki, strumienie, rzeki, stawy, jeziora. Lainie przepłynęła tyle akwenów, ile potrzeba do znalezienia odpowiedniego dla nich oceanu, nawet jeśli zajmie to tyle czasu, że wyrosną jej płetwy.

Deszcz tłucze o ziemię jak mokry cement. Parasol Hoffstetlera wycina w ulewie mały, suchy słup, który faluje od jego oddechu. Para z jego ust wygląda jak dym, przez co Hoffstetler ma wrażenie, jakby płonął na stosie. Na zewnątrz słupa pod parasolem prawie nic nie widać: szary oddech, szary deszcz, szary beton, szary żwir, szare niebo. On wie jednak, gdzie szukać i po stresującej wieczności nad jezdnią pojawia się kolejna warstwa szarości, spaliny z rury wydechowej. Czarny chrysler rozcina wodę jak rekin.

Hoffstetler chce dać nura na podgrzewane skórzane siedzenie z tyłu, ale nawet zakończenie osiemnastoletniej misji nie oznacza rezygnacji z durnych procedur. Hoffstetler podnosi walizkę, schodzi z betonowego słupka i podskakuje na piłkach swoich stóp pijany z podniecenia. Jest teraz tak blisko, tak blisko uściśnięcia drżącej dłoni Papy, objęcia ramionami Mamoczki, zrehabilitowania się za dotychczasowe życie lepszym życiem.

Drzwi kierowcy jak zwykle otwierają się ze stukiem. Bizon jak zwykle wysiada w czarnym garniturze, który dzisiaj uzupełnia czarny parasol. A potem coś nietypowego: otwierają się również drzwi pasażera i drugi mężczyzna wysiada pod rozpościeranymi skrzydłami własnego parasola, dygocze z zimna, mocniej owija się szalikiem, który zagraża butonierce. Hoffstetler czuje się tak, jakby spadał, jakby po ześlizgnięciu się z betonowego słupka nie znalazł pod stopami ziemi.

— Zdrastwujcie, Bob — mówi Leo Michałkow.

Bębnienie deszczu o parasol Hoffstetlera jest ogłuszające. Doktor mówi sobie, że dźwiękom nie można ufać. Zdrastwujcie to dosyć zimne powitanie, więc bardziej pasowałby do niego Dmitri, a nie Bob. Coś jest nie tak.

— Leo? Przyjechałeś, żeby...

— Mam pytania — mówi Michałkow.

— Końcowy instruktaż? W deszczu?

— A tak naprawdę mam jedno pytanie. To nie potrwa długo. Kiedy wstrzyknąłeś obiektowi roztwór, jak zareagował, zanim zmarł?

Hoffstetler nadal spada wirowym ruchem w przepaść. Chce się uchwycić betonowego słupka, osłony chłodnicy chryslera, czegokolwiek, żeby się uratować, ale jeśli wypuści z ręki parasol, to utonie w całej tej wodzie. Próbuje myśleć. Srebrny roztwór, co to mogło być? Powinien to wiedzieć, to jego dziedzina. Jeden ze składników to na pewno arszenik. Dodali też chlorowodór? I odrobinę rtęci? Jak wyglądałaby dewastacja anatomii dewończyka przez taki koktajl? Gdyby tylko deszcz nie był tak dezorientujący, Hoffstetler mógłby to sobie wyobrazić. A tak nie ma już czasu. Nie pozostało mu nic innego, jak improwizować i modlić się.

— To była chwila. Obiekt krwawił. Obficie. Zmarł natychmiast.

Deszcz dalej pada. Michałkow się gapi. Ziemia bulgocze jak lawa.

— Zgadza się. — Głos Michałkowa jest teraz łagodniejszy, dostosowany do łoża z tyłu restauracji Black Sea, za cichy na perkusję burzy. — Przyniosłeś chlubę swojej ojczyźnie. Zawsze przynosiłeś. Pamięć o tobie nie zaginie. Bardzo niewielu może tak o sobie powiedzieć. Nawet ja nie będę mógł tego o sobie powiedzieć, kiedy przyjdzie na mnie czas. Pod tym względem ci zazdroszczę.

Kagiebowiec Michałkow na pewno wykrył przebiegające w zwolnionym tempie zamykanie się tej pułapki na myszy dekadę wcześniej, ale Hoffstetler widzi je dopiero teraz. Czy nie przekonywał dewończyka, że nie posiada prawdziwej inteligencji? Spędził w Ameryce za dużo czasu, aby Moskwa chętnie go powitała z powrotem na sowieckiej ziemi. Zawsze liczyło się tylko to, żeby jego misja została zrealizowana. Każdy inny pogląd oznaczał bujanie w obłokach. Jego Mama i Papa zapewne żyją, zgodnie z obietnicą, ale tylko w ramach zabezpieczenia. Teraz zostaną zlikwidowani, strzałem przez czaszkę, a ich ciała obciążone kamieniami i utopione w rzece Moskwa. Hoffstetler żegna się z nimi pospiesznie, przeprosza gorączkowym tonem i desperacko mówi, że ich kocha, wszystko to w ciągu jednej sekundy, zanim Bizon podnosi z biodra rewolwer.

Hoffstetler krzyczy i odruchowo rzuca w kierunku Bizona parasolem, zanim słyszy strzał, parasol zaczernia cały świat, jest osobliwością, która połyka Bizona, rewolwer, deszcz, wszystko. Ale Hoffstetler ma do czynienia z wyszkolonymi zabójcami, a sam jest nieporadnym naukowcem. Na jego szczęście ląduje jakby żelazna pięść, a z jego twarzy eksplodują jakby gorące kamienie. Zęby, myśli jeszcze. Obraca się wokół własnej osi, policzki ma nadęte krwią, a język to miazga poszarpanego mięsa.

Hoffstetler leży na ziemi. Krew tryska mu z ust jednym chlupnięciem, jakby ktoś odwrócił miskę z zupą pomidorową. Zimne powietrze jak lanca przebija mu twarz z lewej na prawo, dziwne uczucie. Przestrzelono mu policzek. Mama byłaby zrozpaczona, jej chłopczyk oszpecony, jego śliczne, ostre zęby obrócone w gruzy. Hoffstetler próbuje podnieść się na kolana, myśląc, że jeśli Michałkow zobaczy doznane przez niego szkody, to mu odpuści, ale jego głowa waży teraz całe tony, kolana ślizgają się w błocie i Hoffstetler pada na plecy, deszcz kłuje go w oczy jak srebrne włócznie.

Czarna sylwetka Bizona, nadal trzymająca parasol, przesłania całe światło. Bizon patrzy w dół z tą samą osobowościową pustką co zawsze i celuje z rewolweru w głowę Hoffstetlera. Huk, myśli Hoffstetler, jest dziwnie stłumiony jak na strzał, który go zabija. Jeszcze dziwniejszy jest jednak odskok Bizona. Słuchać drugi huk i parasol wypada z dłoni Bizona na Hoffstetlera, jak ziemia wrzucana do otwartego grobu. Hoffstetlerowi zajmuje chwilę, aby się spod niego wydostać i wesprzeć na łokciach, deszcz spłukuje z jego torsu gorącą mieszkankę krwi i śliny.

Hoffstetler widzi nieruchome, poziome ciało Bizona, a łomoczący deszcz różowi czerwoną kałużę wokół niego. Oczy Hoffstetlera nie łapią ostrości, ale widać ogólne kształty, wydłużony owal Michałkowa krząta się z pospiechem niespójnym z jego typowym zachowaniem. Michałkow wyciąga swój pistolet, to wynika w sposób oczywisty nawet z tak abstrakcyjnego obrazu, ale może homary i kawior go zepsuły, bo za długo trwa w próżności i nie wypuszcza z ręki parasola: w ciągu tych kluczowych kilku sekund zbawca Hoffstetlera, kimkolwiek jest, podbiega z pistoletem wciąż dymiącym od śmiertelnego strzału do Bizona. To również nie jest amator. Trzyma pistolet oburącz, absolutnie nieruchomo mimo burzy, i wystarcza mu jeden strzał.

Michałkowem rzuca o samochód. Teraz już puszcza parasol. Pistolet też. Na koszuli wykwita mu czerwona plamka, druga butonierka. Natychmiast umiera i natychmiast zostaje zapomniany, dokładnie tak jak przewidział. Hoffstetler mruży oczy pod oberwaniem chmury i patrzy na strzelca, który klęka obok ciała Michałkowa, aby się upewnić, że ten nie żyje, a potem zrywa się i przyskakuje do Hoffstetlera z szybkością pająka. Deszcz nie pozwala Hoffstetlerowi go rozpoznać aż do chwili, gdy ich twarze znajdują się tuż koło siebie. Deszcz, a może również niedowierzenie.

— Strickland? — mówi bełkotliwym, sepleniącym głosem. — Och, dziękuję ci, dziękuję ci!

Richard Strickland sięga wolną ręką do rany w policzku Hoffstetlera i szarpie. Szarpie tak mocno, że przeciąga w błocie całe ciało Hoffstetlera. Ból przychodzi z opóźnieniem, wyskakuje pełnokrwisty i umięśniony spod koca szoku. Hoffstetler wrzeszczy. Czuje tępe rozdarcie policzka i znowu wrzeszczy, nie przestaje wrzeszczeć, dopóki oczu i ust nie wypełnia mu nagarniane przez ramię błoto, skutkiem czego jest ślepy i niemy, a potem nic już nie czuje.

Powrót do jawy jest jak skok do koszmaru sennego. Wszystko pochłania grzmiący ryk. Oczy Hoffstetlera skaczą do góry, spodziewając się deszczu, ale w górze jest blaszany daszek, stąd ryk. Hoffstetler leży w betonowym wejściu do jakiegoś budynku gospodarczego. Widzi, jak grube warkocze deszczu walą o pokruszoną cegłę i zardzewiałą stal. Nadal znajduje się w parku. Przez jego pole widzenia przemyka cień. Hoffstetler wytrzepuje z oczu jakiś płyn. Deszcz, krew? To Strickland. Idzie po betonie. Trzyma w dłoni coś małego, buteleczkę z lekarstwem. Obraca ją do góry dnem nad otwartymi ustami, ale jest pusta. Przeklina, ciska buteleczką w deszcz, patrzy na Hoffstetlera.

— Jesteś przytomny — stęka Strickland. — To dobrze. Mam parę spraw do załatwienia.

Kuca. Zamiast pomarańczowego elektrycznego pastucha, który wszędzie ze sobą nosi, ma pistolet. Odwodzi kurek i przyciska lufę do prawej dłoni Hoffstetlera. Lufa jest zimna i mokra, jak nos szczeniaczka, myśli Hoffstetler.

— Strickland. — To jedno słowo wystarcza, żeby zmasakrowany policzek, wszystkie poprzerywane nerwy zbudziły się z wrzaskiem do życia. — Richard. Boli. Szpital, proszę...

— Jak się nazywasz?

Kłamie od dwóch dekad, więc odpowiada instynktownie:

— Bob Hoffstetler. Przecież mnie znasz.

Z pistoletu pada strzał. Uderzenie pocisku o beton brzmi zaskakująco gumowato — rozłożyste plaśnięcie. Hoffstetler czuje się tak, jakby dostał po łapie. Podnosi dłoń. Na samym środku widzi równą, osmaloną dziurę. Instynkt każe mu zgiąć palce, aby sprawdzić, czy dalej działają, bo zostały jeszcze tysiące stron książek do przekartkowania, dziesiątki analiz do napisania, ale zamiast tego obraca dłoń. Rana wylotowa jest poszarpaną rozgwiadą ząbkowaną pasemkami skóry. Wewnątrz dziury zwisają naczynia krwionośne. Hoffstetler wie, że będzie krwawiło. Przyciska dłoń do piersi.

Strickland przygważdża pistoletem drugą dłoń Hoffstetlera.

— Twoje prawdziwe nazwisko, Bob.

— Dmitri. Dmitri Hoffstetler. Proszę cię, Richard, proszę cię.

— Dobra, Dmitri. Podaj mi nazwiska i stopnie grupy uderzeniowej.

— Grupy uderzeniowej? Nie wiem, co...

Strickland znowu strzela. Hoffstetler wrzeszczy. Przyciska lewą dłoń do piersi bez patrzenia, ale nie sposób przeoczyć smugi dymu, która bije od spalonego mięsa. Jego dłonie — a raczej to, co z nich zostało — garną się do siebie, a przez głowę Hoffstetlera przebiega lista czynności, których być może już nigdy nie wykona. Nakarmić się, wykapać się, podetrzeć się. Szłocha, łyżki wpływają do ust przez dziurę w policzku i zbierają się słono na języku.

— Posłuchaj, Dmitri — mówi Strickland. — Ktoś zauważy zniknięcie facetów, którzy przyjechali cię zgarnąć. Wszystko rozgrywa się szybko. Nie mogę nic w tej sprawie zrobić. Więc zapytam cię jeszcze raz.

Hoffstetler czuje, że twarda lufa pistoletu wkręca się w jego rzepkę.

— Nie, nie, proszę, Richard, proszę, proszę.

— Nazwiska i stopnie. Grupy uderzeniowej, która zabrała obiekt.

Pośród czerwonych erupcji bólu Hoffstetler rozumie. Strickland uważa, że obiekt wykradli Sowieci. Nie jeden infiltrator jak doktor Hoffstetler, ale jakaś jednostka penetracyjna z supernowoczesnymi narzędziami, która precyzyjnie się po łup kanałami wentylacyjnymi. Z gardła Hoffstetlera dobywa się dziwny dźwięk. Pewnie jęk bólu, myśli, ale za drugim razem rozpoznaje śmiech. No bo to śmieszne, co myśli Strickland. W takim momencie, kiedy dopala się knot jego życia, Hoffstetlerowi nie przychodzi do głowy bardziej zaskakujący — i mile widziany — dźwięk, którym mogłoby się ono zakończyć. Otwiera szeroko usta i wypuszcza śmiech na wolność, wypluwa krew, wyrzuca kamyczki zębów.

Strickland robi się czerwony na twarzy. Strzela, Hoffstetler wrzeszczy, u spodu pola widzenia obserwuje, jak dolna połowa jego nogi ślizga się po betonie, ale jego wrzask natychmiast przepoczwarcza się z powrotem w śmiech, z czego jest niezmiernie dumny. Strickland zaciska usta i następują kolejne strzały. Drugie kolano, oba łokcie, ramiona, ból detonuje, aż w końcu nie jest już bólem, tylko czystym, surowym stanem istnienia wzmacniającym znak graficzny, fermatę, który wybrał jako ostatni: śmiech. Ten radosny dźwięk rozbrzmiewa z jego ust, z dziury w policzku, z nowych dziur na całym jego ciele. Strickland wstaje i rozładowuje magazynek do brzucha Hoffstetlera.

— Nazwiska! Stopnie! Nazwiska! Stopnie!

— Stopnie? — śmieje się Hoffstetler. — Woźne.

Żal przeszywa Hoffstetlera jak jeszcze jedna kula — bo może nie należało tego mówić — ale za bardzo wiruje mu w głowie, żeby myśleć. Gorąca zupa trzewi wylewa mu się na tors, z jego wnętrzości bije para i unosi się Stricklandowi pod nos jak małe pięści protestu. Hoffstetler obraca się do tyłu i w dół. Szybko goni za swoim wrośniętym za mównicami i biurkami życiorysem i nadal, uparcie, jest naukowcem aż do końca, słowa jego ulubionego filozofa, Pierre’a Teilharda de Chardina — kto oprócz zawodowych naukowców ma swojego ulubionego filozofa? — przedzierają się przez mgłę. „Mimo wszystko ty i ja jesteśmy jednością. Razem cierpimy, razem istniejemy i wiecznie będziemy stwarzali się nawzajem na nowo”. Tak, właśnie tak! Całe samotnie spędzone życie nie ma znaczenia, bo tutaj, na końcu, nie jest sam. Jest z tobą, i z tobą, i z tobą, nie zauważyłby tego, gdyby nie dewończyk. Oto ostateczna emergencja, przyspieszona przez ofiarę: znalezienie Boga, tego psotnego figlarza, który ukrywa się tam, gdzie się go najmniej spodziewaliśmy, nie w kościele, nie na marmurowej płycie, lecz wewnątrz nas, tuż obok naszych serc.

Co robiła Zelda, tuż zanim sforsowano jej drzwi? Zanim drewno obejmujące z dwóch stron zasuwę rozpadło się na drzazgi, a łańcuch zaczął dyndać jak zerwany przez złodzieja naszyjnik? Wydaje się jej, że gotowała. Często gotuje przed pójściem do pracy, robi Brewsterowi zapas na cały dzień. Czuje zapach bekonu, masła, brukselki. I słyszy muzykę, jakiegoś wokalistę z basowym głosem. Pewnie jej słuchała. Ciekawe, w jakim była nastroju, czy była wesoła. Przypomnienie sobie tych szczegółów wydaje się jej bardzo ważne, ponieważ czuje pewność, że będą to jej ostatnie chwile.

Do tej pory najbardziej surrealistycznym widokiem w życiu Zeldy był obiekt z F-1 patrzący na nią z wózka Elisy. Ni przypiął, ni przyłatał — ta groźna, mieniąca się kolorami bestia na szarym, ruchomym łożu mokrych szmat. Ale nawet ten obraz błędnie na tle obecnego: Richard Strickland, ten okropny człowiek z pracy, z owadzimi oczami, ociekający deszczem, ochlapany krwią, stoi w jej salonie z pistoletem w garści.

Brewster przebywa tam, gdzie zawsze, kiedy nie ma roboty, oparcie fotela odchylone maksymalnie do tyłu, odziane w skarpetki stopy na podnóżku, w jednej ze zblazowanych dłoni puszka piwa. Strickland zasłania telewizor, toteż Brewster gapi się na niego lekko skonsternowany, tak jakby ten upiór stanął za biurkiem prezentera wiadomości Waltera Cronkite'a, a nie w ich mieszkaniu. Strickland prycha i bluzga śliną, deszczem i krwią. Przechodzi nad tą plamą, paskudząc czysty dywan przywartym do podeszew butów błotem.

Zelda nie musi pytać, dlaczego to wszystko się dzieje. Podnosi dłonie. Stwierdza, że trzyma w nich łopatkę kuchenną.

— Ładny macie dom.

Strickland mówi bełkotliwym głosem.

— Panie Strickland — tłumaczy się Zelda. — Nie miałyśmy na myśli nic złego, przysięgam.

Strickland ze zmarszczonym czołem patrzy na ściany i Zelda przez moment widzi swoje radosne ozdóbki drapieżnymi czerwonymi oczami tego mężczyzny: kłamliwe drobiazgi, cikliwe pamiątki, idiotyczne bibeloty upamiętniające szczęśliwe życie, które nie miało prawa być takie szczęśliwe. Strickland leniwie zgina nadgarstek. Lufa pistoletu rozbija szybkę ramki fotografii, pęknięcie w kształcie błyskawicy przecina twarz matki Zeldy.

— Gdzie go pani dała? — Zatacza się jak pijak. — Do piwnicy?

— Nie mamy piwnicy, panie Strickland. Przysięgam.

Strickland przeciąga pistoletem po półeczce z porcelanowymi figurkami. Spadają jedna po drugiej i rozbijają się o podłogę. Zeldą za każdym razem szarpie: chłopczyk z akordeonem, sarenka z wielkimi oczami, noworoczny anioł, perski kot. To tylko błyskotki, myśli, bez znaczenia, tyle że to kłamstwo, bo mają znaczenie, dowodzą, że przez trzydzieści lat od czasu do czasu udało jej się zaoszczędzić dosyć pieniędzy, żeby kupić sobie coś frywolnego, coś, co po prostu ładnie wygląda — wyjątki od twardych reguł, które nakazują kupować żylaste steki, płatki śniadaniowe marki własnej, państwowy ser. Strickland obraca się na pięcie, rozgniata porcelanę ubłoconym obcasem i mierzy w Zeldę pistoletem jak oskarżycielskim palcem.

— Sir, pani Brewster. Ma pani poważny problem z nazwiskami.

— Brewster — mówi Brewster. Dźwięk własnego imienia go rozbudził. — To ja.

Strickland nie patrzy na niego, ale kolebie głową.

— O, dobrze. Zelda Fuller. Zelda D. Fuller. Dalila. — Odskakuje od ściany, tak szybko redukując dystans o połowę, że Zelda upuszcza łopatkę. — Nie pozwoliła mi pani dokończyć tej historii. — Macha uzbrojonym w pistolet ramieniem, unicestwiając ceramiczną wazę, która niegdyś należała do matki Zeldy. — Jeśli dobrze zapamiętałem, Samson, zdradzony przez Dalilę, oślepiiony i torturowany przez Filistynów, w ostatniej chwili zostaje uratowany. Przez Boga. — Rozbija pistoletem szybę kredensu i cenna porcelana matki Zeldy się rozpryskuje. — Dlaczego zostaje uratowany? Bo jest dobrym człowiekiem, Dalila. Człowiekiem zasad. Człowiekiem, który do ostatniego grama energii stara się dobrze postępować.

Wierzchem dłoni strąca z kuchenki patelnię i wytopiony z bekonu tłuszcz zachlapuje pod ręcznik języka migowego. Tłuszcz skwierczy i wypala dziury w papierze. Zelda czuje wybuch oburzenia. Śmiga oczami po swoim zniszczonym mieszkaniu, po ścieżce brutalnej destrukcji, która usilnie niszczy wspomnienia o wszystkich jej zwycięskich zmaganiach. Strickland jest o kilkadziesiąt centymetrów od niej. Na drodze pistoletu za chwilę może się znaleźć jej twarz. To nie ma znaczenia: Zelda jak najwyżej unosi brodę. Nie pozwoli się zastraszyć. Nie wyda przyjaciółki.

Strickland patrzy na nią szyderczo. W kącikach ust zebrała mu się biała piana, która przypomina wyrzyganą aspirynę. Strickland powoli pokazuje lewą dłoń. Mimo ogłupiającej zgrozy Zelda cofa się przed tym odrażającym widokiem. Nie widziała tych palców od czasu, kiedy razem z Elisą znalazły je na podłodze laboratorium. Teraz bandaży nie ma i widać, że cała akcja się nie udała. Palce mają lśniący czarny kolor zgniłych bananów i są tak spuchnięte, jakby miały zaraz pęknąć.

— Bóg oddaje Samsonowi całą jego siłę — kontynuuje Strickland. — Przywraca mu całą moc. Dzięki temu Samson może sprowadzić ruinę na wszystkich Filistynów. Chwyta kolumny w świątyni. O tak. — Strickland chowa pistolet pod pachą, żeby móc zetknąć ze sobą dwa martwe palce. — A potem je łamie.

Strickland ciągnie za palce, które odrywają się, jakby były perforowane, z serią cichych puknięć. Jakby ktoś złamał fasolkę, myśli Zelda przed wrzaśnięciem. Słyszy łupnięcie (Brewster upuścił piwo) i skrzywienie (oparcie fotela wróciło do pozycji pionowej). Brwi Stricklanda unoszą się na skutek zaskoczenia widokiem brązowego płynu, który wytryskuje na pięć centymetrów i ścieka na jego dłoń jak sos pieczeniowy, który skapnął z łyżki. Strickland przygląda się dwóm czarnym paróweczkom, które wciąż trzyma w drugiej dłoni, i po chwili upuszcza je na podłogę kuchni. Z jednego z palców zsuwa się obrączka ślubna.

— Elisa — zgłasza się Brewster. — Elisa jak jej tam. Ta niema. On jest u niej.

Słysząc tylko wpadający przez otwarte okno szum deszczu, jazgot telewizora i cichy chlupot wylewającego się na dywan piwa. Strickland się odwraca. Zelda przytrzymuje się kuchenki, a potem kręci głową w stronę męża.

— Brewster, nie...

— Ona mieszka nad kinem — kontynuuje Brewster. — Tak mówi Zelda. Kilka przecznic na północ od rzeki. Kawałek drogi stąd. Jakies pięć minut.

Ciężar pistoletu jakby się podwoił. Zelda patrzy, jak lufa opada i celuje w podłogę.

— Elisa? — szepcze Strickland. — Elisa to zrobiła?

Gapi się na Zeldę, na jego twarzy maluje się szok i poczucie krzywdy, ramiona lekko drżą, jakby potrzebowały podparcia. Zelda nie wie, co ma powiedzieć albo zrobić, więc nie mówi ani nie robi nic. Strickland ze zgaszoną miną patrzy na palec, za którym ciągnie się plama na

linoleum, tak jakby chciał go odzyskać. Dyszy, najpierw płytko, potem trochę głębiej, a następnie unosi głowę i prostuje plecy. Wojskowa postawa to wszystko, co zostało temu wrakowi człowieka, zgaduje Zelda.

Strickland człapie po dywanie, buty wloką za sobą błoto. Podnosi słuchawkę takim ruchem, jakby również była z kamienia, i wykręca numer jak w glinie. Zelda gapi się na Brewstera. Brewster gapi się na Stricklanda. Zelda słyszy piskliwy głos mężczyzny na drugim końcu linii.

— Fleming. — Głos Stricklanda jest tak martwy, że Zeldę przechodzi dreszcz. — Pomyliłem się. To ta druga. Elisa Esposito. To ona ma obiekt. Nad Arcade. Tak, nad kinem. Proszę przekierować ekipę pościgową. Spotkam się z nimi na miejscu.

Strickland ostrożnie odkłada słuchawkę i odwraca się. Wodzi wzrokiem po szkłe, porcelanie, ceramice, fajansie, papierze — tak szybko wygenerowane pobojowisko. Zachowuje się jak katatonik i Zelda zaczyna podejrzewać, że już nigdy się nie poruszy, stanie się elementem wyposażenia jej domu, który będzie musiała posklejać razem z resztą tej ruiny. Ale Strickland jest jak nakręcony zegarek. Kółeczka w środku się obracają i Strickland zaczyna iść, człapie między Brewsterem a telewizorem w stronę otwartych drzwi.

Po którymś z kolei kroku znika, rozplywa się w deszczu.

Zelda przyskakuje do telefonu i sięga po słuchawkę. Brewster nareszcie wstaje z fotela i porusza się szybciej, niż Zelda kiedykolwiek widziała. Fotel skrzypi, raptownie pusty, i Zelda czuje dłoń Brewstera skrzyżowaną z jej dłonią na słuchawce.

— Zabierz rękę, Brewster.

— Nie możesz się w to mieszać. Nie możesz nas w to mieszać.

— On jedzie do jej domu. Przez ciebie, Brewster! Muszę ją ostrzec. On ma pistolet.

— Dzięki mnie ocaliliśmy skórę. Jak myślisz, na kogo będzie, jeśli nie dorwą twojej przyjaciółki? Myślisz, że po prostu zapomną? Zapomną o dwójce czarnych, którzy wetknęli nos w nie swoje sprawy? Naprawimy drzwi, podniesiemy te... rzeczy, które zostawił na podłodze, a potem usiądziemy i pooglądamy telewizję. Jak normalni ludzie.

— Niepotrzebnie ci powiedziałam. Nie trzeba ci było nic mówić...

— Skończ gotować kolację. Ja znajdę proszek do czyszczenia dywanów...

— Oni się kochają. Nie pamiętasz? Nie pamiętasz, jak to było?

Ramię Brewstera wiotczeje, ale dłoń nie puszcza słuchawki.

— Pamiętam i właśnie dlatego nie mogę ci pozwolić, żebyś zadzwoniła.

Jego brązowe oczy, tak często przymknięte i zaszklone stroboskopowym blaskiem telewizora, są szerokie i przejrzyste, Zelda widzi w nich odbicie gruzowiska pozostawionego przez Stricklanda. Widzi też wiele innych rzeczy. W oczach Brewstera widzi historię jego przegranych bitew, jej mąż zawsze przegrywa, ale nigdy się do końca nie poddaje, nawet kiedy Zelda snuje swoje ryzykowne fantazje o odejściu z Occam i założeniu własnej firmy. W tym sensie Brewster jest odważny. Przeżył. Nadal jest na tym świecie. To dobry człowiek.

Ale ona jest dobrą kobietą albo chce nią być, a w tej konkretnej sytuacji za miarę jej dobroci służy odległość między miseczką na drobne, w której Brewster trzyma kluczyki, a otwartymi na oścież drzwiami frontowymi plus odległość między drzwiami a fordem Brewstera, który podrzemuje w deszczu. Zelda wie, że jej się uda; Brewster będzie za bardzo zaskoczony, żeby za nią pobiec. Zelda wie również, że dotrze do mieszkania Elisy, nawet w tej starotestamentowej ulewie. Nie wie natomiast, co dobrego może zdziałać po przybyciu na miejsce ani jakie będą skutki. Ale takich rzeczy nigdy z góry nie wiadomo, prawda? Świat się zmienia albo nie. Walczysz o słuszne sprawy i czerpiesz z tego satysfakcję. Taki przynajmniej jest plan. Zelda D.

Fuller nie ma lepszego.

Elisa zna każdy liść swojej dżungli, każde pnącze, każdy kamień, i w cieniu, który się po niej ślizga, nie wyczuwa zagrożenia. Otwiera ciepłe, mokre oczy i rozkoszuje się figlarnym uporem kropelek, które usiłują posklejać jej rzęsy. Odrywają się od siebie jedna po drugiej, niechętnie i leniwie. To Giles, podświetlony od tyłu światłem z salonu, stoi nad wanną, uśmiecha się czule, a Elisa się zastanawiała, czy odpowiedzialności za wzbieranie łez w jej oczach nie ponosi szklarniowa parność w pomieszczeniu.

— Już czas, moja droga — mówi Giles.

Elisa oplata ospałe ramiona wokół podrzemującego stwora, nie chce sobie przypominać, ale nie umie się powstrzymać, jak kilka godzin, a może kilka tysiącleci temu zapukała do drzwi Gilesa, aby go poprosić o największą i najstraszniejszą przysługę. Migąła swoją prośbę szybko, żeby nie przedłużać cierpień: Giles ma wejść przed północą do jej mieszkania, obudzić ją w wannie i zignorować jej ewentualne protesty. Elisa zauważa, że woda w wannie wystygła, ale ona nie ma ochoty z niej wychodzić. To niemożliwe, żeby już było tak późno. Niemożliwe. Miała cały dzień i całą noc na pożegnanie się z nim, a nawet jeszcze nie zaczęła.

Giles kładzie dłonie na kolanach, żeby się schylić, ale zatrzymuje się w pół drogi. Zapomniał, że trzyma w dłoni długi, cienki pędzelek do malowania detali. Ochlapał jedno z kolan spodni zieloną farbą. Śmieje się i chowa pędzelek w kieszeni koszuli na piersi.

— Skończyłem. — Nie potrafi ukryć dumy, co cieszy Elisę. — To nie będzie to samo, co mieć go tutaj. Niebo a ziemia. Ale uważam, że nie dało się tego zrobić lepiej. To dla ciebie, Elisa. Będzie ci o nim przypominał. Pozwól, że ci pokażę, jak będziemy wychodzili. Jemu też. A teraz proszę cię, maleńka. Późno już. Weź mnie za rękę.

Elisa uśmiecha się zauroczona bujną czupryną przyjaciela, chłopięcym zapałem na jego twarzy, zdrową cerą. Giles zachowuje się czule, ale stanowczo. Elisa patrzy na jego wyciągniętą dłoń, posklejane farbą włoski na kłykciach, opryskane farbą paznokcie, obwiedziony farbą mankiet koszuli. Wyciąga rękę z wody. Kiedy jej dłoń odrywa się od pleców stwora, ten się jeży i mocniej ją przytula. Elisa się waha, jej dłonie przebywają w śródziemiu między wodnym łóżem małżeńskim a twardym gruntem pod stopami Gilesa — Elisa nie wie, czy potrafi przeskoczyć nad tą przepaścią.

Rozlega się huk. Na ulicy, gdzieś blisko. Coś uderzyło w budynek. I to głośno. Metal, szkło, plastik, para. Elisa czuje impet uderzenia, wstrząs w płucach, i wie, po prostu wie, że za długo zwlekała. Giles również to wie. Sięga nad przepaścią między światami i łapie Elisę za nadgarstek. Nawet stwór to wie: jego szpony wystają, drapią jak paznokcie kochanka po jej nagich plecach. Są zgrane ze sobą. Woda wychlapuje się z wanny. Z umywalki spadają rośliny. Tekturowe drzewka kołyszą się na ścianach. Zostali znalezieni.

To wina deszczu. Woda ma chyba z pięć centymetrów głębokości i zasysa go w stronę krawężnika. Smaga przednią szybę dezorientującymi ekliptykami, przez co Strickland źle ocenia zakręt. Kino pojawia się w polu widzenia jako tysiąc zalewanych żółtą farbą światełek. Strickland gwałtownie szarpie kierownicą, posiłkując się rozreklamowanym wspomaganie, ale jest już za późno. Zmiażdżony tył sabotuje najprostsze manewry i Caddy — jego ukochany morskozielony cadillac Coupe DeVille, prawie dwie i pół tony i ponad pięć i pół metra królewskiego luksusu, od zera do sześćdziesięciu w 10,7 sekundy, stereofoniczne radio am/fm, chodzi jak złoto — wpada w boczną ścianę kina.

Strickland gramoli się na zewnątrz. Próbuje zamknąć drzwi, bo weszło mu to w nawyk, ale nie jest przyzwyczajony do życia bez dwóch palców. Chybia celu, jego dłoń przelatuje obok drzwi. Strickland szacuje skutki katastrofy. Przód zmasakrowany, tył zmasakrowany. Amerykańskie marzenie zdewastowane na obu końcach. Nieważne. Strickland jest teraz bogiem dżungli, mały rozszarpują jego durną ludzką czaszkę. Brodzi po kostki w wodzie. Jakiś mężczyzna z identyfikatorem wybiega do niego z kasy i zrozpaczonymi gestami pokazuje na potłuczone cegły, które leżą na chodniku.

W dżungli ten człowiek jest tylko bzyzącą *carapanã*. Strickland wali go berettą w nos. Proporczyk krwi furkocze, zanim deszcz strąca go na chodnik. Strickland omija wijące się na ziemi ciało i zakrada się pod markizę z roziskrzonymi od kropelek wody żaróweczkami. Potem wraca na jezdnię i zauważa wnękę z drzwiami do mieszkania na piętrze. Elisa, jego bezgłówna wizja. Jego nadzieja na przyszłość, jego zdrajczyni, jego zwierzyna łowna. Cadillac blokuje całą uliczkę. Strickland musi się wspiąć na wgniecioną maskę. Rozszczepiony na dwoje silnik bucha parą, w której zanurza się Strickland. Gorąco Amazonii, trędowaty dreszcz, ciepły zygzak węża, gęste kłębowisko piranii, wszystko to obgryza Stricklanda aż do twardej, czystej, ostrej, kości.

Co to jest, tam na drugim końcu uliczki w cętkowanym przez ćmy świetle? Biała furgonetka bez przedniego zderzaka, z namalowanymi słowami: MILLICENT LAUNDRY. Strickland odsuwa się od parzącej pary i uśmiecha radośnie, czuje milion twardych strzałek deszczu, które odskakują od jego czaszki.

Zataczają się na górze schodów przeciwpożarowych, mają między sobą stwora, który ciągnie ich w dół. Elisa zdążyła na siebie włożyć tylko wytarty różowy szlafrok i buty, pierwsze, które wpadły jej w oko, inkrustowany srebrem nabytek od Julii, porwała je jak talizmany i oczywiście teraz się potyka, jej tułów zwisa nad barierką. Stwór, owinięty kocem, który ledwo go zakrywa, odciąga ją znad przepaści. Na dole Elisa widzi Mopsika. A także wrak samochodu, wielką zieloną maszynę wklinowaną między ściany uliczki — blokuje Mopsikowi wyjazd. Prosto pod nimi, poza polem widzenia, Elisa słyszy próbę przekręcenia gałki drzwi do Arcade Apartments, potem głośnie kopnięcie, a następnie tak wielki huk, że krople deszczu zastygają na sekundę, czerwone światło błysku prochu strzelniczego przeobraża każdą kroplę w krew konającego świata.

Kroki tego mężczyzny pędzą na górę. Z kolei Giles ciągnie Elisę na dół. Zejście jest przeciwieństwem ślimaczej wspinaczki ze stworem sprzed tygodnia — zaimprovizowany chaos, stopy się ślizgają, ciała zderzają. Elisa może tylko wtulić głowę w kark stwora i przytrzymać się ociekającej wodą koszuli Gilesa. Giles prowadzi ich na dół, szybko, zdecydowanie. Jego nowe włosy przylegają do głowy, a pędzelek w kieszeni na piersi przebija zielono przez koszulę. Gdyby jego serce zostało przekłute, krwawiłoby na zielono, myśli Elisa.

Docierają na dół ze złamanymi sercami, ale bez złamanych kości.

— Będziemy musieli iść na piechotę! — woła Giles, przekrzykując ulewę. — To tylko kilka przecznic! Damy radę! Bez dyskusji! Chodźcie, chodźcie!

Uliczka jest polem minowym dziur w jezdni. Elisie to nie przeszkadzało aż do teraz, kiedy co drugi krok kończy się zanurzeniem nogi w oleistej wodzie. Nie ma czasu na rozpinanie srebrnych butów. Postępują do przodu jak uszkodzone tłoki, jeden suw do góry, jeden suw w dół. Zajmuje im to o wiele za dużo czasu. W końcu docierają do rozbitego samochodu, oślepieni przez jego reflektory. Elisa przeczołguje się przez zgniecioną maskę, a potem pomaga Gilesowi dźwignąć stwora. Giles idzie ostatni, podnosi z ziemi koc, który spadł, i ponownie owija nim stwora, a potem popycha ich oboje. Elisa rzuca spojrzenie panu Arzounianowi, który gapi się z chodnika z dłonią przyciśniętą do złamanego nosa, być może myśląc sobie, że najdziwniejszy film, jaki kiedykolwiek wyświetlał, rozgrywa się naprawdę.

Strickland czuje zapach Deus Brânquia. Wraca wspomnienie Amazonii. Zapach boga skrzeli składa się z soli, owoców i mułu. W laboratoriach Occam antyseptyczne detergenty go zneutralizowały, co było błędem. Ależ ludzie są głupi, żeby się pozbawiać najważniejszego zmysłu obronnego. Strickland wie, kto ponosi za to winę. Woźne. Ich mydło, wybielacz i amoniak nie usuwały brudu tego świata, lecz kamuflowały inny świat, który zwycięży, chyba że Strickland szybko zadziała i położy mu kres.

Para drzwi do mieszkań. Strickland wybiera pierwsze. Nie bawi się w przekręcanie gałki ani nawet kopanie, tylko mierzy z beretty i strzela w gałkę. Drzwi są podłej jakości niż u Dalili Brewster. Środkowe trzydzieści procent rozpada się na trociny. Strickland odłamuje kopniakami szczyby z ostrymi krawędziami i przeciska się do środka z uniesionym pistoletem, tak samo jak na dnie sterty zwłok w Yeongdong gotowy zamordować wszystko, co oddycha.

Deus Brânquia, ogromny, anielski, wspaniały, króluje na środku ciasnego, zakurzonego mieszkania. Strickland się mylił — wcale nie jest gotowy. Wrzeszczy, pada na kolana i strzela, wrzeszczy, strzela, wrzeszczy. Pociski przelatują przez Deus Brânquia na wylot. Bóg skrzeli nie reaguje. Pistolet rozgrzewa się w dłoniach Stricklanda, któremu drżą ramiona od odrzutu. Przywiera plecami do ściany i zasłania twarz. Deus Brânquia patrzy na niego cierpliwie i niezmienny.

Strickland wyciera z oczu deszcz i zaczyna rozumieć. Ten Deus Brânquia nie jest prawdziwy. Nie można go zabić. To obraz. Większy niż w naturze, zdumiewająco wierny. Ale w jakimś sensie to jest Deus Brânquia, tak jakby obraz namalowano krwią i łuskami stworza na skale wydobytej z jego grotu. Strickland przechyla głowę i wizerunek boga skrzeli wydaje się unosić ramiona, zapraszać do uścisku. Jakaś optyczna sztuczka. Strickland odsuwa od siebie to wspomnienie, które jednak dalej napiera. Ściganie Deus Brânquia aż po feralne rozlewisko. Zapędzenie go w kozi róg w jaskini, gdzie wyciągnął do Stricklanda ramiona, zaakceptował jego agresję, gniew i zamęt, zrozumiał jego zobowiązania wobec boga, którego Strickland nazywał generałem Hoytem. Strickland odpowiedział wystrzeleniem harpuna. Aż do tej pory nie zauważył, że sam nadział się na drugi koniec harpuna, na zawsze łącząc ich ze sobą, rana do rany.

Elisa nie może zaprzeczyć, że jest to rodzaj cudu. Noc, w którą ona musi pojawić się ze stworem na zewnątrz, jest tak brutalnie zarzucona płachtami deszczu, że na ulicach nikogo nie ma. Kilka samochodów stoi na parkingach z włączonymi silnikami, ich kierowcy mają nadzieję, że uda im się przeczekać burzę, chociaż na pewno podejrzewają, że ulewa nigdy się nie skończy. Smętni samotnicy kulą się pod żółtymi skorupami dworca autobusowego albo markizami sklepowymi i patrzą, jak woda wspina się po ich butach. Chodniki są nie do przejścia, toteż Elisa i Giles idą po najwyżej położonym dostępnym terenie, czyli środkiem jezdni, podtrzymując z obu stron stwora, którego skrzela otworzyły się na deszcz.

Elisa ledwo idzie w nasiąkniętym szlafroku. Giles, chociaż psychicznie odrodzony, nadal jest stary. Idą za wolno. Człowiek, który włamał się do Arcade Apartments, ich dogoni. Elisa ogląda się przez ramię, czeka, kiedy usłyszy grzechot zniszczonego cadillaca toczącego się za nimi jak czołg albo kiedy zobaczy Richarda Stricklanda rozdzielającego zasłony deszczu, uśmiechającego się leniwie i jeszcze raz mówiącego do niej: „Założę się, że potrafiłbym tak zrobić, żeby pani pisnęła. Chociaż trochę...”.



Jeśli nie Strickland, to jakiś porządny obywatel podejdzie do nich, żeby im pomóc i tak czy tak wszystko będzie stracone. Elisa rozgląda się gorączkowo, jej włosy ociekają deszczem. Potrzebny jest jeszcze jeden cud. Porzucony samochód z kluczykami w stacyjce, maniackalny kierowca autobusu, który nie zjechał z trasy. Elisa miga do Gilesa: „Za wolno”. Giles nie patrzy. Elisa sięga ręką za stwora i miga Gilesowi przed oczami. Giles klepie ją po dłoni, ale to nie jest odpowiedź, tylko próba zwrócenia jej uwagi. Giles się zatrzymuje. Stwór się chwieje i Elisa o mało nie upada w swoich srebrnych butach. Przystawanie to fatalny pomysł. Elisa miażdży Gilesa wzrokiem. On jednak szeroko otwartymi oczami patrzy w stronę krawężnika.

Na prawo od nich pod krawężnikiem wzbiera jakaś ciemna masa. Błoto, myśli Elisa, wyrzucone przez zalane kanały ściekowe. Ale masa się porusza. Płynie przez kaskady deszczu. Pełźnie po mokrym chodniku. Elisa z tęym szokiem rozpoznaje te stworzenia. Szczury, wylewają się z kanalizacji. Gdzieś daleko przejęty zgrozą obserwator wrzeszczy. Szczury przeciskają się między sobą nawzajem, machają różowymi ogonami, rozlewają się na jezdnię jak smoła, ich mokre futra migoczą w świetle latarni ulicznych. Elisa patrzy w lewo i widzi to samo, czarną masę gryzoni. Czuje, że Giles łapie ją za rękę. Wstrzymuje oddech, kiedy szczury ich otaczają. Szaleństwo się wzmacnia: szczury gromadnie przystają, zachowują półtorametrowy dystans, ich czarne oczy patrzą z wytężeniem, nosy myszkują. Setki szczurów czekają na sygnał.

— Przyznaję, moja droga — mówi Giles — że nie wiem, co robić.

Elisa czuje jakiś ruch stwora pod nasiąkniętym kocem, spod którego wyłania się wielka, szponiasta dłoń. Chociaż ciało stwora walczy o tlen, dłoń jest stabilna, wykonuje płynny, półkolisty gest, błogosławieństwo, pośród łusek zbiera się deszcz. Poletko przemoczonych szczurów faluje w ramach zbiorowego dreszczu, jedno małe ciało przy drugim, a potem dziwny, skrobiący dźwięk rywalizuje z dudnieniem deszczu. Jak uświadamia sobie Elisa, jest to szuranie tysięcy maleńkich nóg o jezdnię. Elisa wyciera deszcz z oczu, ale trudno inaczej zinterpretować ten widok: szczury się rozstępują, żeby ich przepuścić.

Stwór opuszcza dłonie i tak ciężko opada, że Elisa i Giles muszą wytężyć wszystkie siły, aby się nie przewrócił.

„W taką noc nawet zwierza bym z domu nie wygonił” cytuje Giles drżącym głosem. — W.C. Fields. — Przełyka ślinę i kiwa głową do przodu. — A zatem ramię w ramię idziemy w bój.

Gorące łzy spływają po twarzy Stricklanda już wcześniej poparzonej parą z cadillaca. Strickland już nigdy nie stanie się człowiekiem. Taka zmiana oznaczałaby wpełznięcie z powrotem do macicy, unicestwienie całej jego historii, przyznanie, że jego życie nie miało sensu. Niemożliwe, nawet gdyby bardzo tego chciał. Mały wrzeszczą i Strickland robi to, co mu każą: zmusza się do spojrzenia na Deus Brânquia. Zwykła farba, zwykłe płótno. Wstaje, łapie równowagę. Tak, jeśli będzie musiał, oderwie sobie kolejne dwa palce, całe ramię, głowę, żeby sprawdzić, co z tego jest prawdziwe — jeśli jest prawdziwe, to popłynie krew.

Przez zredukowane o jedną trzecią drzwi Strickland wychodzi na korytarz i staje przed wejściem do drugiego mieszkania. Lepiej zaoszczędzić kule na później. Po sześciu czy siedmiu kopnięciach jest w środku. Gorzej niż u niego w domu, z nierozpakowanymi pudłami Lainie. Zapaskudzony chlew, który nadaje się tylko dla robactwa. Czyli dla Elisy Esposito. Należało to sobie uświadomić już w chwili, kiedy Murzynka mu powiedziała, że Elisa wychowała się w sierocińcu. Nikt nigdy jej nie chciał, nie będzie chciał i nie powinien chcieć.

Strickland idzie za jej zapachem do zagraconej sypialni. Na ścianie nad łóżkiem wiszą buty, z których wiele ku swojemu zawstydzeniu rozpoznaje. Jego fiut reaguje i Strickland chce go urwać, tak jak to zrobił z palcami. Może później, kiedy wróci popatrzeć, jak cały budynek płonie. Mocno czuć tutaj również zapach Deus Brânquia. Strickland spieszy do łazienki i widzi, że wanna jest ugarniowana świetlistymi łuskami. Odświeżacze w kształcie drzewek pokrywają każdy centymetr ściany. Ja pierniczę, co się tutaj stało? Myśl, która zaczyna kiełkować w jego głowie, budzi w nim odrazę.

Strickland chwiejnym krokiem wytacza się do pokoju. W oczach mu wiruje. Nie ma ich tutaj. Obiekt jakimś sposobem się wymknął. Beretta staje się ciężka w dłoni Stricklanda. Ciągnie go w prawo, w prawo, w koło, potem jeszcze raz. Strickland kręci piruety. Pobojowisko świata Elisy, świata, którego on kiedyś pragnął, zlewa się w brzydką brązową masę. Strickland coś zauważa, ale jego mózg nie potrafi tego zarejestrować. Aby zastopować rotacje, które przyprawiają o mdłości, musi oprzeć pistolet o rozchwiany stół.

Kalendarz dzienny. Na dzisiejszej dacie napisane słowa PÓŁNOC — DOKI. Strickland sprawdza godzinę na zegarze, który wisi nad stolikiem. Dochodzi dwunasta. Jeszcze jest czas. Pod warunkiem, że Strickland przestanie wirować, że potrafi biec po linii prostej. Widzi telefon, podnosi słuchawkę, wykręca numer palcem, który na tle swoich nieobecnych braci wygląda na długi i owadzi. Fleming odbiera. Strickland mówi mu, żeby jeszcze raz przekierował ekipę pościgową do pobliskich doków. Nie umie ocenić, czy zrozumiałe wyartykułował to polecenie. Jego głos nie brzmi już jak jego własny.

Z początku zauważyła tylko szczury, ponieważ liczebnie zdecydowanie przewyższały resztę. Zanim dotarli na pomost, jej osłupiałe oczy wyłowiły pośród rozbieranego legionu innych mieszkańców podziemi, drapieźniki i zwierzynę łowną w stanie międzygatunkowego pokoju, który imituje pokój między Elisą a stworem. Wiewiórki z pozlepianym futrem, króliki z czerwonymi oczami, refleksyjne szopy pracze, poplamione ściekami lisy, skaczące żaby, drepczące jaszczurki, ślizgające się na brzuchach węże, a pod tym wszystkim pulsująca warstwa robaków, stonóg i ślimaków. Nad gryzoniami kłębią się owady, czarny pas, którego nie niszczy ulewny deszcz. Na obrzeżach zaczęły się pojawiać zwierzęta lądowe. Psy, koty, kaczki, jedna tajemnicza świnia, tak jakby chciały się pokłonić bogu, na którego w swoich zwierzęcych sercach zawsze czekały.

Tuż przed pomostem zwierzęta się rozstępują, żeby przepuścić ich trójkę. Pomost nie jest tak krótki, jak to zapamiętała Elisa, może dwunastometrowy. Znacznik dziesięciu metrów głębokości został mocno przekroczony, widać tylko wierzchołek słupka. Poziom rzeki prawie zrównał się z pomostem i podmuchy wiatru wychlapują na niego wodę. A zatem wszystkie żywioły współdziałają ze sobą. Elisa stoi jednak bez ruchu, deszcz wwierca się w jej ciało. Jej oddech jest chrapliwy i nieregularny, przypomina mozolne wciąganie przez stwora powietrza do trzepoczących skrzeli. Elisa czuje czyjaś dłoń na mokrych plecach.

— Pospiesz się — szepcze Giles.

Elisa płacze, ale niebo też; cały wszechświat szlocha. Ludzie i zwierzęta, ziemia i woda, wszystko lamentuje z powodu jedności dwóch odmiennych światów, która została już prawie przypieczętowana, ale nie udało się jej utrzymać. Ramiona Elisy zwisają bezwładnie. Chłodne, mokre łuski dłoni stwora ocierają się o jej rękę. Elisa i stwór trzymają się za ręce. Po raz ostatni są ze sobą złączeni. Elisa patrzy na jego piękną twarz przez więzienne kraty deszczu. Wielkie onyksowe oczy odwzajemniają spojrzenie, nie zdradzają ochoty na wejście do wody, chociaż jej brak go zabije. Jeśli Elisa tego chce, on będzie tutaj stał bez końca.

Elisa zaczyna iść, żeby uratować mu życie. Jeden krok, dwa kroki, brodzi w rozbryzgach wody. Przez łoskot burzy przebijają się rozgadany odwrót zwierząt, a także chlupiące kroki Gilesa, który jako jedyny wszedł za nią na pomost. Pokonanie dziesięciu metrów nie trwa długo. Po chwili Elisa jest na końcu, na samym końcu. Kwadratowe czubki jej srebrnych butów zrównują się ze skrajem pomostu. Stopy stwora też, szpony dużych palców wystają. Parę centymetrów niżej pieni się czarna woda. Elisa bierze głęboki, słony wdech i odwraca się do niego. Podmuchy apokaliptycznego wiatru chwytają jej różowy szlafrok i odrywają pasek, szlafrok trzepocze o jej nagie ciało jak skrzydła motyla.

Stwór jarzy się zielono. Jego światło rozbłyskuje pośród deszczu jak latarnia morska. Nawet teraz Elisie zapiera dech. Próbuje się uśmiechnąć. Kiwa głową w stronę wody. Stwór bada wzrokiem głębiny. Zielony kolor się rozjaśnia i Elisa widzi, że skrzela stwora rozwierają się z tęsknoty. Stwór patrzy na nią, coś cieknie mu po twarzy. Czy on potrafi płakać? Elisa sądzi, że tak, chociaż szlochy nie wychodzą z jego piersi. Grzmot dudni od góry: to jest jego płacz. Stwór puszcza jej rękę, powoli, ostrożnie. Miga jej imię, swoje ulubione słowo: e-l-i-s-a, następnie pokazuje palcem wskazującym najpierw na swój tors, a potem na wodę. Na koniec kreśli

w powietrzu kółko.

Znaczenie tych nieporadnych znaków jest następujące: „Idę sam?”.

Pogruchotane serce Elisy rozpada się na jeszcze mniejsze kawałki. Od jak dawna stwór jest ostatnim przedstawicielem swojego gatunku? Od jak dawna pływa sam? Jednak Elisa wie, że nie może ulegać takim myślom. Kiwa głową, pokazuje na wodę. Stwór znowu miga, jakby szczyptał powietrze: „Nie”. Elisa opuszcza ramiona sfrustrowana. Stwór dalej miga, coraz szybciej, tak dużo się nauczył: „Potrzebuję...”, ale ona nie pozwala mu skończyć, nie może tego znieść, ona też potrzebuje, ale ich potrzeby nie mają znaczenia, popycha go i stwór o mało nie wpada do wody. W niebieskim blasku jego oczu wiruje trochę zielonego. Ramiona garbią się do środka. Stwór patrzy na wodę. Staje przodem do rzeki. Elisę to cieszy, bo nie chce, żeby stwór widział jej palce. Trzyma je z boku, ale one śpiewają poza jej kontrolą: „Zostań, zostań, zostań, zostań, zostań”.

— Elisa! — woła Giles. — Elisa!

Verão, pora sucha, dobiegła końca. Powróciła pora deszczowa, z jej tajną nazwą i tajnym celem. Nie sposób to przegapić. Szczury, jaszczurki, węże, muchy. Świat złożony wyłącznie z żyjących, oddychających rzeczy. Błyskają złymi oczami, otwierają porośnięte lasem kłów paszcze. Napierają na niego. Mały w jego głowie wyrzaskują swoje rozkazy, z których każdy jest jednakowo tajny. Strickland to lojalny żołnierz. Jest obiektem, ich obiektem. Ryczy i biegnie, kopie i opędza się od wczepionych w jego spodnie oszalałych wiewiórek, od kłusujących go w łydki maniakalnych szczurów. Nie zatrzymają go. Strickland wymierza karę, rozgniata obcasami kruche czaszki, dusi gołymi rękami maleńkie, piszczące szyje.

Potem jest na pomoście, odrywa ostatniego szczura razem z kawałkiem własnego uda. O pomost rozbijają się fale, z obu stron wstają ściany wody, w sumie tworzy się wojskowy łuk szabel. Ten czarny tunel automatycznie kanalizuje wzrok Stricklanda. Na końcu tunelu stoją Elisa Esposito i Deus Brânquia, plecami do niego, wpatrzeni w wir rzeki. Strickland pokonuje dystans w kilka sekund, pewnym krokiem mimo rzecznej kurzawy. Trochę z boku stoi też jakiś starszy mężczyzna. Strickland go rozpoznaje. Kierowca furgonetki z praniem. Wszystko zaczyna się układać. Jakie to będzie przyjemne!

Starszy mężczyzna widzi Stricklanda i woła: „Elisa!”. Strickland zbliża się za szybko. Starszy mężczyzna robi ostatnią rzecz, której Strickland by się po nim spodziewał, to znaczy biegnie w jego stronę. Strickland musi stanąć, jego stopa ślizga się po mokrych deskach, po wartkim strumieniu wody. Traci równowagę. Jedyne, co może zrobić, to machnąć berettą, pistolet ląduje z boku głowy starszego mężczyzny, który ciężko upada i ześlizguje się z pomostu do rozjuszzonej rzeki. Chwila napięcia, starszy mężczyzna próbuje złapać za mokre drewno. Nie daje rady. Drapieżne fale porywają go głową do przodu.

Teraz Elisa już go widzi. Strickland się prostuje i mierzy z pistoletu do oddalonego o trzy metry Deus Brânquia. Ale jego oczy śmigają z powrotem w stronę Elisy, która ma na sobie tylko niezawiązany szlafrok. No i buty. Oczywiście buty. Migoczące srebrne na obcasach, służące udręczeniu go. Ta kusicielka, ta Jezebel, ta zwodzicielka. To ona od początku była prawdziwą Dalilą, odciągając całą jego uwagę od swoich knowań. A teraz, chcąc nie chcąc, będzie świadkiem końca Deus Brânquia. Od tej chwili bóg skrzeli należy do przeszłości. A on, Richard Strickland? Tak jak powiedział sprzedawca cadillaca: „Przyszłość. Wygląda pan na człowieka, który się tam wybiera”.

Z zadowoleniem stwierdza, że w jednej sprawie miał rację: w końcu udało mu się sprawić, żeby niema dziewczyna pisnęła. Tylko w ten sposób mogła ostrzec Deus Brânquia przed kulą, która za chwilę zostanie wystrzelona. Dziewczyna bierze suto zaprawiony wodą wdech — żyłki na jej szyi napinają się — i wrzeszczy. Strickland jest przekonany, że słyszy pierwszy krzyk, który kiedykolwiek dobiegł się z jej słabowitego gardła. Dźwięk jest nikły, resztki aparatu głosowego niedotarte, przypomina to skrzeczenie przykutego do pokładu „Josefina” sępa, kiedy udławił się dziennikiem pokładowym Henriquéza.

Hałas jest dostatecznie nietypowy, aby przebić się przez wyjący szkwał. Deus Brânquia się odwraca. Strzela piorun, przecinając białą kreską niebieskozielony blask boga skrzeli. Ale jest już za późno. Strickland, człowiek przyszłości, dzierży broń przyszłości. Naciska spust, raz,

drugi. Pośród huraganowego wiatru i nawałnicy deszczu brzmi to schludnie. Pyk, pyk. W torsie Deus Brânquia pojawiają się dwie dziury. Stwór się zatacza. Pada na kolana na skraju pomostu. Krew chlusta do góry, miesza się z deszczem.

Po takim epickim polowaniu, na dwóch kontynentach, z tak potężnym wrogiem, efekt rozczarowuje. Ale polowania mają to do siebie, że czasem ofiara wściekle próbuje wyrwać się śmierci i przechodzi do legendy, a innym razem po prostu zasypia, zapracowuje sobie co najwyżej na bajkę. Strickland strząsa z twarzy deszcz, celuje w pochyloną głowę Deus Brânquia i naciska spust.

W tym momencie Elisa ma okazję poznać szaleństwo, które każe żołnierzowi zasłonić granat przed kolegami, które każe matkom poświęcić życie dla ich dzieci, które każe wszystkim kochającym stracić wszystko, byle tylko ukochana osoba mogła dalej żyć. Elisa nie ma jednak takiej możliwości. Podnosi ramię, tak jakby mogła gestem dłoni zmienić tor kuli. Na tym się kończy. Wszystko dzieje się natychmiast.

Ciałem Stricklanda szarpie w lewo w momencie strzału. Jego lewą stopę przebił cienki, ostry koniec pędzelka do malowania detali. Tuż za nim jest Giles, wypłynął i trzyma się brzegu pomostu. Osobą, która wyjęła z jego kieszeni pędzelek i zadała cios, jest kobieta, która wyciągnęła Gilesa z nurtu rzeki. Zelda. Trudno uwierzyć, ale Zelda zmaterializowała się tutaj, na końcu świata, leży na pomoście przemoczona i ubłocona, nadal ściska w garści pędzelek, a jej dłoń stała się zielona od farby.

Strickland sięga w stronę stopy, a potem pada na kolana. W piersiach Elisy tłucze się nadzieja. Nie, to nie jest nadzieja. Elisa pada na kolana, jakby naśladowała Stricklanda. Uda jej dygoczą i ściska je dłońmi, bo nie chce całkiem się przewrócić. Nic to nie daje. Elisa leci do przodu i w ostatniej chwili podpira się rękami. Woda z rzeki ochlapuje jej twarz i palce. Woda jest czarna, niebieska, fioletowa, czerwona. Elisa patrzy na swój tors. Dokładnie między piersiami widzi idealnie okrągłą dziurę po kuli. Krew bryzga na deski i jest natychmiast splukiwana.

Łokcie Elisy są jak z papieru. Elisa wiotczeje. Obraz w jej oczach się obraca. Elisa widzi świat do góry nogami: czarne jak węgiel chmury z naczyniami włosowatymi błyskawic, prysznic szybkiego deszczu, światła policyjne błyskają na tle pobliskich łodzi. Strickland sięga po pistolet. Zelda tłucze go pięściami po plecach, Giles wrócił na pomost i chwyta Stricklanda za kostkę. Elisa widzi kolor zielony, niebieski, żółty; potem szybciej, fioletowy, karmazynowy i umbrę; potem jeszcze szybciej, brzoskwiniowy, oliwkowy i kanarkowy; i szybciej, wszystkie znane i nieznane kolory przyćmiewające burzę. To stwór, przepiękne bruzdy na jego ciele fosforyzują, wziął ją w ramiona, jego krew zlewa się z jej krwią, są ze sobą połączeni płynem życia, mimo że oboje umierają.

Kolejna fala przesuwa berette na skraj głębin, ale Strickland jest szybszy. Podczołguje się, chwyta pistolet, trzyma go mocno oburącz. Teraz musi się pozbyć kłających dwóch szczerów. Przetacza się na plecy, kopie starszego mężczyznę w twarz, odpycha Zeldę Brewster o parę metrów. Jest cały pogryziony, broczący krwią ze stopy, oślepiiony ulewą. Mimo to podpira się na łokciu i otwiera usta na deszcz. Jest to teraz jego deszcz. Strickland dźwiga się do pozycji siedzącej, wchłania wodę do płuc i wyciąga szyję. Deus Brânquia tryska fontannami koloru. Patrzy na Stricklanda przez ostrza deszczu, trzymając w ramionach Elisę. Powoli opuszcza ją na pomost, gdzie liżą ją fale. Bóg skrzeli wstaje. Strickland mruga, próbuje zrozumieć. Dostał dwa strzały w pierś, a mimo to wstaje? A mimo to idzie? Deus Brânquia zmierza pomostem, jego ciało jest pochodnią pośród nocy, bezkresną rzeczą, której ten głupiec Strickland chciał położyć kres.

Ale i tak próbuje. Dźwiga lufę pistoletu i strzela. W pierś Deus Brânquia. W szyję. W brzuch. Deus Brânquia przeciąga dłonią przez dziury po kulach. Rany spływają z niego razem z deszczem. Strickland tak mocno trzęsie głową, że pryska wodą. Czy to wezbrana deszczem rzeka daje stworowi tyle mocy? Czy to zgromadzone zwierzęta dostarczają swojemu panu siły życiowej? Strickland nigdy się tego nie dowie. Ta wiedza nie jest przeznaczona dla niego. Płacze. Wielkimi, szarpanymi szlochami, których surowo zabronił Timmy'emu. Kładzie twarz na pomoście, wstydząc się spojrzeć w wiekiute oczy boga skrzeli.

Deus Brânquia klęka przed nim. Zahacza jednym szponem o osłonę cyngla pistoletu, delikatnie wyjmując go Stricklandowi z ręki i kładzie na deskach. Przez pomost przewala się czarna woda, porywa pistolet i pochłania go. Tym samym szponem Deus Brânquia unosi twarz Stricklanda za brodę. Strickland chlipie, próbuje zacisnąć powieki, ale oczy się otwierają wbrew jego woli. Ich twarze dzielą centymetry. Łzy Stricklanda płyną po policzkach i przez kładkę szpona ściekają na rozmigotane łuski stwora. Strickland otwiera usta i cieszy się, że wrócił mu głos.

— Jednak jesteś bogiem — szepcze Strickland. — Przepraszam.

Deus Brânquia przechyla głowę na bok, jakby rozważał te słowa. Potem, jednym niedbałym ruchem, przenosi szpon z brody Stricklanda na szyję i przeciąga nim po gardle.

Strickland czuje się otwierany. Wbrew pozorom nie jest to przykre uczucie. Do tej pory był za bardzo zamknięty, myśli sobie. W głowie ma jakąś lekkość. Patrzy w dół. Z poderżniętego gardła chlusta krew i wylewa się na jego tors. Opróżnia go ze wszystkiego. Z małp. Generała Hoyta. Lainie. Dzieci. Grzechów. Pozostaje Richard Strickland, taki jak na początku, taki, jaki się urodził. Naczynie zawierające wyłącznie potencjał. Strickland upada do tyłu. Nie, to Deus Brânquia delikatnie umieszcza go w wodzie miękkiej i cieplej jak koce. Strickland jest szczęśliwy. Jego oczodoły wypełnia deszcz. Widzi tylko wodę. To jest koniec, ale Strickland się śmieje, umierając. Ponieważ jest to również początek.

Giles widzi, że pośród dzikości natury o swoje prawa upomina się cywilizacja. Pojazdy z teatralnymi światłami i niemowlęcym jazgotem. Mężczyźni w mundurach i płaszczach przeciwdeszczowych biegną w stronę pomostu, przytrzymują przypięty do pasów rozkołysany sprzęt. Zatrzymują się z poślizgiem przed zgromadzonymi koło pomostu zwierzętami, których jest już mniej, ale wystarczająco dużo, żeby zrobić wrażenie. Zaczęli się również schodzić cywile, ludzie, którzy podczas takiej burzy nie wychyliliby nosa z domu, gdyby nie bijące od doków niesamowite kolory — może jakiś wariat odpalił pośród ulewy fajerwerki.

Giles kaszle wodą z płuc. Powinien nie żyć. Pamięta, że uderzył o dno rzeki, desperacko machał rękami i wypłynął na powierzchnię, ale potem złapał go odpływ i pociągnął w stronę zatoki. Jakaś dłoń chwyciła go jednak za nadgarstek i przyciągnęła do pomostu. Ich dłonie powinny wyślizgnąć się z siebie, ale ta dłoń miała chwytną fakturę, była zrogowaciała od czyścików i wiecznego szurania miotłami i mopami — mogłaby to być dłoń Elisy.

Należała do czarnoskórej kobiety, którą Giles zauważył na rampie załadunkowej w Occam, ich tajnej współpracownicy. Nie miał pojęcia, skąd się tu wzięła, ale z drugiej strony ta kobieta to jedna wielka zagadka: korpulentna, w średnim wieku, ze skłonnością do nagłego pojawiania się w przełomowych momentach, dysponująca jakimś workiem bez dna, z którego czerpie odwagę. Kiedy on chwycił się pomostu, ona wyjęła z jego kieszeni pędzelek i zaatakowała uzbrojonego w pistolet mężczyznę. Teraz ten mężczyzna nie żyje, jego gardło wypompuje z siebie tyle krwi, że nawet łomoczące fale nie potrafią jej w całości pochłonąć.

Giles mozolnie podpiera się łokciem. Kobieta mocno przytula jego drżące ciało. Ich zziębnięte oddechy zrównują się tempem i oboje patrzą przez wodną kurzawę, jak stwór wstaje, strąca krew mężczyzny ze szpona i na błoniastych stopach podchodzi do leżącej na pomoście Elisy. Jego wspaniałe światła ciemnieją z każdym krokiem.

— Czy ona...? — skrzeczy Giles.

— Nie wiem — odpowiada kobieta.

— Ręce do góry! — krzyczą policjanci. Stwór nie zwraca na nich uwagi. Podnosi Elisę z pomostu. Krzyki zmieniają się na „Połóż tę kobietę na ziemi!”, ale również nie przynoszą efektu. Stwór na moment nieruchomieje, czarny na tle rzecznej piany i szklanego deszczu, wysoki, silny kształt na krańcu Ameryki. Giles jest za bardzo zmęczony, za bardzo przygnieciony smutkiem, żeby zawołać, ale bezgłośnie wypowiada słowo „żegnaj”, zarówno do stwora, którego uzdrawiający dotyk dał mu siłę niezbędną do tego, aby dzisiaj nie utonął, jak i do Elisy, która dawała mu siłę niezbędną do tego, aby nie utonął przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Bezdźwięcznie, bez chlapnięcia, stwór, trzymając w ramionach Elisę, wskakuje do wody. Mężczyźni nareszcie przybiegają, ich buty rozbryzgują wodę na pomoście. Ci uzbrojeni idą na sam koniec, przyciskają czapki do głów, żeby nie zdmuchnął ich porywisty wiatr, i śledzą wzrokiem muskające fale światła własnych latarek. Ci z apteczkami stają najpierw przy martwym mężczyźnie, a potem przy Gilesie i czarnoskórej kobiecie. Jeden z medyków przebiega dłońmi po głowie, szyi i torsie Gilesa.

— Jest pan ranny?

— Oczywiście, że jest ranny — obrusza się kobieta, która obejmuje Gilesa. — Wszyscy jesteśmy ranni.

Giles zaskakuje sam siebie i rechocze. Będzie mu brakowało Elisy. Tak bardzo będzie mu jej brakowało, każdej nocy tak, jakby było rano, każdego ranka tak, jakby było po południu, za każdym razem, kiedy zaburczy mu w brzuchu, ponieważ zapomni o jedzeniu. Kochał ją. Wróć: kocha ją. Elisa nie odeszła i nigdy nie odejdzie. A ta kobieta? Jego zbawczyni? Ją też być może już kocha.

— Ty musisz być Giles — mówi kobieta badana przez medyka.

— A ty musisz być Zeldą.

Absurdalność tej oficjalnej prezentacji w takich apokaliptycznych okolicznościach wywołuje uśmiech na ich twarzach. Giles myśli o Elainie Strickland, która zniknęła, zanim zdążył jej powiedzieć, jak wiele dla niego znaczyła. Już więcej nie popełni tego błędu. Bierze Zeldę za rękę. Słona woda wślizguje się między ich dłonie i spaja ich ze sobą. Kobieta opiera głowę o jego ramię, deszcz bębni o nich i można odnieść wrażenie, że stapia ich w jedną istotę.

— Myślisz... — zaczyna Zeldą.

Giles próbuje jej pomóc.

— Że są...

— To znaczy tam na dole — odpowiada Zeldą. — Że mogą...?

Żadne z nich nie potrafi dokończyć tej myśli. Nie szkodzi. Oboje znają pytanie, a także wiedzą, że nigdy nie uzyskają definitywnej odpowiedzi. Giles ściska dłoń Zeldy i wzdycha, a pióropusz jego oddechu — nadal mocnego, jak zauważa — rozprasza się w deszczu, który nareszcie chyba trochę zelżał. Kiedy są już owinięci w szpitalne koce i siedzą w karetce, a Giles podejrzewa, że Zeldą już zapomniała, jakie było pytanie, próbuje sformułować hipotezę, która wydaje mu się najbardziej wiarygodna.

Elisa opada. Chwyta ją dłoń Posejdona i kołysze nią z lewa na prawo jak krokodyl swoją ofiarę. Dwa razy wypchnęła się na powierzchnię, ale zobaczyła, że Baltimore, jej rodzinne miasto, skurczyło się do roziskrzonego punkcika. Jest postrzelona i nie może ruszać nogami, toteż zanurza się po raz ostatni. Tam w dole jest ciemno. Nie ma powietrza. Jest tylko ciśnienie — jakby dziesiątki dłoni naciskały na jej ciało, próbując zatamować krew z ran. Krew i tak ucieka. Rozlewa się w wodzie, tworzy szkarłatny płaszcz zastępujący schludny szlafrok, który odpłynął w siną dal.

Elisa rozchyła usta i wpuszcza do nich zimną wodę.

Z czarnych ciemności przychodzi on. Elisa bierze go za ławicę migoczących ryb, dopóki każdy z miliona punkcików światła nie objawia się jako jedna z jego łusek. Stwór przynosi swoje podwodne słońce i w blasku tego słońca Elisa ogląda jego niesamowite ruchy. Stwór nie jest w wodzie, tylko stanowi jej część, idzie jak po chodniku, niezła sztuczka, a potem buntuje się przeciwko grawitacji i wiruje jak porwany przez wichurę kwiat. Z idealną precyzją umieszcza na jej czole pocałunek. Obejmuje ją ramionami, owija swoim morskim słońcem. Jego szerokie dłonie wędrują po jej plecach, nakrywają jej nagie ramiona, nurkują między jej piersi. Potem stwór bierze ją pod boki, jakby była dzieckiem, które dopiero zaczyna uczyć się jeździć na rowerze.

Elisa mruga, jej powieki jak wiosła odgarniają na bok kilogramy wody. Dziura w jej piersi zniknęła. Zaskakuje to, że Elisa nie czuje zaskoczenia, tylko swobodną, przyjemną akceptację. Podnosi wzrok i widzi, że stwór odpływa w prawo, trzymając ją za rękę. Elisa uświadamia sobie, że stwór zamierza ją puścić. Kręci głową, jej włosy falują jak wodorosty. Nie jest jeszcze gotowa. Unosi wolną rękę, aby zasygnalizować swoje obawy, jednakże ludzkie przydatki słabo się nadają do rozcinania wody. Dłoń stwora się otwiera i Elisa spada, spada, spada, chociaż niełatwo jest to stwierdzić w czarnej próżni. Być może tak naprawdę unosi się, unosi, unosi. Macha nogami. Piękne srebrne buty Julii przepływają koło niej jak egzotyczne ryby. Elisa już ich nie potrzebuje.

Stwór znowu wyłania się z głębin. Stają naprzeciwko siebie w wodzie, nowi i nadzy, ocean jest ich rajem. Jego skrzela rozszerzają się i kurczą. Elisa też oddycha. Nie wie jak i nie obchodzi jej to, bo wodne powietrze jest cudowne! Smakuje cukrem i truskawkami, napełnia ją energią, której nigdy wcześniej nie zaznała. Nie potrafi się powstrzymać: wybucha śmiechem. Z jej ust wyfruwają bąbelki i stwór figlarnie uderza w nie dłonią. Elisa wyciąga rękę i pieści jego miękkie skrzela. Sądzi, że mogłaby na niego patrzeć bez końca.

I może tak będzie. W środku coś się zaczyna rozszerzać. Części ciała, uzmysławia sobie Elisa, które kazały dyrektorze sierocińca, być może jedynej osobie znającej prawdę, nazwać ją potworem. Elisa nie czuje nienawiści do tej kobiety. Tu na dole uświadamia sobie, że nienawiść jest bezużyteczna. Tu na dole akceptujesz swoich wrogów, aż staną się twoimi przyjaciółmi. Na dole nie chcesz być jedną istotą, ale wszystkimi istotami naraz, bogiem, Kemoszem i wszystkim pomiędzy. Zmiana, która w niej nastąpiła, jest nie tylko mentalna, ale również fizyczna, przekształciła się skóra i mięśnie. Tak, Elisa dotarła na miejsce. Jest kompletna, jest doskonała.

Sięga do niego. Do siebie. Nie ma różnicy. Teraz rozumie. Obejmuje go, on obejmuje ją,

obejmują się nawzajem, wszystko jest ciemnością, wszystko jest światłem, wszystko jest brzydotą, wszystko jest pięknem, wszystko jest bólem, wszystko jest smutkiem, wszystko jest nigdy, wszystko jest zawsze.

czekamy patrzymy słuchamy czujemy jesteście cierpliwi zawsze jesteście cierpliwi ale to trudne kobieta którą kochamy potrzebuje dużo czasu tak dużo czasu aby wiedzieć aby widzieć aby czuć aby pamiętać nie jest przyjemne patrzeć jak się zмага nie jest przyjemne widzieć jej ból ale my też się zmagaliśmy wszyscy się zmagaliśmy ból i zmagania są ważne ból i zmagania muszą być jeśli ona ma wyzdrowieć tak jak my wszyscy wyzdrowieliśmy i pomogliśmy jej wyzdrowieć i teraz to się dzieje dzieje się jest zrozumienie i to jest piękne ona jest piękna my jesteście piękni i to jest dobry widok radosny widok linie na jej szyi linie które uważała za blizny ale to nie są blizny to jest dobry widok linie otwierają się dla skrzeli to jest radosny widok kiedy linie otwierają się dla skrzeli szeroko rozpościerają i teraz ona wie kim jest kim zawsze była jest z nami i mówimy teraz razem czujemy razem i płyniemy w dal na sam koniec na sam początek i stajemy się wszystkimi tymi którzy chcą popłynąć z nami i witamy ryby witamy ptaki witamy owady witamy czworonogi witamy dwunogi witamy ciebie /// chodź z nami

Podziękowania

Moje podziękowania zechcą przyjąć: Richard Abate, Amanda Kraus, Ricardo Rosa, Grant Rosenberg, Natalia Smirnov, Julia Smith i Trimmer.



GUILLERMO DEL TORO

KSZTAŁT
WODY

DANIEL KRAUS